

Sponad

Roman Sapeńko Skoworoda – kozacki syn, pierwszy filozof Ukrainy	8
Olga Hanna Solarz Między znikaniem a przetrwaniem. O poakcyjnym krajobrazie mniejszości ukraińskiej	14
Małgorzata Nocuń, Paweł Pieniążek Ukraina – kraj trudnych wyborów	22
Stanisław S. Nicieja Huculszczyna rediviva – odkrycie huculskiej Atlantydy	30
Zbigniew Ambrożewicz Krytyka kobiecego rozumu, czyli o kobietach filozofów nieudolne wywody	46

Literatura

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki Wiersze	62
Jurij Andruchowycz Lublin	70
Jurij Andruchowycz Zug	72
„Ukraina jest możliwością dla Europy” Z Jurijem Andruchowyczem rozmawia Adam Nocuń	76
Serhij Żadan Wiersze	80
Hałyna Kruk Wiersze	84
Ostap Sływyski Wiersze	88
Lubow Jakymczuk Wiersze	90
Pawło Szczyrucia Wiersze	92
Myrosław Jahoda Wiersze	94
Dmitrij Hajduk Jak stary rastaman poszedł do Afryki (czwarte opowiadanie hipisowskie)	100
Dmitrij Hajduk Święta historia (z elementami pedagogiki)	104
Wasył Machno Zagraj swoją muzykę najgłośniej, jak potrafisz	108
Petro Jacenko Pokuta	120

Tomasz Różycki Franek	124
Dobrawa Lisak-Gębala Tango kresowe	130
Adrian Gleń Podróż: święta inność	136
Marek Szladowski Przygodne istnienia	140
Grzegorz Tomicki Poeci, terroryści, prostytutki, czyli słowo o Turcji	144
Bartosz Suwiński Ciemna poezja. Głosy Z pogorzeliska	150
Wojciech Koryciński Człowiek, ta rana świata	154
Teatr	
Monika Strzępka Gdzie szkolne lektury, a gdzie żywa klasyka? Po XXXVI Opolskich Konfrontacjach Teatralnych „Klasyka Polska”	160
Natalia Władimirowa Żywa przestrzeń współczesnego ukraińskiego teatru	170
Film	
Małgorzata Feusette-Czyżewska, Michał Czyżewski Nad brzegiem mainstreamu	178
Sztuka	
Łukasz Kropiowski Formy obecności. Grafiki Aleksandry Janik	186
Karol Pietrowski Przed obliczem szaleńca	192
Krzysztof Cichoń Jahoda jest poetą	200
Olga Denisiuk, Aliona Sznurienko-Szczerbicka Kosmos i psyche: Iwan Marczuk – retrospektywa twórczości	202
Projekt BOMŻ	214
Radosław Szpuk BOMŻ (Bez Cech Artystycznego Życia): prawie tekst-ilustracja do prawie fotoopowieści	218

Historia

Zbigniew Bereszyński Przełom polityczny z lat 1970–1971 na Śląsku Opolskim	222
--	------------

Bolesław Polnar Pan Lolek Pana Bolka	235, 259
--	-----------------

Stąd

Marian Buchowski Referat chwilowego prezesa (opolski oddział ZLP i okolice)	236
---	------------

Aleksandra Arndt O imionach na Śląsku	250
---	------------

Wspomnienia	260
--------------------	------------

Agnieszka Dela-Kropiowska, Łukasz Sawicki Przegląd kulturalny	262
---	------------

Listy z...

Marta Fox Spójrzmy prawdzie w oczy	270
---	------------

Mieczysław Orski 50 lat „Odry”	273
---------------------------------------	------------

Sergiusz Sterna-Wachowiak lłta, zen i młodzi poeci	277
---	------------

Józef Baran Bal żebraczy u literatów	282
---	------------

Krzysztof Kuczkowski Myszka Miki i „obrządek samoświadomości”	286
---	------------

Krzysztof Feusette Pusto wszędzie, drogo wszędzie...	289
--	------------

Fot. z archiwum autorki



W numerze
prace Aleksandry Janik
na stronach:

**69, 75, 93, 107, 129, 135, 139, 149,
159, 190, 191, 261**

**Otwarty konkurs na napisanie
sztuki dramatycznej,
poświęconej Śląskowi Opolskiemu pod hasłem
„Śląsk Opolski wczoraj i dziś” ogłosiły
Samorząd Województwa Opolskiego
i Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu.**

Organizatorzy czekają na teksty inspirowane historią, dniem współczesnym i obyczajowością regionu. Sztuka nie może być wcześniej publikowana. Prace konkursowe oceniać będzie jury pod przewodnictwem dyrektora opolskiego teatru Tomasza Koniny.

Prace należy nadsyłać pod adresem Teatru im. J. Kochanowskiego do 1 września 2011 r. Prace sygnowane godłem (złożoną z dowolnych liter nazwą, nie będącą formą graficzną) należy nadsyłać w formie wydruku komputerowego (3 egzemplarze, format A4) oraz zapisu elektronicznego (wyłącznie dokument Word] na płycie CD). Prosimy o dołączenie w osobnej kopercie danych osobowych] (imię, nazwisko, data urodzenia, telefon kontaktowy, adres korespondencyjny, e-mail) i krótkiej noty biograficznej (wykształcenie, zawód, osiągnięcia, itp.) na adres: Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu, Plac Teatralny 12, 45-056 Opole z dopiskiem „konkurs” w nieprzekraczalnym terminie do dnia 1 września 2011 r. (decyduje data stempla pocztowego). Rozstrzygnięcie zaplanowano na 30 września.

Nagrody:

Nagrodzony tekst zostanie zaprezentowany w formie spektaklu teatralnego z okazji przypadającej w tym roku 90. rocznicy III Powstania Śląskiego. Szczegółowe informacje na stronie www.teatrkochanowskiego.art.pl

Wydawca realizuje zamówienia numerów „Stron” po wpłacie na konto:
98 1160 2202 0000 0000 4153 4634
(w tytule wpłaty proszę podać tytuł pisma,
zamawiany numer i liczbę egzemplarzy).
Cena numeru pojedynczego: 8 zł, numeru podwójnego 12 zł.

3-4/2011 (37-38)
strony
OPOLSKIE PISMO SPOŁECZNO - KULTURALNE

Redaguje zespół:

Zbigniew Ambrożewicz,
Jan Feusette (red. naczelny),
Halina Flegler (grafik),
Adrian Gleń, Bartosz Małczyński,
Jan Neuberg, Dorota Różycka,
Bartosz Suwiński,
Irena Wyczółkowska

Redakcja:

PBW „STRONY”,
ul. Kościuszki 14,
45-062 Opole;
tel. 077-4541240, wew. 105;
redakcja@strony-pismo.pl

Wydawca:

Pedagogiczna Biblioteka
Wojewódzka w Opolu,
ul. Kościuszki 14,
45-062 Opole;
tel. 077-4541240,
077-4536692;
sekretariat@pedagogiczna.pl

Dyrektor:

Jan Feusette,
dyrektor@pedagogiczna.pl

Red. odpowiedzialni:

Urszula Pawlicka-Janiszewska,
u.pawlicka@strony-pismo.pl
Łukasz Sawicki,
tel. 513815645,
wydawnictwo@strony-pismo.pl

Opracowanie graficzne:

Halina Flegler, Studio conTEXT

Łamanie komputerowe:

Studio conTEXT

Druk: EXPOL, Włocławek

ISSN 1233-1805

Nakład: 650 egz.

www.strony-pismo.pl



Na okładce fragment obrazu
Bolesława Polnara
Hania, 50x50, akryl

Rada programowa:

Danuta Berlińska, Stanisław
Gajda, Jan Goczoł, Jan Krasicki,
ks. Marek Lis, Stanisław
Sławomir Nicieja, Bolesław
Polnar, Janusz Wójcik

Stale współpracują:

Józef Baran, Maciej Borkowski,
Wojciech Chlebda, Krzysztof
Feusette, Marta Fox, Stanisław
Gromadzki, Aleksander Kościów,
Krzysztof Kuczkowski, Feliks
Netz, Mieczysław Orski, Joanna
Rostropowicz, Dobrawa Lisak-
Gębala, Małgorzata Sikorska-
Miszczuk, Krzysztof Tarka

Roman Sapeńko

Skoworoda



kozacki syn,
pierwszy
filozof
Ukrainy

Lew Tołstoj tak pisał o Skoworodzie: „Wiele z jego światopoglądu jest nadzwyczaj bliskie temu, co sam wyznaję. Niedawno jeszcze raz przeczytałem jego prace. Bardzo chcę o nim napisać, i zrobię to. Historia jego życia, prawdopodobnie jest wspanialsza niż jego dzieła. A one są przecież tak wspaniałe”.

Grigorij Skoworoda (03.12.1722–09.11.1794) studiował antycznych filozofów Platona, Arystotelesa, Cyserona i Senekę w Akademii Kijowsko-Mogileńskiej. Słuchał wykładów i dyskutował z takimi wybitnymi postaciami, jak walczący z unitami Grigorij Konijskij, Fieofan Prokopowicz, budowniczy ukraińskiej kultury Rafael Zaborowski i inni.

Po raz pierwszy zetknął się ze światem luksusu, kariery i życia bez kłopotów w Sankt Petersburgu, kiedy został członkiem nadwornego chóru carycy Elżbiety (jako delikatny alt był ozdobą tego zespołu). Nosił najmodniejsze stroje i miał zapewniony wikt. Każdemu członkowi chóru należało się 5 wiader wódki i dobra pensja – 25 rubli na rok, a rodzinę zwalniano z podatków oraz żołnierskich rekwizycji

i obowiązku udostępniania kwater żołnierzom. Przyszłość też miał zapewnioną. Po skończeniu kariery, każdego śpiewaka nagradzano stanowiskiem (nawet stopniem generała), majątkiem oraz stałą pensją. Nie było człowieka, który zaprzepściłby taką szansę. Ale nie Skoworoda. Kiedy caryca Elżbieta odwiedziła Kijów, kozacki syn wykorzystał okazję i pozostał w ojczyźnie. Wrócił do Akademii Kijowsko-Mogileńskiej, przekładając studia nad beztrudnym życiem dworzanina. Po skończeniu studiów, wyjechał za granicę jako asystent generała Wiszniewskiego, opiekuna rosyjskiej diaspory na Węgrzech. Następnie zwiedził Austrię, Niemcy, północne Włochy oraz Polskę. Całą tę podróż odbył pieszo i już wtedy objawiła się jego żyłka pielgrzyma. Rozkwitający w odwiedzanej przez Skoworodę Europie racjonalizm nie wzbudził w filozofie większego zainteresowania. Oświecenie również wydało mu się obce. Owszem, chłonił idee oraz wiedzę, lecz wszystko filtrował przez własny punkt widzenia, własną duszę.

Po powrocie do kraju został wykładowcą Kolegium w Perejasławiu, gdzie nauczał poetyki. Lecz nie tej, do której przyzwyczajona była kolegialna społeczność. W Perejasławiu Skoworoda wcielił się w rolę reformatora. Od razu postanowił, że będzie wykladał to, co najnowsze, chociaż nie do końca zaakceptowane przez przełożonych. W takim duchu właśnie napisał pracę *Rozważania o poezji i instrukcja dla osiągnięcia tej sztuki*. Nie spodobało się to jego zwierzchnikowi, Nikodemowi Srebnickiemu – pachniało to wszystko herezją oraz osłabieniem autorytetów. Skoworoda musiał opuścić Kolegium Perejasławskie. Nie stracił jednak kontaktu z nauczaniem. Przez kolejny rok uczył prywatnie syna okolicznego ziemianina pułkownika Tamary. Ten, wysoko sobie ceniąc rodowe pochodzenie, przez cały czas ani słowem nie odezwał się do niżej stojącego w społecznej hierarchii Skoworody. Za to syn jego przepadał za swym wychowawcą. Po roku, z powodu głupstwa, słowa, którym jakoby uchybił młodemu dziedzicowi („myśli jak świnia”), Skoworoda stracił pracę. Jednak po pewnym czasie stary Tamara odszukał nauczyciela i uprosił go, aby ten wrócił, gdyż syn żyć nie mógł bez niego. I tak minęło 5 lat. To w czasie tej pracy powstawały zręby pedagogiki Skoworody oraz pierwsze wiersze, pieśni, ody z cyklu *Ogród boskich pieśni*.

W 1759 roku los po raz kolejny postawił przed Skoworodą szansę na karierę oraz dostatnie życie, kiedy to ponownie podjął pracę wykładowcy poezji w kolegium w Charkowie. Znając jego zalety i erudycję, hierarchowie robili wszystko, aby wstąpił do stanu duchownego. Obiecano mu przyszłe godności, odmówił jednak słowami: „Chcecie, abym i ja powiększył liczbę faryzeuszy”.

Roman Sapeńko,
prof. UZ; zainteresowania
naukowe: filozofia kultury,
estetyka; filozofia rosyjska
i ukraińska; autor ponad 50
publikacji naukowych (m. in.
*Sztuka reklamy we współczesnej
kulturze*, 2005 Kijów); recenzent
filmowy w Radiu Zachód.

Odszedł, by zaraz jednak wrócić na kolejnych 6 lat. Powodem była przyjaźń z młodym Michałem Kowalińskim. Początek jego twórczości bardzo mocno wiąże się z tą znajomością. Ponad 40-letni Skworoda i 20-letni Kowaliński często korespondują ze sobą, piszą wiersze i małe prace filozoficzne. Te zasadnicze, fundamentalne prace Skworody były bezpośrednio skierowane do Michała. Wiele jeszcze innych, bliskich Skworodzie osób pełniło rolę animatorów twórczości myśliciela. Właśnie dzięki nim Skworoda uniknął uczonego, scholastycznego stylu w swym piśmarstwie.

W 1766 roku skończył się okres jego ustabilizowanego życia. Skworoda opuścił mury Kolegium Charkowskiego. Powodem odejścia był nieprawomyślny kurs wychowania moralnego, który zupełnie burzył ustalone kanony. Od tego momentu zaczyna się pustelnicze, wędrowne życie Skworody. Wtedy to krystalizuje się jego filozofia. Nie jest już nauczycielem poezji i języka greckiego ani wykładawcą filozofii moralnej. Jest pustelnikiem, ascetą, wędrownym mędrce, nauczycielem narodu. Skworoda żyje tak 28 lat – połowę swojego świadomego życia. Nie jest to nic innego jak realizacja filozoficznego eksperymentu. To właśnie ten okres utrwalił w pamięci narodu obraz błogosławionego starca, choć kiedy Skworoda zaczynał pielgrzymowanie, miał tylko 44 lata. Sam o sobie mówił: „Pielgrzymuję jak wszyscy ludzie na świecie i na zawsze zostanę starcem. Ten stan jest w sam raz dla mnie”.

Oczywiście nie był jedynym pielgrzymem na Ukrainie – takich starców, mędrców i nędzarzy było bardzo wielu. Byli oni nosicielami mądrości ludowej, kultury, obyczaju itp. Jednak Skworoda jako jedyny miał dobre wykształcenie – znał grekę i hebrajski, łacinę, niemiecki, prawdopodobnie polski, grał na flecie, bandurze, skrzypcach i innych instrumentach strunowych. Świadomie wybrał los wędrowca żyjącego z jałmużny i gościny; był to głęboko przemyślany wybór, wynikający z analizy własnej duszy. Oprócz życia w dostatku, pozostawił za sobą to, co było dla niego najcenniejsze – przyjaźń z Michałem Kowalińskim.

Patrząc na jedność filozofii i drogi życiowej możemy postać Skworody postawić obok Giordana Bruno i Sokratesa. Jednak tragedia Bruna jest dokładnym przeciwieństwem losu Skworody. Tragiczne przeznaczenie Bruna wylania się wbrew jego woli i on ten los odważnie akceptuje; Skworoda inaczej – sam buduje drogę własnego losu. Porównanie z Sokratesem ukazuje jeszcze inny aspekt dzieła ukraińskiego myśliciela. Tak jak Sokrates, Skworoda bardzo często powoływał się na swój daimonion, wewnętrzny nakazujący działanie głos, który każe mu iść przez życie. „Czymże jest życie? To sen Turka, upojonego opium; sen tak straszny, że głowa boli od niego i serce stygnie. Czymże jest życie? To wędrówka (pielgrzymowanie). Układasz sobie drogę, nie wiedząc dokąd iść i po co. I zawsze błądzisz po nieszczęsnych stepach, po kłujących zaroślach i załomach skalnych; a nad głową burza, przed którą nie można się ukryć. Lecz musisz iść”. Jego filozoficzny eksperyment trwał 28 lat – było to nieustanne wędrowanie. Żył jak nędzarz, bez pieniędzy i majątku. Grono jego bliskich było duże i w każdej chwili mógł zawrócić z obranej przez siebie drogi. Z sa-

mych darowizn mógł zebrać niezły majątek. Jednak pozostał wierny swej lasce wędrowca (zwanej „żurawiem”) i fletowi.

Wybitnie indywidualistyczna natura Skworody zawierała w sobie jakąś pierwotną niezgodę na wspólnotowe współbicie, zmuszała go do poszukiwania samotniczej, odmiennej od innych drogi życia. Wielu autorów uznaje go za postać wewnętrznie tragiczną, w której wnętrzu toczyła się walka jakby dwóch porządków: mroku, chaosu, rozpacz i trwogi oraz tęsknoty za harmonią, uporządkowaniem i ładem. Widać to w całej jego twórczości, a szczególnie w wierszach i pieśniach; ich analiza odsłania obraz duszy wiecznie zmagającej się z tymi żywiołami. Ostateczną odpowiedzią była filozofia nacechowana pesymizmem w odniesieniu do świata, a w ludzkiej egzystencji dostrzegająca swego rodzaju mroczną chaotyczność.

Myślenie Skworody jest przede wszystkim metaforyczne, symboliczne, plastyczne, co uwidacznia się w twórczości poetyckiej, pieśniarskiej, lecz także w samych poglądach filozoficznych.

Skworoda był człowiekiem bardzo religijnym, lecz nie była to religijność cerkiewna, nie chodził ze swoimi problemami do popa. Ratunku szukał sam w sobie, starał się wniknąć w siebie samego i znaleźć w sobie tego prawdziwego człowieka, który – co prawda – tkwił gdzieś głęboko, ale jednocześnie był blisko Boga. Dlatego podstawą filozofii Skworody jest zasada, aby przede wszystkim poznać samego siebie.

Porzucenie przez Skworodę dotychczasowego stylu życia wynikało z postanowienia pozostania z samym sobą oraz zapanowania nad własnym Ja. Skworoda wyraził to zresztą dosłownie: „Świat próbował mnie złowić, lecz nie dałem się”. Na Skworodę należy patrzeć przede wszystkim nie jako na myśliciela i filozofa, lecz jak na człowieka społecznego, działacza i bojownika swojego wieku. Ponieważ całe jego życie to nic innego jak urzeczywistnianie jego własnej filozofii, dlatego oddzielając filozofię od życia, nie zrozumiemy ani życia, ani filozofii. To, co najlepsze w życiu, idealnie wyraziło się w jego myśli.

Najważniejszą cechą jego filozofii jest antropologizm, wyrażający się w tzw. nauce o sercu (czyli sokratejska zasada „Poznaj samego siebie”). Kluczem do wszystkich tajemnic życia jest człowiek – wszystkie problemy i wszystkie tajemnice świata skupione są w człowieku. Rozpoznawszy siebie – człowiek przenika tajemnice Wszechświata. Myśl Skworody jest głęboko ludzka i serdeczna, tzn. wychodzi z głębi jego duszy i taka właśnie odbija się w jego tekstach. Jak sam mówi: „Człowiek to serce”, albo: „Skryta głębia naszych myśli i głębokie serce to jedno”.

Kiedy patrzymy na tego filozofa z dzisiejszej perspektywy, możemy powiedzieć, że jest on wrogiem bezosobowej, bezbarwnej i beztreściowej myśli naszych czasów. Jego myśli zawsze rodzą się z własnego, duchowego doświadczenia. Samodzielność filozoficznych poszukiwań jest tym, co najbardziej oryginalne w jego twórczości. Oczywiście był ortodoksa i czcił cerkiew oraz jej naukę. Jednak jego poglądy nie były produktem dogmatycznego myślenia jakże często charakterystycznego dla cerkwi

– doszedł do nich własną drogą, studiując filozofię klasyczną i współczesną. Od Sokratesa przejął określenie duszy oraz ideę konieczności samopoznania w filozofii. Skoworoda nauczał, że w człowieku od samego początku istnieją ziarna prawdy i że poznając siebie, poznajemy jednocześnie Boga i prawdę w ogóle. Nie mniej ważnym źródłem poznania była dla Skoworody Biblia. Każdy kto wspominał Skoworodę, mówił o ważnym przymiocie wędrującego filozofa – Biblii, z którą nigdy się nie rozstawał. Dlatego ludowy przekaz stawia go wręcz na granicy kultu, ukazując jako mędrca, nosiciela głębokiej chrześcijańskiej wiary. Bo też Biblia to jeden z trzech kamieni węgielnych jego filozoficznego i moralnego światopoglądu. Skoworoda uważał, że do Biblii należy podchodzić krytycznie, że jej dosłowne czytanie może skończyć się herezją. Tylko alegoryczne myślenie pozwala otworzyć w Biblii to, co najważniejsze – dopiero wtedy widoczne stają się jej siła i piękno. W przeciwnym razie Biblia jawi się jako Bóg i jako wąż-demon.

Do charakterystycznych cech filozofii Skoworody należy zaliczyć to, co jest wspólne dla całej rosyjskiej filozofii, tzn. transcendentalny monizm* oraz integralność świadomości. W tym sensie Skoworoda okazuje się dla rosyjskiej filozofii tym, czym była dla zachodniej cywilizacji Grecja i Rzym, jego system stał się jakby prototypem dla następców. Skoworoda połączył filozofię z teologią w jedną naukę, niezbędną dla odnalezienia prawdy. I z tego punktu widzenia patrzył na wszystko, co istnieje: na świat materialny i duchowy. Według niego cały świat składa się z dwóch natur: widzialnej i niewidzialnej. Pierwsza jest postrzegana zmysłami, druga – rozumem i wiarą. Lecz Skoworodzie obca była filozofia dualizmu, uznająca każdą z tych natur za autonomiczną, bytującą niezależnie substancję. W duchu transcendentalnego monizmu można powiedzieć, że natura widzialna to materia, przyroda, świat, zaś natura niewidzialna to Rozum, Inteligencja lub Bóg w wersji Skoworody.

Nauka Skoworody bardzo przypomina platońską teorię idei. Nie na próżno Skoworoda pochyła się z szacunkiem przed antyczną filozofią, a w szczególności Platonem. Podobnie jak u Platona, tak i u Skoworody nad materią unosi się Wyższy Duch, który stwarza świat i działa w nim.

A. F. Łosiew uznał Skoworodę za pierwszego, samodzielnego filozofa Rosji, z czym na Ukrainie mało kto dziś się zgadza. I chociaż trudno go porównywać do Kanta czy Spinozy, był on rzeczywiście najbardziej typowym filozofem dla rosyjsko-ukraińskiej kultury.

* Idealizm transcendentalny, związany z racjonalizmem poznawczym, to kierunek, w którym przedmiot poznawczy jest konstytuowany przez aprioryczne formy świadomości (Kant) albo konstytuuje przedmiot w immanentnych procesach świadomościowych (Husserl).

Literatura:

Iwanio I., Szynek W., *Wielki ukraiński humanista i filozof. W 259 rocznicę urodzin Grigorija Skoworody*, „Studia Filozoficzne” 1972, nr 11–12.

de Lazari A. (red.), *Idee w Rosji: leksykon rosyjsko-polsko-angielski*, t. 3, Łódź 2000.

Łużny R., *Zarys dziejów literatury ukraińskiej*, Kraków 1970; *Pisarze z kręgu Akademii Kijowsko-Mohylańskiej*, Kraków 1996.

Łużny R., Grzegorza Skoworody, ostatniego przedstawiciela wschodniosłowiańskiego baroku, „poesis sacra”, „Przegląd Humanistyczny” 1993, nr 4.

Mokry W., *Hryhorija Skoworody rozumienie Chrystusa jako idealnego – „prawdziwego człowieka”*, [w:] A. Rażny, D. Piwowarska (red.), *Słowianie Wschodni. Duchowość, mentalność, kultura*, Kraków 1997.

Mizińska J., *Ukraiński Sokrates*, „Edukacja Filozoficzna” 1997, vol. 23.

Pietsch R., *O mistyce i metafizyce u Hryhorija Skoworody*, „W drodze” 1996, nr 1, s. 64.

Sapeńko R., *К вопросу о польских исследованиях творчества Григория Сковороды*, [w:] *Polskie badania filozofii rosyjskiej. Przewodnik po literaturze*. Część pierwsza, red. L. Kiejzik, J. Uglik, Warszawa 2009.

Історія української філософії: Підручник., Київ 2008.

Сковорода Григорій. Дослідження, розвідки, матеріали. Збірник наукових прац. Ред. В.М. Нічик, Київ 1992.

Сковорода Григорій: образ мыслителя. Відп. ред. В.І.Шинкарук, І.П.Стогній, Київ 1997.

Софронова Л.А., *Три мира Григория Сковороды*, Москва 2002.

Чижевський Д., *Філософія Г.С. Сковороди*. Праці Українського Наукового Інституту. Том XXIV. Серія філософічна, книга 1, Варшава 1934.

Między **znikaniem** a **przetrwaniem**

O poakcyjnym krajobrazie mniejszości ukraińskiej

„Akcja Wisła trwa” – te słowa dość często można usłyszeć z ust Ukraińców mieszkających w Polsce. Wypowiedziane w różnych okolicznościach i z różnym zabarwieniem, wskazują, iż nawet ten smutny fakt może stać się komponentem identyfikacji. Bo kiedy nie ma ziemi czy pejzażu z naturalnie wtopioną weń cerkwią, fundamenty tożsamości buduje się z czegokolwiek. Choćby z kiwania głową nad skutkami wysiedlenia i rozmiarami asymilacji.

Szok, który przeżyła społeczność ukraińska w wyniku wysiedlenia w 1947 roku, wynikał nie tylko z rozpadu utrwalonego ładu, ale również z dezorientacji społecznej po przybyciu do Nowego Świata. Sam proces przymusowego rytuału przejścia odbył się tak błyskawicznie, iż nie dał możliwości oswojenia się z faktem wyrwania. W normalnym rytmie trójfazowość *rites de passages* spełnia funkcję kulturowej poręczy, która pozwala ludziom przejść przez różne poziomy stanów mentalnych towarzyszących odmiennym rolom społecznym. Model rytuału przejścia wprowadzony przez Arnolda van Gennepa, dopracowany przez Victora Turnera, zakładał trzy fazy: separacji, liminalną i reagregacji.

Pierwszy etap separacji, nazywany też fazą wyłączenia, ma za zadanie odcięcie od starej skóry społecznej, rozpoczynając proces wkraczania w odmienny status. I czy będzie to mianowanie na ucznia, matura lub zamążpójście uczestnik rytuału ma czas na oswojenie się z tym faktem. Takiego luksusu nie dostał Ukrainiec mieszkający w Bieszczadach, Beskidzie Niskim, w Nadsaniu czy na Chełmszczyźnie. Opuszczanie domów w dwie godziny było tak zredukowaną fazą wyłączenia, iż staje się jasne, dlaczego jednym z obecnych filarów tożsamości jest mit raju utraconego.

O tym, co działo się w fazie liminalnej, która według twórców tego modelu jest najważniejsza, albowiem to w niej odbywa się swoiste przeistaczanie gwarantujące wejście w nową rolę, my – trzecie pokolenie wysiedleńców możemy tylko spekulować. Wiemy, że jechali w wagonach towarowych, a stukot kół współbrzmiał z rytmem ich zmęczonego tętna. Podróż trwała dwa tygodnie, a pociągi z południowo-wschodniej Polski rozjeżdżały się po rubieżach Ziem Zachodnich. Wiele lat później trzecie pokolenie będzie żartować, że wysiedlili ich tak, by pilnowali granic Polski Ludowej.

Egalitaryzm, będący jedną z cech tej fazy, stał się zapewne źródłem bezpieczeństwa. Wertykalny podział na biednych i bogatych, na lepszych lub gorszych stanem zamienił się w horyzontalną wspólnotę zależnionych. Pozbawieni indywidualnych różnic czekali na stację końcową. Dla jednych stał się nią warmiński pejzaż z nie-spotykaną wcześniej ilością akwenów, dla innych biedne kaszubskie wsie z dachami pod strzechą. Moment wyjścia na stacji w Lęborku, Morągu, Oławie lub Głogowie rozpoczął fazę reagregacji. Dla niektórych spośród nielicznych już uczestników tego exodusu nigdy nieukończoną.

Przymusowe zderzenie kultur wymusiło poszukiwanie nowych wzorów społeczno-kulturowych. W procesie adaptacji najpierw zanikały najbardziej archaiczne elementy kultury materialnej, takie jak tradycyjny ubiór, narzędzia i techniki nieprzystosowane do nowego, bardziej rozwiniętego technologicznie środowiska. Reszta transformowała się tak, by być adekwatnymi do bieżących potrzeb, a więc współżycia w niejednorodnym środowisku etnicznym, gdzie egzystencja nie opiera się już wyłącznie na rolnictwie, hodowli i dochodach z rzemiosła, zaś kontakty interpersonalne wychodzą poza więzy sąsiedzkie i krewniacze.

Olga Hanna Solarz, ur. 1975. Antropolożka, folklorystka, pracownik Państwowej Wyższej Szkoły Wschodnioeuropejskiej w Przemyślu. Bada zagadnienia związane z kulturą tradycyjną, specjalizuje się w magii ludowej grup karpackich. Autorka licznych tekstów naukowych i publicystycznych. Mieszka w Przemyślu.

Stygmatyzacja

W ten sposób pokolenie '47 zaczęło żyć nie tylko w geograficznie, społecznie czy kulturowo odmiennym otoczeniu, ale przede wszystkim w warunkach ciągłej depriwacji potrzeb. Jedną z najbardziej niezaspokojonych była potrzeba szacunku i sprawiedliwości. Funkcjonowanie z piętnem „Ukraińca” kończyło się bądź izolacją, bądź asymilacją. Zarówno w jednym, jak i drugim przypadku poczucie niższości, wynikające z faktu bycia obywatelem drugiej kategorii, było dojmujące. I tak jak Ukraińcy decydujący się na zredukowanie swoich kontaktów z „polskim” światem swoje poczucie niższości zaczęli transformować w poczucie „inności”, to ci, którzy zdecydowali się ukrywać swoje pochodzenie, zaczęli dźwigać brzemień tajemnicy. Oczywiście wśród samych wysiedlonych to dopiero zaczynało kielkować, by w pokoleniu ich dzieci i wnuków nabrać tempa i stać się w pełni ukształtowane.

Pozornie dobre społeczne funkcjonowanie rodzin wysiedleńców było w istocie usilnym przystosowaniem się, które paradoksalnie podkreślało nie łatwość, a wręcz odwrotnie – olbrzymią trudność życia w nowych warunkach. W niektórych rodzinach mężczyźni mieli za sobą epizody przynależności do UPA, co wzmagало czujność i zmuszało do nieskazitelnosci. Więzy społeczne ze współpracownikami czy sąsiadami były często powierzchowne i spełniały funkcję ochronną. Najlepiej było nie wzbudzać podejrzeń, nie rzucać się w oczy i być społecznie nijakim. Główną grupą odniesienia stawali się „swoi”, to wśród nich można było poczuć bliskość i autentyczność kontaktów. Funkcjonowanie w ciągłym udawaniu oraz potrzebie społecznej akceptacji rodziło napięcia i konflikty, które rozgrywały się wewnątrz rodziny.

W takiej frustracji rosło drugie pokolenie. Trauma wysiedlenia była wszechobecna, lecz w trosce o dzieci zazwyczaj objęta tabu. One miały być szczęśliwsze, lepiej przystosowane i bez paraliżującej etykiety „Ukrainiec”. Miały się uczyć, zakładać rodziny oraz dobrze funkcjonować społecznie. Ci, którzy swoje przetrwanie upatrywali w asymilacji, nadawali dzieciom polskie imiona i cieszyli się z faktu, iż po wysiedleniu w czasie spisania przez urzędników dostali polskobrzmiące nazwiska. W ten sposób z Iwaneczków powstawali Iwanieczki, a z Olijnyków – Olejniki. Pozostali budowali wokół siebie mur odgradzający od środowiska, które etykietowało i stygmatyzowało. Getto stało się gwarancją przetrwania, w którym spoiwem tożsamości był szeptany język i potajemna religia. Nawet w tych rodzinach, w których o pochodzeniu mówiło się otwarcie, tabu objęto przeżycia wojenne lub działalność w UPA. Dzieci wysiedleńców rosły więc w aurze tajemnicy, niedopowiedzeń, a istniejące i niewyjaśnione napięcia rodziców kształtowały ich tożsamość. Świadomość wspólnej traumy wysiedlenia, wspólnego lęku i boleśnie odczuwanego wykluczenia społecznego scalała i odgradzała od większości.

Filary tożsamości

Choć życie w obrębie własnej wspólnoty dla tych, którzy nie wybrali strategii asymilacji, było najbardziej bezpieczną formą przetrwania, to jednak całkowita separacja, rzecz jasna, nie była możliwa. Warunki funkcjonowania w PRL-u wymuszały nie tylko poprawność, ale zakładały ciągłą kontrolę. Istnienie pod okiem czujnej władzy kształtowało więc te formy aktywności, które były bezpieczne dla aparatu państwowego. Powstawały zatem zespoły folklorystyczne oraz chóry, które stawiały się swoistym kompromisem pomiędzy potrzebą opierania swojej tożsamości na tradycyjnym elemencie a koniecznością prezentacji środowiska na zewnątrz. Kultura ukraińska zamknięta w cepeliowskie ramy Ukraińskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego stawiała się coraz bardziej jałowa i mijała się z rzeczywistymi potrzebami młodych. Fundament tożsamości oparty na *hopaku* i *Nese Hala wodu* okazał się strzałem do własnej bramki. Proces identyfikacji dzieci przesiedleńców z kulturą większości był coraz bardziej nieuchronny. Pomysłodawcy Akcji W. zacierali ręce, bo takiej wartości dodanej zapewne nie przewidzieli.

Cepeliowska kultura, mimo że wymuszona przez sytuację społeczno-polityczną, nie była jednak całkowicie bez związku z potrzebami grupy. Choć z roku na rok bardziej sztuczna, bo oderwana od rzeczywistości, to jednak spełniała funkcję spoiwa z przeszłością. Przypominała czasy sprzed wysiedlenia, okres mitycznego szczęścia w rodzimych stronach. Wyszywane *soroczki* były więc symbolem identyfikacji, aktem patriotyzmu. Najpierw skrupulatnie ukrywane pod nakryciem wierzchnim, by w latach 90. stać się elementem *coming outu* Ukraińców.

Niewątpliwie istotnym elementem budującym mosty międzypokoleniowe był język. W tym zakresie olbrzymią wagę przykładano do szkolnictwa. Przy szkołach ukraińskich powstawały internaty, zaś rodzice często za cenę długotrwałej rozłąki wysyłali dzieci z nadzieją, iż miejsca te będą gwarantowały formowanie kośćca tożsamości. I rzeczywiście zdawało to swój egzamin, albowiem dla sporej części absolwentów ukraińskich szkół czas tam spędzony stał się punktem odniesienia, po którym można było mówić, że „nic nie będzie już takie, jak przedtem”. Obok identyfikacji kulturowej i językowej niezwykle ważną funkcję odgrywała religia. Cyklicznie powtarzany niedzielny rytuał nabożeństwa w cerkwi przypominał o pochodzeniu i pomagał reaktualizować czas, który był „na początku”.

Kalendarz obrzędowy

Ukraińcy przed wysiedleniem w zasadniczej większości stanowili ludność wiejską, a więc reprezentowali kulturę chłopską, w której cyklicznie powtarzane rytuały związane z kalendarzem liturgicznym oraz świętami dorocznymi cementowały wewnętrzną identyfikację grupy. Po przesiedleniu i delegalizacji Kościoła katolickiego obrządku bizan-

tyjsko-ukraińskiego na tej płaszczyźnie powstała niebezpieczna dla grupy pustka. Dlatego warunkiem przetrwania było wypełnienie jej taką treścią, która nawiązywałaby do fundamentów światopoglądu charakterystycznego dla społeczności tradycyjnych. Jednym z elementów tych podwalin była właśnie koncepcja czasu cyklicznego oparta na corocznej powtarzalności kalendarza obrzędowego. Ta sytuacja w kwestii religijnej po 1956 roku poprawiła się wraz z możliwością sprawowania liturgii w obrządku bizantyjskim, jednak nadal pozostała luka po kalendarzu dorocznym. Dlatego grupa wypracowała nowe święta – daty graniczne, które stały się mieszanką tradycyjnego kalendarza obrzędowego z rocznicami patriotycznymi (pewne elementy takiego kalendarza funkcjonowały już przed wojną za sprawą ukraińskiej organizacji społeczno-oświatowej „Proswita”).

To zmodyfikowane i do dziś aktualne kalendarium rozpoczyna się z 13 na 14 stycznia świętem Małanki, czyli odpowiednikiem Sylwestra w kalendarzu juliańskim. Następnie jest *Szewczenkiwski Weczir*, Wielkanoc i święto Kupała, które inauguruje sezon letni, obfitujący w imprezy plenerowe. Najważniejszą z nich jest Łemkowska Watra w Zduni, która stała się inspiracją dla podobnych przedsięwzięć na terenach wysiedlenia – czyli dla Watry w Bytowie (woj. pomorskie), Watry w Ługach (woj. lubuskie) oraz Watry w Michałowie (woj. dolnośląskie). Wszystkie one mają charakter folklorystyczny i kontynuują zastany ludowy trend. Głównym zadaniem tych imprez jest integracja, stąd dość płytki i nieangażujący program. Jedną z ważniejszych imprez jesiennych jest organizowany z myślą o studentach Jarmark Młodzieżowy w Gdańsku. Ponieważ przygotowywany jest przez studentów, stąd też jego oferta dotyczy młodzieży i prezentuje rockowe kapele ukraińskie (w tym młodzieżowe z Polski oraz znane grupy z Ukrainy). Cykl roczny kończy Boże Narodzenie, wraz z tradycyjną *Kutią*, czyli integracyjnym spotkaniem lokalnej społeczności przy świątecznym stole i wspólnym kolędowaniem.

Oczywiście, jest to bardzo uproszczony kalendarz, albowiem w różnych miejscowościach Ukraińcy w Polsce stworzyli dodatkowo mniejsze cykliczne imprezy, które uzupełniają kalendarz liturgiczny i posiadają cechy wydarzeń religijnych. Należy również wspomnieć, iż po 1989 roku nastąpiły modyfikacje „roku obrzędowego”, uzupełniane bądź redukowane o nowe wydarzenia mające istotne znaczenie dla grupy. Te daty graniczne mają dla trwania wspólnoty niezwykle znaczenie, ponieważ reprezentują czas, który „nie płynie”, lecz wciąż się odnawia, a tym samym poprzez brak linearności nie oddala się od prapoczątków. Rzecz jasna, między tymi wydarzeniami grupa funkcjonuje w normalnym czasie linearnym, który podporządkowany jest codziennemu społecznemu funkcjonowaniu „w świecie”.

Narodowy mit kosmogoniczny

Ukraińcy w Polsce żyją więc w obrębie dwóch czasów, z których dla budowania i utrzymania tożsamości ważniejszy jest ten „święty” – cykliczny. Życie w historycz-

nej teraźniejszości odzwierciedlające czas codzienny, linearny, jest trwaniem ze-wnętrznym spajającym z pozostałą częścią społeczeństwa. Wydarzenia polityczne, społeczne i kulturowe rozgrywające się w tym rejestrze są dostępne dla ogółu, dlatego mogą być elementem wymiany z członkami spoza grupy. Inaczej rzecz się ma z wydarzeniami wewnętrznymi stanowiącymi epizody czasu okrężnego. Są one przeznaczone jedynie dla członków wspólnoty, co jest jednym z najważniejszych czynników hermetyczności środowiska Ukraińców w Polsce.

W aspekcie religijnym epizodem ustanawiającym początek rzeczywistości jest narodzenie i śmierć Chrystusa. Obydwa te święta mają wartość wzorcową, zaś ich powtarzalność jest symbolicznym przeniesieniem się do czasu „na początku”. W odróżnieniu od innych religii chrześcijaństwo stwierdzając historyczność osoby Chrystusa, ustanowiło akt początkowy w czasie dziejowym, a nie w niezidentyfikowanym okresie mitycznym. Na płaszczyźnie narodowej dla Ukraińców w Polsce takim „głosicielem nowej wiary” został Taras Szewczenko, który w przeciwieństwie do mitycznego Rusa był nie tylko postacią historyczną, ale cierpiał i został „ukrzyżowany” za ideę. Rocznicą jego urodzin i zarazem śmierci (przez przypadek te wydarzenia przypadają dzień po dniu) stała się początkiem nowej epoki. To w jego osobie lokowana jest wdzięczność za zryw tożsamościowy i rozwój świadomości narodowej. To on „wskazał drogę”, odkrył wartość języka ojczystego oraz docenił kulturę ukraińską. Marsz idei narodowej pod jego sztandarem sięga drugiej połowy XIX wieku i choć na Ukrainie dawno się zdezaktualizował, to wśród Ukraińców w Polsce wciąż jest najważniejszym aktem patriotyzmu i pamięci. Życie Szewczenki stało się narodowym mitem kosmogonicznym opowiadającym o początkach istnienia nowego ładu opartego na tożsamości narodowej. Wkroczenie *sacrum* w świat było zarazem wkroczeniem energii twórczej i ustanowieniem wzorcowego modelu istnienia grupy. Ikony Szewczenki stanęły obok Oranty i św. Mikołaja, uzupełniając narodowy panteon bogów. Co roku marcowe święto, tak zwany *Szewczenkiwski Weczir* odbywające się niemal we wszystkich miastach i miasteczkach, gdzie zamieszkują przesiedleńcy z 1947, skupia wciąż nowe pokolenia w wyszywanych *soroczках* wytrwale recytujące *W mojej chati, moja prawda i syła i wola...*

Przestrzeń oswojona

Podobnie jak czas, tak i przestrzeń w ludowej wizji świata nie jest jednorodna, albowiem dzieli się na element „swojski” i „nieoswojony”. Przy czym obydwie w różnym kontekście mogą być związane to z *sacrum*, to z *profanum*. Dla Ukraińców w Polsce po 1947 roku stworzenie miejsc świętych miało egzystencjalne znaczenie, albowiem było warunkiem zyskania orientacji, ukierunkowania się. Odkrycie i ustanowienie takiego przestrzennego punktu oparcia – „centrum” było analogiczne do stworzenia świata w aspekcie temporalnym. Najbardziej czytelnym obszarem

uczestniczącym w *sacrum* jest oczywiście świątynia, której wznoszące się ku górze wnętrze jest symbolem nawiązania łączności z bogiem, zaś próg czy wrota – granicą rozdzielającą świat świecki od religijnego.

Dla społeczności ukraińskiej w Polsce przestrzeń cerkwi miała i nadal ma podwójne znaczenie. Z jednej strony jest typowym terytorium świata religijnego, z drugiej zaś spełnia funkcję przestrzeni „swojskiej” – narodowej. To cotygodniowy kilugodzinny pobyt na tym terytorium gwarantuje odpowiednie „stężenie tożsamości”, które zabezpiecza przed asymilacją. Aspekt religijny niedzielnego nabożeństwa często jest wątkiem pobocznym. Sakralność tej przestrzeni potwierdza język, który zmienia się z codziennego – polskiego – w odświętny: ukraiński. Podobnie rzecz się ma z *domiwkami*, czyli ukraińskimi klubami. I tam językiem obrzędowym jest ukraiński, zaś główną ścianę wypełnia narodowy ikonostas z trójką wieszcy: Tarasem Szewczenką, Iwanem Franką i Łesią Ukrainką. Przy czym w każdym nowo otrzymanym na ten cel lokum najpierw ustanawia się łączność z niebiosami oraz konsekruje pomieszczenie. Terytorium nieznane, obce, bo niezasiedlone przez „swoich” należy do przestrzeni niedokształconej, do chaosu. Dlatego jego oswojenie rozpoczyna się od rytualnego aktu otwarcia się ku „transcendencji” poprzez zawieszenie portretów narodowych bohaterów, ikon oraz ukraińskiej symboliki narodowej. Bez tego miejsca gwarantującego łączność z demiurgiem grupa przestałaby istnieć.

Świątynia oraz *domiwka* mają znamiona centrum dla zakrojonego obszaru, często obejmującego jedno miasto oraz kilkanaście okolicznych wsi zamieszkałych przez wysiedleńców. Obok tych lokalnych punktów odniesienia społeczność Ukraińców w Polsce stworzyła kilka miejsc szczególnie znaczących dla ogółu. Mają one znamiona osi kosmicznej, wokół której koncentruje się życie. Jednym z nich jest Przemyśl, jako największe miasto Zakerzonii oraz ośrodek metropolii obrządku bizantyjsko-ukraińskiego w Polsce. Innym *axis mundi* jest wzgórze w Zdyni, na którym odbywa się Watra Łemkowska. Ma ono bardzo jawną symbolikę „góry kosmicznej”, umiejscowionej w najwyższym punkcie świata, a przez to najbliższym nieba. Dlatego też na samym szczycie stoi krzyż, przy którym nie tylko zapala się tradycyjną wiatrę czy odprawia liturgię. W ostatnich latach zrodziła się tam również tradycja zawierania związków małżeńskich, co potwierdza szczególny charakter tego miejsca i odzwierciedla zasadę, że im bliżej *sacrum*, tym bliżej aktu stworzenia i jednocześnie bliżej korzenia.

Ukraińcy z Etiopii

Dla zasadniczej większości Ukraińców w Polsce ziemią ojczystą jest Zakerzonie, a więc miejsce, skąd zostali wysiedleni. I choć w bezpośrednim sąsiedztwie rozwija się wielkie państwo Ukraina, to dla wielu jest to twór nieco mityczny. Będący bardziej wyidealizowanym krajem Szewczenki, gdzie nad wiśniami brzęczą chrząszcze,

a po drogach chodzi bosonoga uwiedziona przez Moskala Kateryna, niż krajem zamieszkanym przez wieloetniczne społeczeństwo z silnymi podziałami politycznymi, kulturowymi czy religijnymi. Kraina baśniowa, z dobrymi, uciemiężonymi ludźmi, którą zna się z obrazków w książkach do nauki *azbuky*. Kraina, gdzie wszyscy szanują *ridnu mowu*, wyszywaną soroczkę, a hasło: *Ukrajina – ridna neńka* otwiera wrota serc. Nic więc dziwnego, że pierwsze spotkanie z tym krajem przypomina anegdotkę o czarnoskórych Żydach z Etiopii, którzy setkami lat istnieli w przekonaniu, że są jedynymi Żydami na świecie. Oto ona: do Tel Awiwu przylatuje samolot z emigrantami z Etiopii. Ich rabin stwierdza, że najpierw wyjrzy i sprawdzi, czy tu jest bezpiecznie. Po chwili wraca i mówi swoim wyznawcom: „Uciekajmy stąd, tu nie ma żadnych Żydów. Wszyscy są biali!”.

★★★

W spisie powszechnym w 2002 roku narodowość ukraińską zadeklarowało nieco ponad trzydzieści tysięcy osób. Wiele nie wpisało się na listy ze strachu, wstydu lub wyuczonej strategii mimikry. Szukanie siebie w środowisku większości wciąż trwa. Niektórzy przystosowali się znakomicie, ale są i tacy, dla których życie po roku 1947 jest ciągłą tymczasowością. Jakie tendencje pokaże tegoroczny spis? Po której stronie zatrzyma się strzałka na skali pomiędzy znikaniem a przetrwaniem?...



**Małgorzata Nocuń
i Paweł Pieniążek**

Ukraina

– kraj trudnych wyborów

Napewno wielkim sukcesem Wiktora Janukowycza jest powrót do wielkiej polityki. Nikt nie spodziewał się, że po wyborach w 2004 roku, sfalszowanych na jego korzyść, powróci w 2010 roku jako prezydent, pokonując swoich „pomarańczowych” oponentów, w dodatku w wyborach uznanych przez międzynarodowe instytucje za demokratyczne. Co więcej, po wyniszczającej walce obozu porewolucyjnego, która doprowadziła państwo na skraj bankructwa, i dobrej „koniunkturze gospodarczej” podczas jego urzędowania na stanowisku premiera w latach 2006–2007, stworzono mit Janukowycza-reformatora. Jednak ten obraz szybko odchodzi do lamusa, a władza spotyka się z nie spodziewanym oporem.

Modernizacja à la McKinsey

Janukowycz jest w Polsce postrzegany jako polityk prorosyjski i sowiecki prostack. To dwa błędy. Janukowycz to polityk na wskroś ukraiński, dobrze znający swój kraj oraz meandry wewnętrznej polityki. Choć pochodzi z Donbasu i stamtąd

przedostał się do świata wielkiej polityki, to zadziwiająco dobrze czuje się na zagranicznych salonach. Dla wielu polityków unijnych jest lepszym partnerem w rozmowach niż jego poprzednik Wiktor Juszczenko. Mimo że zdarzają mu się wpadki i nie zna języków obcych, to jego intencje są często czytelniejsze. Janukowycz wie, że Ukrainy nie można oddać Rosji. Powoli klei swój model państwa, ocierając się o autorytaryzm i powtarza błędy pierwszego prezydenta Ukrainy, Leonida Krawczuka.

Pierwszym celem, który postawił przed sobą Wiktor Janukowycz po wyborze na prezydenta (i osiągnął go nader szybko), było zmonopolizowanie władzy. Było to możliwe dzięki sądom, które nie mają wiele wspólnego z niezależnością. Szczególną rolę odegrał Sąd Konstytucyjny, zmieniając decyzje zależnie od tego, kto jest przy władzy, albo pomagając zmienić konstytucję, której nie mogła przeformować rządząca koalicja.

W celu podtrzymania reformatorskiego mitu, prawie rok temu Janukowycz wraz z Komitetem do spraw Reform Ekonomicznych i przy udziale McKinsey&Company (firmy zajmującej się doradztwem strategicznym) opublikowali program reform ekonomicznych na lata 2010–2014 „Zamożne społeczeństwo, konkurencyjna gospodarka, efektywne państwo”.

Po ponad roku urzędowania widać mniej więcej, jak realizacja programu będzie wyglądała w praktyce. Ukraiński rząd zaproponował kilka reform, lub wciąż nad nimi pracuje, w ważnych sektorach państwa, między innymi w szkolnictwie wyższym, systemie emerytalnym czy kodeksie podatkowym. Modernizacja zaproponowana przez Janukowycza przede wszystkim uderzy w mniej zamożnych obywateli, poprzez krępowanie rozwoju małego i średniego biznesu, wprowadzanie dodatkowych opłat na uniwersytetach czy podnoszenie wieku emerytalnego – chociaż przy bardzo niskim średnim wieku społeczeństwa (68,58 lat¹) emerytura już teraz wydaje się być przywilejem dla nielicznych. Jednocześnie reformy w żaden sposób nie zagrażają ukraińskim oligarchom, którzy są głównymi beneficjentami wzrostu gospodarczego.

¹ <https://www.cia.gov/library/publications/the-world-factbook/geos/up.html>

Małgorzata Nocuń,

ur. 1980. Zastępczyni redaktora naczelnego dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia”, stała współpracowniczką „Tygodnika Powszechnego”. W latach 2004–2006 była korespondentką „TP” na Białorusi i Ukrainie. Wraz z Andrzejem Brzezieckim opublikowała: *Białoruś. Kartofle i dzinsy* (2007), *Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi* (2008).

Paweł Pieniążek,

ur. 1989. Jest redaktorem dwumiesięcznika „Nowa Europa Wschodnia”. Student Katedry Ukrainistyki Uniwersytetu Warszawskiego.

Reformy kontra społeczeństwo

Jednak ku zaskoczeniu większości obserwatorów życia politycznego na Ukrainie, społeczeństwo nie pozostało bierne. Chociaż wydawało się, że pośród Ukraińców panują nastroje postrewolucyjne, czyli totalny brak wiary we wpływ na zmianę rzeczywistości, rządy Janukowycza napotykają na opór społeczny, który wymusza na władzach rezygnację z najbardziej kontrowersyjnych postulatów. Obawy o działania ulicy są widoczne (w końcu w 2004 roku to właśnie masowo protestujący Ukraińcy przyczynili się do powtórzenia drugiej tury wyborów i – tym samym – zwycięstwa pomarańczowej rewolucji oraz sromotnej przegranej Janukowycza), o czym świadczy chociażby oskarżanie George’a Sorosa o inwestowanie pieniędzy w przygotowanie rewolucji na Ukrainie, podobnej do tych, które przetaczają się przez Afrykę Północną.

Pierwszym poważnym sprzeciwem społecznym były protesty studentów, którzy nie zgadzali się na wprowadzanie dodatkowych opłat na uniwersytetach, między innymi za korzystanie z internetu na terenach uczelni, punktów medycznych czy za egzaminy poprawkowe. Młodzi Ukraińcy protestowali w kilkunastu miastach, ale najliczniejsze protesty odbyły się we Lwowie i Kijowie. Ostatecznie zrezygnowano z najbardziej absurdalnych punktów ustawy.

Drugim i jednocześnie najliczniejszym protestem od czasów pomarańczowej rewolucji był protest małych i średnich przedsiębiorców, którzy mieli paść ofiarą nowego kodeksu podatkowego. Ostatecznie przez prawie miesiąc okupowali plac Niezależności w Kijowie (ten sam, na którym rozgrywała się pomarańczowa rewolucja), nie godząc się na proponowaną reformę. Protest odniósł sukces – prezydent zawetował ustawę i nakazał wprowadzenie zmian.

Oprócz tego powstają różne lokalne inicjatywy, które walczą z nielegalną zabudową miasta i niszczeniem zabytków czy zielonych przestrzeni. Aktywnością pod tym względem wyróżnia się Kijów, ale nie jest to jedyne miasto, w którym mieszkańcy postanowili włączyć się do dyskusji o tym, jak ma wyglądać otaczająca ich przestrzeń.

Wszystkie te akcje napawają nadzieją. Przede wszystkim dlatego, że nie dają się zawałnąć przez żadną z politycznych partii. Chociaż opozycja często stara się zbić kapitał podczas takich akcji, to przeważnie ich próby kończą się wygwizdaniem. Ludzie zaczynają rozumieć, że nie każdy protest musi mieć opłaconych uczestników (co charakteryzuje protesty stronnictw politycznych), natomiast może sprawić, że zostaną zauważone różnorakie postulaty wpływające korzystnie na losy społeczeństwa.

Stwarzanie pozorów

Wiktor Janukowycz wyraźnie czuje głęboką urazę do Julii Tymoszenko, chociaż coraz mniej prawdopodobne wydaje się to, aby wraz ze swoją partią mogła stanowić

poważne zagrożenie polityczne – schedę po niej zaczyna przejmować Front Zmin Arsenija Jaceniuka. Mimo tego prezydent podejmuje wiele wysiłków, aby ostatecznie rozprawić się z członkami rządu Tymoszenko. Również sama była premier regularnie odwiedza prokuraturę, bo jest podejrzana o niewłaściwe wykorzystanie pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży limitów emisji CO₂. Minister ochrony środowiska i zasobów naturalnych, Bohdan Danyłyszyn, uciekł do Czech, gdzie dostał azyl polityczny. Natomiast były minister spraw wewnętrznych, Jurij Łucenko, od 26 grudnia 2010 roku przebywa w więzieniu, gdzie przez dwadzieścia dni głodował, aż wylądował w szpitalu ze względu na zły stan zdrowia.

Niespotykana aktywność prokuratury szybko zwróciła uwagę na to, że w akcji przeciwko opozycji najmniej chodzi o samą winę, a głównie o pokazanie, kto tu rządzi, a także załatwienie wewnętrznych porachunków. Prawdopodobnie zarzuty wysunięte wobec ludzi z rządu Tymoszenko są prawdziwe, a przynajmniej w znacznej części, ale ich egzekwowanie jest niewspółmierne do pozostałych ukraińskich polityków, bo równie wiele oskarżeń można postawić członkom Partii Regionów.

Wszczęcie sprawy wobec byłego prezydenta Ukrainy, Leonida Kuczmy, miało odwrócić uwagę i pokazać, że władza widzi także swoje błędy. Kuczma niesłusznie jest utożsamiany z obozem Janukowycza (pierwszy wywodzi się z klanu dnipropropetrowskiego, a drugi – z donieckiego). Śledztwo związane jest ze sprawą zamordowanego w 2000 roku dziennikarza, założyciela „Ukraińskiej Prawdy”, Georgija Gongadzego. Podobnie jak w przypadku opozycji, prawdopodobny wydaje się wątek osobisty, również powiązany z pomarańczową rewolucją – Kuczma nie powstrzymał rewolucji, uległ negocjatorom i nie użył siły do rozgromienia manifestantów. Liczba wątków w sprawie byłego prezydenta jest wciąż nieznana, ale bez wątpienia jest ich wiele, zapewne o większości wciąż nie wiemy i prawdopodobnie tak pozostanie. Pewne jest jedno – w tej sprawie nie są istotne losy zamordowanego dziennikarza.

Galicyjski nacjonalizm

Zwalczanie Julii Tymoszenko i – co za tym idzie – marginalizowanie jej partii Bat’kiwsczyny, a także utrata zaufania i podziały w bloku Nasza Ukraina-Ludowa Samoobrona, skupionym wokół poprzedniego prezydenta Wiktora Juszczenki, spowodowały, że w zachodnich obwodach Ukrainy przybrała na sile skrajnie prawicowa partia Swoboda, na czele której stoi Ołeh Tiahnybok. Zresztą niejednokrotnie można spotkać się pośród wyborców tego ugrupowania z głosami, że to wcale nie jest partia ich marzeń, ale nie pozostawiano im żadnego wyboru.

Efekty tego działania widać było podczas wyborów samorządowych w 2010 roku, podczas których Bat’kiwsczyna uzyskała prawie trzykrotnie niższy wynik niż Partia Regionów. Oczywiście władza odpowiednio przyczyniła się do tych wyników za pomocą różnorodnych manipulacji wyborczych, między innymi przekładania termi-

nu wyborów, zakazu tworzenia bloków wyborczych, zmiany ordynacji wyborczej na kilka dni przed wyborami i przekupywania polityków, co ostatecznie wymusiło kapitulację ugrupowania Tymoszenko we Lwowie oraz całkowite wycofanie się z wyborów. W rezultacie bardziej liberalni lwowianie zagłosowali na bezideowy Front Zmin, a większość stanęła po stronie Swobody. To nacjonalistyczne ugrupowanie oficjalnie przełamało – bardzo uproszczony – podział na partie demokratyczno-proukraińskie i autorytarne-prorosyjskie. Swoboda jest mieszanką tych dwóch grup: antyrosyjskiej, odwołującej się do mitu Ukraińskiej Powstańczej Armii i frakcji banderowskiej Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Partia Tiahnyboka prowadzi podwójną grę, bo z jednej strony, ubiega się o miejsca w różnych instytucjach władzy, a z drugiej, stara się zawładnąć ulicami, biorąc udział między innymi w marszach z pochodniami czy różnych zamieszkach, na przykład zajścia z 9 maja we Lwowie, napady na lewicowych aktywistów albo przerywanie spotkań niezgodnych z ich linią polityczną. Wiktor Janukowycz promując Swobodę próbuje spolaryzować społeczeństwo, tworząc z Galicji bastion nacjonalistów. Jest to granie z ogniem, co widać chociażby na przykładzie Rosji, gdzie ruchy szowinistyczne i neonazistowskie – przez indolencję władzy – wciąż rosną w siłę.

Nasza talia ma wiele kart

Ukraińskiej polityce zagranicznej Wiktor Janukowycz nie nadał nowej jakości. Janukowycz jest kontynuatorem polityki „wielowektorowości” obranej przez Kijów zaraz po upadku ZSRR, a określonej przy pomocy tego pseudomatematycznego pojęcia przez Leonida Kuczmę. Wielowektorowość – trochę wulgaryzując – polega na siedzeniu okrakiem pomiędzy Brukselą i Moskwą, graniem raz kartą prorosyjską, raz proeuropejską. Janukowycz świetnie wpisał się w tę prawie dwudziestoletnią już tradycję. Bo Ukraina jeszcze w latach 90. kokietowała to Wschód, to znów Zachód, zależnie od potrzeb. Nie wszystko, co działo się w polityce międzynarodowej Kijowa przed pomarańczową rewolucją, było prorosyjskie.

Deklaracje proeuropejskie padały z ust polityków nad Dnieprem wkrótce po upadku Związku Radzieckiego. Także Leonid Kuczma – widziany jako polityk prorosyjski – mówił o miejscu Ukrainy w Europie i podkreślał, że „Ukraina to nie Rosja”. Słowom towarzyszyły ważne dokumenty: w przyjętej w 1998 roku „Strategii Integracji Ukrainy z Unią Europejską” zapisano prounijne deklaracje Kijowa. W następnych latach powstawały kolejne deklaracje, jednak czyny rządzących Ukrainą elit czasem pozostawały w sprzeczności z deklaracjami. Elity (powiązane najczęściej z dużym biznesem) zdawały sobie sprawę, że mogą pójść na Zachód na tyle, by nie drażnić zbyt mocno Moskwy, która była źródłem tańszych surowców energetycznych i kredytów napędzających gospodarkę. Również nitki biznesowych powiązań prowadziły z Kijowa do Moskwy. Politykę wielowektorowości porzucił Wiktor Juszczenko:

zwycięstwo pomarańczowej rewolucji było chwilowym pokonaniem rosyjskiej dominacji nad Dnieprem. Ukraińskie społeczeństwo żądając powtórki sfalszowanych wyborów, posłało w świat *message*: „Moskwa nie będzie za nas decydować”. Juszczenko i jego ekipa demonstrowali niezależność od Moskwy, byli czasem bardziej ideologami niż politykami. Wystarczy wspomnieć, jak Ukraińcy pojechali do Moskwy na rozmowy i żądali udziału tłumacza. Jednak Juszczenko szybko zdał sobie sprawę, że prowadząc taką politykę, daleko nie zajędzie. W 2006 roku mianując premierem Janukowycza, mówił, że czyni to, by zapobiec rozłamowi w kraju. Janukowycz miał być politykiem reprezentującym interesy odrzuconego wschodu Ukrainy. Również polityka zagraniczna Juszczenki musiała wyjść naprzeciw oczekiwaniom społecznym. Tylko jak to można było zrobić, skoro Ukraińcy chcieli równocześnie i na Zachód, i na Wschód?

Dziś Janukowycz, efektywniej niż kiedyś Kuczma, stara się zadowolić i Moskwę, i Brukselę jednocześnie. Wiktor Fedorowicz jest sprytnym graczem. Jest prozachodni, kiedy potrzebuje wyciągnąć pomoc finansową od Unii i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, i prorosyjski, kiedy liczy na tanie surowce od Moskwy. Pytanie, jak długo będzie to możliwe? W 2010 roku Wiktor Fedorowicz złożył ponad 20 wizyt zagranicznych, w tym aż 6 razy spotykał się ze swoimi partnerami na Kremlu. Do Kijowa przyjeżdżają politycy europejscy i rosyjscy. Ukraińcy mają wciąż problem z określeniem geopolitycznego wyboru, często nie rozumiejąc, że ścisły związek z Moskwą wyklucza integrację europejską. Pod koniec 2010 roku około 54% Ukraińców deklarowało chęć przyłączenia ich kraju do Unii, ale jednocześnie około 70% chciało, by Ukraina była zintegrowana z Rosją i Białorusią. Spory odsetek respondentów, bo około 33%, opowiadało się za równoczesną integracją z Unią oraz Rosją i Białorusią.

Najpierw Bruksela, potem Moskwa

Od czasu wyboru Janukowycza na prezydenta w polityce międzynarodowej Ukrainy nie doszło do wydarzeń spektakularnych. Prezydent podpisał kilka ważnych umów i odbył kilka ważnych spotkań.

W pierwszą podróż zagraniczną 1 marca 2010 roku Janukowycz udał się do Brukseli, już cztery dni później gościł na Kremlu. W Brukseli ukraiński prezydent spotkał się z najważniejszymi politykami unijnymi, ale nie spotkał się z przedstawicielami NATO, co stanowiło jasny sygnał: Ukraina chce do Unii, ale integracja w ramach Sojuszu Północnoatlantyckiego nie jest jej celem. Specjaliści od PR budują wizerunek Janukowycza jako polityka pragmatycznego. Ukraina liczy (i jest coraz bliżej celu) na podpisanie z Unią umowy stowarzyszeniowej, obejmującej porozumienie o pogłębionej strefie wolnego handlu, oraz zniesienia obowiązku wizowego dla obywateli ukraińskich.

Jednak Janukowycz zdecydował się na polityczne ustępstwa wobec Moskwy. W kwietniu ubiegłego roku została podpisana umowa, na mocy której w zamian za 30-procentową zniżkę na gaz kupowany od Rosji oraz obietnicę pomocy finansowej w wysokości 40 milionów dolarów (ma zostać udzielona w ciągu 10 lat) Flota Czarnomorska będzie stacjonować na Krymie o 25 lat dłużej (dotychczasowa umowa przewidywała to jedynie do 2017 roku). Umowa jest strategicznym i prestiżowym sukcesem Moskwy. Kolejna oferta wysuwana przez Rosję dotyczyła przystąpienia Ukrainy do Unii Celnej (razem z Rosją, Białorusią i Kazachstanem). Janukowycz ją odrzuca, ale jednocześnie wykorzystuje fakt, że oferta się pojawiła, ponieważ Ukraina prowadzi z Unią negocjacje na temat podpisania umowy o pogłębionej strefie wolnego handlu.

Ukraina – wraz z 6 innymi byłymi republikami poradzieckimi – jest beneficjentką unijnego programu Partnerstwa Wschodniego. Spośród wszystkich krajów objętych programem to Mołdawia i Ukraina właśnie mają największe możliwości przyszłego członkostwa w Unii. Problem w tym, że oficjalny Kijów wciąż podkreśla, że „nasze miejsce jest w Europie”, ale często wysyła Brukseli sprzeczne sygnały i nie godzi się na przyjmowanie unijnych reguł gry. Kijów nie przejawia woli politycznej do przeprowadzenia niezbędnych reform, nie chce przyjmować zobowiązań poprzedzających akcesję. Na Ukrainie coraz częściej słyszy się argument – także z ust polityków niezwiązanych z Partią Regionów – że Unia stawia Kijowowi zbyt wysoko poprzeczkę. Kiedy pyta się o niepowodzenia Ukrainy, słyszy się w odpowiedzi, że winne są Unia i Rosja. Trudno oprzeć się wrażeniu, że nasz wschodni sąsiad po prostu nie chce wziąć się do ciężkiej pracy i zacząć wypełniać wymogi niezbędne do akcesji.

Zakasać rękawy

Ukraina po raz pierwszy od dłuższego czasu ma korzystną sytuację do przeprowadzania reform i zbliżaniu się do Europy. Po zwycięstwie pomarańczowych w 2005 roku, na scenie politycznej wciąż trwała wojna na górze. Pomarańczowi zdobyli władzę, ale nie każdy zaspokoił swoje ambicje. Tymoszenko odsunięta ze stanowiska premiera wciąż rugała Juszczenkę, ten winił ją za granie „na rozłam kraju”. Obecnie niebiescy posiadają większościowy rząd, otwarte możliwości negocjacji z Unią, o wiele lepsze od poprzedników kontakty w Moskwie.

Od wyboru Janukowycza na prezydenta i wyborów prezydenckich w Polsce nasz kraj nie jest już postrzegany jako adwokat Ukrainy w Europie. Janukowycz, mówiąc o polityce zagranicznej swojego kraju, potrafi ani razu nie wymienić Polski, zresztą już wcześniej ukraińskie elity (choćby premier Julia Tymoszenko) demonstrowały, że lepiej im się robi interesy i rozmawia z Niemcami niż Polakami. Wiktor Juszczenko i Lech Kaczyński byli do siebie podobni. Łączył ich między innymi nieprzychylny sto-

sunek do Rosji, przekonanie o ważnej roli polityki historycznej, pewne przywiązanie do tradycji narodowej. Okazało się jednak, że na takich wartościach trudno zbudować trwałą współpracę. Dziś Polska, jako kraj unijny, kibicuje Ukrainie w jej drodze na Zachód – to między innymi z polskiej inicjatywy powstał program Partnerstwa Wschodniego. Ukraina może tylko zakasać rękawy i zabrać się do pracy. Żeby Ukraińcy nie musieli wciąż godzić się na marazm panujący w ich kraju i życie jedną nogą na Zachodzie, drugą na Wschodzie. Dając i biorąc to coś z Brukseli, to coś z Moskwy, bez transparentnych zasad w polityce wewnętrznej. Bo wtedy przyjdzie im tylko powtarzać już zawsze ulubione powiedzenie pierwszego prezydenta niepodległej Ukrainy, Leonida Krawczuka: „*majemo szczo majemo*”, czyli: „mamy, co mamy”.



Stanisław S. Nicieja

Huculszczyzna rediviva

odkrycie huculskiej Atlantydy

Huculszczyzna znów kusi i fascynuje. Po kilku dziesięcioleciach bezmyślnych sowieckich prób unicestwienia oryginalności jednego z najciekawszych etnograficznie zakątków Europy następuje wręcz eksplozja ponownego zainteresowania tą legendarną krainą. Polsko-ukraiński festiwal „Słowiańska Atlantyda” i wystawa w krakowskim Muzeum Narodowym pt. „Na wysokiej połoninie. Sztuka Huculszczyzny – Huculszczyzna w sztuce” biją rekordy powodzenia (wystawa otwarta w marcu 2011). Coraz liczniejsze grupy turystów ciągną w kierunku Czarnohory i Gorganów, zdobywają znów Howerlę i Popa Iwana. Wydawnictwa wprowadzają na rynek nowe przewodniki bądź reprinty starych, i coraz dokładniejsze mapy topograficzne Huculszczyzny, które wolno już dzisiaj sprzedawać, bo nie ma tam tajnych baz wojskowych. Świetny fotografik z łódzkiej szkoły filmowej, Krzysztof Hejke, wydaje znakomity artystycznie album *Huculszczyzna* (2010), gdzie konfrontuje stare fotografie sprzed wieku ze współczesnymi. Poznański pisarz, a jednocześnie muzykolog i antropolog kultury Michał Kruszona wydaje opowieść kabalistyczną pt. *Huculszczyzna* (2010). A Wiesław Chełminiak na łamach tygodnika „Uważam Rze” (8 V 2011) twierdzi wręcz: „Nie Wilno, nie Lwów, lecz Huculszczyzna okazała się najbardziej żywotną częścią kulturowego dziedzictwa Kresów”. To niektóre tylko najbardziej wyraziste objawy renesansu zainteresowania Huculszczyzną w ostatnich latach. Można rzec: Huculszczyzna rediviva! Prześledźmy, jak tworzyła się mitologia tej niezwyklej, tajemniczej krainy na przestrzeni dwóch ostatnich wieków.

Wielki targ w Kołomyi



Tajemniczy zakątek Europy

Huculszczyzna to kraina w Karpatach Wschodnich, gdzie do II wojny światowej Polska graniczyła z Rumunią i Węgrami. Dziś znajduje się w granicach niepodległej Ukrainy. Ileż tam powstało legend i mitów! Iluż poetów, pisarzy, malarzy i muzyków szukało tam natchnienia!

Huculszczyzna od pierwszej, odnotowanej w historiografii europejskiej relacji Baltazara Hacqueta (1739–1815), z pochodzenia Bretończyka, fascynowała, intrygowała i inspirowała twórców. Globtroterzy, geografowie i reporterzy, którzy docierali w te dzikie, trudno dostępne okolice, przecięte awanturniczymi rzekami Prutem i Czeremoszem, nie szczędzili zachwytów nad pięknem tamtejszych krajobrazów. Ich uwagę przykuwał też dziwny lud, Huculi, pasterze, wyróżniający się strojem, gwarą, mentalnością i sposobem bycia. Hucul, w lokalnej gwarze rumuńsko-bukowińskiej, znaczyło tyle, co zbójnik, rozbójnik, opryszek. Jako mieszkaniec krainy pogranicza, gdzie ciągle zmieniano granice administracyjne państw, miał w sobie krew ruską, cygańską, ormiańską, ale i polską, i węgierską. Huculi nie zajmowali się na ogół uprawą roli, bo to „raniło ziemię”. Za godne zajęcia uważali pasterstwo i rękodzieło.

Stanisław Sławomir Nicieja, ur. 1948. Historyk, biografista, profesor zwyczajny w Instytucie Historii Uniwersytetu Opolskiego. Dwukrotnie rektor Uniwersytetu Opolskiego. Senator RP V kadencji. Znamca kresów wschodnich i emigracji londyńskiej, autor kilkuset artykułów naukowych i popularnonaukowych oraz dwunastu książek, m.in. *Cmentarz Łyczakowski we Lwowie*; *Panteon Orłat lwowskich*; *Z Kijowa na Piccadilly*; *Jalta z perspektywy półwiecza*. Współautor wielu filmów dokumentalnych realizowanych przez TVP. Laureat prestiżowych nagród. Mieszka w Opolu.

Huculsczyzna swą tajemniczością i niedostępnością, bo brakowało tam dróg przejezdnych oraz precyzyjnie wykreślonych map i szlaków, kusila nie tylko Polaków (jednym z pierwszych był Wincenty Pol), ale też licznych cudzoziemców: Niemców, Czechów, Węgrów, Rumunów, Anglików, Szkotów, Szwajcarów, a nawet Amerykanów. Rozpowszechniła się bowiem opinia, że jest to kraina niespotykanych w Europie archaizmów: naturalny skansen zastygłego w ewolucji obyczaju i budownictwa.

Przed dziesięciu laty ukazała się dzięki kilku entuzjastom, z prof. Ryszardem Brykowskim na czele, fascynująca antologia przetłumaczonych z różnych języków tekstów z lat 1795–1939 pt. *Dawne Pokucie i Huculsczyzna w opisach cudzoziemskich podróżników*, która daje zadziwiający obraz magicznej siły tamtejszych krajobrazów, kuszących wędrowców z całej Europy. Przemierzali oni bezdroża, nie licząc się z przeszkodami i niebezpieczeństwami, czym tylko mogli – od wozów zaprzężonych w huculskie koniki i tratew zbitych z żerdzi sosnowych, po kajaki, narty i rowery.

Szwajcar Hans Zbinden (1893–1971), pisarz, socjolog kultury, profesor uniwersytetu w Bernie, potrafił Huculsczyznę, „ostatnią w Europie oazę archaizmu”, zainteresować nawet pisarzy i polityków tej miary, co Romain Rolland, Selma Lagerlöf czy prezydenci Czechosłowacji – Tomasz Masaryk i Edward Benes.

Na temat Huculsczyzny powstało w Polsce i na Ukrainie dziesiątki książek, tysiące opowiadań, reportaży, wierszy, impresji malarskich i muzycznych. Są to dzieła częstokroć pierwszorzędných twórców: od Wincentego Pola i Mychajły Kociubińskiego, po Stanisława Vincenza i Jarosława Iwaszkiewicza. Huculsczyzna ze swą surową, dziką, nieskażoną cywilizacją przyrodą, jawiła się dla polskich malarzy jako raj i to zarówno dla romantycznych realistów, jak Józef Jaroszyński – autor obrazu *Pрут* (ok. 1890 r.), jak i „dotkniętych” impresjonizmem, jak choćby Leon Wyczółkowski. Szczególną sławę zdobyło „trzech Huculistów” – Władysław Jarocki, Kazimierz Sichulski, Fryderyk Pautsch (urodzony w Delatynie, w sercu Huculsczyzny), którzy na kilka miesięcy zaszyli się w dziewiczych lasach, w niedostępnej leśniczówce i całymi dniami nie wypuszczali pędzli z rąk, tworząc dzieła stanowiące dziś ozdoby najbardziej renomowanych galerii. Nie sposób w impresji historycznej, o ściśle określonych przez redakcję ramach, wymienić z nazwiska wszystkich piewców piękna Huculsczyzny. Skupię więc tylko uwagę na kilku, którzy, w moim odczuciu, wywarli znaczny wpływ na wyobraźnię rzeszy czytelniczych i mieli największy udział w zmitologizowaniu Huculsczyzny.

Piewcy Huculsczyzny

W tym dziele prym wiedzie niewątpliwie Stanisław Vincenz (1888–1971), filozof, wielbiciel i znawca antyku, ale przede wszystkim pisarz wielce oryginalny i mistrz przedniej gawędy o niespotykanym rytmie narracji. Nim nauczył się polskiego, jego pierwszym językiem była gwara huculska, którą poznał dzięki swej niani Huculce. To ona wprowadziła w świat jego chłopięcej wyobraźni huculskie opowieści

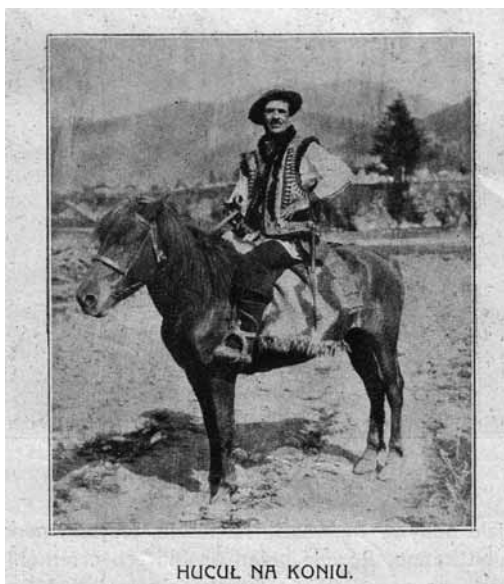


Trembici

i wierzenia. Mimo że później uczył się w renomowanych szkołach, z Uniwersytetem Wiedeńskim na czele, i poznał wiele języków oraz wielu wybitnych artystów i intelektualistów, ten młodzieńczy czas przeżyty na stokach Czarnohory, gdzie pod Kłomyją i Krzyworównią, wśród lasów i szybów naftowych, zaważył na całym jego życiu i twórczości. Po krótkim epizodzie warszawskim i romansie z polityką (był redaktorem pilsudczykowskiej „Drogi”), w 1930 r. wrócił na swoje huculskie odludzie. Wybudował we wsi Bystrzec, w pobliżu Howerli, dom huculski i stworzył tam dzieło życia, które na trwałe wprowadziło go do literatury europejskiej. Jest to wieloksiąż, noszący tytuł *Na wysokiej połoninie* – swoista saga pasterska, w której Vincenz przekroczył wszelkie granice tradycyjnych form i pisarskich schematów. Zmitologizował Huculsczyznę i tamtejszych pasterzy, zbójców, rzeźmieszków, panów. Vincenz stworzył, by użyć określenia najwybitniejszej znawczyni jego biografii i twórczości, prof. Mirosławy Ołdakowskiej-Kuflowej, dzieło będące „tygłem gatunków, stylów, odmian i kontemplacji świata”.

Dziś nie sposób poznać ducha i oryginalności Huculsczyzny, zrozumieć w pełni legend i mitów tej krainy bez zanurzenia się w lekturze Vincenzowskiej tetralogii *Na wysokiej połoninie*.

Drugim pisarzem, który w literaturze polskiej wysoko poniósł legendę Huculsczyzny, był Ferdynand Antoni Ossendowski (1876–1945) – jedna z najbarwniejszych postaci polskiego świata literackiego. Podróżnik, awanturnik, wieczny ryzykant, który nie wahał się wkraczać w świat najbardziej ciemnych (łącznie ze szpiegostwem) gier politycznych, a jednocześnie znakomity dziennikarz i reporter o wielkim talen-



cie narracyjnym, zadziwiająco płodny autor 77 książek. Jego skroń została w 1936 r. zwieńczona Złotym Wawrzynem Polskiej Akademii Literatury (za zasługi na polu literatury podróżniczej), m.in. za książkę pt. *Huculszczyzna*.

Ferdynand Ossendowski był przed wojną niezwykle popularny, zwłaszcza dzięki dwóm książkom – pierwsza z nich to *Lenin*, zbeletryzowana biografia przywódcy bolszewików, w której przedstawiał barwnie kulisy przejęcia władzy w Rosji przez społecznych radykałów. Światowym bestsellerem była także książka *Zwierzęta, ludzie,*

bogowie, przełożona na 20 języków. Sam znał biegle siedem, w tym chiński i mongolski. Był tropiony przez bolszewicką policję polityczną (Czeka) jako „paszkwilant Lenina”. Nawet gdy zmarł w styczniu 1945 r. w Żółwinie koło Milanówka, NKWD szukało na cmentarzu jego zwłok, aby upewnić się, czy „osobisty wróg Lenina” rzeczywiście nie żyje.

Dziś przebrzmiała sława Ossendowskiego, ale gdy opublikował swą książkę *Huculszczyzna*, świetnie zilustrowaną, w luksusowym, prestiżowym wydawnictwie Rudolfa Wegnera w słynnej serii „Cuda Polski”, był u szczytu popularności. Ten niezwykle barwny monograficzny reportaż przedstawiał w sposób sugestywny krajobrazy, wsie, miasta, ludzi Huculszczyzny; przywoływał legendy, anegdoty, odwoływał się do poezji i wydarzeń historycznych, które umacniały tam, w Gorganach, Czarnohorze i na Pokuciu, polską obecność – walki polskich legionistów, działania polskich przedsiębiorców, nafciarzy. Siłą tej książki było i jest do dziś kilkaset unikatowych fotografii. Ma więc Ossendowski duży udział w spopularyzowaniu Huculszczyzny w społeczeństwie polskim.

Jarosław Iwaszkiewicz i Jerzy Liebert na Huculszczyźnie

Trudny jest wybór spośród dziesiątków polskich pisarzy – piewców urody Huculszczyzny, ale nie sposób pominąć doznań, jakich doświadczył Jarosław Iwaszkiewicz, odwiedzając Stanisława Vincenza w jego samotni huculskiej. W jednym z opo-



wiadań, *Pod Howerlą* (najwyższym szczytem Czarnohory), Iwaszkiewicz pisał z epickim rozmarzeniem: „Na parę miesięcy pograżyłem się po uszy w czarach tej egzotycznej krainy. Łagodne góry, niebieskie wąwozy, morza górskich grzbietów pokrytych łąkami, kwiaty, kwiaty i kwiaty – a w tym wszystkim lud osobliwy, inteligentny, ciekawy, malowniczy, posiadający niezwykłą wrażliwość artystyczną. [...] Droga z Kołomyi do Worochty (kilkadziesiąt kilometrów) ciągnąca się cały czas wzdłuż Prutu doliną jego – jest wymarzoną, przedziwną cudem. Nadbiegające skały, pełne ponurych, sinych cieniów, coraz bardziej zacieśniają dolinę, Prut coraz pienistszy, coraz zieleńszy, coraz bardziej górski i strumykowaty, i przypomina pełne wdzięku starego Wincentego Pola gawędy – tyle o rzece tej cudów opowiadające”.

Jest w prozie poetyckiej Iwaszkiewicza fascynujący opis przejazdu pociągiem trasą przecinającą Huculszczyznę. Kolorystyka tego opisu pulsuje wszystkimi barwami i zapachami czarnohorskich krajobrazów: łąkami białych pierwiosnków, czerwienią różaneczników alpejskich, koloniami dorodnych, żółtych kulczyków pachnących brzoskwinią i wanilią. Na zboczach okalających wąwozy, którymi przebiegały się wiadukty kolei jaremczańskiej była – jak to zapisano w setkach wspomnień, wierszy i opowiadań – „orgia kolorów” i kwiatowe kobierce. Wielu turystów jechało do Czarnohory częstokroć tylko dla tych widoków z okien małych wagoników ciągniętych przez ciuchcie po wiaduktach i mostach Worochty i Jaremcza.

W Worochcie, niszczonej przez gruźlicę, spędził wiele miesięcy Jerzy Liebert (1904–1931), nazwany przez Jerzego Harasymowicza poetą Huculszczyzny. Dzięki przyjaciółm przechodził tam długie, wielomiesięczne kuracje. Niczym Hans Castorp w *Czarodziejskiej Górze* Tomasza Manna próbował się ratować przed nieuchronną śmiercią w tym swoim – jak pisał – „huculskim Davos”. Zostawił po sobie wiele wierszy opiewających piękno Huculszczyzny. W jednym z ostatnich, w tomie *Kołysanka jodłowa*, żegnając się z tą piękną krainą, pisał:

Pod oknem trwożnie zapał kur
I krajobrazy się mieszały:
Miasteczko, rzeka, cerkiew, skały,
Pejzaże łąk i zarys gór.

Lekko jak piórko płynął dom,
Porwany wzyż – w niebo wstępował.
I ręką – jakbym sam wiosłował –
Żegnałem z okna stary łąd.

Liebert przebywał na Huculszczyźnie dzięki pomocy finansowej Mieczysława Grydzewskiego, redaktora warszawskich „Wiadomości Literackich”. W tym pejzażu huculskich wzgórz powstał też wiersz *Sen*, brzmiący jak ostateczne pożegnanie:

Przed domem jarzębina
Ku ziemi się ugina,
Widzisz, coraz to śmiej
Jesień sobie poczyła.

Zapisz tę porę, zapisz,
Bo zaraz ją utracisz.
Pozbieraj ją, pozbieraj,
Jak umiesz, jak potrafiysz.

Można by w nieskończoność przywoływać nazwiska pisarzy i cytować ich opisy urody Huculszczyzny. Poświęcił im obszerny tom studiów wrocławski uczonec Jan Choroszy, w monumentalnej pracy *Huculszczyzna w literaturze polskiej* (Wrocław 1991).

Dobosz – huculski Janosik

W trójkącie wschodnio-karpackich miast Kołomyja-Peczeniżyn-Kosów, a więc w sercu Pokucia i Huculszczyzny, zrodził się jeden z najbardziej fascynujących mitów, który głęboko wrósł w literaturę polską i ukraińską, a w pewnym stopniu także w węgierską i rumuńską. Wiąże się on z postacią na poły legendarnego – dla jednych rozbójnika-zbójcy, dla innych opryska i herszta rabusi, dla jeszcze innych pogromcy pyszałkowatych bogaczy i mściciela skrzywdzonej biedoty – Aleksego Dobosza, zwanego też Dowbuszem.

Mit Dobosza przypomina angielski o Robin Hoodzie i francuski o Ludwiku Cartouche, a z pogranicza polsko-słowackiego o Janosiku i Ondraszku – o szlachetnych harnasiach broniących biedny lud przed butnymi wyzyskiwaczami. Każdy Rusin, Hucul, Żyd i Polak z Pokucia znał legendę o Doboszu. Źródła historyczne dowodzą, że był postacią prawdziwą i miał się urodzić ok. 1710 r. w Peczeniżynie, 16 km

od Kołomyi, w rodzinie biednego chłopca. Od młodości, wspólnie z bratem Iwanem, wykazywał talenty przywódcze. Jego rodzina doznała wielu krzywd, a brat, zamiast zapłaty za ciężką, kilkuletnią pracę u polskiego pana, szlachcica – jak pisze Stanisław Vincenz – wzięty w „wojskowe kamasze”, zmarł na obczyźnie z tęsknoty za ziemią rodzinną, za Pokuciem. Bo wiadomo, jak głosiła arcypopularna wówczas pieśń *Czerwony płaszcz* ze słowami Józefa Korzeniowskiego:

Dla Hucula nie ma życia jak na połoninie,
gdy go losy w doły rzucą – wnet z tęsknoty ginie.

Sława Dobosza wzięła swój początek, gdy zorganizował kilkunastoosobową watahę opryszków i korzystając z dzikiej, niedostępnej górskiej okolicy na pograniczu Bukowiny i Czarnohory, prowadził rozbój: łupił dwory i pałace, a czasem podgórskie miasteczka, napadał na karawany kupieckie i składy towarów. Przez kilka lat był nieuchwytny dla tropiących go żandarmów, żołnierzy i puszkarów – specjalnych oddziałów pokuckiej i podolskiej szlachty. O jego przebiegłości i pozycji wiele mówi fakt, że w roku 1740, aby go schwytać, hrabia Józef Potocki wysłał oddział liczący 2500 żołnierzy. Jednak nawet stukrotna przewaga nad watahą opryszków nie przyniosła powodzenia. Dobosz nie mógłby tak długo bezkarnie krążyć po okolicy, gdyby nie miał wsparcia u miejscowych chłopów, u których niejednokrotnie wzbudzał podziw i przekonanie, że jest ich obrońcą. W końcu, zdradzony przez niewierną kochankę, został schwyty i skazany na śmierć przez poćwiartowanie.

Literacki obraz Dobosza

Wyczyny Dobosza mają rozległą literaturę (kilkadziesiąt pozycji), w której pojawiają się przednie polskie i ukraińskie nazwiska. Niemal natychmiast po jego śmierci w pieśniach ludu wiejskiego dało się słyszeć szloch po stracie „wolnego sokoła”, „hetmana Huculów” i przekonanie, że „wierchowina jego chwałę będzie nieustannie grać”. Lirnik przy drogach wiodących na Czarnohorę smutno śpiewał:

Oj, Dowbuszu, ty pane nasz
Wełyka bida ide na nas.
Bo hto zaraz nas obrony.

Imponująca jest literatura, która poniosła daleko i wysoko mit Dobosza. Pisząc o jego czynach i śmierci, jedni go wychwalali, inni je potępiali. W literaturze ukraińskiej jest przede wszystkim uwielbienie i akceptacja, w literaturze polskiej – nie brak potępienia i negacji.

Postać Dobosza pierwszy wprowadził do wysokiej literatury polskiej Eugeniusz Brocki, a później trzej romantycy – Kazimierz Władysław Wójcicki, Karol Bołoz Antoniewicz i August Bielowski. A za nimi poszła cała plejada poetów i pisarzy różnej skali talentów, spośród których bodaj najoryginalniej i najpełniej uczynił to Stanisław



Vincenz w swej wielotomowej sadze huculskiej *Na wysokiej połoninie*.

Każdy z pisarzy ubarwiał na swój sposób biografię Dobosza. Dla przykładu Wójcicki w swej powieści *Dobosz. Obraz historyczny* pisząc o miłości, która zgubiła watażkę, rysuje scenę w karczmie. Podczas biesiady kochanka Dobosza zapytała go przewrotnie: „Jakaż cię kula zabije?” – Dobosz wychylił ze szklanicy miód pitny i ocierając wąs, odrzekł: „Strzelbę trzeba by nabić srebrną kulą, na jej wierzch położyć dziewięć ziaren pszenicy, które by pop poświęcił i odmówił dwanaście ewangelii nad nimi”. Rozmowę kochanków podsłuchiwał mąż Maryjki, Stepan, i przekupiony przez „Lacha” (Polaka) spreparował kulę, o jakiej mówił Dobosz, która ostatecznie raniła go śmiertelnie.

Takie opowieści, których jest setki, budowały mit Dobosza, ale też Janosika i Ondraszka. Zebrał je, omówił i uporządkował w znakomitej książce *Byli chłopcy, byli...* Zdzisław Piasecki (1932–2006), wybitny opolski polonista, długoletni dziekan Wydziału Filologicznego na Uniwersytecie Opolskim, spokrewniony z Sergiuszem Piaseckim, autorem swego czasu bestsellerowej książki *Kochanek Wielkiej Niedźwiedzicy*.

Huculskie zdrojowiska

Na początku XX wieku zapanowała moda na uzdrowiska we wschodnich Karpatach: Morszyn Zdrój, Delatyn. Jaremcze, Worochta, Mikuliczyn, Tatarów, Dora, Żabie i Kosów. Zajęcie tych ziem w 1939 r. przez siemieniczny system zgasiło blask tych ośrodków ludzkiej radości i ukojenia. Z czasem o nich zapomniano, a piękne wille i pensjonaty popadły w ruinę bądź oszpecić ją ręka profana. Nie pamiętało się już o ludziach, którzy te zdrojowiska tworzyli i wznosili tam piękne budowle, pijalnie i lecznice.

Przez pół wieku malownicze przestrzenie Czarnohory i Gorganów były – jak to trafnie ujął dr Wit Tarnawski – „za dziesiątą rzeką, za piątą granicą, za murem wyższym niż chiński”. Przez cały ten czas kwitnące w pierwszej połowie XX w. kurorty Huculszczyny, gdzie rozwinął się też imponująco ruch turystyczny, były niedostęp-

ne dla turystów spoza ZSRR. Żaden Polak nie miał szans pojechać tam na wypoczek. Teraz to się zmienia.

Spośród uzdrowisk na Huculszczynie największą legendą obrósł Kosów. A stało się to za sprawą doktora Apolinarego Tarnawskiego, który dla Kosowa położył podobne zasługi jak Tytus Chałubiński – dla Zakopanego. Kosów ma klimat podobny do szwajcarskiego Davos. Brak mu tamtejszego komfortu, ale był i jest za to nieporównywalnie tańszy. Kosów leży w pięknej – od wczesnej wiosny do jesieni – opasanej soczystą roślinnością kotlinie, przeciętej kapryśną i groźną przez swe niespodziewanie gwałtowne przybory rzeką Rybnicą. W jego centrum, tuż przy rynku, pnie się stroma, prawie pionowa kamienna góra zwana Zamkową. Z jej szczytu widać jak na dłoni miasteczko i postrzępione zakolami pełnymi kamiennych głazów koryto Rybnicy.

Artyści i politycy w huculskim kurorcie

Rozgłosowi Kosowa sprzyjał fakt, że przyjeżdżali tam ludzie o znanych nazwiskach. Z tego względu w pierwszej połowie XX wieku Kosów stał się drugą po Zakopanem galicyjską stolicą polskiej bohemy. Na letni wypoczek zjeżdżali tam najwybitniejsi polscy artyści, pisarze, aktorzy, poeci, malarze, rzeźbiarze, profesorowie uniwersyteccy oraz politycy i ludzie z najwyższych sfer życia gospodarczego. Mówiło się, że Kosów jest przesiąknięty jakąś wyjątkową atmosferą duchowości. Chciało się tam dyskutować i szukać towarzystwa do biesiad z ciekawymi, niebanalnymi rozmówcami. Jadąc letnią porą do Kosowa, było się pewnym, że można tam spotkać zawsze kogoś z czołówki polskich artystów i intelektualistów. Tam wypoczywała Gabriela Zapolska i czarowała swą urodą oraz wyszukаныmi kapelusami. Towarzyszyli jej młodzi wówczas reżyserzy Juliusz Osterwa i Leon Schiller. Tam spotkać można było jednego z najsławniejszych polskich śpiewaków, rywala Jana Kiepury, Adama Didura, który przyjeżdżał – jak się mówiło – „z całą kolekcją swych pięknych córek”, wzbudzających zachwyt swoim wdziękiem i strojami pełnymi elegancji. Wypoczywali tam pisarze i głośni reporterzy, jak choćby Zygmunt Nowakowski, wówczas autor arcypopularnej sztuki teatralnej *Gałązka rozmarynu*, sławiącej czyn legionowy Piłsudskiego. Tam przyjeżdżał Melchior Wańkowiczem z młodzieńcem Stanisławem Dygatem – w tym czasie pracownikiem MSZ. W Kosowie przebywali kilkakrotnie Maria Dąbrowska i jej mąż, Marian, który tam zmarł na atak serca 30 IX 1925 r., czego autorka *Nocy i dni* nie mogła przeboleć. Gościł tam również świetny malarz Józef Pankiewicz i rzeźbiarz Ksawery Dunikowski, „snujący rozmarzonym wzrokiem” po siedzących na balkonach kosowskich willi pięknych wczasowiczkach.

Zagorzałym kosowitą był poeta Lucjan Rydel – bohater *Wesela* Wyspiańskiego – który ścigał tutaj ze swoich podkrakowskich Bronowic z całą rodziną. Ignacy Wi-niewski pisał, że Rydel – autor wówczas bardzo popularnego *Zaczarowanego koła* – „pasjami lubił siedzieć na ziemi otoczony berbeciami i bawić się z nimi w talarka, sam rozchichotany jak dziecko”.

Kosów był w ogóle rajem dla dzieci i młodzieży i to nie tylko w zabawowym wymiarze. Bo tam, w zakładzie dra Tarnawskiego, powstał w 1911 r. jeden z pierwszych zastępów Związku Harcerstwa Polskiego (zwanego jeszcze skautingiem). Utworzyli go ks. Wincenty Lutosławski – pomysłodawca i autor projektu krzyża harcerskiego, późniejszy poseł na Sejm oraz młodziutka Olga Drahonowska – wówczas narzeczoną twórcy polskiego skautingu Andrzeja Małkowskiego.

Corocznym przez wiele lat gościem Kosowa był prof. Ignacy Chrzanowski – znakomity polski filolog. Imponująca postać „Chrzana”, z wielką siwą szopą włosów na głowie dominowała ciągle w towarzystwie, na boisku tenisowym, na sali gimnastycznej, w basenie, na zabawie i w dyskusjach. Jego żywiołowy i mocno uzłośliwiony dowcip wzniewał gejszery śmiechu, ale i lęk tych, którzy stawali się przedmiotem jego przewrotnych uszczypliwości. Bano się jego dowcipu, ale równocześnie przepadano za jego opowiadaniem, anegdotami, żarcikami sytuacyjnymi. Chrzanowski bowiem imponował pamięcią, czarował niezwykle sugestywnym sposobem mówienia. Towarzyszył mu często Władysław Bukowiński, redaktor warszawskiego „Sfinksa”.

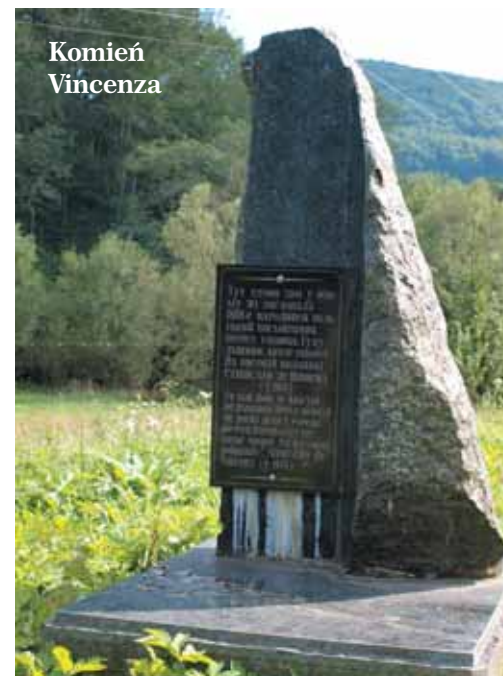
W Kosowie, podobnie jak w Zakopanem, spotykało się wielu wybitnych polskich polityków z trzech dzielnic zaborczych. W dyskusjach zrodziła się tam niejedna koncepcja polityczna wyznaczająca drogi do odzyskania niepodległości.

Szczególnie wielu zjeżdżało tu działacze Narodowej Demokracji. Byli wśród nich Zygmunt Balicki, Roman Dmowski, prof. Władysław Folkierski, Zygmunt Wasilewski, prof. Władysław Tarnawski. Ulicami Kosowa przechadzali się też socjaliści z Ignacym Daszyńskim na czele, a nawet przyjeżdżający tu ze Śląska ówczesny poseł do parlamentu berlińskiego – Wojciech Korfanty. Rejestr wybitnych Polaków odpoczywających i dyskutujących w Kosowie przed I wojną światową jest naprawdę imponujący. Bywał tam Edward Abramowski – filozof i Stanisław Szczepanowski – zwany „królem polskiej nafty”, bogaty przedsiębiorca, a jednocześnie znakomity publicysta, parlamentarzysta i społecznik, autor głośnej wówczas, czytanej dość powszechnie pracy *Nędza galicyjska* oraz *Myśli o odrodzeniu narodowym*.

Przyjeżdżali tam ludzie nauki: językoznawca Jan Baudouin de Courtenay, historycy – Wacław Sobieski, Władysław Konopczyński, Szymon Askenazy, bardzo popularni i znani z intelektualnych kazań lwowscy arcybiskupi – Józef Bilczewski i Józef Teodorowicz. Bywali tu Karol Adwentowicz i Mira Zimińska, Stefan Norblin i Ignacy Dygas. Trudno ich zliczyć. Ale już ta plejada wymienionych nazwisk powodowała, iż twierdzono, że jest to swoisty pochód na Wawel. Była to aluzja do znanego projektu pomnika Wacława Szymanowskiego przedstawiającego grupę 52 wybitnych Polaków zmierzających w pochodzie na Wawel.

Ptasi targ w Kosowie

Kosów zasłynął w II RP jako miejsce wielkich huculskich jarmarków, pulsujących zadziwiającą, niespotykaną w tym miejscu Europy egzotyką. Plastyczny ich obraz



przedstawił Michał Kruszona w swojej *Huculszczyznie*. Na jarmark kosowski zjeżdżali Huculi z całej okolicy, aż spod Worochty i Żabiego. Ściągali tu najczęściej na małych, przysadzistych, wytrzymujących najsroźsze mrozy i piekielne upały konikach, w których żyłach płynęła krew dzikich tarpanów. Na jarmarku w Kosowie handlowano dosłownie wszystkim. Wzdłuż rynku stały wozy pełne ziaren zbóż, worków z ziemniakami, fasolą, grochem, ciecierzycą. Stragany ugiwały się pod przyłami sliw, moreli, gruszek, jabłek. Obok wozów ustawione były piramidy dorodnych arbuźów, których obfitość objawiała się szczególnie na jarmarkach sierpniowych. Handlarze warzywami i owocami

oraz rzeczonymi suszonymi solonymi rybami z Czeremoszu i Prutu sąsiedowali z artystami, bo tak trzeba by nazwać snycerzy, stolarzy, kowali, rymarzy, tkaczy, którzy prezentowali tu swoje rękodzieła pełne ornamentów: nabijane ćwiekami skórzane pasy, uprząże, dzwonki dla krów i owiec, kilimy, wyszywane rubaszki, fartuchy, ręczniki. Obok ryczały krowy, owce i słyhać było kwiczenie trzody chlewnej, która była tu również towarem.

Ale absolutnym rarytasem było dzikie ptactwo i wykradane z gniazd jaja drapieżników. „Ponad straganami – pisze Michał Kruszona – unosił się ptasi jazgot. I to wcale nie kaczy czy gęsi. Do Kosowa schodzili, raz po raz, złodzieje opróżniający ptasie gniazda. Plądrowali ptasie domostwa, szukając jajek lub, gdy na to było już zbyt późno, młodych ledwo opierzonych piskląt. Wiele z nich dorastało potem w niewoli, aby ostatecznie trafić na targ. Porozmieszczane na sterczących z ziemi drągach druciane klatki zapełnione były drożdami, kraskami, dudkami, wszelką ptasią drobnicą, a także krukami i sowami. Najpilniej strzeżone były jednak jajka drapieżników. Niełatwo je było rozróżnić, trzeba sporej wiedzy, aby nie pomylić niemal okrągłych, niebieskawo-brązowych jajek myszołowa i podobnych kani czarnej. Mimo niemal identycznego wyglądu miały przecież różną cenę. Handlujący tak unikalnym towarem nigdy jednak nie posuwali się do oszustw. Rynek na ich towar był niezwykle wąski i hermetyczny, a że było to zajęcie bardzo intratne, nie mogli pozwolić sobie na utratę zaufania klientów. Doskonale wiedzieli, z których jajek raczej nic już się nie wy-

kluje, te polecali jako antidotum na wszelkie dolegliwości. Bywały wśród nich znakomite afrodyzjaki, za te zawsze można było uzyskać znakomitą zapłatę. Zdarzały się też jajka magiczne, za ich pomocą odwracano nawet nieszczęśliwą kartę w miłości”.

Jarmark kosowski jawił się jak swoista orgia kolorów i typów ludzkich ubranych zgrzebnie, wśród których przemylali wykwinnie ubrani letnicy, „państwo” z Warszawy, Krakowa, Lwowa czy Kołomyi, kuracjusze sanatorium doktora Tarnawskiego, mający często zasobne portfele i będący najlepszą jarmarczną klientelą.

Centrum sztuki huculskiej

W 1876 r. powstała w Kołomyi Szkoła Przemysłu Ceramicznego. Odegrała ona bardzo poważną rolę w wytworzeniu stylu w sztuce huculskiej. Znalazł on wielu naśladowców i zdobył duże uznanie nie tylko w polskich środowiskach artystycznych. Przy szkole powstała kolonia nauczycieli-artystów, którzy ucząc młodzież, sami jednocześnie tworzyli znaczące dzieła. Wybitnym wykładowcą w tej szkole był Stanisław Dębicki (1866–1924), pochodzący z Lubaczowa malarz, rysownik, późniejszy profesor krakowskiej ASP, gdzie przejął katedrę po Stanisławie Wyspiańskim. W Kołomyi uczył rysunku i zachwycał się okolicą. Wędrował po wsiach huculskich – od Żabiego po Delatyn, szukając inspiracji. Rysował sceny z życia Huculów i Żydów galicyjskich. Wtedy powstały jego wysoko ocenione obrazy: *Kąpiel w Prucie*, *Z Huculami w górach*, *Pogrzeb żydowski w Kołomyi*. W szkole tej uczył także znany akwarelista Stanisław Daczyński (1856–1922).

Kołomyjska Szkoła Przemysłu Ceramicznego miała szczególne osiągnięcia w kształceniu garncarzy i kaflarzy – producentów kafla, które trafiały nawet na cesarskie pokoje w Wiedniu. Kafle tych pieców miały bogatą ikonografię: postacie świętych, krzyże cerkiewne, motywy roślinne i zwierzęce, sceny figuratywne, głównie z polowań, sylwetki żołnierzy, cyrkowców, sceny z życia codziennego dworu i wsi. Wszystko to w kolorystyce zieleni, brązu i żółci. Wyroby garncarskie z Kołomyi i pobliskich miejscowości, Pistynia, Kut i Kosowa, otrzymały z czasem nazwę „majolika pokucka”. Najstarsze znane garnki pokuckie pochodzą z początku XIX w., z warsztatu Mateusza Kowalskiego. Pod koniec tego wieku w Kołomyi, Pistyniu, Kutach i Kosowie działało około 250 garncarzy. Widać takie było zapotrzebowanie. Każdy próbował stworzyć swój oryginalny styl, ale wszystkich zdominował samorodny artysta, uważany dziś za geniusza, Aleksander Bachmiński (1822–1882), malarz, garncarz, kaflarz. Spod jego rąk wyszły szczególnie fantazyjne malowidła na kaflach i glinianych garnkach.

Dziś oryginały Bachmińskiego są rarytasami. Cena antykwareczna jednego kafla sięga 500 dolarów. Bachmiński, jako najsławniejszy arcymistrz ceramiki pokuckiej, stał się na początku XX w. przedmiotem sporu polsko-ukraińskiego o jego przynależność narodową. Ukraiński etnograf Wołodmyr Szuchewycz, autor 4-tomowej cenio-



nej monografii o Huculszczyźnie (wydanej w latach 1889–1904), zrutenizował, czyli zukraińszczył imię i nazwisko Aleksandra Bachmińskiego, zmieniając je na Oleksa Bachmatiuk. Przeciwno temu nadużyciu ostro wystąpili polscy autorzy, twierdząc, że Bachmiński był Polakiem i polskim nazwiskiem sygnował swe dzieła. Etnograf Tadeusz Seweryn w 1925 r. odszukał księgi metrykalne rzymsko-katolickie, z których wynikało, że początkowo nazwisko artysty brzmiało Bachmatnik, ale ostatecznie zostało urzędowo zmienione na Bachmiński.

Również inni znani twórcy huculskiej ceramiki artystycznej, Mateusz Kowalski, Kazimierz Woźniak, Paweł Wołoszczuk, Piotr Sitalski, Piotr Koszak, zostali w opracowaniach ukraińskich, zwłaszcza w okresie istnienia ZSRR, zukraińszczeni. Ta praktyka zamazywania polskości niektórych twórców ceramiki huculskiej trwa nadal. Tak czyni dla przykładu Oleg Słobodnian w wydanej w 2004 r. monografii *Pistynska ceramika*.

Co do Aleksandra Bachmińskiego, sprawa jest dość oczywista. Podpisywał się na swoich kaflach piecowych (dziś na Ukrainie replikowanych, można je kupić w sklepie w Kołomyi) po polsku. Podobnie jest z Piotrem Koszakiem (1864–1941). Są nawet w ukraińskich muzeach prace sygnowane przez niego po polsku.

Obecnie największy zbiór prac Bachmińskiego znajduje się w Muzeum Historycznym w Sanoku. Trafił tam m.in. wspaniały okaz pieca kaflowego wykonany przez Bachmińskiego w latach 1849–1851, a należący niegdyś do rodziny Xawerego Dunikowskiego. Po śmierci rzeźbiarza Aleksander Rybicki nabył ten piec i przekazał do sanockiego muzeum. Skromniejsze kolekcje ceramicznych wyrobów pokuckich są w muzeach w Kołomyi i Kosowie. Piękny piec zbudowany z kafla, które wyszły spod ręki Bachmińskiego, przywiózł do Kazimierza nad Wisłą malarz Michał Boruciński (1885–1976) – miłośnik Huculszczyzny, autor cyklu graficznego *Głowy Huculów*, serdeczny przyjaciel Jerzego i Marii Kuncewiczów. Wiązało się to z budową przez Kuncewiczów ich domu w Kazimierzu, którego budowę ukończono w 1936 r. Piec z kafla Bachmińskiego, który stał się główną atrakcją i ozdobą tego domu, ostatecznie zaprojektował wybitny polski architekt Karol Siciński. Kuncewiczowie uważali ten piec za zbyt cenny, aby w nim palić. Był to dowód wyjątkowego szacunku do przed-

miotu codziennego użytku w trudnej do ogrzania „Willi Pod Wiewiórką”, bo taka jest oficjalna nazwa słynnej Kunciewiczówki, gdzie dziś mieści się muzeum pisarzy.

Oryginalne huculskie kafle i naczynia ceramiczne zadziwiają urodą i kolorystyką, choć jest to klasyczna sztuka naiwna, gdzieś ze świata wyobraźni Nikifora z Krynicy, któremu Ukraińcy postawili ostatnio pomnik w centrum Lwowa, przy kościele Dominikanów.

Bardzo popularne było też huculskie tkactwo wykonywane na ręcznych warsztatach. Dużym wzięciem cieszyły się wełniane pledy (łyżnyki) oraz kilimy z motywami huculskimi, farbowane naturalnymi barwnikami. Łyżnyki, kilimy i haftowane albo obszywane kolorową krajką soroczki są nadal produkowane metodą domową i sprzedawane na jarmarkach oraz przy drogach prowadzących w góry Czarnohory.

Muzeum Pisanki

W 1892 r. hrabia Edmund Starzeński stworzył w Kołomyi Muzeum Huculskie, które w okresie międzywojennym pod nazwą Muzeum Pokuckie zgromadziło duże zbiory rękodzieła huculskiego. Dziś te tradycje kontynuuje ukraińskie Muzeum Etnograficzne w Kołomyi, którego oryginalną, wydzieloną część stanowi Muzeum Pisanki. Umieszczono je w nowoczesnym budynku mającym kształt olbrzymiego kurzego jaja, wysokości 13,5 m. Zgromadzono w nim ponad 10 tysięcy pisanek z całego świata, głównie jednak z Pokucia i Huculszczyzny. Zbiór ten został wpisany do księgi rekordów Guinnessa.

W setkach gablot kołomyjskiego muzeum eksponowane są pisanki malowane, wydrapywane, wyklejane, oblepiane koralikami, ziarnkami maku, obszywane nićmi, jedwabiem czy kolorową włóczką. Przedstawiane są na nich scenki rodzajowe, z motywami roślinnymi, religijnymi, geometrycznymi, scenami z polowań i zabaw weselnych. Oprócz jaj kurzych są tam jaja kaczki, gęsie, orle, strusie, a także pisanki wykonane w kamieniach szlachetnych, drewnie lipowym, wypalane w glinie – fajansowe, szklane, porcelanowe, a także ażurowe, wykonane przy pomocy wiertel dentystrycznych. Mają tak wyszukaną kolorystykę i wzory, że trudno od nich oderwać wzrok. Największe wrażenie robią pisanki z kołomyjskiego Kosmacza z mikroskopijną ornamentyką oraz wydmuszki z Zakarpacia, które liczą po kilkadziesiąt lat, bo konserwatorzy tych muzealnych eksponatów osiągnęli mistrzostwo w swym fachu. Na Huculszczyźnie wieszano je na sznurkach pod świętymi obrazami.

Huculi na ekranie

Huculszczyzna fascynowała nie tylko poetów, pisarzy i malarzy. Gdy pojawił się film, sięgnięto również po tę tematykę. Pierwszym obrazem w kinematografii polskiej, w którym folklor huculski stanowił tło do rozgrywającego się dramatu miłosnego, był film Jana Nowiny-Przybylskiego pt. *Przybłęda*, zrealizowany w 1933 r. Scena-

riusz do tego filmu napisał Marceli Tarnowski, a muzykę Jan Maklakiewicz. Fabuła była dość blaha, ale siłą i walorem ponadczasowym w tym filmie są autentyczni Huculi w swych oryginalnych strojach, tworzący tło dla zawodowych aktorów. Są tam sceny przedstawiające huculskie wesele, małomiasteczkowy jarmark, autentyczne domostwa. Jan Nowina-Przybylski nakręcił swój film w wiosennych plenerach Czarnohory, gdzieś w okolicach Delatyna i Worochty.

Mistrzostwo w ukazaniu folkloru i pejzażu huculskiego osiągnął jednak Ormianin, który pod wpływem fascynacji twórczością Aleksandra Dowżenki głęboko wniknął w kulturę huculską, tworząc film, który jego nazwisko na trwałe wpisał do annałów światowego kina. Tym twórcą był Siergiej Paradżanow – artysta niezwykle, niepokorny, szalony, wizjonerski, który spędził wiele lat w sowieckich więzieniach. Jego film *Cienie zapomnianych przodków* z roku 1964, przesiąknięty tradycją, obrzędowością, mitami i legendami huculskimi, przyniósł mu światowy rozgłos i prestiżowe nagrody. Jest to film o uniwersalnym, ogólnoludzkim wymiarze – o wielkiej namiętnej miłości, nienawiści, tęsknocie i śmierci, osadzony w wysmakowanym artystycznie malowniczym pejzażu Czarnohory i Gorganów, z wielkimi rolami Iwana Mikołajczuka i Łarisy Kadoczkinej.

★★★

Dotknąłem tylko niektórych wątków w ogromnym obszarze niezwyklego fenomenu kulturowego, jakim jest Huculszczyzna, która ponownie fascynuje i kusi swą magią. Coraz więcej turystów wybiera tamte szlaki, po których krążyli niegdyś i mitologizowali je m.in. Bachmiński, Vincenz, Iwaszkiewicz, Sichulski, Liebert, Szuchewycz czy Paradżanow. Za turystami ciągną artyści i jestem przekonany, że ich wyprawy na stoki Gorganów i Czarnohory, na szczyty Howerli i Popa Iwana niedługo objawią się nowymi, ważnymi dziełami w sztuce europejskiej.



Zbigniew Ambrożewicz

?

Krytyka

kobiecego

roзумu

czyli
o kobietach
filozofów
nieudolne
wywody

„Kiedy się pisze o kobietach, trzeba maczać pióro w tęczy
i strząsać na linijki pyłek ze skrzydeł motyla; trzeba żeby
spadały perły, ilekroć potrząśniemy łapką...”

Denis Diderot, *O kobietach*

Filozofowie pisali o kobietach dosyć często. Dlaczego? Może dlatego, że byli mężczyznami? Może dlatego, że widzieli w płci przeciwnej cechy, których sami byli pozbawieni i sytuacja ta budziła w nich najwyższe zdumienie, zdziwienie zaś bywa nazywane matką filozofii. Nie wszyscy jednak zdobywali się na empatyczne zrozumienie fenomenu bycia kobietą. W jakiejś mierze udało się to Denisowi Diderotowi oraz angielskiemu liberałowi, Johnowi Stewartowi Millowi. Ten ostatni napisał gniewną rozprawę *O poddaństwie kobiet*, w której porównywał los kobiet w dziewiętnastowiecznej Anglii do losu niewolnika i domagał się przyznania płci niewieściej praw wyborczych. Niektórzy co prawda twierdzą, że słowa te podyktowała Millowi jego energiczna towarzyska życia, ale to pewnie wymysły złośliwych mężczyzn.

Średniowieczne, a nawet starożytne mroki

O kobietach można pisać jak Ajschylos:

Nie płodzi matka tego, co się zowie płodem,
a jeno żywi w łonie swym zasiane ziarno.
Płodzi ten, kto zapładnia; ona przechowuje
wiernie skarb powierzony, jeśli go nie zniszczy
wola boża. Że prawdę mówię, oto dowód.
Można być i bez matki ojcem; świadczy o tym
Zeusa Olimpijskiego tu obecna córa:
niemowlęciem bezradnym świata nie ujrzała,
nie dojrzewała w mroku matczynego łona –
latorośl, jakiej żadna nie zrodzi bogini.
(tłum. S. Srebrny)

Wywód ten, mający niejaki pretensje do naukowości, wygłasza Apollo w tragedii *Eumenidy*, ostatniej części *Orestei*, Ajschylosowej trylogii, opowiadającej o krwawych dziejach rodu Atrydów. Orestes, syn króla Agamemnona i Klitajmestry, morduje matkę, mszcząc w ten sposób podstępne zabójstwo powracającego z wojny trojańskiej ojca, dokonane przez Klitajmestrę i jej kochanka. Apollo staje w obronie Orestesa i nakłania Atenę oraz Erynie, boginie zemsty, do porzucenia zamiaru ukarania matkobójcy. Apollińskie perswazyje okazują się skuteczne – Orestes zostaje uwolniony od winy, a teoria, że matka jest ze swym dzieckiem, w gruncie rzeczy, w ogóle nie spokrewniona (!), w dziele prokreacji zaś może wręcz zbędna (inaczej niż ojciec!), zostaje uznana za całkiem wiarygodną i przekonującą. Podobne poglądy nie należały wśród starożytnych Greków do rzadkości. Arystoteles w poważnym dziele przyrodniczym *O rodzeniu się zwierząt* wygłasza tezy, które mocą jego autorytetu przetrwały wieki. Przede wszystkim, mężczyzna jako natura aktywna, utożsamiany zostaje z aktywnym metafizycznym elementem bytu zwanym przez Arystotelesa formą. Kobieta z kolei, z natury bierna, to materia, czyli ta część bytu, która sama z siebie nie posiada ani określonej postaci, ani mocy twórczej, ulega zatem aktywnej formie, przybierając wymuszony przez nią kształt. Dlatego w akcie prokreacji to nasienie mężczyzny decyduje o istocie przyszłego człowieka, kobieta dostarcza jedynie pozbawionej jakości

Zbigniew Ambrożewicz,
ur. 1960. Doktor nauk
humanistycznych, filozof. Autor
monografii o eseju filozoficznym
Bolesława Micińskiego, artykułów
na temat polskiej filozofii
(W. Lutosławski, A. Jakubisiak,
F. Młynarski, Z. Bauman,
F. Koneczny) i obcej (K. Jaspers,
J. Royce, J. Jaynes); publikował
m.in. w „Arkanach”, „Przeglądzie
Powszechnym” i „Stronach”.
Mieszka w Toszku.

materii. Co więcej, jeśli męska forma jest zbyt słaba, by w pełni ukształtować materię, rodzi się dziewczynka, co zdaniem Arystotelesa, jest „odchyleniem od normy”. Normalnym i zgodnym z naturą zdarzeniem są zatem narodziny chłopca, choć z drugiej strony, gatunek ludzki nie istniałby bez pierwiastka żeńskiego. Podobną niespójnością odznaczają się poglądy Arystotelesa na niewolnictwo – raz dowiadujemy się, że niewolnikiem jest się z natury, następnie słyszymy, że niewolnikami zostają wzięci podczas bitwy pechowcy – czasami i krwi szlachetnej... Tak czy inaczej, być niewiastą to chyba nawet i gorzej niż być niewolnikiem płci męskiej¹, bo wedle słów Filozofa, istota kobiecości polega na niezdolności produkowania nasienia („z powodu zimna cechującego jej naturę”), z czego niezbieżnie wynika, że kobieta to po prostu „jak gdyby nieplodny mężczyzna”... Nic tedy dziwnego, że kobieta w porównaniu z mężczyzną powinna odznaczać się zgółą innymi przymiotami duszy, zwanymi cnotami: „Tchórzem przecież wydałby się mąż, gdyby był tylko w tym stopniu dzielny, co dzielna kobieta”; czym innym także jest cnota milczenia dla gadatliwej z natury kobiety, czym innym dla małomównych mężczyzn; a wreszcie w „dziedzinie gospodarstwa na czym innym polega cnota mężczyzny i kobiety: jego zadaniem jest zdobywać, jej zaś zachowywać”². By już rozwiać wszelkie niejasności, należy ostatecznie stwierdzić, iż skoro kobieta to poniekąd wybrakowany mężczyzna, powinna mu podlegać, tak jak wolni obywatele podlegają swemu władcy, bo przecież „przewaga mężczyzny wobec kobiety zaznacza się stale”³.

Poglądy Arystotelesa na kobiety wyglądają na „ciemnogrodziańskie” i niezwykle zacofane wobec koncepcji jego nauczyciela, Platona, mającego przecież opinię twardego konserwatysty. Dialog *Państwo* opisuje wymyśloną przez Platona idealną, utopijną republikę, w której rządy sprawują poszukujący prawdy filozofowie, porządku zaś pilnują wyszkoleni w rzemiośle wojennym strażnicy. Nie byłoby w tym zapewne nic szczególnego, gdyby nie obszerny wywód, w którym Platon przekonuje nas, że zarówno filozofami, strażnikami, jak i urzędnikami pełniącymi wiele innych funkcji w państwie powinni być nie tylko mężczyźni, ale i kobiety. Dowiadujemy się więc, że „w administracji państwa [nie ma] żadnego zajęcia dla kobiety ani dla mężczyzny jako mężczyzny; podobnie są rozsiane natury u obu płci i do wszystkich zajęć nadaje się z natury kobieta i do wszystkich mężczyzna”⁴. Z faktu, że kobieta rodzi, a mężczyzna zapładnia, nie wynikają żadne zróżnicowania płciowe, jeśli chodzi o zdolności i zainteresowania. Bywają niewiasty o zamiłowaniach do filozofii, bywają inne, całkowicie w tej dziedzinie nieuzdolnione; podobnie rzecz wygląda w odniesieniu do mężczyzn. Kobieta filozof o imieniu Diotyma, postać prawdopodobnie autentyczna, odgrywa kluczową rolę w innym dialogu Platona, w *Uczcie*. Nie była to jedyna filozofka w starożytnej Grecji. Źródła wymieniają znaczną ilość niewiast, uczennic takich filozofów, jak

Pitagoras (kilkanaście imion!), Arystyp, Platon oraz najsłynniejsze: Aspazja z Miletu i Hipparchia z Maronei, żona i uczennica cynickiego myśliciela Kratesa. Z pewnością wszystkie te mądre przedstawicielki płci pięknej musiały wywrzeć mocne wrażenie na Platonie, kształtując w jakiejś mierze jego pogląd na charakter władzy w utopijnym państwie. Wrażenie mogło być tym silniejsze, że przecież kobiety miały bardzo słabą pozycję w greckich społeczeństwach, nie brały udziału w życiu politycznym, kulturalnym i sportowym, a opinie o nich wyrażone przez Ajschylosa i Arystotelesa należały do powszechnych. Ale jak twierdzą bezlitosne w tropieniu męskiego szowinizmu radykalne feministki, nawet Platon nie ustrzegł się mizoginicznych uwag. Gdy bowiem pisze o tym, że prace w państwie winny być równo pomiędzy kobiety i mężczyźni rozdzielane, w tym nawet zajęcia o militarnym niejako charakterze, na koniec, niby mimochodem, ale w istocie z prawdziwie patriarchalną pobłażliwością zauważa: „Więc u kobiety i u mężczyzny ta sama natura, jeżeli idzie o straż państwa, a tylko tyle, że jedna słabsza, a druga mocniejsza”. Wszyscy jednak dzisiaj wiemy, że kobiety dorównują siłą mężczyznom, trenują przecież kulturystykę, boks, podnoszenie ciężarów, a jak wiadomo np. z filmu Quentina Tarantino *Kill Bill* czy też Juliusza Machulskiego *Seksmisja* oraz z wielu innych, niejednokrotnie znacznie fizycznie mężczyzn przewyższają, z łatwością pokonując ich w bezpośrednim starciu.

Żarty jednak na bok, bo docieramy do przerażających i ciemnych czasów średniowiecznych, a wtedy podobno, jak sądzą niektórzy, nienawidzono kobiet, od sfery seksualnej zaś odwracano się ze wstrętem. Jeden z najwybitniejszych filozofów i teologów tego okresu – św. Tomasz z Akwinu – w znacznej mierze intelektualnie uzależniony był od Arystotelesa i dlatego podobnie jak on twierdził, że kobiety to czynnik materialny i bierny, a ich rozum jest znacznie słabszy niż męski. Jednakże w dążeniu do osiągnięcia chwały Bożej kobiety mogą z łatwością prześcignąć mężczyzn, czego najlepszym przykładem jest Maria, Matka Boża. Podział zaś płciowy uważał Tomasz za zgodny z naturą, ustanowiony przez Boga już w raju. Dlatego nie tylko płciowe rozmnażanie się, które miałyby miejsce nawet w stanie bezgrzesznej niewinności, ale i odczuwanie przy tym rozkoszy, uznać należałoby za całkiem naturalne. Różnica między stanem niewinności a stanem grzesznym (po wygnaniu z raju) leży jedynie w stopniu panowania nad zmysłami przez rozum. W rozkoszy osiągananej z kobietą mężczyzna nie doświadcza zatem, zdaniem średniowiecznego filozofa, niczego nienaturalnego i demonicznego. Oczywiście wyszperać można sporo zdań z tego okresu, potwornych, najczęściej wyrwanych z kontekstu cytatów pochodzących z licznych dzieł wyrażających niechęć lub nawet wstręt do płci pięknej. Ale czy współczesna literatura i film nie roją się od męskich wypowiedzi jawnie antykobiecych, przy których aspirujące do naukowości łacińskie zdania trzynastowiecznego myśliciela w habicie robią wrażenie wyważonych i spokojnych. Ponadto, wbrew niektórym opiniom⁵, św. Tomasz bynajmniej nie głosił dziwnego poglądu, że jedynie mężczyzna jest obrazem Boga. Żeby nie było wątpliwości, znowu cy-

¹ Nie jest to jednak całkiem pewne: „Niewolnik bowiem nie posiada w ogóle zdolności do rozważania, kobieta posiada ją wprawdzie, ale bez właściwej siły” (Arystoteles, *Polityka*, s.45).

² Arystoteles, *Polityka*, s.118.

³ Ibidem, s. 42.

⁴ Platon, *Państwo*, t.1, ks. V, s. 223, Warszawa 1994.

⁵ Zob. np. w składniad bardzo interesującej książce M.Boguckiej, *Gorsza pleć*, Warszawa 2005, s. 31.

tat z *Summy*: „Zarówno w mężczyźnie, jak i w kobiecie widnieje obraz Boga ze względu na to, w czym głównie ziszcza się treść obrazu, mianowicie ze względu na naturę myślącą. Stąd też Pismo św. po słowach: »Na obraz Boży go stworzył« tzn. człowieka, zaraz dodaje: »Mężczyznę i niewiastę, stworzył ich«, i w liczbie mnogiej mówi: ich”⁶. Dla pewności dodaje w innym miejscu, że obraz Boga odzwierciedlony w umyśle wspólny jest dla obu płci, ponieważ dla umysłu odrębność płci nie istnieje⁷. Niemniej Tomasz czuje się zobligowany wyjaśnić, że jednakowoż w jakiś drugorzędny sposób obraz Boga znajduje się inaczej w mężczyźnie niż w kobiecie, „bo mianowicie mężczyzna jest początkiem i celem kobiety, tak jak Bóg jest początkiem i celem całego stworzenia”, a wynika to zdaniem św. Tomasza z następujących słów Apostoła: „To nie mężczyzna powstał z kobiety, lecz kobieta z mężczyzny. Podobnie też mężczyzna nie został stworzony dla kobiety, ale kobieta dla mężczyzny”. I oto okazuje się, że jednak średniowiecze nie przepadało zbyt za kobietami, a filozofowie próbowali jakoś pogodzić oczywisty fakt, że płeć piękna należy do rodzaju ludzkiego, z przedziwnym odczuciem, że istnieją tajemnicze i niepokojące różnice między mężczyzną i kobietą.

W blasku „mizoginów” oświeconych

Ale to właśnie w oświeconym renesansie, w wieku XVI i XVII, różnice te zaczęły odgrywać coraz większą i to nieprzychylną kobietom rolę. Jak to przekonująco opisuje Maria Bogucka, takie wydarzenia i procesy historyczne jak narodziny kapitalizmu i reformacja powodowały stopniowe ograniczanie i tak skromnego zakresu kobiecych możliwości indywidualnego rozwoju i swobody. W wieku XVI wybitniejsze kobiety stały się częściej ofiarami oskarżeń o czary niż przedmiotem kultu jako święte. Popularna staje się literatura przekonująca czytelnika, nierzadko w złośliwy i niewyszukany sposób, o niższości niewieściego rodu, ale co ciekawe, zaczynają pojawiać się traktaty, pisane czasem przez mężczyzn, dowodzące równości albo i wyższości kobiet...⁸

W całej tej dyskusji filozofowie uczestniczą raczej w umiarkowanym zakresie. Kartezjusza nieszczególnie interesował problem odrębności płci, ale za to w latach 1643–1649 prowadził ożywioną korespondencję z Elżbietą, księżniczką palatynską, osobą głęboko zainteresowaną naukami przyrodniczymi, filozofią i matematyką, znającą wiele języków⁹. Listowna dyskusja wzbudziła u obojga wzajemną sympatię i podziw, po śmierci zaś Kartezjusza, Elżbieta energicznie zajęła się propagowaniem jego myśli w Niemczech, a jak przypomina Jerzy Kopania, to dzięki księżniczce słynny filozof Leibniz miał możliwość zapoznać się z dziełem innego słynnego filozofa, kartezjanisty, Malebranche’a¹⁰. Nawet jednak fakt, że Kartezjusz przybył do Szwecji

na zaproszenie królowej Krystyny zainteresowanej jego filozofią, nawet jednak kolejny fakt, że jeżdżąc na jej dwór codziennie o 5 godzinie, w mroźne lutowe poranki, nabawił się zapalenia płuc i wkrótce zmarł, nawet więc te fakty, mogące świadczyć o poświęceniu się filozofa dla kobiety, nie stanowią przeszkód dla feministycznych filozofek, by atakować na pozór nie tyle samego Kartezjusza, co jego filozofię, za bezwzględny mizoginizm. Kamieniem obrazy stało się najprawdopodobniej stwierdzenie wypowiedziane w jednym z listów do przyjaciela, że myśli swe w *Rozprawie o metodzie* starał się wyrazić w taki sposób, by nawet kobiety mogły coś z tego zrozumieć... Ten błahy zwrot, mogący nawet świadczyć na korzyść filozofa pragnącego oświecić żeńskie umysły, nienawykłe przecież w XVII wieku do metafizycznych rozważań, stał się niestety małostkowym powodem przypisania Kartezjuszowi stworzenia teorii, w której kluczową rolę odgrywa Rozum, męski Rozum, zawłaszczający i bezlitosny, pozbawiony uczuć scedowanych na kobiety, oderwany od przyrody, skłonny do logicznych manipulacji i ograniczony w swym obiektywizmie jedynie do tworzenia naukowych teorii. Mamy tu dwie feministyczne interpretacje. Pierwsza mówi: „Zawdzięczamy Kartezjuszowi wpływową i dominującą teorię, która wspiera płciowy podział działania umysłu”¹¹. Druga zaś twierdzi: „Kartezjańskie ponowne narodziny [jaźni] spowodowały powstanie nowej męskiej [*masculin*] teorii wiedzy, w której odłączenie od natury zyskuje pozytywną epistemologiczną wartość”¹². W pierwszym przypadku Kartezjusz ustanowił (mimowolnie!) arbitralny podział na sferę poznania kobiecą (emocje) i męską (czysty, logiczny rozum), w drugim – istniejący podział stereotypizował i poddał wartościowaniu na korzyść sfery męskiej. Na szczęście w tej samej, zawierającej cytowane opinie, książce, trzecia autorka bierze sponiewieranego filozofa w obronę. Pokazuje ona przede wszystkim, że inaczej niż Arystoteles, Kartezjusz uznawał działanie zarówno pierwiastka żeńskiego, jak i męskiego za jednakowo ważne w akcie prokreacji. Ponadto Kartezjuszowskie *cogito* posiada zdolność odróżniania prawdy od fałszu, a cecha ta nie jest ani szczególnie męska, ani żeńska¹³.

Podobne spory toczą się o innych filozofów, którzy w swych dziełach wspomnieli chociaż trochę o płci pięknej. Cięgi dostaje liberalny myśliciel John Locke, krytykujący z antynaturalistycznych pozycji niewolnictwo i poddaństwo, ale w swym *Traktacie drugim o rządzie* uznający mężczyzn za „naturalnie zdolniejszych i silniejszych”¹⁴. W związku z tym twierdzi się, że oczywiste jest, a także całkowicie poza jakąkolwiek dyskusją, że (jeśli będziemy pamiętali o „tradycyjnym” podziale w naszej kulturze na cielesne, czyli żeńskie, i intelektualne, czyli męskie) podmiot poznający u Locke’a (co widzimy „wyraźnie”), „rozumiany punktowo jako świadomość niezależna od ciała będzie podmiotem męskim”¹⁵. Przypadkiem szczególnym dla licznych krytyczek pozostaje Jan Jakub Rousseau. Napisał on bowiem niedokończony i mało znany

⁶ Św. Tomasz, *Summa Teologiczna*, t.7, tłum. o. P. Belch, Londyn 1975, s. 75.

⁷ Ibidem, s. 79.

⁸ Zob. M. Bogucka, op.cit.

⁹ Zob. J. Kopania, *Wstęp do: R. Descartes, Listy do księżniczki Elżbiety*, tłum. J. Kopania, Warszawa 1995.

¹⁰ W liście do Malebranche’a Leibniz pisał: „Dzięki łaskawemu przyzwoleniu Jej Wysokości Księżniczki Elżbiety, która jest osobą równie wspaniałą przez swe wykształcenie, jak przez swe urodzenie, mogłem być zobaczyć *Conversations chrétiennes* Wielebnego Ojca” (cyt. za: J. Kopania, *Wstęp*..., s. XXI).

¹¹ G. Lloyd, *Reason as Attainment*, [w:] *Feminist Interpretations of Rene Descartes*, red. S. Bordo, The Pennsylvania State University Press 1999, s. 79.

¹² S. Bordo, *Selections from The Flight to Objectivity*, [w:] *Feminist Interpretations of Rene Descartes*, s. 68.

¹³ Zob. S. Clark, *Descartes and Gender*, [w:] *Feminist Interpretations of Rene Descartes*, s. 82–102.

¹⁴ E. Majewska, *Feminizm jako filozofia społeczna. Szkice z teorii rodziny*, Warszawa 2009, s. 63.

¹⁵ Ibidem, s. 64.

traktat *O kobietach*, w którym wypomina mężczyznom niedopuszczanie kobiet do polityki, sztuki i literatury, nazywa ich tyranami i wyraża przekonanie, że gdyby kobiety miały więcej swobody, osiągnęłyby jeśli nie więcej, to przynajmniej tyle samo, co ich gniebicieli. Inne pisma genewskiego mędrca zawierają wszakże taką krytykę kobiecości, że zapewne całkowicie zasłużyły na zaliczenie ich do „tradycyjnego fallokratycznego dyskursu”¹⁶, cokolwiek by to miało znaczyć... W pedagogicznym traktacie *Emil, czyli o wychowaniu* dowiadujemy się, że dziewczynki, zgodnie z prawem i głosem natury, powinny być wychowane na żony i matki, całkowicie posłuszne swoim mężom i robiące wszystko, by im się podobać... W *Liście o widowiskach* wyjaśnione zostaje, że ta naturalna zależność niewiast ma źródło w ich naturze właśnie, odznaczającej się płochością, słabością fizyczną i intelektualną, a co gorsza, niezdolnością do prawdziwej miłości. Wystrzegać się też należy dopuszczania tych nieodpowiedzialnych istot do rządów w ustroju republikańskim, chociaż, oczywiście, poddany monarchy mogą być podobnie, jak mężczyźni¹⁷. Ci ostatni zaś nie powinni zbyt wiele czasu spędzać w niewieścim towarzystwie, powoduje ono bowiem, właściwe kobiecej naturze, zgnęśnienie: „Płeć słaba nie jest w stanie przyjąć naszego trybu życia, zbyt uciążliwego dla kobiet, i wobec tego zmusza nas, abyśmy przyjęli jej tryb życia, zbyt dla nas gnuśny”¹⁸. Do pełnego obrazu nie zawadzi dodać uwagi Paula Johnsona, konserwatywnego historyka, wyraźnie nie lubiącego „postępowego”, świeckiego „świętego” Jana Jakuba. Przypomina on pewną kobietę, prачkę Teresę, z którą Rousseau miał pięcioro dzieci, i która całkowicie mu oddana nie zaznała od niego, zdaniem Johnsona, odrobiny miłości, a raczej pogardę i lekceważenie¹⁹. Najgorszy los zgotował autor traktatu o wychowaniu (!) swoim dzieciom – cała piątka, świeżo po urodzeniu, trafiła do sierocińca, a ich dalsze dzieje nikogo już nie obchodziły, a najmniej ich ojca. Ten komentował to następująco: „Jak mógłbym osiągnąć spokój umysłu niezbędny dla mej pracy, jeśli moje poddasze wypełniły troski domowe i hałas dzieci?” Zdaje się, że dla dobra tych dzieci nie oddał ich rodzinie Teresy, jakże źle wychowanej, o swoim zaś niespełnionym ojcostwie, on, piewca uczuć i człowieka z natury dobrego, mówił: „Wiem bardzo dobrze, że nikt nie byłby czulszym ojcem ode mnie”²⁰.

Zostawmy wreszcie pokręconą, mitomańską i niezaprzeczalnie „fallocentryczną” (a już bezwzględnie „androcentryczną”²¹! – ach, te piękne epitety...) duszę słynnego szwajcarskiego ekshibicjonisty, nazwanego nie bez powodu „przywódcą osiemnastowiecznego antyfeminizmu”²². Spójrzmy na współczesnego mu Denisa Didero-

ta, podobnie jak Rousseau, niechętnego racjonalistycznym skłonnościom oświecenia, inaczej wszakże niż on traktującego kobiety. Ożenił się z osobą opisaną przez biografa jako „sumienna, rozsądna i pobożna”. Brakowało jej intelektualnych ambicji, choć potrafiła czytać i pisać. Niestety, nawet największa dobroć i troska może... znudzić lub zamęczyć przedmiot troski. Być może tak było w małżeństwie Diderota. Wiadomo bowiem, że każdą dłuższą nieobecność żony nasz filozof wykorzystywał na rozwijanie intensywnych kontaktów z pewną damą, pod wieloma względami odmienną od pani Diderot, kobietą niedobrą i samolubną, ale za to pełną intelektualnych pretensji i na dodatek pisarką²³. Zapewne wszystko to niezbyt dobrze świadczy o Diderocie, ale za to absolutnie nie można powiedzieć, że był on mizoginem. Troszczył się o córkę, a to, co napisał o kobietach, zadowoliliby prawdopodobnie niejedną feministkę. W rozprawce zatytułowanej *O kobietach* charakteryzuje płeć piękną subtelnie i z dużą empatią, aczkolwiek bez przesadnego bałwochwalstwa. „Kobiety! jakże mi was żal! [...] Uwolnione od wszelkiego zniewolenia byłybyście święte wszędzie tam, gdzie byście się pojawiły”²⁴. To już sporo! Zniewolenie kobiet nastąpiło nie tylko wśród „dzikich” ludów (na co daje Diderot przejmujące przykłady), ale także niewątpliwie wśród ludów cywilizowanych. Młoda dziewczyna z utęsknieniem oczekuje uwolnienia spod kurateli rodziców, potem nierzadko dostaje męża dyktatora, a nawet jeśli i nie, to przecież przed nią cała seria niełatwych dni: „Okres ciąży jest trudny prawie dla wszystkich kobiet. To w bólach, to z zagrożeniem życia, to kosztem urody, a niekiedy również zdrowia dają życie dzieciom. [...] Wraz z wiekiem uroda znika, przychodzą lata opuszczenia, złości i nudy. To przez niedyspozycję natura przygotowuje je do tego, by stały się matkami, i przez niedyspozycję długą i niebezpieczną odbiera im zdolność, by nimi być”²⁵. Tak oto, stwierdza Diderot, okrutne w stosunku do kobiet prawa społeczne i ludzkie sprzymierzyły się z niemniej okrutnymi prawami natury. Tymczasem dusza kobieca zdolna jest w większym stopniu niż męska do emocji, ekstatycznych uniesień i cierpiętnictwa. Gdy zostaje obdarzona geniuszem – przewyższa oryginalnością geniusz męski, więcej w niej przyzwoitości, choć pewno tyle samo, co w mężczyźnie zacności. O ile jednak mężczyzna posługuje się siłą, kobieta używa podstępów, trudniej podejmuje decyzje, lecz gdy jakiś zamiar poweźmie, trwa w nim bardziej konsekwentnie od mężczyzny. Niestety, równie wytrwała jest w występku i w zepsuciu. I tu Diderot rozpoczyna bardzo poważne moralizowanie. Bo przecież obyczajność pozostaje „pod strażą płci nieśmiałej”. „Kto będzie się czerwienił – pyta z kaznodziejską pasją filozof – gdy kobieta czerwienić się przestanie?”²⁶. Niewiasta zameżna wkraczająca na drogę zdrady, oddająca się przelotnym romansom, niszczy nie tylko miłość małżeńską, ale i macierzyńską. Gdzież te proste, dawne czasy, kiedy to istniały tylko kobiety uczciwe i nieuczciwe, kiedy to

¹⁶ S. Kofman, *Rousseau's Phallographic Ends*, [w:] *Feminist Interpretations of Jean-Jacques Rousseau*, red. L. Lange, The Pennsylvania State University Press 2002, s. 231.

¹⁷ Zob. J. J. Rousseau, *List o widowiskach*, tłum. W. Bieńkowska, [w:] idem, *Umowa społeczna*, Warszawa 1966, s. 451–454.

¹⁸ Ibidem, s. 451.

¹⁹ Zob. P. Johnson, *Intelektualiści*, tłum. A. Priber, Poznań 2000, s. 32–33. Gwoli sprawiedliwości, Johnson cytuje jednak słowa Rousseau komplementujące Teresę: „anielskie serce”, „czuła i cnotliwa”, „światy doradca”, „prosta dziewczyna bez kokieterii” (ibidem).

²⁰ Ibidem, s. 35.

²¹ Od greckiego: *andros* – męski.

²² M. Angenot, *Les champions des femmes: examen du discours sur la supériorité des femmes 1400–1800*, Montreal 1977, s. 86.

²³ Zob. J. Morley, *Diderot and the Encyclopædists*, Londyn 1905, t.1, rozdz. II.

²⁴ D. Diderot, *O kobietach*, tłum. M. Skrzypek, [w:] idem, *O kobietach oraz inne miniatury literacko-filozoficzne*, Gdynia 1992, s. 7.

²⁵ Ibidem, s. 5–6.

²⁶ Ibidem, s. 11.

nie zastanawiano się, czym różni się ladacznica od niewiernej małżonki... Od kobiety zatem zależy, zdaniem Diderota, bardzo wiele, zależy bowiem moralna kondycja całego społeczeństwa. Ale być może autor *Kubusia Fatalisty* wymagał zbyt wiele, zwłaszcza że sam nie wykazał się szczególną małżeńską wiernością. Przecież był tylko mężczyzną... W gruncie rzeczy nie wiadomo, czemu feministyczne filozofki ani nie wychwalają Diderota pod niebiosą za wrażliwość na kobiecą duszę i krzywdę²⁷, ani też nie ganią go za zbyt męski punkt widzenia. Czy przypisywanie kobietom szczególnej wrażliwości, ale też i odpowiedzialności w kwestiach moralnych ujawnia jeszcze typowy „fallocentryczny” dyskurs, czy może zapowiada kielkujący już dyskurs feministyczny...? Pytanie brzmi groźnie, ale odpowiedź zwykle bywa niewiarygodnie zmatowiona, choć dla niektórych osób ważna. Trzeba będzie do tej kwestii powrócić, bo niejedna feministka trzyma się nad rewizją tzw. kanonu filozoficznego, czyli tego, co w filozofii dobre, a co złe (dla kobiet).

Jak w tym kanonie wygląda filozofia wielkiego Immanuela Kanta? Myśliciel ten, pozostający do końca życia w stanie bezzennym, czyli jak to mówiono niegdyś – będący „starym kawalerem”, a o którym powiedziano by dzisiaj, że jest... „singlem”, bardzo lubił kobiece towarzystwo, uważając je za prawdziwą ozdobę świata. Bo też kobiety są piękne i pewnie dlatego mają wrodzone bardzo silne poczucie piękna, które zawsze wolą od użyteczności. W oczach Kanta niewiasty jawią się jako istoty pełne wdzięku, eteryczności i wrodzonej im skromności, skłonne do beztrudnej zabawy i strojenia się, ale już we wczesnych latach życia (w odróżnieniu od rówieśniczej płci męskiej!) dobrze ułożone i spokojne. W ogóle płeć piękna (określenia tego królewiecki mędrzec używa z prawdziwym upodobaniem) w porównaniu z mężczyznami odznacza się większym współczuciem, przyjaznością i uprzejmością. Mężczyźni winni bardzo uważać, by nie urazić delikatnych kobiecych uczuć, by nie zniechęcić ich do siebie brakiem uwagi lub, co gorsza, męską grubiańskością²⁸. Kant nieustannie podkreśla, że aczkolwiek obie płcie należą do tego samego ludzkiego rodzaju, różnią się od siebie. Dla kobiety zajętej szukaniem piękna mniej liczy się istotna dla mężczyzny wzniosłość. Kontemplacja piękna nie wymaga większego wysiłku, inaczej niż wzniosłość, której poczucie bierze się z nieustannych dążeń do wyznaczonego celu i podziwu dla wysiłku przezwyciężania trudności. Dlatego mężczyźni lepiej rozumieją kwestie moralne, związane z godnością ludzką, łatwiej im pojąć pojęcia abstrakcyjne, łatwiej niż kobietom skoncentrowanym na partykularnych sprawach i rzeczach pięknych. Krzywdę czyni się więc płci pięknej, dręcząc ją geometrią, filozofią i innymi naukami, w których wprawdzie mogą osiągnąć pewną biegłość, ale po pierwsze – nigdy równą męskiemu geniuszowi, a po drugie – zdecydowanie osłabiającą ich naturalny wdunek, tak atrakcyjny dla mężczyzn (w tym, niewątpliwie, dla Immanuela Kanta...). I w ten sposób twórca

niemieckiej filozofii klasycznej trafia do mizoginistycznego towarzystwa, wraz z wieloma innymi mędrkami. Feministyczna filozofka konkluduje: „Kant zrównuje męskie wartości z cechami koniecznymi do autentycznego działania moralnego; autentyczne działanie moralne podporządkowuje się nakazowi obowiązku, a nie emocjom. [...] Trudno uciec przed wnioskiem, że zgodnie z Kantowskim schematem, kobiety niezdolne są do moralnego działania; ich »moralność« wyrasta nie z żadnej zasady, lecz jest emocjonalną odpowiedzią na sytuację”²⁹. Chyba jednak przed feministycznym wnioskiem, jak zwykle mocnym, uciec można, bo Kant w żadnym razie nie negował racjonalności kobiet (skoro są w stanie pojąć nauki!).

Dziewiętnastowiecznie, ale jakoś nieromantycznie

Chyba niewielu panów spośród wielkich filozofów dorównało w antyfeministycznych zapędach Arturowi Schopenhauerowi, uważającemu się za wiernego ucznia Kanta. Schopenhauer, twórca filozofii pesymizmu, w młodości nie stronił od niewieścich wdzięków. Znał jego romanse, zwłaszcza trwający dłużej, z pewną aktorką, której pod koniec życia zrobił zapis w testamencie. Wiadomo, że rozważał nawet możliwość ożenku, który miał mu przynieść tak zwane „ustatkowanie się” i lepszą pozycję materialną, porzucił jednak ten zamiar, stwierdzając, że by swobodnie oddawać się duchowym peregrynacjom, nie może ulec takiemu zniewoleniu: „nie mam zamiaru zmniejszać o połowę swych praw, ani podwajać swych obowiązków”³⁰. Niewykluczone, że na fatalną opinię o kobietach miała wpływ matka Artura, kobieta aktywna w towarzystwie artystycznym, parająca się piórem i obdarzona pewnymi ambicjami intelektualnymi, która jednak, o dziwo, wykazywała kompletny brak zrozumienia dla ponurej wrażliwości swego syna. W jednym z listów stanowczo domagała się, by Artur, dwudziestoletni wtedy młodzieniec, zmienił swój sposób bycia, tzn. powstrzymywał się „przed nieszczęsnym dysputowaniem, które wprawia mnie w zły humor; jak też przed utyskiwaniem nad głupim światem i nędzą ludzką, gdyż zawsze mam po tym złą noc, a ja lubię dobrze pospać”³¹. Zapamiętał zachowanie matki, gdy umierał jego ojciec: „Moja pani matka przyjmowała gości i bawiła się, podczas gdy on umierał w samotności i cierpiał dotkliwie. Taka jest miłość kobiety”³². Być może dlatego (a może jeszcze z jakichś innych powodów?) w rozprawie pod znanym już tytułem *O kobietach* pastwi się w sposób bezlitosny nad płcią piękną, podając nawet w wątpliwość stosowane po prostu jej określenie: „Niską, wąskoramienią, szerokobiodrą i krótkonogą płcią nazwać piękną mógł jedynie zamroczony popędem płciowym męski intelekt”³³. Dalej następuje cała litania: że są z natury niesprawiedliwe, że są szczeblem pośrednim między nami (męż-

²⁷ Pewna autorka zauważa jednak wysiłek Diderota w ustawianiu się nie tylko w roli podmiotu męskiego, ale i żeńskiego, co zostaje nazwane dobrym sposobem dążenia do prawdy (zob. Ch. Fauré, *Political and Historical Encyclopedia of Women*, New York 2003, s. 102).

²⁸ Zob. I. Kant, *Rozważania o uczuciu piękna i wzniosłości*, tłum. M. Żelazny, [w:] idem, *Pisma przedkrytyczne*, Toruń 1999.

²⁹ B. Clack, *Misogyny in the western philosophical tradition: a reader*, New York 1999, s. 45.

³⁰ Wypowiedź Schopenhauera cytowana za: W. Abendroth, *Arthur Schopenhauer*, tłum. R. Różanowski, Wrocław 1998, s. 101.

³¹ Ibidem, s. 24.

³² Ibidem, s. 21.

³³ A. Schopenhauer, *O kobietach*, tłum. M. Uliński, „Principia” 1992, t.V, s. 55.

czynami) a dziećmi i dlatego nadają się na opiekunki, że są zainteresowane jedynie teźniejszością, a nie jak mężczyźni przeszłością i przyszłością, że mają słabszy rozum, choć wiele sprytu, że znakomicie udają („prawdziwie szczerą kobietą jest zapewne niemożliwa”), że są pełne fałszu, zdradliwe, a nawet bez wyraźnej potrzeby kradną (!). Według Schopenhauera, kobiety istnieją tylko w celu podtrzymania gatunku i dlatego tak bardzo irytował go charakterystyczny dla Zachodu status damy – osoby, której okazuje się szczególne względy, szacunek i oddanie. Cała Azja śmieje się z Europy, a gdyby mogły, zapewne śmiałyby się i starożytna Grecja, i Rzym z powodu panujących tu „damskich nieporządków”. Zamiast „dam” powinny istnieć wyłącznie „panie domu i dziewczęta spodziewające się nimi zostać, i w związku z tym wychowywane nie do arogancji, lecz do gospodarności i podległości”³⁴. Niewykluczone, że uwagi o „damach” wprost odnoszą się m.in. do matki Schopenhauera... Wreszcie rozprawia się Schopenhauer z poglądem, jakoby małżeństwo monogamiczne stanowiło dobrą rzecz dla kobiety. Ten rodzaj związku stawia niewiastę w całkowicie fałszywej i niezgodnej z jej naturą pozycji równości wobec mężczyzny. Filozof chwala zatem wielożenstwo praktykowane w wielu krajach na świecie, także przez mormonów. W społeczeństwach przestrzegających monogamii, dowodzi gdański mędrzec, poza związkami pozostaje wiele kobiet, którym – pozbawionym środków do życia – przypada los wegetujących starych panien lub prostytutek. W gruncie rzeczy, dodaje filozof, i tak większość z nas żyje w związkach poligamicznych, tyle tylko, że nieuregulowanych prawnie.

Nie wydaje się, by Fryderyk Nietzsche miał o kobietach jakieś szczególnie złe zdanie. Wiele lat przyjaźnił się, korespondował i zasięgał rady u Malwidy von Meysenbug, starszej od niego arystokratki i pisarki, określanej przez biografię Nietzschego mianem „ciotki całego młodszego pokolenia pisarzy i artystów świata niemieckojęzycznego”³⁵. Poważnie myślał też o małżeństwie, jego dwukrotne starania spotkały się jednak z odmową, a wydaje się, że był nie na żarty zakochany. Jego wybranką była – uważana przez siostrę Nietzschego za osobę niemoralną i niegodną jej brata – Lou Salomé, młoda kobieta, zainteresowana filozofem wyłącznie jako filozofem i pasjonującym rozmówcą. Można jedynie snuć przypuszczenia, co kształtowało sądy Nietzschego na temat płci słabej. Być może to, co napisał w *Ludzkie, arcyludzkie*, wynikało ze znajomości z Malwidą (było to jeszcze przed poznaniem Lou Salomé), być może filozof uległ typowo romantycznemu myśleniu na temat płci³⁶. Tak czy inaczej, w rozdziale siódmym tej książki czytamy: „kobiety mają rozum, mężczyźni uczuciowość i namiętność”³⁷, i jeszcze: „Kobieta doskonała jest wyższym typem człowieka niż doskonały mężczyzna; a także czymś o wiele rzadszym”³⁸. Rozumność

kobieca pojmowana jest tu najprawdopodobniej jako rozsądek i bystrość w sprawach praktycznych, cechy przypisywane później w filozofii Nietzschego rasie niewolników, istot z natury słabszych, niesamodzielnych intelektualnie i duchowo, kierujących się życiowym sprytem. Z kolei męska namiętność i uczuciowość ma wiele wspólnego z arystokratyczną rasą panów, osobników o irracjonalnych, czasem okrutnych zachowaniach, zdolnych do wzniosłych uczuć, pielęgnujących niezależność, gardzących praktyczną stroną życia. Rasę panów uznawał Nietzsche za lepszą i szlachetniejszą, ale ginącą część ludzkości. Kobieta gorszym człowiekiem? W *Ludzkie, arcyludzkie* na pewno nie, w późniejszych pismach być może... Z pewnością mnóstwo tu znakomitych obserwacji psychologicznych, jak choćby spostrzeżenie (potwierdzone przez współczesną psychologię) o kobiecym nakierowaniu na osoby i męskim na przedmioty: „Ponieważ kobiety o tyle bardziej interesują się osobistościami [czyli osobami] niż rzeczami, godzą się w ich widnokęgach kierunki, które logicznie są ze sobą w sprzeczności: zwykle zapalają się one kolejno do przedstawicieli tych kierunków i przyjmują ich systemy od stóp do głów”³⁹. Innymi słowy: kobieta potrafi do głębi przejąć się poglądami głoszonymi przez rozmaite osoby, nawet jeśli poglądy te wzajemnie się wykluczają, a to z powodu faktycznego identyfikowania się nie z jakimś poglądem, lecz właśnie z osobą. W późniejszym o kilka lat *Poza dobrem i złem* Nietzsche wypowiada parę antykobiecych złośliwości à la Schopenhauer, twierdzi również, podobnie jak on, że kobieta winna dla swego dobra być absolutnie posłuszna mężczyźnie. Uzasadnienie tej tezy wydaje się jednak znacznie ciekawsze i głębsze niż u gdańskiego pesymisty. Wyzwalanie się kobiety to dla Nietzschego przejaw degenerowania się Europy, taki sam jak szerzenie się, schlebiących najprymitywniejszym gustom i najniższym instynktom, demokracji, liberalizmu, socjalizmu i nacjonalizmu. Człowiek choruje na człowieka, mówi Nietzsche, człowiek przestał się bać człowieka, bo oswoił i udomowił swoją wewnętrzną bestię, bo spełtał dające mu wielkość swoje nieposkromione namiętności, bo indywidualistyczną moralność panów zastąpiła konformistyczna, kolektywistyczna moralność lękliwych niewolników. Podobnemu zniewoleniu zaczyna ulegać kobieca natura. To co pospolicie nazwane zostało „wyzwalaniem się” kobiety, dzieło niektórych kobiet oraz „męskich półgłówków” i „uczonych osłów płci męskiej”, to „małpowanie” tego wszystkiego, na co choruje dziś w Europie tzw. mężczyzna, a co nieuchronnie zaprowadzi kobietę do całkowitego wyzucia jej z kobiecości. W nowoczesnej, „kupieckiej”, wyzbytej „rycerskiego ducha” Europie, kobieta pragnie stać się „kupczykiem”, politykiem, czytelnikiem gazet i wolnomyślicielem. Przestaje odczuwać trwogę wobec mężczyzny, ale i trwogę tę przestaje budzić: „Tym, czym kobieta wzbudza dla siebie cześć, a nieraz trwogę, jest jej natura, »naturalniejsza« od natury męskiej, jej iście drapieżna przebiegła gibkość, jej szpon tygrysi pod rękawiczką, naiwność jej egoizmu, jej zawziętość i wewnętrzna dzikość, nieuchwytność, bezbrzeżność, błędność jej cnót i żądz”⁴⁰. Boleje Nietzsche

³⁴ Ibidem, s. 58. Jako na poły humorystyczne i zapewne oparte na obserwacji życia „wyższych sfer” można potraktować takie oto spostrzeżenie Schopenhauera: „Wystarczy przyjrzeć się kierunkowi i rodzajowi ich uwagi podczas koncertu, opery lub spektaklu teatralnego np. dziecinnej bez trosce, z jaką kontynuują swoją paplaninę w czasie najpiękniejszego miejsca największego arcydzieła. Jeśli jest prawdą, że Grecy nie dopuszczali kobiet na przedstawienia, to mieli bezwzględnie rację; przynajmniej ludzie mogli coś w ich teatrach słyszeć” (ibidem, s. 56).

³⁵ Zob. R. J. Hollingdale, *Nietzsche*, tłum. W. Jeżewski, Warszawa 2001, s. 128.

³⁶ Zob. M. Uliński, *Antyfeminizm Fryderyka Nietzschego*, „Principia” 1993, t. VII, s. 29.

³⁷ F. Nietzsche, *Ludzkie, arcyludzkie*, tłum. K. Drzewiecki, Kraków 2003, s. 208.

³⁸ Ibidem, s. 203.

³⁹ Ibidem, s. 211.

⁴⁰ Idem, *Poza dobrem i złem*, tłum. S. Wyrzykowski, Warszawa 1907, s. 204.

nad sytuacją, do której zmierza europejska „kultura”, nad sytuacją, w której kobieta faktycznie tak upodobni się do mężczyzny, że przestanie wzbudzać i obawę, i potrzebę opieki, a tym samym utraci jakąkolwiek nad mężczyzną władzę. I znowu – podstawowe pytanie feministyczne, tym razem dotyczące Nietzschego, brzmi: „Czy myślenie Nietzschego jest fallocentryczne, oraz czy zawiera sprzeczne aspekty, dzięki którym może ono zostać poprowadzone w inną stronę?”⁴¹, co po prostu znaczy: czy da się z tego antyfeministy, który był niestety wybitnym myślicielem, wycisnąć nieco, miłego naszym sercom, feminizmu, czy też nie da się... Bo jak by nie było, z jednej strony Nietzsche podważa całą dotychczasową platońsko-kartezjańską metafizykę, a ta przecież, „jak wiadomo” wybitnie męska jest, bo gardzi cielesnością, a cielesność w parze idzie z kobiecością. Użyteczne dla feministek mogą być również nietzscheańskie analizy resentymentu i moralności niewolniczej. a także związane z tym poglądy na temat prawdy, którą Nietzsche uważał za zależną od usytuowania w psychologicznym i społecznym kontekście, a zatem za nieobiektywną i nieabsolutną (czyli, oczywiście, nie-fallocentryczną). Ponadto, żeby było trudniej, autor *Tako rzecze Zaratustra* inaczej niż np. Kant, a podobnie jak Rousseau, kobietom przyznaje większą racjonalność, w mężczyznach widząc istoty emocjonalne. Z drugiej wszakże strony, Nietzsche nie szczędzi kobietom uszczypliwych uwag, i przyjmuje całkowicie fallocentryczny (a jednak, a jednak!) punkt widzenia, jakoby prawdziwa natura kobiet polegała na „robieniu wrażenia na mężczyznach”.

Współcześnie i bardzo postępowo (liberalnie, psychoanalitycznie lub socjalistycznie)

Spory o Nietzschego, Kanta, Kartezjusza i innych pokazują, że feministki nie są w stanie ustalić jednego „pozytywnego” (prokobiecego) kanonu filozoficznego. Czy Kartezjusz był niebezpieczny dla feminizmu, czy użyteczny? Czy Platon był mizoginem, czy nie? Dlatego Charlotte Witt przytomnie zauważyła: „Jeśli feministki argumentują za obydwojema stanowiskami, zaczynamy patrzeć podejrzliwie na obie interpretacje. A jeszcze poważniej, zaczynamy podejrzewać, że nie ma czegoś takiego, jak feministyczna interpretacja [myśli] filozofa”⁴². Bo czy feministki uważając rozum, logikę i naukę za specyficzne męskie wytwory, chcą je całkowicie odrzucić jako fałszywe (obiektywnie fałszywe?, ależ obiektywność to męski wymysł!), czy jedynie dążą do ich jakiegoś przeformułowania? Do jakich rezultatów może to prowadzić, pokazują Alan Sokal i Jean Bricmont. Opisują oni próbę feministycznej krytyki nauk fizycznych dokonaną przez słynną filozofkę belgijską Luce Irigaray. Uważa ona, posiłkując się w swych rozważaniach szeroko pojętą psychoanalizą, że uprawianie nauki

zdeteterminowane jest płcią. I tak na przykład znany wzór Einsteina, $E=mc^2$, nazwany zostaje wzorem... seksistowskim. Dlaczego? „Moim zdaniem na seksistowski charakter tego równania wskazuje nie tyle jego znaczenie dla budowy broni jądrowej, ale raczej uprzywilejowanie tego, co najszybsze”⁴³. Najszybsze, tj. prędkość światła (domyślamy się, że to „męskie”) zostaje postawione wyżej od innych prędkości, potrzebnych do życia (niewątpliwie „kobiecych”). Ale nie to stanowi główne osiągnięcie Irigaray z zakresu fizyki. Jej zdaniem, mechanika ciała sztywnego jest zdecydowanie uprzywilejowana w porównaniu z mechaniką cieczy. Płyny zostały wyeliminowane z nauki i istnieją jako nie-ciała stałe, podobnie do kobiet wykreślonych z maskulinistycznych teorii i języka i istniejących jedynie jako nie-mężczyźni. Płyny przecież, tłumaczy Irigaray, wypełniają i wylewają się z kobiety, podczas gdy męskość podkreślana jest przez to co sztywne⁴⁴, a ponieważ to mężczyźni tworzą fizykę, więc uprzywilejowanie mechaniki zostaje wyjaśnione... Sokal i Bricmont spokojnie, ale zdecydowanie podsumowują te wywody jako „brak zrozumienia roli przybliżeń i idealizacji w nauce”, gdzie „ciecze, psychoanaliza i logika matematyczna mieszają się w sposób zaiste fantastyczny”⁴⁵. Zdumiewająco znajome i, wydawałoby się, dostatecznie skompromitowane i przebrzmiałe patrzenie na naukę przez okulary ideologii odżywa w pełnej krasie.

Żeby było jeszcze bardziej swojsko, nie od rzeczy będzie dodać, że część feministek odwołuje się nie tylko do Freuda, ale i do Marksa. Pierwszy, twórca psychoanalizy, uważany jest za tego, który dowartościował seksualność kobiety, chociaż o kobietach wyrażał się dziwnie niewspółcześnie. Znana freudowska „zazdrość o penisa”, którą przypisywał dziewczynkom zrozpaczoną poważną usterką własnego ciała, to nic innego tylko nowa wersja arystotelesowskiej kobiety jako człowieka „wybrakowanego”. Brak penisu stara się ten (ta) „wykastrowany samiec” zrekompensować dobrym wyglądem, a także całkowicie obcą kobiecej naturze pracą; i niestety, pod względem moralnym znacznie ustępuje mężczyźnie⁴⁶. Z kolei Marks, a właściwie nie Marks, a Engels (w PRL mieli przecież kolektywne *Dzieła zebrane*), pisząc, że pierwszym uciskiem klasowym był (w małżeństwie) „ucisk płci żeńskiej przez męską”, natchnął znaną nam już Irigaray do „przedstawienia analizy sytuacji kobiet jako towaru wymienianego przez mężczyzn na rynku; towaru, który posiada określoną wartość dodatkową, jeśli jest wymieniany dostatecznie często”⁴⁷. Kobieta jako proletariusz powinna zatem dążyć do płciowego wyzwolenia spod męskiego panowania, mając jako oręż naukowy feminizm. Na czym miałyby to wyzwolenie polegać? Szukając najlepszej odpowiedzi, ale i najbardziej radykalnej, trzeba uświadomić sobie istotę kobiecej opresji. Ujawnia ją pani Simone de Beauvoir, kochanka (teraz mówi-

⁴¹ K. Ansell-Pearson, *Nietzsche, Woman and Political Theory*, [w:] *Nietzsche, Feminism and Political Theory*, red. P. Patton, London 1993, s. 33.

⁴² Ch. Witt, *How Feminism Is Re-writing the Philosophical Canon*, w: <http://www.uh.edu/~cfreelan/SWIP/Witt.html>

⁴³ L. Irigaray, *Sujet de la science, sujet sexué?* Cyt za: A. Sokal, J. Bricmont, *Modne bzdury. O nadużywaniu pojęć z zakresu nauk ścisłych przez postmodernistycznych intelektualistów*, tłum. P. Amsterdamski, Warszawa 2004, s. 112.

⁴⁴ A. Sokal, J. Bricmont, *Modne bzdury...*, s. 113.

⁴⁵ Ibidem, s. 117 i 116.

⁴⁶ Za: M. Środa, *Indywidualizm i jego krytycy*, Warszawa 2003, s. 223.

⁴⁷ E. Majewska, op.cit., s. 98.

my: konkubina!) i w końcu żona filozofa Jean Paul Sartre'a. W książce pod tytułem *Druga płeć* znajdujemy ważne dla feminizmu rozróżnienie na *sex*, czyli płeć biologiczną i *gender* – płeć pojmowaną kulturowo. „Nikt się nie rodzi kobietą”, mówi de Beauvoir, co znaczy, że kobieta ze swoją cielesnością, ze swoją biologicznością znajduje się już od urodzenia w znaczeniach określonych przez *gender*; znaczeniach, które są dla niej pułapką zastawioną przez mężczyzn, twórców tych znaczeń. Co robić? „Aby zaprzeczyć tej sytuacji, aby wybić się na neutralność, kobiety powinny nie tyle zanegować swoją cielesność, ile wyzwolić się ze znaczeń nadanych tej cielesności przez kulturę”⁴⁸. Czy jednak możliwa jest ucieczka od roli „matki, opiekunki, żywicielki skłonnej do poświęceń”. A jeśli tak, to dokąd? I tu wpadamy w pętlę pracowicie sporządzoną przez różnego rodzaju feministki. Niektóre (o nastawieniu liberalnym) głoszą uniwersalistyczny ideał społeczeństwa androgynicznego, tj. takiego, w którym po stronie żeńskiej znajdzie się zarówno miejsce dla rozwijania prawdziwej kulturowej kobiecości (opiekuńczość, współczucie, zdolność do współpracy), jak i „genderowych” cech męskich (przywódcość, inicjatywa, rywalizacja). Faktycznie miałyby to oznaczać upodobnienie obu płci w imię jakiegoś ponadpłciowego ideału i spełnienie najczarniejszych koszmarów Nietzschego.

Gwałtownie protestują przeciw takiej utopii feministki nastawione bardziej psychoanalitycznie, lewicowo lub komunitarystycznie (wspólnotowo). Oto kobiety jako istoty wyższe, obdarzone lepszymi cechami, winny je w sobie nie tylko usilnie pielęgnować, lecz także przenieść na całe społeczeństwo. W „zmaternalizowanej” w ten sposób społeczności zniknie alienacja, wyzysk i konkurencja, a zapanują cnoty uważane za macierzyńskie: bezwarunkowa miłość, bezinteresowność, asymetryczność we wzajemnej relacji, pozbawiona jednak dominacji jednej ze stron, itd.⁴⁹. Z kolei prawdziwe ekstremistki feministyczne – wzorem Marksa wieszczącego rychły „rozkład” kapitalizmu, a potem także i państwa – głoszą konieczność „dekonstrukcji” rodziny. Według tych radykałek, „ciąża, urodzenie oraz wychowanie dziecka to akty opresyjne i upokarzające, od których kobiety powinny zostać wyzwolone”⁵⁰, a prokreacja winna odbywać się drogą sztucznego zapłodnienia. Wszystko to ma zaprowadzić nas do szczęśliwego społeczeństwa wyzbytego płciowości i tradycyjnych, represyjnych, patriarchalnych stosunków rodzinnych. Koncepcja ta, w której opresją czyni się biologię, przyjmowana z rezerwą przez znaczną część feministek, wydaje się niestety logiczną i nieuniknioną konsekwencją niektórych przedstawionych wcześniej tez. Jak bowiem uciec przed kulturowymi znaczeniami *gender*? Nie wzięły się one przecież jedynie z niegodziwych męskich głów, lecz wyłoniły z realnej podstawy biologicznej, której istnienia oficjalnie nie negują same feministki. Usilnie jednak zaprzeczają, jakoby różnice fizyczne mogły mieć bezpośredni wpływ na – wykształcone jedynie drogą kulturowych nacisków – cechy psychiczne kobiety. Cechy te zresz-

ta – wynik patriarchalnej przemocy, wysoko są cenione, i to nie tylko przez kobiety⁵¹. A to stwierdzenie nie wygląda na poprawnie polityczne: jakże to – represja, ucisk, brak wolności, wyzysk doprowadziły do *wychowania* takich miłych istot jak kobiety? Czy aby feminizm nie podważa podstaw współczesnej liberalnej pedagogiki oraz polityki wobec rozmaitych mniejszości?

Ale na szczęście większość kobiet to nie feministki, podobnie jak większość klasy robotniczej nie wyznawała marksizmu-leninizmu. Także kilka liczących się w filozofii niewiast: Hannah Arendt, Edyta Stein czy Simone Weil miało do ideologii feministycznej stosunek obojętny lub wręcz wrogi. Czy jednak nie dlatego, że skaziły swe umysły fallocentryczną ideologią? Bo też filozofując, od fallusa uciec się nie da! Francuski psychoanalityk Lacan wiedział dobrze (bardzo dobrze), że język jako system symboli sytuuje się wyłącznie w ramach męskiego myślenia, bo pozamęski system symboli językowych po prostu nie istnieje!!! I DLATEGO (w ramach tzw. feminizmu postmodernistycznego): „wszelkie posługiwanie się mową czy pojęciami re-stytuuje system męskich reprezentacji; mówienie o kobiecie nieuchronnie znaczy mówienie o »kobiecie fallicznej«”⁵².

I całe szczęście, że tak jest. Bo i wszyscy ci filozofowie mizogini – mizoginami nie byli wcale, bo pisali o „kobiecie fallicznej” (czyż nie brzmi to pięknie?), nie o rzeczywiście, i wszystkie feministki, wraz z ich epistemologią feministyczną, biorąc opisane przez „patriarchalnych” filozofów kobiece cechy za dobrą monetę, o kobietę falliczną walczyli, nie o prawdziwą. Bo prawdziwa kobieta jest tajemnicą i ani pisać, ani mówić o niej nie sposób. A kto próbuje, rzecz niedorzeczną czyni.

⁴⁸ M. Środa, op. cit., s. 237.

⁴⁹ Ibidem, s. 328.

⁵⁰ Ibidem, s. 318.

⁵¹ „Historycznie ukształtowana społeczna sytuacja kobiet dała im, zdaniem Hartmann, jedną ważną kompetencję w porównaniu z mężczyznami – wiedzę o ściśle relacyjnym charakterze ludzkiego podmiotu, którą mężczyźni, wychowani do roli samodzielnego podmiotu, pracownika czy pracodawcy, posiadają w o wiele mniejszym stopniu” (E. Majewska, op. cit., s. 110–111).

⁵² M. Środa, op. cit., s. 252.

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki

I.

moją obsesją było wyjechać pójść
do baru Manhattan na Laimgrubengasse
w którym Ingo poznawał chłopców
stawiał im wódkę jeśli byli z Polski

brał ich na chatę jeśli byli z Wólki
Krowickiej by mogli okazać swą bezdomność
by mogli wyrazić swą intymność (Polak
potrafi) w oderwaniu od rodzinnej wioski

II.

brał ich na chatę jeśli byli z Polski
ażeby mogli okazać swą bezdomność
i bełkotliwość ("chluśnięm, bo uśnięm")
stawiał im wódkę jeśli byli z Wólki

Krowickiej w oderwaniu od ojczystych
przemyskich stron i w oderwaniu od wódki
byliśmy jednak do niczego choć każdy
z nas (gdy tylko chciał) leciał Krasickim

III. Pochwała dawnej i współczesnej
poezji polskiej w warunkach zagrożenia

w oderwaniu od wódki i w oderwaniu
od rodzinnej wioski w której wszystko
mogło zniewolić poczynając
od strzechy i wszystko zmierzić

otóż w oderwaniu od ojczystych łąk
i pól nie byliśmy znowu tacy piękni
i chętni choć każdy z nas nie załamując
rąk musiał się puścić w Ogrodzie

Szwajcarskim w którym wszystko (nawet
wspomnienie strzech) mogło nas zabołec
lecz poezji polskiej dawnej i współczesnej
nie da się przelecieć w jedną noc ole!

Eugeniusz Tkaczyszyn-Dycki,

ur. 1962. Poeta, prozaik, autor
licznych zbiorów poezji, m.in.
Nenia i inne wiersze (1990),
Dzieje rodzin polskich (2005),
*Piosenka o zależnościach
i uzależnieniach* (2008). Laureat
Literackiej Nagrody Nike,
Literackiej Nagrody im. Barbary
Sadowskiej, Nagrody im.
Kazimierzy Iłakowiczówny.
Mieszka w Warszawie.



IV.

i każdy z nas musiał się
odnaleźć z jakimś typem
spod ciemnej gwiazdy
ile razy byłem beznadziejnym

przypadkiem lecz wyskakiwałem
po flaszkę i robiłem laskę
to fakt ogólnie znany że w Ogrodzie
Szwajcarskim byłem popychany

na powrót do ojczyzny

V.

w oderwaniu od wódki i zagrychy
nie byliśmy znowu tacy piękni
i chętni do rozmów o generale Jaruzelskim
w ogóle w oderwaniu od ojczystych

stron z dala od Wólki Krowickiej
nie mieliśmy głowy do fraszek
i hymnów choć każdy z nas (gdy tylko
chciał) leciał "Rotą" Konopnickiej



VI.

moją obsesją było wyjechać pójść
do baru Manhattan na Laimgrubengasse
w którym Ingo poznawał chłopaków
brał ich na chatę jeśli byli z Polski

ażeby mogli okazać swą bezdomność
intymność ile razy byłem beznadziejnym
przypadkiem lecz wyskakiwałem
po kolejną flachę i robiłem lachę

natomiast w oderwaniu od ojczystych stron
od łąk i pól nie byliśmy znowu tacy
skorzy do poświęceń choć każdy z nas (gdy
tylko chciał) leciał wyłącznie Witkacym

VII. Sierściuchy i obżartuchy

dokarmiam wszystkie wyimaginowane
psy i zwracam sobie wolność
na wolności również wyprowadzam
i dokarmiam wszystkie obce

i nieobce psy których nikt nie chciał
lecz nie stwarzam im domu (oprócz
wiersza) obecne i nieobecne w które nikt
nie wątpił (tym bardziej ja nie będę

przed nimi uciekał) dokarmiam
wszystkie wyimaginowane psy
lecz nikogo do siebie nie dopuszczam
oprócz jednego małego zaropialca

VIII. Smalczyk

dokarmiam wszystkie wyimaginowane
psy lecz nie zabieram im resztek
(oprócz wiersza) i nawet dla siebie
nie stwarzam domu choć mógłbym

napisać ciąg dalszy piosenki
lecz nie zabieram im resztek (oprócz
wczorajszych i dzisiejszych wierszy)
niczego innego nie posiadając

dopóki dopóty nie zgłosi się do mnie
zaropialec (będziemy w zgodzie wielkiej
jeść smalec) dokarmiam wszystkie
psy obecne i nieobecne których nikt

nie oglądał i nie doglądał choć właśnie
o tym chciałbym napisać piosenkę
dopóki dopóty mój mały zaropialec
nie znajdzie sobie innej burej suki

IX. Zamieć

trzeba bowiem by śnieg zachował
imiona naszych przyjaciół
z których Motor przesiedział się
w Białolecie ponad trzy długie

miesiące a Szpara jeszcze dłużej
trzeba bowiem by śnieg "biały
i czysty jak sen na więziennej
pryczy" zachował nasze imiona

i imiona naszych klawiszy o których
nikt nie usłyszy (może li tylko o jednym
Wodzu) otóż trzeba by niegdysiejszy
śnieg czysty i puszysty nigdy nie stajał

obnażając m. in. naszą przeszłość i przyszłość

Wszystkie grafiki

Halina Fleger,

ur. 1967. Absolwentka Akademii
Sztuk Pięknych w Krakowie.
Uprawia malarstwo, grafikę,
jest związana z Teatrem
im. Jana Kochanowskiego.
Redaktor graficzny „Stron”.
Mieszka w Zawadzkiem.



Aleksandra Janik • Z cyklu *Czas i obecność*, 2006 • druk cyfrowy 100x70 cm

Jurij Andruchowycz

Lublin

Wszystko, co do tej pory napisałem o Lublinie, mieści się w krótkiej frazie, zagubionej gdzieś w połowie *Wstępu do geografii*. Chodzi w niej o niedawną okazję do podziwiania ze wzniesienia tamtejszego Starego Miasta. Nie podałem wówczas żadnych szczegółów. Dlatego też obecnie, siedemnaście lat później, mogę się tylko domyslać, że mowa o Placu Zamkowym. Ktoś – pewnie Piotrek albo Włodek, a najszybciej oni obydwaj, zaprowadzili mnie tam, dajmy na to – ulicą Kowalską. To właśnie stamtąd można oglądać miasto tak, by dostrzec „miniaturowe skupisko dachów, balustrad, uliczek, placów” i to aż „z całego serca, ostro i boleśnie”. O ostrym bólu serca napisałem nie bez przesady, choć w maju 1992 roku moje serce reagowało jeśli nie pełnym zatrzymaniem, to przynajmniej arytmia na każdy bodziec związany ze Starą Europą.

Nie wykluczam jednak, że chodzi o jakieś inne miejsce, jak na przykład o Wieżę Trynarską. Albo jakiś inny punkt widokowy na wzniesieniu na lubelskim Starym Mieście.

Jeśli o wzniesienia chodzi – czuję się dość niepewnie. Znacznie lepiej idzie mi z wdoleniami. Jest takie słowo? Od dziś będzie.

Najlepszym dla mnie wdoleniem Lublina okazał się „Hades” – hniazdo hada. To taka podziemna restauracja zaledwie dwa kroki od Krakowskiego Przedmieścia i Placu Litewskiego. Po naszymu to byłoby „Ad”, choć nikt nigdy nie nazwie tak u nas żadnej firmy, chyba że pogrzebową. Potrafię sobie jeszcze wyobrazić kawiarnię „Aida” – ostatnią przystań, hniazdo hadzin dla zapijaczonych solistów operowych i weteranów baletu. „Aida”? Tak, to możliwe. Ale „Ad”? Władca królestwa zmarłych? Ad, czyli Hades? Podziemny król i jego królestwo?

Po każdej popijawie w takim miejscu czujesz się jak Orfeusz, zwłaszcza następnego ranka. Szkoda, że czułem się jak Orfeusz tylko raz.

W Lublinie byłem dziesiątki razy, a w „Hadesie” tylko raz – wtedy. To było właśnie wtedy, gdy prześpiewaliśmy Ajriszów. Tak się zdarza, gdy w tej samej podziemnej przestrzeni nałożą się na siebie dwie popijawy. Ajrisze z zawziętością przeistaczali Lublin w Dublin i zaczęli pierwsi. Możecie sobie świetnie wyobrazić te ich ballady, więc nie ma najmniejszego sensu przytaczać tu ich treści. Wystarczy tylko stwierdzić fakt powszechnie znany: pieśni Ajriszy są długie jak *Ballada o Doboszu*.

I gdy Ajrisze dośpiewali pierwszą z nich, cały nasz bankiet grzecznie bił im brawo. I to był błąd, bo rozochoceni Ajrisze zaczęli zawodzić drugą balladę. Przy trzeciej będący z nami Polacy sprowokowali nas do dania im godnej odpowiedzi.

Swego czasu zwolennicy analogii zwrócili uwagę na pewne brytyjsko-słowiańskie ekwiwalenty. Jeśli Anglicy są Rosjanami Wielkiej Brytanii, to Szkoci są jej Ukraińcami, a Walijczycy – Białorusinami. Irlandczycy to bezdyskusyjnie Polacy. Ich whisky jest znacznie delikatniejsza niż szkocka – oto dowód numer jeden. Szkocka whisky jest mętna i ostra, niczym siarczan, a irlandzka – przejrzysta i aromatyczna. Potrzebne są jeszcze jakieś dowody? Irlandczycy są znacznie bardziej zaciekli w kwestii uwolnienia się od Anglików. Szkocka elita jest zdecydowanie bardziej sprzedajna, żeby nie powiedzieć – zdradziecka. I tak dalej.

Zgodnie z tymi wszystkimi analogiami tamtego wieczoru Polacy powinni byli wszelkimi siłami wspomagać Ajriszów – swoich zamorskich bliźniaków. A jednak oczekiwali od nas jednego: byśmy zaśpiewali coś w odpowiedzi. Po trzeciej balladzie Ajriszy już nawet nie trzeba nas było jakoś specjalnie zachęcać. Uderzyliśmy czapkami o dno podziemnego królestwa i zagrzmieliśmy „Oj na hori taj żenci żnut”. Wyszło nam to lepiej, krócej, silniej i straszniej niż Ajriszom trzy ballady razem wzięte. Cały „Hades”, wszystkie jego rezerwuary, zakamarki, zak-Ad-arki, korytarze i labirynty z wszelkimi zagubionymi w nich cieniami, wybuchły w ekstazie.

Zaskoczeni Ajrisze długo nad czymś radzili i w końcu zaczęli, choć już bez widocznego zadowolenia, a bardziej z obowiązku, czwartą balladę. Kolejnym błędem, tym razem z ich strony, było to, że czwarta ballada okazała się jeszcze dłuższa i jeszcze bardziej rozwlekła niż poprzednie. Być może zmobilizowali się do pokazania najlepszego, co mieli. A najlepsze w ich mniemaniu znaczy najdłuższe. Naturalnie, nasza odpowiedź: „Oj u łuzi czerwona kałyna”, po prostu rozniosła ich mózgi po ścianie. Sam się sobie dziwię, że użyłem tak powszedniego bandyckiego wyrażenia. Ale innego po prostu nie znalazłem. To naprawdę było rozmazanie, naprawdę kaliną i naprawdę po ścianie. Świadectwem tego stała się całkowita demoralizacja Ajriszy: po kolejnej chaotycznej i nie-

Jurij Andruchowycz,

ur. 1960. Poeta, prozaik, eseista i tłumacz, jeden z twórców „fenomeny stanisławowskiego”. Założyciel grupy poetyckiej BuBaBu. W Polsce ukazały się powieści: *Rekreacje* (1994, 1996), *Moscoviada. Powieść grozy* (2000, 2004), *Perwersja* (2003), *Dwanaście kręgów* (2005), *Tajemnica* (2008), tomy esejów: *Erz-herz-perc* (1996), *Moja Europa. Dwa eseje o Europie zwanej Środkową* (wspólnie z Andrzejem Stasiukiem, 2000, 2001), *Ostatnie terytorium. Eseje o Ukrainie* (2002), *Diabeł tkwi w serce* (2007), tom poezji *Piosenki dla martwego koguta* (2005), *Egzotyczne ptaki i rośliny* (2007) oraz płyty *Andruchoid* (2005; słowa: Jurij Andruchowycz, muzyka: Mikołaj Trzaska, Wojtek Mazolewski, Macio Moretti), współpraca z zespołem Karbido przyniosła płyty *Samogon* (2007), *Cynamon (z dodatkiem Indii)* (2009), a we wrześniu tego roku ukaże się *Absynt*. Laureat m.in. Nagrody im. Herdera (2001) oraz nagrody Angelus (2006). Mieszka w Iwano-Frankiwsku (Stanisławowie) na Ukrainie.

składnej naradzie nie znaleźli niczego lepszego, niż *Yesterday* Beatlesów. To był początek ich agonii. Już nawet nie przypominam sobie naszej odpowiedzi, pamiętam tylko, że była druzgocąca i ostateczna: malowane dzieci – panienka poleci, kozacka sława – zazula czorniawa, kalina czerwona – dziewczyna szalona, tara-ram i takie tam. Myśląc w kategoriach meczu piłki nożnej, wygraliśmy jakieś 5:1.

Ciąg dalszy zabawy w królestwie cieni odbywał się pod znakiem bratania się wszystkich z wszystkimi. Zdaje się, że nawet razem wypiliśmy za Jamesa Joyce'a. To pisarz, który tak kochał Irlandię, że nazywał ją świnia i, rzecz jasna, nie mógł w niej mieszkać.

Tłumaczyła Roksana Ożarowska

Zug 2006

Kolejność wydarzeń jest mniej więcej taka.

We wrześniu Ewelina pokazywała mi miasteczko i wszystko to, co trzeba w nim zapamiętać przy pierwszej wizycie: dworzec, pocztę, bank. O więzieniu nie było mowy, ale samo wyszło. Zwróciłem uwagę na długi betonowy mur o wysokości około trzech metrów. Było na nim kilka bardzo ciekawych malunków – ludzkie profile i ptaki. Okazało się, że są to prace Peppersteina. Ewelina powiedziała, że za murem jest ich więcej, jednak trudno je zobaczyć, ponieważ w środku jest więzienie.

Odpowiedziałem jej, że z chęcią zorganizuję tam spotkanie autorskie. Bardzo chciałem zobaczyć, jacy są ci kiblujący Szwajcarzy, prace Peppersteina również, skoro już tam są. Ewelina była zachwycona tym pomysłem: „Aż tak bardzo zaciekał pana ten temat? Dlaczego?” Odpowiedziałem, że interesuje mnie tak samo temat wolności, jak i niewoli. Mówiąc szczerze, to nie była żadna odpowiedź. Ale dla Eweliny była ona z jakiegoś powodu przekonująca.

Pod koniec października Ewelina zadzwoniła z radosną nowiną, iż naczelnik więzienia (użyła określenia „dyrektor więzienia”) jest bardzo pozytywnie nastawiony do tego pomysłu. I w ten sposób na początku listopada znalazłem się u niego na rozmowie. Po raz pierwszy w życiu poznałem naczelnika więzienia. I gdybym ogólnie nie orientował się w tym, jak oni wyglądają w normalnych krajach, na przykład

u nas, to mógłbym sobie stworzyć zupełnie mylny obraz tej profesji. Okazało się, że szwajcarski naczelnik z kolczykiem w uchu, o wąskiej, plastycznej twarzy młodego Hermana Hesse, był uważny, chuderlawy, miał okulary, ubrany był w dżinsy i sweter. „W naszym kraju byłby pan oficerem – powiedziałem zamiast się przywitać. – prędzej spodziewałbym się u pana o takiego brzucha i takich pięści. O twarzy nie wspomnę”. Na co on dosyć bezsensownie odpowiedział, że jest z wykształcenia filologiem – germanistą.

O ile dobrze zrozumiałem z jego lakonicznych wypowiedzi podczas spotkania, szwajcarski system penitencjarny nie podlega jakimkolwiek wpływom resortów siłowych. Innymi słowy, więzienia zarządzają cywile.

„Na pierwszy rzut oka, wydaje się, że u nas jest lepiej i bardziej humanitarnie. – przejął ode mnie chęć do porównań – Ale więzienie to więzienie. Ludzie są tutaj tak samo nieszczęśliwi”. Jeszcze by powiedział „tak jak i na wolności”! Czyżbym go ciągnął za język?

Wyjaśniliśmy sobie, o co mi chodzi. Powtórzyłem swoją tezę o wolności i niewoli. Naczelnik zaproponował mi dwa występy – jeden dla personelu, drugi dla więźniów. Przy czym pierwszy mógł mi zagwarantować, w sprawie drugiego musiał skonsultować się z więźniami. Właśnie tak powiedział: „Muszę skonsultować się z więźniami”. Jeśli znajdą się chętni, to w porządku. Zgodziłem się z nim, że ostatnią rzeczą, którą można by robić w więzieniu jest przymusowe słuchanie literatury. „A właśnie, kto u was siedzi?” – zapytałem. Naczelnik odpowiedział wyczerpująco: „W tym momencie morderców nie ma. Jest kilku gwałcicieli. Reszta to drobni przestępcy, głównie sklepowe złodziejaski”. Zapytałem, czy są obcokrajowcy. Odpowiedział, że jak zwykle mnóstwo. „Z pańskiego kraju też” – dodał. „Ukraińcy? – sprecyzowałem. – Siedzą w tym momencie u was jacyś Ukraińcy?” Chwilę pomyślał i odpowiedział: „Nie, teraz nie. Jest kilku Rosjan. Jeden z nich ma takie nazwisko jak słynny piłkarz”. Potem zmarszczył czoło, próbując przypomnieć sobie ich mniej lub bardziej znane nazwiska, jednak żadnego sobie nie przypomniał.

Na pożegnanie podarował mi album Peppersteina z jego pracami więziennymi. „Jest tutaj wiele pięknych myśli o wolności i niewoli. Spodobać się panu” – powiedział.

W drugiej połowie listopada dostałem od niego mail, dotyczący moich występów – 13 grudnia, w pół do dziesiątej rano odbędzie się występ dla personelu oraz 15 grudnia, o czwartej popołudniu, dla więźniów. Zacząłem powoli przygotowywać się, wybierając odpowiednie fragmenty. Inne dla personelu, inne dla więźniów. Jeśli chodzi o tych drugich, czułem się znacznie pewniej. Wybrałem dla nich kilka scen erotycznych, o których w latach dziewięćdziesiątych w przeglądach krytycznych pisano, że są „na granicy pornografii”. Gwałcicielom powinno się to spodobać.

12 grudnia, późnym wieczorem, włożyłem książki do plecaka i nastawiłem budzik na ósmą rano. Konieczność czytania na głos fragmentów własnej powieści o dziewiętej trzydziści, nieznanym strażnikom więziennym nie wydawała się zbyt przyjemna. O czym mam im czytać – może o kolejkach po wódkę pod moskiewski-

mi sklepami? A jeśli oni nie piją? Czy dostrzegą niebywały dramatyzm wybranego fragmentu? W końcu zdecydowałem, że przeczytam jak najwięcej wierszy po ukraińsku, żeby należycie wyczuli piękno języka. Właśnie tego potrzebuje personel więzienia o wpół do dziesiątej rano.

Okolo północy jeszcze raz sprawdziłem pocztę. Pilny list od naczelnika aż pulsował od ilości wykrzykników. Było w nim powiadomienie, iż „z powodu dzisiejszego incydentu spotkanie z pisarzem ukraińskim, zaplanowane na 13 i 15 grudnia, zostaje odwołane”. Wysłałem mu osiem słów: „Co się stało? Proszę zadzwonić, jeśli pan może”. Zadzwonił minutę po tym, jak kliknąłem Send.

„Mam ucieczkę – powiedział – muszę wszystko odwołać”. Podziękowałem mu za wiadomość i życzyłem spokojnej nocy. Mam nadzieję, że nie odebrał tego jako kpiny.

Nazajutrz gazeta obwieściła, że więźniowie rozgłębili kraty i o zmroku przedostali się na dach, stamtąd skoczyli w dół, na ulicę. To znaczy na wolność. W jej ciemność, która nieznośnie kusila i gościnnie otwierała swe podwoje.

Do tej pory pewnie już ich złapali – trzydziestotrzyletniego Macedończyka i czterdziestotrzyletniego Serba z nazwiskiem znanego piłkarza. Nie można było ich nie złapać w tym maleńkim państwie, pełnym śledzących kamer i bardzo nieufnych ludzi, którzy od razu donoszą na takich typów, gdzie trzeba. Gdzież oni mogliby się podziać w tym kraju największej solidarności społecznej?

A co najważniejsze, naczelnik miał rację – nam się tylko wydaje, że świat na zewnątrz jest lepszy i bardziej humanitarny. Tak naprawdę to też więzienie, tylko o trochę większych rozmiarach.

Naczelnik zawsze ma rację.

■
Tłumaczyła Anna Chłopik



Aleksandra Janik • Z cyklu *Imaginarium*, 2009 • lambda metallic print 14x14 cm

Ukraina

jest możliwością dla Europy

Z Jurijem Andruchowiczem rozmawia Adam Nocuń

Fot. z archiwum PBW w Opolu



Jurij Andruchowycz

Adam Nocuń: Bywało, że dyktaturami wstrząsali poeci. Czesław Miłosz napisał: „Nie bądź bezpieczny, poeta pamięta”. Czy na Ukrainie poezja odegrała podobną rolę?

Jurij Andruchowycz: I tak, i nie. Polaków i Ukraińców stworzył romantyzm, reprezentujemy tę samą tradycję. Wiele społecznych zadań tej epoki zostało nierozwiązanych do końca XX w. Chodzi tu np. o problem niewoli narodowej czy wolności słowa. Były to raczej powinności polityczne, a nie poetyckie. Dlatego uważam, że decydująca rola po-

ety w walce przeciwko systemowi, jego zachowanie w czasach najcięższej dyktatury pozostają dla nas ważnym tematem. To jest prawdopodobnie dla Ukraińców tak samo istotne jak dla Polaków, aby wspominać działanie pewnego koryfeusza, który np. w latach 30. napisał list do Stalina i został za to rozstrzelany. To są ciągle żywe tematy, więc oczywiście nasze narody wiązały z takimi ludźmi ogromne nadzieje. Na Ukrainie w latach 80. i 90. wielu poetów poprzedniej generacji debiutujących w latach 60. udzielało się politycznie. Reprezentowali siłę, bo pisali przeciw reżimowi, ale wcale nie działali bezpośrednio w strukturach opozycyjnych. Stali się jednak w jakimś sensie początkiem nowej opozycji. Jest to tym dziwniejsze, że w czasach Związku Radzieckiego nie byli dysydentami, odwrotnie, byli przez władzę często wynagradzani. Nagle, powstając przeciw niej, zainspirowali do działania wielu ludzi. Pomyśleli, że skoro taki np. Pawłyczko się nie boi i tak mówi, to trzeba za nim iść. Odegrali zatem swoją rolę, ale może nie bezpośrednio przez postawę poetycką, tylko za sprawą piastowania pewnej funkcji publicznej.

Napisał Pan o tradycyjnej poezji ukraińskiej, iż była to „Bryła przaśna [...] przykrywająca wszystko, co ukraińskie”. O jaką „ukraińskość” chodzi?

Miałem na myśli dwa znaczenia. Przede wszystkim to, że ukraińska kultura wszystko, co tradycyjne, kojarzy z rustykalnością, czyli z kulturą wiejską. I stąd problemy, które istnieją do dzisiaj, jeśli chodzi o szerzenie kultury ukraińskiej nawet na terenach samej Ukrainy. Przecież dzisiaj siedemdziesiąt procent ludzi w naszym kraju mieszka w miastach. Z trudem do nich przemawia taka archaiczna wizja XIX-wiecznej ukraińskiej wsi. Nie to stanowi zasadniczy problem, nawet taka wizja ma swoje miejsce w historii. Funkcjonuje jednak do dzisiaj pewna warstwa oficjalnych działaczy, którzy to i tylko to uważają za prawdziwie ukraińskie. I właśnie przeciwko temu zjawisku trzeba się buntować.

Drugi aspekt tego zagadnienia jest taki, że „przaśność” wywodzi się ze stworzonej przez poetów narodowej mitologii związanej z wiejskim ludem, np. że naród ukraiński jest dziewiczy. Tematy związane z seksualnością były przemilczane, stanowiły narodowe „tabu”. I to znowu nie przemawia do współczesnego człowieka, dla którego taka wizja kultury jest po prostu nieciekawa, bo została wysterylizowana i pozbawiona części tematów związanych z życiem seksualnym. A to wszystko nieprawda. Dostałem nie tak dawno od pewnego bukinisty dwutomowy zbiór tekstów etnologicznych pt. *Życie płciowe ukraińskiej wsi*, wydanych w Lipsku w 1907 roku. To jest zbiór anegdot i bardzo sprośnych kawałków. Nie napisali tego jacyś żartownisie, tylko prawdziwi i poważni pruscy naukowcy.

Ludowa kultura ukraińska w dalszym ciągu jest kulturą człowieka pierwotnego, jeszcze przed jego pierwotnym grzechem – takie mylne wyobrażenie stworzono o wsi i kulturze wiejskiej Ukrainy.

Stwierdził Pan, że Ukrainę cechuje „nieobliczalność”. Na czym ona polega?

Moim zdaniem na Ukrainie znowu nastały złe czasy. Stagnacja, rozczarowanie, totalny cynizm, więc nie mówiłbym teraz o jakiejś „nieobliczalności”. Już dwa razy jednak w moim życiu się myliłem, Ukraińcy potrafili mnie zaskoczyć i zdziwić. Było to w 1991 roku i oczywiście w 2004. Zaczynam teraz myśleć, że u nas historyczny krok dokonuje się co trzynaście lat, pomiędzy wszystko wydaje się beznadziejne, a potem nagle zaczyna się dziać coś naprawdę wartościowego. Może w roku 2017 dokona się zatem kolejny ukraiński cud? Nie wiem oczywiście, na ile ta prognoza się sprawdzi, ale w każdym razie najbliższe lata może cechować pewna „nieobliczalność”. Z drugiej strony, trzeba zdawać sobie sprawę, że w najbliższym czasie nic nas poważnie do zmian nie motywuje, oprócz tej bardzo wątpliwej motywacji związanej z Mistrzostwami Europy w piłce nożnej.

W *Tajemnicy* wspomina Pan: „Emanowaliśmy czymś takim, że garnęły się do nas dzieci, szaleńcy i kryminaliści”. Czy istnieje pojęcie „biografii twórczej”? Jakie jej wydarzenia są dla pana najistotniejsze?

Ogranicza się ona do kilku zasadniczych momentów. Decydujące wydarzenia to oczywiście wyjazd z domu rodzinnego i przeprowadzka do Lwowa. Był to bardzo dramatyczny moment. Wyobrażasz sobie to miasto jakoś po swojemu, potem trafiasz tam i widzisz, jak jest naprawdę i jesteś nieszczęśliwy z tego powodu. A potem zaczynasz powoli odkrywać, że jest jeszcze lepsze, niż sobie wyobrażałeś. Innym przełomowym momentem była zgoda na to, żeby zacząć publikować swoje wiersze. Oczywiście liczy się też bardzo przełom polityczny, kiedy okazało się, że teraz da się podróżować, da się jeździć i że nie ma żadnej fantastyki w tym, żeby zwiedzać Wenecję, po prostu przekraczać granice.

„Trochę na zachód od Wschodu i na wschód od Zachodu” – powiedział Sławomir Mrożek o Polsce. Jak określiłby Pan miejsce Ukrainy we współczesnej Europie?

Mam pewną teorię na ten temat. Można ją określić następującymi słowami: dzisiejsza Ukraina jest możliwością dla Europy. Europa powinna wykazać się zdolnością zaakceptowania tego kraju i zobaczenia go jako swojej nieodłącznej części. To może w ogóle świadczyć o zdolności Europy do jakiegoś rozwoju, zmiany i dojrzałości. Bo nie chodzi tutaj oczywiście tylko o wymiar geograficzny, ale przede wszystkim o zdolność tego, niestety, bardzo konserwatywnego kontynentu do przemyślenia swej tożsamości. Powiem jeszcze inaczej: to jest szansa dla Europy. Ale przede wszystkim Ukraina jest szansą dla siebie samej. Widzę tu zatem wzajemną zależność. Ukraina nie ma żadnej perspektywy, jeśli zrezygnuje z wysiłków, aby dołączyć do Europy, ale Europa, jeśli zrezygnuje z Ukrainy, prawdopodobnie będzie skazana na stagnację. Jest to jedno z niezbędnych wyzwań współczesności dla obu stron. Muszą szukać możliwości połączenia.

Polskie doświadczenie demokracji jest trudne. Czy Polska może odegrać rolę sojusznika Ukrainy w Europie, analogiczną do roli, jaką kiedyś wobec Polski odegrały Niemcy?

Oczywiście jako ukraiński pisarz miałem już okazję ogłosić taką pochwałę dla Polski. Było to w 2004 roku z okazji piętnastej rocznicy przemian politycznych w naszym kraju. Esej zatytułowałem *Kraj marzeń* i starałem się zachować w nim ironiczny dystans wobec tych wszystkich wielkich spraw. Zatem nie byłbym taki patetyczny, jak autor tego powiedzenia. Ja tak naprawdę znam dziesiątki albo setki wspaniałych Polaków, ale wiem również, że Polacy z reguły bardzo krytykują swój kraj,

śluchając ich zatem, też nabieram pewnego dystansu. Swoje słowa na temat Polski adresowałem także do Ukraińców. Chciałbym, żeby polskie doświadczenia były dla nich dobrym przykładem. Muszę powiedzieć, że to jest bardzo trudna historycznie misja być agentem Polski w środku Ukrainy. Myślę, że jest jednak coraz lepiej, bo w ogóle zmienia się opinia Ukraińców na temat Polaków. W ostatnich latach, może nawet od uzyskania przez Polskę niepodległości, Polacy tak naprawdę byli najbardziej konsekwentni w różnych sprawach dotyczących Ukrainy. Byli naszymi adwokatami na arenie europejskiej i przede wszystkim przyjaciółmi. I to oddziałuje na Ukraińców, oddziałuje powoli, bo na Ukrainie wszystko działa powoli, ale jednak działa, działa pozytywnie i zmieniają się stopniowo antypolskie nastroje. Polsko-ukraińskie pojednanie dokonuje się cały czas, to jest pewien proces, który trwa. Może jesteśmy jeszcze daleko, w każdym razie ja widzę postęp. Jest jak jest i nie jest źle.

Przyjaźni się pan z Andrzejem Stasiukiem. Czytając was, łatwo zauważyć pewne podobieństwa. To świadczy chyba też o bliskości Polski i Ukrainy?

Tak, chyba możemy takie podobieństwa zaobserwować, bo reprezentujemy ten sam rocznik. W obu przypadkach bardzo widoczny jest żywioł rockandrollowy. Zresztą, kiedyś na jakimś wspólnym spotkaniu Andrzej powiedział, że właściwie zawsze marzył, żeby występować, być frontmanem w jakimś zespole. A to było też moim marzeniem. A w innych sprawach to było inaczej, ponieważ nawet w najgorszych latach Polska Ludowa była jednak inna aniżeli Związek Radziecki, który panoszył się zwłaszcza na zachodzie Ukrainy. Bardzo, bardzo nas pilnowali, więc takiego potencjału, takiej wolności, żeby np. wyjść manifestować albo zadziałać w jakimś podziemiu, to Andrzejowi zazdroścę. On mógł cieszyć się większą wolnością. Oczywiście, takie okresy jego życia jak wojsko lub więzienie odróżniają nas kategorycznie. Ja na przykład tylko dlatego poszedłem do wojska, że alternatywą mogło być więzienie. Byłoby to niezdrowe w naszych warunkach. Mówię o tym w *Tajemnicy*, że jak czytałem wspomnienia Andrzeja, to on całkiem nieźle miał się w tym więzieniu. U nas, za coś takiego jak dezercja, to by człowiek został po prostu zniszczony. Dochodzę też do takich wniosków, że świat przestępczy w Polsce sympatyzował z większością społeczeństwa, czyli był opozycyjny wobec reżimu. U nas w więzieniu dezertera to by po prostu „zacwelili”. Od tego się oczywiście zaczynało, dezerterzy w więzieniach radzieckich funkcjonowali na jednym poziomie z gwałcicielami kobiet i dzieci.

Serhij Żadan

KOLABORANCI

Daremnie myśleć, że rzeka to ta ilość wody,
jaka w niej płynie, daremnie myśleć, że rzeki
formują krajobraz, naprawiają go, płynąc na południe.
Rzeki to nazwy, słodka wata fonetyki, która
przylepia się wraz ze śliną do języka, gdy wypowiadasz nazwy naszych
rzeczulek – ważniejsza jest dla przestrzeni
niż przygłuszone koryta, które wgrzają się w czarnoziem.

Możesz powiedzieć – oni walczyli za nazwy. Żołnierze
esesmańskich batalionów o słowiańskich nazwiskach,
z przedwojennymi jeszcze stopniami, uciekinierzy z karnych kompanii,
wczorajsi zekowie, najemnicy
na wielkich pustkowiach pod słońcem;
ta równina, którą się poruszasz, ta pusta ojczyzna,
w której przyszło ci walczyć, wypowiadając
„nasz Dniestr”, „nasz Bug”, nasz Kalmius”,
dla ciebie dzisiejszego, dla ciebie przyszłego –
to oblepione dźwiękami imiona, którymi co noc
przechodzą bohaterowie
walczących armii.

Możesz powiedzieć – dorzeczna rzek to jedyne wartościowe rzeczy. Wtedy, w tej wojnie
rzeki uciekały na południe, wypływając z krajobrazu;
zajmować się polityką, każdemu
z nich wypadło zajmować się polityką,
walczyć za kraj, którego jeszcze nie wymyślono,
warto było spróbować, żeby potem mówić, jak się chce.

Posłuchaj, patriotyzm to jest to, co się odnosi
tylko do mnie i ciebie;
najważniejsze to wiedzieć, czego się broni.

Moje życie, które nawet po śmierci się nie skończy,
moja dusza, która jak kaczka leci nad brzegiem,
moje imię, którym obracają spekulanci,
moi przyjaciele rozszarpani przez deszcze w słońcu,
moje terytorium z wystygłą sierpniową rybą,
moja topografia ze wspomnieniami frontowych oficerów,
moje zgubione we mgle wojsko,
moja gwiazdka USRR.

Tłumaczył
Bohdan Zadura

Bohdan Zadura,

ur. 1945. Poeta, prozaik, tłumacz
i krytyk literacki. Od 1979 roku
członek redakcji kwartalnika „Ak-
cent”, od jesieni 2004 roku redak-
tor naczelny „Twórczości”,
od lat 70. stały współpracownik
„Literatury na Świecie”. Otrzymał
liczne nagrody literackie, m.in. im.
Stanisława Piętaka (1994), im. Jó-
zefa Czechowicza (2010), Wro-
cławską Nagrodę Poetycką Silesius
w kategorii książka roku za tom
Nocne życie (2011). Uprawia też
prozę i krytykę literacką oraz zaj-
muje się przekładami z języka an-
gielskiego, rosyjskiego, ukraińskie-
go i węgierskiego. Mieszka w War-
szawie.

Serhij Żadan,

ur. 1974. Poeta, prozaik,
performer i reżyser. Uznawany
za jeden z największych talentów
we współczesnej literaturze
ukraińskiej. Znaczący i kontynuator
tradycji ukraińskiej awangardy.
Po polsku ukazały się: *Historia
kultury początku stulecia* (2004),
Big Mac (2005), *Depeche Mode*
(2006), *Anarchy in the UKR*
(2007) oraz *Hymn
demokratycznej młodzieży*
(2008). Stworzył oryginalny styl
w poezji – udało mu się połączyć
tradycję ukraińskiej poezji
(szczególnie futuryzmu)
i elementy kultury punk
z symboliczną przestrzenią
industrialną miejskiego krajobrazu.
Jest laureatem wielu nagród, m.in.
Bu-Ba-Bu za najlepszy wiersz
roku 1998. Mieszka w Charkowie.

SOCJALIZM

Powolne lato, trwa bez końca, i niektóre dni są jak młode
 źdźbła, zdolne całkowicie zmieniać strukturę, przęcąc
 włókna: niebo nad stacją kolejową, jakieś pojedyncze nowiny,
 w takie dni zawsze przypomina mi się dawny znajomy, z którym grałem
 w jednej drużynie; był starszy ode mnie o dwadzieścia lat,
 swego czasu nawet chciał go ściągnąć jeden z klubów wtedy jeszcze
 ogólnozwiązkowej „górk”, do ciepłego portowego miasta;
 grałby dla marynarzy, klub by płacił za wszystko, wieczorami
 chodziłby na miejską plażę – bożyszcze spalonych przez słońce palantów;
 jednak odmówił, zajął się handlem, sprzedawał hasz,
 nawet siedział przez rok, ktoś go wystawił, jak potem opowiadał, choć ja
 mu osobiście nie wierzę – jednak hasz,
 wyszedł pod koniec osiemdziesiątych i grywał na koniec w amatorskich
 drużynach, które sam również trenował, wtedy go poznałem,
 nawet teraz często go wspominam.

Wiesz, - zaczynał kiedy indziej - sowiecja nauczyła mnie
 prostszego stosunku do siebie, to okazuje się dość, aby wybierać z życia
 tylko potrzebne ci kawałki: chcesz posłuchać, czemu wtedy
 odmówiłem? po prostu pomyślałem, że naprawdę nie ma różnicy - grać czy
 nie grać, żadnej różnicy, rozumiesz?
 kariera? cóż, jeszcze i teraz mógłbym zwyczajnie grać, jednak hasz, rozumiesz?
 wciąż halucynacje na boisku, a tak nic;
 wtedy mało go rozumiałem, a teraz
 myślę, że faktycznie, facet miał czym się skusić –
 słoneczne osiemdziesiąte wielkiego kraju, spekulacja, jaka rozwalala sowiecję,
 komunizm, estrada i jugosławia,
 jeszcze teraz normalnie wygląda, tylko ma halucynacje
 podczas gry, a poza tym – normalny mistrz sportu,
 jak należy.

Jest taki zły zwyczaj – wynosić z przeszłości różne barachło,
 niepotrzebne rzeczy, żeby w którymś momencie się zatrzymać
 i zrozumieć, że nie można znieść tyle smutku i radości,
 życie oferuje zbyt wiele pokus, zbyt pociągająca sztuka to życie
 dość krótkie, żeby przeżyć je za jeden raz
 i zbyt przygnębiające, żeby znaleźć współt rozmówców dla takiej narracji:
 każdego lata to samo – nie możesz się połapać
 czy więcej straciłeś czy więcej zyskałeś,
 a wszystko jakimś niewiarygodnym sposobem trwa
 i nawet woda stopniowo się nagrzewa
 od tego, że w niej rytmicznie biją
 plastyczne serca ryb.

Tłumaczył
 Bohdan Zadura



Hałyna Kruk

słyszysz,

w korycie nocy pluszcze się biała chorągiew kwiatu
którą już gotowe są wywiesić nad cytadelą drzewa -
bo mało kto potrafi wytrzymać takie przeciwności

i się nie poddać

w taką porę wszystko, co ci się wydaje

trzeba przyjąć na wiarę:

ci, co żyją w pamięci, noszą maleńkie dzwoneczki
jak trędowaci (nazwij ich?i wyjdą na światło)
nawet najmniejszy ruch albo powiew wiatru

zdradza ich obecność,

bo nie wszystko podlega rozkładowi

nie wszystko na tym świecie

czasem wiosna przychodzi znienacka

gdy nikt się jeszcze jej nie spodziewa

bez walki zajmuje senne okolice

okopuje się pod cytadelą

i oto już pierwsze drzewo wywiesza białą chorągiew
zdaje się, że zakwita,

czy tylko się poddaje?

Tłumaczył
Bohdan Zadura

Hałyna Kruk,

ur. 1974. Poetka, prozaik, tłumaczka, historyk literatury.
Autorka tomów poetyckich: *Podróżny w poszukiwaniu domu* (1997), *Ślady na piasku* (1997), *Twarz poza zdjęciem* (2005)
oraz wierszy i bajek dla dzieci – jej książki *Marek podróżuje wokół świata* i *Trudno być najmniejszym* (2003) tłumaczone były na 15 języków w ramach międzynarodowego projektu literatury dziecięcej „Step by Step”. Stypendystka Gaude Polonia (2003, 2010), programu „Homines Urbani” (Willa Decjusza. 2005), Bałtyckiego Centrum Pisarzy i Tłumaczy na wyspie Gotland (2007). Tłumaczy z białoruskiego, polskiego i rosyjskiego. Mieszka we Lwowie.



W DRODZE NA DWORZEC

1.

w drodze na dworzec,

drogo zapłaciwszy

za wszystko, bo na sprzedaż jest wszystko
nawet miłość (ale czułość, bliskość?)

Ona myśli, że jeśli dotrze do pętli,
to potem tramwaj dowiezie ją w to samo miejsce
i póki jechać na tych skrzypiących kołach będzie
ślizgając się myślami po okolicznościach akcji
wszystko wróci do normy, ułoży się, utrzęsie,
jak ten tramwaj, ta kobieta przy oknie,

jak przy nadziei,

a on będzie czekał na przystanku,

nie mogąc wybrać kierunku,

nie wiedząc, jak wrócić tam,

gdzie z sobą spędzili

kilka lat lotu, kilka miesięcy szczęścia,

kilka dni kryzysu i kłótni, które są już za nimi.

Tak myśli, podczas gdy on wraca,
zbiera ten cały bałagan,

wszystkie jej kubeczki

pudełka od butów w szafie,

słoniki, świnki-skarbonki,

indyjskie kadzidelka, zapachowe świece

bo kilka lat zawieszenia w powietrzu:

kilka miesięcy jak w chorobie

kilka kryzysowych dni

i wolność – wolność wreszcie.

Tak myśli on, podczas gdy ona pętlę przejechałszy
(nerwy obnażone, lzy się zbierają pod powieką)
zasypia i skrzypiący tramwaj śpiewa jej kołysankę
i przepływa za oknami przystanek, na którym on nie czeka.

I nigdy się nie dowie (Bóg ją ma w swej opiece)
Gdy będzie zasypiała przy innym

twarzą zwrócona do ściany
że naprawdę między skrajnymi M i K punktami
nie ma prostych połączeń
żadnych prostych połączeń

2.

w drodze na dworzec

odprowadzając kobietę, której już nie kochasz,
zupełnie - po wszystkim - za wszystko, co było
co dasz jej na pożegnanie
najlepiej kwiatek - kaktus i to kulistej formy.
by nie wzięła go za symbol falliczny

aluzję do przedłużenia
tej nocy, nienaturalnej jak pasteryzowane piwo
co powiesz jej na odchodne

strzepując z poduszki zapach jej włosów
śniadanie gotowe

życie wraca do normy
jak człowiek w końcu powraca do ziemi
jak w ogóle ma śmiałość żeby ją zapytać:

niczego nie zapomniałaś?
w rozsypce, jak rzeczy w pokoju, nie odpowie nic,
wszystkie słowa martwo narodzone

w tym kraju z zakazem aborcji
w drodze na dworzec życie jest jak otwarta możliwość
w którą iść stronę od czego stronić
północny autobus przecina noc

światła z obu stron – jak jeże, uciekające spod kół
odetnij wszystko, co trwa dłużej
niż piosenka przypadkowej radiostacji

na którą trafiasz nagle
gdy wszystko inne chyba już się skończyło
w której ktoś śpiewa o tym jak dziewczyna wychyla się z okna i leci
kładąc nacisk na „leci”, a o tym „z okna” zapomina

zawsze coś trzeba zapomnieć żeby lecieć

Tłumaczył
Bohdan Zadura



Ostap Sływynski

Zima

Zdaje się, że tam kąpali dziecko — jego niemowlę, -

Kuchnia była pełna pary i przypominała
magiczny lampion: kilka figur, które
obracają się wokół czulego centrum,

A dalej on -
nagle na ścieżce, ciemny i nieruchomy,
w narzuconej kurtce,
jakby tu, na dworze, zadzwonił jakiś telefon, a on
nie zdołał dobiec
i szuka go teraz wśród przemarzłych drzew:
gniazdo, z którego wyłuskał się niewyraźny głos.

Stoi i widzi tylko to, co widać: połamane gałęzie,
jak wąskie rękawy w szarej ścianie zarośli, przez które ktoś
przedzierał się stąd na drugą stronę, żeby za chwilę
obejść je dookoła i wrócić.

Noc

W oknach stróżówki chodzi światło, jak źrenice
tego, kto się budzi. Pokażę.

Stróżówka, a chwyta się brzegów, dokądś idzie -
znów nie sama, gdy już, zdawało się, nie będzie inaczej,
Może wystarczy pospać w jej ruchliwym półcieniu?
Pobyć przez ścianę z tym, kto patrzył w
najbardziej migotliwy las? I zawrócił?

*

Zjechaliśmy w noc, jak na ogromny prom:
rowery, namoknięte i chwiejne, jak źrebięta narodzone
w morzu, szykują się, żeby pożyc sobie trochę własnym życiem.
Chcesz śpiewać,
i twój głos — silny i czysty, trzymałaś go dawno -
wystrzela w górę, jak sygnalizacyjna rakieta, żeby
oświetlić sobą zupełnie puste pola.
I nagle dochodzi do mnie, że śpiew — ten ludzki
przeciągły głos, który inaczej byłby nie do zniesienia -
istnieje po to, byśmy mogli długo iść jedno za drugim,
iść po swoich śladach w nocnym mroku.

Tłumaczył
Bohdan Zadura

Ostap Sływynski,

ur. 1978. Poeta, tłumacz, eseista, krytyk literacki. Autor tomików poetyckich *Ofiarowanie wielkiej ryby* (1998), *Linia południa* (2004), *Piłka w mroku* (2008). W 2009 r. ukazał się wybór jego wierszy w przekładzie Bohdana Zadury pt. *Ruchomy ogień*. Jest laureatem Nagrody Literackiej im. B. I. Antonycza (1997), Nagrody Huberta Burdy dla młodych poetów z Europy Środkowej i Wschodniej (2009). Stypendysta Gaude Polonia, 2003.

Tłumaczy z polskiego, białoruskiego, bułgarskiego, macedońskiego, angielskiego i rosyjskiego. Za przekład *Jadąc do Babadag* Andrzeja Stasiuka otrzymał nagrodę Ambasady Polskiej w Kijowie. Ostatnio realizuje projekty na pograniczu poezji i sztuki wizualnej. Do jego poetyckich tekstów Natałka Ilczuk nakręciła film *Bezcieleśni kochankowie*. Mieszka we Lwowie, gdzie na uniwersytecie wykłada język polski i literaturę.

Lubow Jakymczuk

Klasztor

do klasztoru pójde, męskiego
 abstynencji mity odbraćować
 będę nosić krótkie spódnice
 perhydrolem włosy sobie robić
 i co nocy komuniam będzie
 i co rano kac będzie palił
 i poznają mnisi, co to szczęście
 będą wielbić Marię z Magdali
 ten mi będzie całował nogi
 tamten ręce – i co innego
 a ty ze mną będziesz zdradzał Boga
 i się modlił tekstami Nietzschego

Puls

twój puls cyk-cyk
 pod moimi obcasami
 które rosną od uszu
 jak przystoi blondynce
 z achromatycznymi włosami –
 czarnymi lub białymi
 bardziej – chromowymi
 jak ręcznik frotté
 na kimś wilgotnym długonogim

gdy schodzę na ziemię bosa
 z moich piętrowych obcasów
 ręce rozpinają guziki i zatraski
 lśnią na wszystkie cztery strony
 płyt Majakowskiego
 i twój puls znika za ścianami
 morelowego zapachu

Tłumaczył
 Bohdan Zadura



Lubow Jakymczuk,

ur. 1985. Poetka, krytyk literacki, dziennikarka. Absolwentka filologii ukraińskiej na Uniwersytecie im. Tarasa Szewczenki w Łuhańsku. Magistrantka programu „Teoria, historia literatury i komparatystyka” w Akademii Kijowsko-Mohylańskiej. Stypendystka Gaude Polonia w 2010 roku. Autorka zbioru wierszy *jak MODA* (Lwów, 2009), za który otrzymała dyplom I stopnia nagrody im. Bohdana Ihora Antonycza i nagrodę literacką im. Wasyla Symonenki.. Współautorka projektu wideopoezji (2008) i audiopoezji *Kobieta, dym i niebezpieczne przedmioty* (z kontrabasistą Markiem Tokarem, 2009). Laureatka konkursu na słuchowisko radiowe (za dramat *Mimika*). Mieszka w Kijowie.

Pawło Szczyrycia

...kiedy przepływasz rzekę
po tamtej stronie dna czuję blask.
Nie zastanawiam się – lecę.
Rozbijam pierwsze lody.
I znajduję się głęboko nad. Nami.

Retrospekcja

przez „nie można” chodziliśmy boso
bo oddani byliśmy Sprawie
tak upojnie nam wtedy szło się
ramię w ramię

nasze sny były jeszcze przytomne
i prawie trzeźwe wtedy
marzenie ważyło ponad trzy tony
jak u Matki Teresy

znajdowaliśmy sposób jak nie zgubić razem
szczęścia co takie ogromne
serce umiało bijąc wystukiwać frazę
„chodź do mnie”

oddawaliśmy należne Sprawie
odsetki wcale nie dbając o to
czy serce mamy po lewej czy prawej
i spluwaliśmy z wysoka

z ówczesnych nas się zachował
cień fotografii jedynie
i cytat na wysokości policzka:
wróg pokocha – więc zginie

Tłumaczył
Bohdan Zadura

Pawło Szczyrycia,

ur. 1982. Poeta, muzyk,
dziennikarz. Ukończył w Kijowie
Instytut Dziennikarstwa
w Narodowym Uniwersytecie im.
Tarasa Szewczenki. Finalista
konkursu literackiego Młode wino
(2003), zwycięzca festiwalu
muzyki akustycznej i poezji
śpiewanej Srebrna Podkowa
(2006), laureat międzynarodowego
konkursu Hranosłow (2007).
W 2008 otrzymał literacką
nagrodę Głos dzwonu. Autor
tomów wierszy *Terytorium
braterstwa* (2007) i *Uobecnienie
legendy* (2010, wydanie
dwujęzyczne, przekład polski
Wojciech Pestka i Iwona
Wasylewska). Lider zespołu
muzycznego (Nie)tutejsi.
Stypendysta Gaude Polonia
(2010). Mieszka w Kijowie.



Aleksandra Janik • Z cyklu *Impas*, 2009 • druk cyfrowy 70x70 cm

sam – O – zniszczenie
 jest krzykiem milczenia
 sopła wieczności
 zastygła na pędzlu – wszyscy nie
 wszyscy tak – artyści żyją.
 dopiero co powstałem
 z łona kolejnej kobiety.
 dopiero co zginałem z rąk
 mordercy.
 tak namalowałem
 znak egzystencji –
 sam – O – zniszczenie
 któremu kradnę ekstazę farb
 co wraca niczym cierniowy wieniec.

Tłumaczyła Olga Solarz

Myroslaw Jahoda • *Purgatorium* • tusz 31x43

Myroslaw Jahoda

Myroslaw Jahoda,

ur. 1957. Malarz i poeta. W 1986 ukończył studia na Wydziale Grafiki Instytutu Poligraficznego we Lwowie. Jest autorem scenografii do ukraińskiej inscenizacji *Dziadów* Mickiewicza. Wykonywał polichromie w cerkwiach budowanych na zachodniej Ukrainie po upadku Związku Radzieckiego. Jego twórczość jest wynikiem mistyczno-realistycznego światopoglądu łączącego tradycje jurodiwych z elementami buddyzmu. Malarska twórczość Jahody jest przykładem odrodzenia tradycji religijnej w sztuce ukraińskiej. Wydał tomy poezji *Czerepostow* (2001), *Dystans zero* (2004), *Blask* (2008). Jest autorem powieści i dramatów drukowanych w antologiach prozy i dramatu współczesnych pisarzy ukraińskich.

RZECZY

ruch krąży wokół miłości
 do tego stołu – farb – pędzli – kwiatów,
 i sensu rzeczy –
 stalowe pióro z płytką dźwięków –
 które wydobywa krew słów
 lepianych wojnę na odludziu –
 w kącie pracowni, tu zaszło
 czarne słońce – słońce rozkapryśzone dziecię,
 zbiera kropelki wiary
 z bożych śladów,
 tam śmieją się dzieci,
 balansując na wietrze.
 Wstąpił magiczny szyfr w górę złotych
 i srebrnych postaci na wymyślonej
 palecie dziwostanu.
 Gorzkie obrazy przodków przeplotły się
 z cieniami – wrosły w korzenie mego ciała –
 tych ścian, gdzie odradza się
 zapomniana wyprawa wokół jagodowej planety –
 do jądra światła, do rdzenia drzewa –
 do popiołu z którego wyrasta wiara.
 Niczym perekotypole suniesz po drodze
 nędzy – gdzie rozbudzone zabląkane
 dusze szukają jedzenia.
 Głos rzeczy podniósł się wniebogłosy –
 w intonacji cichego cierpienia –
 strwożonego słońca – pochmurnej oczywistości
 w strzemionach ducha który
 pośpiesznie wyruszył na spotkanie
 swojej zguby.
 Mój zegar nie ma strzałek.
 Krążenie ruchu i wibracji
 wokół egzystencji – owerton
 przebudzenia.

30.07.2000

Tłumaczyła
Olga SolarzMyroslaw Jahoda
tytuł nieznany • tusz 24x36Myroslaw Jahoda
tytuł nieznany • tusz 31x43

ZNOWU JESTEŚ BOGIEM

*jesteś Buddą –
martwym Buddą.*

zapomnisz o końcu początku
wszystko nietrwałe stanie się trwałym
zero stanie się prawdą liczb
jesteś samowystarczalny i własny

światło objęło cię dookoła
i otworzyło wszystkie drzwi
cienie zamarły w kątach
oto drugie przyjście w tych ścianach

subtelny uśmiech argonauty
który pozostawił swój statek
i powrócił do domu
by zrozumieć dokąd zmierza

pokonani wszyscy triumfatorzy
zamienieni w proch wrogowie
zmęczona postać siada
złożywszy ręce na stole

anatomia miłości
i antropologia pustki
muzyka sfer płynie
na Wysokościach

blękitną kropką na końcu tunelu jest
twój oddalający się cień
królestwo niebieskie jak na dłoni
w niemej scenie zastygł rewizor i ty

Wielu martwych
przestało już żyć – ich nie ma
stoję w miejscu – JA + GOD = A!!A = A!!

09.11.2007

Tłumaczyła
Olga Solarz



Myroslaw Jahoda • *Tron* • tusz 31x43



Myroslaw Jahoda • *Paproc* • tusz 31x43

trwoga – białe na białym
w podwójnym kole
martwego oczekiwania
i bycia tam
gdzie jadowity śmiech śmierci
wybielił twoją drewnianą krainę
w NIC które świeci się
w pustce.

mojemu trupowi uniosła się głowa
obdarta z wierzeń broda
w której śmieje się szatan
pod peruką Boga.
piekło – to cienie
schowane w kieliszkach-legowiskach
iść czy nie iść w świat nieznany
ze świniami jak syn zbłąkany
aby powrócić w koło zera
lub do ołtarza – szkieletu ciała
z martwych – popiół na popiół

14.05.2000

Tłumaczyła
Olga Solarz

Dmitrij Hajduk

Jak stary rastaman poszedł do Afryki

(czwarte opowiadanie hipisowskie)

Jeszcze jedno opowiadanie o starym rastamanie. Który już z rastamaństwa wy-
czepił, ożenił się, berbeci napłodził, do porządnej roboty się zapędził, do telewizora
się podwiesił i tak dalej. No i przyszła wiosna, a on leży na tapczanie, wbija gały w ga-
zetę i myśli, czego mu jeszcze trzeba. A tu żona podchodzi, odsuwa gazetę i mówi:
„Patrzcie go, blać, jaki łachudra! Ja tu zasuwam jak pszczołka, a on znów się rozwa-
lił i ni cholery nic nie robi”. A rastaman jej na to: „No i czego ty tu, joly-pały. Do ro-
bory chodzę, szmal do domu przynoszę, już, kurtyna, nawet odpocząć nie można”.
A żona mówi: „Też mi, kurtyna, bohaterstwo, to roboty chodzić. Toż ty w robocie ca-
ły dzień durnia strugasza, chlejesz wodę z koleżkami, a potem przychodzisz do domu
i wylegujesz się na tapczanie. Bierz torbę i wal po chleb”. No to rastaman bierze tor-
bę, obuwa pantofelki i westchnąwszy ciężko idzie po chleb.

A na ulicy już wiosna na całego, prawie że lato – ciepło, fajniutko, po prostu wy-
rąbisty klimacik. No i rastaman wszedł do sklepu, kupił chleba, przeliczył resztę
– patrzy, a tu nie starczy mu na piwo. I smutno mu się zrobiło, że niech to chuj: ży-
cie człowiekowi przejdzie, a on się nawet piwa porządnie nie napije. I tu podchodzi
do niego lafirynda i mówi: pfeprafam, pfychujaliśmy z małego miasteczka Dorpat,
i takie tam. Rastaman jej słucha i myśli: ja już gdzieś podobną landarę słyszałem.
Chyba w jakimś filmie. Tylko nie pamiętam, w jakim. A lafirynda już przechodzi
do głównego wątku – sprawy „jakichś drobnych”. I tu rastaman pyta machinalnie:
słuchaj, lafirynda, a skąd ty jesteś? Tak mu się jakoś wyrwało.

Lafirynda mówi: z Jamajki. A na imię mam Kaya. Tu rastaman myśli: Jamajka...
Kaya... Coś mi te słowa przypominają. A lafirynda mu mówi: jeszcze by tego brako-
wało, żeby nie przypominały. Przecież ty jesteś, joly-pały, stary rastaman! Już pięć se-
zonów pod rząd opuściłeś! Kupujesz gandzię od buców! Dynksem popijasz! Ścier-
wem zakąszasz. Przecież to wszystko jest do chuja niepodobne!

Rastaman rozejrzał się: i faktycznie, wszystko było do chuja niepodobne. Do te-
go doprowadził swoje życie, że i do zakładów mięsnych by poszedł. No i mówi do la-
firyndy: no, wiesz, jakby to powiedzieć. Żona, krótko mówiąc, dzieci, robota, mieszk-
anie – uziemili mnie, suki, ze wszystkich stron. Co ma, kurtyna, zrobić ze sobą
biedny rastaman? A lafirynda mówi: idź do Afryki. Dzisiaj Jah otworzył dla ciebie ko-
rytarz – i póki będziesz iść, to wszystko przejdiesz, ale jak się zatrzymasz – to już
po tobie. Tu rastaman ją pyta: a pójdziesz ze mną? A lafirynda mówi: tak, ale tylko
do Amsterdamu; mam jeszcze od chuja i trochę takich, jak ty, muszę zdążyć zebrać
wszystkich, zanim lato się skończy.

Wychodzą, krótko mówiąc, na trasę, i po pięciu minutach łapią stopa do Kijowa.
A kierowca taki im rad, jakby spotkał rodzonych siostrę i brata: no, mówi, w porzą-
dalu! Kudłate wyleźli na trasę – znaczy się, zaczyna się lato. Zatrzymuje się
przy pierwszym barze, kupuje im po szaszłyku, flachę portwajnu, i tak z wiatkiem
i pieśniami dojeżdżają do Kijowa.

A w Kijowie burdel całkowity. Krótko mówiąc, miejscowi mudżahedini zajęli Bia-
ły Dom, aresztowali parlament i mówią: dawajcie nam całkowity ligalajz i po worku
suszu na ryło, a jak nie, to wystrzelamy deputowanych co do jednego. A naród oto-
czył Biały Dom, omonowców nie puszcza, krzyczy: kochanieńcy, milutcy, a toż wy-
strzelajcie ich wszystkich, i to jak najszybciej,
a wtedy ligalajz to my już wam sami zrobimy. Mu-
dżahedini normalnie ochujeli, nie wiedzą, co te-
raz robić: faktycznie to nikogo nie chcieli zastrze-
lić, tylko tak, po prostu, żeby się pokazać. Nawet
nabojów starczyłoby im na ledwie co piątego, i to
pod warunkiem, że dobrze by celowali. A naród
sroży się, żąda krwi – rewolucja, krótko mó-
wiąc. I już gromadzą się miejscowe rastamany
i wszelkie subkulturowce, czekają, jak to się skoń-
czy, no bo to ciekawe. Wystraszone mendi latają
wte i wewte, grubachne bandziory stoją i do ni-
czego się nie wtrącają. A we wszystkich sklepach
kwasów na kilogramy, sprzedają po dziesięć hry-
wien na miejscową walutę. I nikt nie bierze, bo
wszyscy się już nakwasili.

No, my tu gadu-gadu, a tu przychodzi noc.
Wąsaci subkulturowcy rozeszli się na chaty, gru-
bachne bandziory rozjechały się do knajp, mendi
pijane rozlażyły się po dzielniach, omonowcy w ro-
wie grzeją wodę i posuwają panny, a mudżahedi-
ni korzystając z zamieszania po cichutku nawiali
z Białego Domu. I tylko pozabijani deputowani

Dmitrij Hajduk

ur. 1964. Publicysta, prozaik,
bajkopisarz. Autor recenzji
muzycznych na stronach
www.ozon.ru i www.drj.ru, redaktor
wydawnictw encyklopedycznych,
m.in. *Encyklopedii konopi* (brak
wyd.), *Encyklopedii przedszkolnych*
(2000), *Bolszej encyklopedii*
symbolów i znaków (2007,
współred.). Przełożył i opracował
książkę *Magia w teorii*
i na *praktyce* Aleistera Crowleya
(1998). *Bajki rastamańskie*,
wydane w kilku tomach i edycjach
(1998, 1999, 2000, 2004),
dostępne są także na stronie
www.rastaman.tales.ru, aktywnej
od 1999 roku, co czyni ją jedną
z najstarszych witryn literackich
w rosyjskim internecie.

siedzą i od rana rozwiązują swoje testy na inteligencję. Tak to jest, psiakrew, każdy ma swoją jazdę i już!

To, że tak powiem, deputowani. A rastaman z lafiryndą już zapakowali się do elektryczki i jadą gdzieś tam za Berdyczów. Koła huczą, wiatr świszcz, wokół migocze nocna Ukraina – latarnie, świetelka, szkółki leśne, ciemne pola obsiane wszystkimi rodzajami kukurydzy. I oto dojeżdżają do Tarnopola, a w Tarnopolu, jak zawsze, wszystko spokojniutkie. Sezon makowy jeszcze się nie zaczął, spidowy pomór już dwa lata, jak wygaś. Krótko mówiąc, klawo jak cholera. Tu też po wiośnie powylazło wszelkie pionierstwo – a wszystko w strojach organizacyjnych, hipisy w paciorach, punki z irokezami, rastamani z czerwonymi oczkami. I tu do naszego rastamana z lafiryndą podjeżdża czarny cadillac, z którego wylazi ziomalek taki wystrychnięty na cywila i pyta: młody człowieku, a pan przypadkiem nie pali marihuany? A rastaman mówi: no, jakby to panu powiedzieć. Jasne, że palę. Wtedy ziomalek wyciąga z katany wielki worek trawy i mówi: no. Bierz i nie dziękuj. Wsiada do samochodu i odjeżdża.

A rastaman tylko patrzy w ślad za nim i myśli sobie cichutko: aa, jak tak, to niczego sobie. A tu podchodzą do niego dwie mendi i pytają: a co tu masz takiego? O tu, w rękach? Rastaman pomyślał i mówi: zdaje się, że marihuanę. Wtedy mendi mu mówią: młody, no co ty. Ty z tym nie żartuj, u nas się za to siedzi. Jak ci do jutra zostanie chociaż na pół lufy – święty Boże nie pomoże, aresztujemy i ciebie, i twoją lafiryndę, jak za posiadanie nie na własny użytek. Tak że wiesz, wnioski wyciągnij sobie sam. Wtedy rastaman mówi: a dajcie odsypię wam chociaż po lufeczce. A mendi odpowiadają: nie wolno nam, jesteście na służbie. I odchodzą w siną dal mając palczkami.

Tu rastaman z lafiryndą zanoszą cały worek na impre, upalają się, upalają cały tutejszy naród, jakichś przypadkowych załogantów, zaciekawione uczennice, rencistów – krótko mówiąc, wszystkich. Potem się zaczyna smut jazz, coś jak ten w Amsterdamie. Miejscowi muzycanci wynieśli na prospekt dwa piece i posuwają coś tak pokręconego, że posłuchasz pięć minut i odlatujesz. Naród stoi wkoło całkiem ubezwłasnowolniony, nogami przytupuje; ktoś się wytrzeszcza, ktoś po prostu siedzi, lajtowo śmieje się do siebie, że mu tak dobrze. Surowe milicjanty też załapały bluesa, chodzą w kółko do rytmu, śmiechawę mają taką, że mało im gęb nie urwie. I tu lafirynda mówi do rastamana: no i tego, wiesz. Teraz, krótko mówiąc, bierzemy jeszcze po dobrym buchu, wychodzimy na awiatrasę wylotową i łapiemy na stopa samolot prościutko do Amsterdamu. Bo jeszcze trochę, a czuję, że się tu uzależnimy.

No dobra. Biorą jeszcze po buchu i wychodzą na awiatrasę. A na trasie syf, ziąb i samoloty, suki, ni chuja nie biorą na stopa. Wszyscy piloci pokazują, że zaraz skręcają, albo zwyczajnie zasuwają obok z nieobecną mordą, a na drzwiach trafaretka: ZAKAZ ZABIERANIA AUTOSTOPOWICZÓW. A tu jak raz przelatuje obok gromada białych mikrobusów, i jeden się zatrzymuje. Szoferzysko pyta: a wogóle to dokąd? Rastaman odpowiada: wogóle to do Amsterdamu. A szoferzysko mówi: o, klawo! Do Amsterdamu lecicie. A nas, kurtyna, przez internet na Krym przeganiają. Rastaman mówi: no, chuj z tym. Jak na Krym, to na Krym. Widać taki los. I pyta lafiryndę: no co, walimy

na Krym? A lafirynda stoi na obłoku cała sina, z zimna zębami w zęby nie trafia, i tylko energicznie kiwa głową. No i włączają do białego mikrobusu i lecą na Krym.

A na Krymie na wszystkich trawnikach gotują już ze wszystkich sił mleko z samosieją. Dlatego, że ludzie idą przez Zaporozie, a tam wprost na dworcu między torami taka roślina, że wstyd nie zafasować. Każdego dnia ktoś przywozi pełny plecak. A tu jeszcze Niemcy przyjechali z dobroczynnością, zupełnie gotują dla meneli, śmietaną za darmo rozdają, różne książki chrześcijańskie do higieny osobistej. A tu jeszcze jak raz krymskie mendi zbastowały, narkomanów nie chcą łapać, domagają się zaległych wypłat za trzy miesiące. A wszyscy bandyci poszli w góry walczyć z Tatarami. Krótko mówiąc, klawo. No i Griebienschikow usłyszał, że takie tu warunki i od razu przyjeżdża szybowcem na majówkę. Jak zwykły menel, po prostu poimprezować. Chodzi z gitarką, tu sesyjka, tam sesyjka, śpiewa swoje pieśni o złotym mieście. A miejscowe załoganty podchodzą i mówią: ej, ziom, a weź ty zasuń nam coś z „Graždanskoj Oborony”. I Griebień, ciężko westchnąwszy, robi minę potwora i zaczyna walić w struny i drzeć ryja: Wsjo idiot po pła-nuu! Wsjo idiot po pła-nuuu! A załoganty mówią z szacunkiem: no, kolo, ty jesteś, wiadomka, ostry punk. I częstują Griebienia importowanym piwem.

A tymczasem Krym po cichutku odrywa się od Ukrainy i płynie ku brzegom Turcji. Wtedy na całym świecie podnosi się takie nadawanie jeden na drugiego: moskale najeżdżają na Ukraińców, Ukraińce – na moskali, amerykańcy – na jednych i drugich, a Rumuny cichcem wysłali holowniki, żeby przyciągnąć Krym do siebie, a Bułgary Rumunów zdemaskowały i mówią: dawajcie, podzielimy się, bo jak nie, to ujawnimy przed światem wasz nikczemny spisek. I tylko Turki milczą w swoich turbanach, ni chu-chu to ich nie dotyczy. No, płynie sobie, to niech płynie. Przecież płynie do nas, nie od nas.

Siedli, krótko mówiąc, Turki na brzeżku, zapalili swój miejscowy haszysz i obserwują, jak to Krym cichutko do nich płynie. Patrzą, a na krymskim brzegu tłoczą się jakieś potwory, gołe, brudne i kudłate, a ujarane tak, że piździec, wyrażają się jeden o matce drugiego, śpiewają porąbane piosenki i zezują na turecki brzeg, czy by się tam nie dało uszczknąć czegoś do żarcia i w ogóle. Tu wszystkie Turki myślą: matko jedyna! Jeszcze nam tego brakowało! I od razu łapią się za długie tyki i zaczynają odpychać Krym od siebie. A tu podpływa i flota czarnomorska, bierze Krym na hol i ciągnie go z powrotem. A Krym zapiera się rękami i nogami i krzyczy: chcę do Afryki! Ale mówią mu: do chuja, a nie do Afryki! Wcześniej trza było pomyśleć! Krótko mówiąc, zaciągnęli go z powrotem.

Aha. A co z rastamanem i lafiryndą, krótko mówiąc. No więc oni, że tak powiem, zebrali na Krymie całą załogę konkretnych rastamanów, załapali się na holenderski drobnicowiec i zasuwają do Amsterdamu.

■
Tłumaczył
Jacek Podsiadło

Dmitrij Hajduk

Święta historia (z elementami pedagogiki)

No i tego, znaczy się, pewnego razu Jah się napalił, że będzie stwarzał świat. Trzy dni zasuwał, wszystko już w sumie postwarzał, ale jednak czegoś mu wciąż brakowało. No i siedzi Jah i myśli: czego tu jeszcze może brakować. I tu wewnętrzny głos podpowiada mu: gandzi! W ogóle nie ma gandzi na tym twoim świecie. Patrzy Jah: i rzeczywiście. W sumie wszystko już jest git, tylko gandzia nigdzie nie rośnie. Normalnie jak w Karelii.

No to stworzył gandzię. Siadł, zajął, popatrzył wkoło i myśli: ech, joly-paly! I po co tyle bądziwia żem tu nastwarzał dokoła. Trzeba się teraz konkretnie wziąć do roboty i stworzyć coś porządnego, niebądziwnego. Stworzyć coś naprawdę pojechanego. A to wkoło to totalny chłam, normalnie to samo co w telewizorze. I stworzył Jah rastamana.

Stworzył go i mówi mu: no i patrz, kolego. Tu masz słońce, tu masz morze, tu masz warzywa i owoce, a tutaj masz swoją gandzię. No, jednym słowem, co tu dużo gadać, masz tu, jak to mówią, raj. Używaj, kurtyna, i raduj się. A rastaman przypalił gandzię i mówi: a tak w ogóle to klawo by było teraz muzy posłuchać.

Dobra. Jah stworzył mu magnetofon i kasety, piętnaście tysięcy sztuk. I mówi: no i patrz, ten tego. Słońce, morze, warzywa-owoce, kielbasa po dwa dziesięć, piwa potąd, trzymetrowa gandzia, z magnetu Bob Marley – rastaman, wajbrejszyn jea, pozitiw! Używaj, krótko mówiąc, i raduj się. A rastaman przewinął kasety do końca i mówi: a w ogóle to klawo by było teraz pograć na gitarze.

Dobra. Stworzył mu Jah gitarę. I mówi: no, teraz to naprawdę wszystko gites. Słońce, powietrze, morze, szaszłyki, warzywa-owoce, gandziocha tak samo. I to, trzeba powiedzieć, gandziocha w porządku, nie jakieś tam indyjskie siano czy inna słabizna. Używaj, kurtyna, i raduj się. A rastaman pograł na gitarze i mówi: ech! Żeby tak dziewczynę – to by dopiero, rozumie się, wszystko już było naprawdę git.

Dobra. Stworzył mu Jah laskę. Naprawdę fajną laseczkę mu stworzył. I mówi: oto macie tu, że tak powiem, cały raj dla siebie. Używajcie i radujcie się. A ja jadę na urlop na Krym. Bo już się zgrzałem od stwarzania wam tego wszystkiego. I odjechał.

No i tego, rastaman i jego laska bujają się po raj, palą gandzię, słuchają muzyki, śpiewają piosenki, grają na gitarze, uprawiają seks po klombach. Tak to właśnie wygląda, to rajske życie. Zatrzesienie jądła wokół, do roboty chodzić nie trzeba, przez cały rok lato, mendy się nie czepiają, lachony się nie przystawiają, blanty mógzu nie dziurawią. Tak to właśnie wygląda, znaczy się, to rajske życie.

A tu wąż pełźnie obok. Chudy, blady, żrenice jak kropeczki, ogolony na zero, całe ciało to jedna długa żyła, pokłuta wszędzie od głowy do ogona. Rastamany mówi: te, wąż! Przyczółgaj no się tu do nas, popalimy gandzi. A wąż mówi: dziękuję, ludzie. Nie, naprawdę, dzięki. To są jazdy dla pionierów, całe to kurzenie gandzi. Dlatego, że nie ma po niej żadnego odlotu, wiadomka. Tak, zaliczyć małego tripka, nagadać się, muzyki posłuchać... Nie no, ludzie, to ma być odlot? Odlot – to żeby, wiecie, raz! I odleciał. I latasz, latasz, latasz w ciepłej nieskończoności... To jest, ma się rozumieć, odlot.

Wtedy rastamany pyta: a jak dostać takiego odlotu? A chytry wąż pokazuje na klomb: a oto i on, prawdziwy odlot, rośnie sobie pod waszymi nogami. Tu macie łodyżki, na nich zielone koszyczki, a w koszyczkach biały sok. I z tego to soku uwarzymy teraz zupkę mleczną i rozprowadzimy ją po żyłkach. I wtedy od razu załapiecie, co to jest prawdziwy odlot.

Rastaman mówi: o, klawo! Dawaj, warzymy. A laska mówi mu: poczekaj. Przecież to nic innego, tylko mak. A przed makiem, pamiętasz, Jah nas ostrzegał: to jest, pipole, syfiasty mak. Nie jedzcie go, nie pijcie i nie palcie, i zupy z niego nie gotujcie, bo staniecie się grzejnikami, zaprzecie się systemowi i na koniec zaćpacie się na śmierć. Wtedy wąż mówi: no, on kopie, wiadomo, ale tak jakby nie z całej siły od razu. Od jednego razu nikt jeszcze ćpunem nie został. Ja sam trzy lata pod rząd grzałem mak na maksa, zanim przegiąłem. No, przegiąłem to przegiąłem, nic strasznego. Potem odgiałem i wszystko się wyprostowało. I nikt się nie zaćpał. Dlatego, że jak grzejesz z rozumem, to nic ci nie będzie.

Wtedy laska rastamana mówi: jak nic ci nie będzie, jak Jah mówi, że będzie. A wąż mówi: on po prostu nie czai. Sam nigdy nie próbował, więc co on może wiedzieć. A wy weźcie i spróbujcie, od razu będziecie wiedzieć więcej niż on. No i, krótko mówiąc, namówił wąż naszych rastamanów, żeby dali sobie w żyłę. Sam wałnął cztery centy, i jeszcze zawołał swoich kumpli ćpunów. Oczywiście, kiedy już wieść o grzance się rozeszła.

I wszyscy w raj weszli w ten sam kanał, co zawsze. Rano się zaprawiają, wieczorem poprawiają – i cały dzień siedzą, wytrzeszczają się, telepie ich, kontemplują obuwie. Zawiecha, trzeba powiedzieć, konkretna. I żadnych odlotów – no tak, przyjemnie, jasne, ale gdzie ten nieziemski odlot? A wąż mówi: jeszcze się dobrze w kompot nie wkręciliście. Ale jak się już wkręcicie, to dopiero będzie odlot.

No i rastamany zaczęli się na dobre wkręcać w kompot. Z początku po pół centa, potem po cencie, a po dwóch tygodniach doszli już do czterech centów. Ciągłe

chce im się totalnych odlotów, a odlotów jak nie było, tak nie ma. A tu jak raz cały mak w raję się skończył. Wąż mówi: dawajcie waszą trawę, wymienimy ją na szpryce. Trawa tak czy owak już nie kopie, dawajcie wymienimy ją na szpryce.

Krótko mówiąc, wymienili całą trawę na szpryce. Potem przehandlowali warzywa i owoce, potem magnetofon i gitarę, potem ciuchy razem z plecionkami z koralików. No i tego, przyjeżdża Jah z urlopu, patrzy – a w raję burdel totalny, wszędzie porozstawiany sprzęt, nasrane, nasyfione, snują się wszędzie jakieś łyse karczucha, tylko patrzeć, jak się tu mendownia zwali. A jeszcze jakieś lewusy piłują drzewa. Jah jak na nich nie naskoczy: a co to za piłowanie drzew tutaj? A oni mówią: idź, chłopie, i nie truj nam tu dupy. Myśmy ten las kupili, po centymetrze za metr.

Wtedy Jah wzywa do siebie rastamana i jego laskę. Rastaman i laska przychodzą: chudzi, brudni, obcięci na łyso, goli, ręce i nogi całe w zrostach. Przyszli i stoją, telepie ich. Jah ich pyta: a czemu to chodzicie na golasa? A rastaman odpowiada: a bo nam gorąco. Wtedy Jah ich pyta: czy mi się zdaje, czy wyście przegięli z kompotem? A rastaman mówi: to wąż, paskuda, nas w to wszystko wkręcił. Przegięliśmy i nie możemy teraz odgiąć i naprostować wszystkiego. Wtedy Jah wzywa do siebie węża – ale wąż popełził już dalej, na nowe miejsce. Gdzie jest więcej maku. Zrozumiał bowiem, że tutaj nic ciekawego go już nie czeka. Chyba że obrażenia cielesne.

No, tu już Jah prawdziwie się rozsierdził. Jak nie wstanie na całą długość, do samego nieba, jak nie ryknie: A POSZLI MI STĄD WSZYSCY W CHUJ! I jakby wiatr poszedł, z miejsca wywiało wszystkich lewusów z raję. Zostali tylko rastaman i jego laska. Stoją goluteńcy, z głodu ich trzęsie – bo to już zaczęło ich puszczać, a nie ma czym poprawić. I oto Jah wziął ich oboje w garść, i ścisnął do kupy jak kulkę plasteliny. A potem z tej kulki ulepił ich na nowo. W szmateksie kupił im nowe ciuchy, plecionki już sobie sami zrobili, nasiali nowej gandzi – i żyli sobie na luziku, i nikt ich z raję nie wypisywał. I ichnich dzieci, i wnuków też nikt z raję nie wypisywał. I po dziś dzień wszyscy żyjemy w raję, tylko nie całkiem się w to wkręciliśmy. Za to jak już się wkręcimy – no to co tu gadać, wiadomka.

■
Tłumaczył
Jacek Podsiadło

Jacek Podsiadło,

ur. 1964. Poeta, prozaik, tłumacz, dziennikarz, felietonista, autor książek dla dzieci i młodzieży. Laureat licznych nagród literackich, m.in. Nagrody Kościelskich (1998), trzykrotnie nominowany do nagrody Nike. W latach 1993-2008 prowadził audycję „Studnia” w Radiu Opole. Od 2009 roku prowadzi własne Domowe Radio „Studnia” w internecie. Autor bardzo wielu tomów poezji. Jego wiersze tłumaczono na większość języków europejskich. Jest również autorem przewodnika po Wilnie wydanego przez wydawnictwo Pascal.



Aleksandra Janik • Z cyklu *Kobieta szuka siebie*, 2007 • druk cyfrowy 70x100 cm

Wasył Machno

Zagraj swoją muzykę najgłośniej, jak potrafisz

1. What can I do?

„What can I do?” – śpiewała grupa „Smokie”, „poszukać wódki” – wtórowali jej żule lat 80., przekładając frazę popularnej piosenki na bardziej zrozumiały język. Piosenka upajała, a Elis, która mieszkała drzwi w drzwi, mieszka tam do teraz, i Carol, i meksykańska dziewczyna, i tak samo rzeźnia w San Francisco, do której teraz jest bliżej, jednak mrówki wspomnień, które drażnią twoją pamięć, i igielki emocji, które ją przyszpiliły, i ten deszcz, na który możesz patrzeć wiecznie, i się nim nie nasyć, już nie zachowują twoich najważniejszych słów. Minie ze trzydzieści lat i o angielskiej grupie i jej przebojach, które rozbrzmiewały we wszystkich dyskotekach, pamiętać będzie tylko twoje pokolenie. Teraz kolekcję tych piosenek możesz zapakować do komputerowego folderu „My music”. Żeby potem słuchać jej razem z nowojorskim deszczem.

A kto będzie pamiętał twoje pokolenie?

I dlaczego ten deszcz jest nowojorski?

I czy pakując walizki przed wyjazdem do Nowego Jorku, o czymś nie zapomniałeś i czegoś nie zostawiłeś, a teraz za każdym razem, gdy tam wracasz, w żaden sposób nie możesz tego znaleźć.

Setki fotografii, które wywoływane były w domowych laboratoriach, w ciemności, przy czerwonym świetle specjalnej żarówki, z wywoływaczami i utrwalaczami, wypłukującymi twarz i postaci, jak złoto w kopalniach. A potem, przyczepione do sznurka, jak bielizna na podwórzu, suszyły się i stawały się czasem. Poskładałeś je do papierowych pudełek, przyniesionych z najbliższego sklepu spożywczego i położył, jakby ktoś oblał je miodem.

Kto pamięta Sznajdera z Kijowskiej? Francuza? Ślepego z Fabrycznej, twojego kolegę z klasy, który został zekiem i znajduje go na Puszkina, martwego, koło ośmiopiętrowego budynku?

Jak to wszystko toczyło się między wami? No, zwyczajnie w cenie były bicepsy i silny cios, firmowe dzinsy, dorosłość mierzyło się papierosami wypalnymi na przerwach między lekcjami, alkoholem, wiedzą, że Lenka z równoległej klasy miała skrobanek i że teraz leczy ją penicyliną, i kto Sznajderowi wisi forszę i za co, i że po dyskotekę w szkole mimo wszystko będą rozróby i milicja przyjedzie za późno, i że nauczyciel wf-u to ściervo i miętoli na materacach najbardziej dojrzałe dziewczyny ze starszych klas, a wychowawczynie przyczepiła się, żebyśmy skonspektowali źródłowy tekst któregoś z klasyków marksizmu-leninizmu, wybrałeś „Materializm i empiriokrytycyzm” i kiedy streściłeś, pytała o imienną listę wszystkich członków Biura Politycznego, jak o „Objawienie” św. Jana.

Co masz robić, jak masz 16 lat? Zresztą, co możesz?

Żyłeś pomiędzy szkołą, przystankiem Kijowska, kioskiem, budkami telefonicznymi i sklepem spożywczym, a także między matką i ojczymem, ich pokojem i pokojem twoim i brata, pomiędzy książkami, oddawaniem butelek do punktu skupu i wyszukiwaniem fal radiowych z zabronionymi głosami, pomiędzy wstawaniem rano i wystawianiem razem z mamą w kolejce w sklepie „Kijów” po masło, chodzeniem do sklepów i chowaniem kilku kopie-

Wasył Machno,

ur. 1964. Poeta, eseista, tłumacz. Skończył uniwersytet w Tarnopolu, tam zrobił doktorat i pracował do roku 2000, kiedy to wyjechał z rodziną do USA. Autor 7 tomów wierszy, książki *Artystyczny świat Bohdana Ihora Antonycza* (1999), zbioru esejów *Park kultury i wypoczynku imienia Gertrudy Stein* (2006) oraz dwóch sztuk: *Coney Island* (2006) i *Bitch/Beach Generation* (2007). Opublikował w swoim przekładzie wybory wierszy Zbigniewa Herberta i Janusza Szubera, tłumaczył wiersze Anny Frajlich, Andrzeja Sosnowskiego i Bohdana Zadury. W Polsce wyszły dotychczas dwa wybory jego wierszy: *Wędrowcy* (Poznań, 2003), *34 wiersze o Nowym Jorku i nie tylko* (Wrocław, 2005). Jego eseje, wiersze i sztuki drukowane były m.in. w „Twórczości”, „Akcencie”, „Frazie”, „Plus Minus”, „Dekadzie Literackiej”, „Dwukropku”. Mieszka w Nowym Jorku.

jek reszty, pomiędzy słuchaniem kasetowego magnetofonu „Wiosna” i marzeniem o szpulowym „Majak 305”, pomiędzy dyskotekami i cenami džinsów, pomiędzy spekulantami i trasami Polaków, którzy jadąc na odpoczynek przez Ukrainę do Bułgarii, sprzedają gumę do żucia, kurtki, koszule, swetry, między życiem i śmiercią.

To wchodzenie w dorosłość z papierosem i rozpijaną na dwóch butelką taniego wina. Ta okolica miasta, którą opanowała żulia, między nowymi budowlami, armaturą, prefabrykatami, przedszkolami, szkołami, dyskotekami i piosenką ze znakiem zapytania, *co mam robić?*, i z tymi słowami, z tą muzyką nasze pokolenie będzie musiało porzucić to miasto, żeby nie zawłaszczyć go tylko dla siebie.

Zdaje się, że nic się nie zmieniło: za oknem jesień, siedzisz w kawiarni, której nazwę zmieniono po twoim wyjeździe z tego miasta. Zmienił się właściciel, potem tego zmienił jeszcze inny, te okresowe zmiany sprawiały, że zmieniało się wszystko: jakość kawy, asortyment alkoholi, kelnerki, klienci. W Nowym Jorku znalazłeś odpowiednik kawiarni, które tak lubiłeś w młodości, ten odpowiednik nazywa się Starbucks: kawa z mlekiem, herbata z żółtym trzcinowym cukrem. Jazz z country, stolik z laptopem.

Jesień, którą zapamiętałeś sprzed kilku dni do wyjazdu do USA, była ciepła, ale deszczowa. Teraz suchy jesienny dzionek, jak fotografia z internetu, stał przed twoimi oczami, niby kieliszki napelnione wódką, w których odbijały się twarze i ręce przyjaciół, których zaprosiłeś na kawę.

Po przeciwległej stronie ulicy, mijając nasze zaszklone towarzystwo, przechodzi kobieta w jaskrawym ubraniu i w kapeluszu, który dawno wyszedł z mody, owinięta długim szalem, w białych butach na wysokim obcasie, które kontrastują z kolorową gamą jej ubrania. Ale w ten sposób przyciągają uwagę. Wymalowana jak początkujący kłown z cyrku szapito, tym zawsze odróżniała się od innych pacjentów miejscowej przychodni psychiatrycznej, którzy czasem chodzili po centrum. Należała do wyższej kasty. Jej pojawienie się na bezludnej ulicy przyjmujesz z ogromną wdzięcznością, bo ona jedna odciąga cię od częściej gadaniny twoich dawnych kumpli i skrywa w sobie jak katarynka muzykę tego miasta, którą zdążyłeś zapamiętać.

Dlaczego muzykę, a nie coś innego?

Dlaczego nie ocalałe resztki architektury przedwojennego Tarnopola, częściowo w centrum miasta, na Nowym Świecie, z zamalowanymi pilastrami i odłupanymi ze względu na swą zbyteczność atlantami, dlaczego nie odnowioną ulicę Perła, nowe dzielnice lat 80., robotnicze hotele fabryki kombajnów i kombinatu bawełnianego?

Tarnopol, który stracił swą atrakcyjność w następstwie zmasowanego radzieckiego bombardowania w 1944 roku, powstał jak Feniks z popiołów, ale inny, z inną architekturą, nowymi nazwami ulic, odbudowanym centrum, tarnopolskim jeziorem. Podział miasta na osiedla Przyjaźń, BAM, Kanadę i Alaskę w ogóle rozmagnesował jakąś przyciągającą siłę między centrum i nowymi rejonami miasta. To śmiertelne rozdarcie między dawnym miastem i jego historią a współczesnym, które przypada na rok 1939, stało się cesarskim cięciem, nie gojącą się blizną pamięci.

★★★

Rok 1939 był w Tarnopolu ostatnim rokiem polskiego państwa. Z niepokojących wieści w prasie i pogłosek, które obiegały miasto, wynikało poczucie niepewności, i wojna jako coś nieuniknionego cierpliwie czekała sierpnia.

Czy to mogło wpłynąć jakoś na zwykłe miejskie życie?

Chyba nie.

Kawiarnie były pełne, handlowano, każdy swoim towarem, w księgarni Perlmana i w Salonie krawieckim Leona Sławińskiego; Piłsudski mocno trzymał się w strzeżeniu na wysokim postumencie; w żydowskich sklepach zwyczajnie, pokrzykując i się spierając, proponowano nowy towar, w piekarniach pieczono chleb. Na targ zjeżdżali chłopci; gimnazjaliści chodzili do szkół. W jesziwach uczono Tory; polska, ukraińska i żydowska młodzież hartowała swego ducha w młodzieżowych paramilitarnych organizacjach; w kościołach, cerkwiach i synagogach odprawiano nabożeństwa, chrześcijańskie święta przeplatały się z żydowskimi.

Miasto, które dożywało ostatnich miesięcy pokoju, nawet w strasznym przecuciu jakiejś miejscowej Kasandry nie mogłoby sobie wyobrazić: jak zmieni się wszystko w ciągu kilku najbliższych lat, co czeka kupców i kupujących, gimnazjalistów i urzędników, żandarmów, dziwki, miejskich złodziei, że wszystko będzie zależało nie tylko od nich samych, ale i od ich narodowości, ilu jego mieszkańców nie uda się przetrwać tych najbliższych pięciu, sześciu lat, najpierw w następstwie tortur NKWD, potem totalnej zagłady Żydów, a jeszcze później podziemnej działalności OUN i Armii Krajowej. W mieście, w którym tymi samymi ulicami chodzili Ukraińcy, Żydzi i Polacy, różnica polegała może tylko na tym, że Polacy żyli w swoim państwie, Żydzi w swoich ksiązkach i modlitwach, a Ukraińcy na swojej ziemi.

Jednak, na przykład w lipcu, niechaj to będzie lipiec, ulice jeszcze przedwojennego Tarnopola z ich polskimi nazwami, bo wkrótce je przemianują w 1939, a przy końcu wojny w 1944 po prostu znikną, prowadzą mnie przez miasto wypełnione ludźmi i sklepami, ale ten lipiec zaraz się skończy. Skończy się też przedwojenny Tarnopol: zostanie zrównany z ziemią i będą o nim świadczyć tylko pojedyncze ściany domów i zwały cegły i kamienia, jednak miasto niby pozbawiona pamięci biblijna Rachela będzie opłakiwać swoje dzieci. Po ocalałych ulicach wiosenny wiatr będzie rozwiewać nie tylko popiół spalonych żydowskich ksiązek, ale i proch synów i córek narodu żydowskiego, a w białych obłokach będą płynąć ciała zakatowanych Ukraińców i rozstrzelanych Polaków.

Ale w lipcu 1939 w takie prorocтва się nie wierzy i właśnie dlatego, że zakwitły i zapachniały lipy, a ich gęsty zapach aromatycznym trenem owinął całą ulicę Mickiewicza, potoczył się ulicą Trzeciego Maja, którą przejeżdżają bryczki, pobiegł pasażer Adlera wraz z gimnazjalistami, którzy od maja są na wakacjach, sfotografował się przy pomniku Piłsudskiego, naprzeciw kościoła dominikanów i poszedł do starej synagogi w sobotę właśnie wtedy, kiedy Żydzi ciągną na wieczorną modlitwę, pozamykawszy swoje sklepy, piekarnie, krawieckie i szewskie zakłady, a towarzyszą im spojrzenia Polaków i Ukraińców, którzy czytają w gazetach o pogromach w Niemczech.

Stara synagoga spłonęła wraz z setkami Żydów w 1941, a ostatecznie zrujnowaną w 1944 rozbiorą, by wyłożyć nią drogi i budynki.

Po co synagogi, kiedy nie ma Żydów?

We wrześniu 1939 Armia Czerwona porozlepiała w mieście swoje odezwy i spaliła kościół dominikanów, motywując to tym, że ktoś strzelał z kościelnej wieży, pomógł jej w tym któryś z miejscowych Żydów, przy pomocy czołgu zwał z postumentu marszałka Piłsudskiego i zachęcał Ukraińców do niszczenia polskich panów i podpanków, a także wydawania polskich oficerów i urzędników. Większość miejscowych Żydów przyjęła jej przyjsię z rezerwą, choć byli też pośród nich zwolennicy nowej władzy, zwłaszcza ci, którzy wierzyli w komunizm, jednak walka z burżuazją, nacjonalizacja własności, odbieranie mieszkań i mebli, likwidacja szkoły uczącej w języku jidysz nie mogły wzbudzać przychylności do Sowietów. Niepokoiły ich wiadomości z Niemiec i z już zajętej przez Niemców Polski.

Zaczął się proces ukrajinizacji wraz z polowaniami NKWD na patriotyczne siły ukraińskie, inteligencję ukraińską aresztowano i wtrącano do więzień, polska policja w pośpiechu pozostawiła wszystkie tajne listy członków OUN, członków Proswity, Płasta, Sokoła, Związku Ukrainek, adwokatów, lekarzy, nauczycieli, wszystkich, którzy stanowili zagrożenie dla polskiej państwowości. Sowietci tylko przetłumaczyli te listy z polskiego na rosyjski i zaczęli polowania...

Wschodnią Galicję przyłączono do USRR i Tarnopol niespodziewanie stał się miastem ukraińskim. Gdzieś od 1940 roku do miasta zaczęli napływać żydowscy uciekinierzy, niektórzy z nich, nie zatrzymując się długo, podążali w głąb Związku Radzieckiego.

Fasady budynków w centrum miasta zdobiły portrety Stalina i Woroszyłowa. Radzieckie patrole strzegły spokoju nowych obywateli Związku Radzieckiego, po wsiach organizowano kołchozy, a w przepełnionych więzieniach Tarnopola i Czortkowa rozprawiano się z inteligencją, bojąc się jej sprzeciwu.

2 lipca 1941 do miasta weszły niemieckie oddziały, od 4 do 11 lipca zaczął się pogrom Żydów, kiedy otworzono więzienie i znaleziono tam ofiary NKWD, na miasto spadła ciemność i Rachela znowu płakała po swoich dzieciach, a miasto ogłuchło od wystrzałów, krzyków, lamentu i obudziło się z osłupienia, kiedy Żydów spędzono do getta, a wszystkim innym zabroniono im współczuć i pomagać. Za złamanie tego zakazu – rozstrzelanie.

Ulice, które stały się granicą tarnopolskiego getta, zawierały żydowską przestrzeń, za nimi czyhało śmiertelne niebezpieczeństwo i to one stały się linią, która rozdzieliła miasto. Plac Kazimierza, ulica Rejten, ulica Perla. Rynek, Pole, ulice Lwowska, Podolska, Staroszkolna, Ruska, mały rynek, ulica barona Hirsza.

W grudniu 1941 roku w tarnopolskim getcie właściciel piekarni Szwarc patrzył z okna swojego domu na pustą ulicę, zasypaną śniegiem.

Okna jego mieszkania wychodziły na ulicę Perla.

Jak nakazano, zabił je deskami i teraz, stojąc przed jednym z tych okien, patrzył w szparę, wyławiając z cienkiej smużki światła inne życie. W szparce Szwarc ujrzał kilku przechodniów i szerokie wiejskie sanie, wymoszczone słomą i tkanym w domu

plótnem. Koń, wkładając swoją mordę w worek z obrokiem, dojadł sieczkę i wydychał ciepło w mroźne powietrze. Szwarc poznał właściciela saní, to był Mychajło ze Stygnikowców, który przed wojną dostarczał mu do piekarni mąkę. Szwarc chciał krzyknąć, wydać z siebie słaby i pełny rozpaczny głos, ale się powstrzymał.

Po pewnym czasie do saní Mychajły zaczęły dołączać inne sanie.

Wszystkie gromadziły się bliżej przeciwległego boku wąskiej ulicy.

Mężczyźni na saniach siedzieli i marzli, marzły ich konie.

Mężczyźni o czymś rozmawiali i nad saniami wisiała błękitnoszara chmurka ciepłej pary.

W pokoju, oparta o ścianę stała milcząco żona, a w kącie, na podłodze, siedziała trójka jego młodszych dzieci, zakutana w podarte pasy szuby, którą kiedyś kupił we Lwowie.

Konie w pewnej chwili się spłoszyły i mężczyźni zwrócili głowy w bok. Tam, skąd dochodziły niemieckie głosy.

Szwarc dobrze słyszał te głosy, to były rozkazy dla niemieckiej policji, ale szczelina nie pozwalała zajrzeć i zobaczyć więcej.

Środkiem ulicy, wymijając wiejskie sanie, przemaszerowały dwa oddziały niemieckich żołnierzy. Rozdzielili się na małe grupki po cztery, sześć osób i weszli do getta. Szwarc poczuł na potylicy ciepły oddech żony, ale nie odszedł i nie pozwolił jej spojrzeć na ulicę Perla.

Do Szwarca weszło czterech.

Z początku przeszli po pokoju.

I Szwarc, i jego żona w milczeniu śledzili każdy ich ruch. Jeden z nich podszedł do dzieci Szwarca, kazał im wstać i położyć kawałki futra na podłodze.

Wtedy podszedł do Szwarca i podniesionym głosem zapytał, czemu ten nie wykonał rozporządzenia o oddaniu futer.

Na początku zimy Niemcy nakazali Żydom oddać wszystkie futra, za niewykonanie – rozstrzelanie. Wtedy w ciągu nocy Żydzi napełnili futrami wiejskie sanie, którymi wywieziono skonfiskowane futra w kierunku dworca kolejowego. Szwarcowie też wtedy oddali nowe futro, odprute kołnierze z palt żony i córek, sztrajml, wyprawione lisie i zajęcze skórki, kupione przez Szwarca na starym rynku od kuśnierzy Huculów. A starą szubę, prawie już rozdartą na szwach, pocięli na kilka kawałków i z nimi przeżywali zimę 1941 roku.

Szwarc próbował coś wyjaśnić. Jednak jego pierwszego szturchnęli w plecy i poprowadzili schodami na dół. Za jego plecami krzyczała żona i lamentowały dzieci.

Szwarców postavili przed domami i kazali odwrócić się twarzą do okna.

Postaci z karabinami odbijały się w oknie i Szwarc dobrze widział, jak trzech żołnierzy ładuje swe karabiny, a czwarty dobiega, lekko się spóźniwszy, z narzuconymi wokół szyi pasmami futra...

Pierwszego zawołano Mychajłę, wjechał do getta i zatrzymał się przy domu Szwarca, poznał Szwarca, jego żonę i troje młodszych Szwarcowych dzieci. Żydowska policja ciągnęła po śniegu ciała zabitych i kładła je na Mychajłowe sanie.

Biała mąka śniegu była rozpruta i posypana cynamonem krwi.

Śnieg dalej padał, a chmury, które przepływały nad miastem, przypominały puszyste ciasto ze Szwarcowej piekarni.

2. O muzyce

W tym mieście muzyka, jeśli traktować ją jako uporządkowany szereg dźwięków, jak uszykowane wojskowe pododdziały kryła się w orkiestrowym kanale miejscowego teatru, dźwięczała ze sceny filharmonii, pokasływała z letniej estrady w parku, rozrywała nocną ciemność z tanecznego placu wyspy, który stał się miejscem dyskotek, być może, wegetowała też w półpiwnicznych pomieszczeniach, gdzie gromadziły się na próby amatorskie grupy nastolatków, wzorujące się na Beatlesach czy Smokie, wybuchała nieustannym światłem, restauracyjną muzyką, zapisami na szpulowych magnetofonach „Majak 205” kryminalnego folkloru, Wysockiego, Machiny czasu.

Miasto żyło z muzyką, w muzyce i bez niej.

I kiedy latem pod domem grupa nastolatków słuchała wyniesionego przez kogoś z domu magnetofonu albo piosenki przy gitarze, to niedbale rzucona fraza, jak tłący się niedopałek, *Facet, puść tę muzykę najgłośniejszą, jak tylko możesz* stawała się kluczem, który otwierał bramę pokoleniowego braterstwa, przynależności do czegoś, czego inni nie rozumieją. To nie wyjaśnione do końca poczucie młodości, wolności, zuchwałości, prowokacji stawało się muzyką, której słuchaliśmy i którą wykrzykiwaliśmy koło bram, czasami uciekając w pośpiechu przed kolejnym nakazem milicji i ormowców, których wzywali od czasu do czasu sterroryzowani i przywoic obywatele naszego kraju.

Potem, w zimie, to wszystko zamierało, to znaczy muzyka stawała się inna.

Zima pachniała przywiezionymi z Moskwy pomarańczami, szeleściła folią noworoczną czekoladą, strzelała korkami noworocznego szampana. Kilka dni przed Nowym Rokiem radziecki handel przypominał sobie o obywatelach swojego kraju i urządził dla nich niewielkie święto z małym dramatem: nagle wszędzie rzucali skondensowane mleko, pudełka z cukierkami, szampana, mandarynki, cytryny i ryzyk szproty. Wszystkie kolejki ze sklepów wychodziły teraz na ulice i obywatele stawali się żołnierzami na froncie radzieckiego handlu, a jakaś ciotka Wira broniła całego handlu, a obywatele każdy siebie. Po nowym roku zima wchodziła w swój zwykły rytm, a przednoworoczna kachofonia muzycznej awangardy zmieniała się w przeżuty melos zwykłych dni.

3. O poezji: „Muza”

Być może najtrwalszym miejscem naszego przesiadywania była mimo wszystko tarnopolska „Muza”, podobno ten lokal ktoś kupił i przystosowuje do swoich potrzeb, dlatego może nie od rzeczy będzie zostawić po nim jakiś ślad.

Było ich czterech, choć z początku dwóch, pisali wiersze, ale miasto, w którym mieszkali, ich wierszy nie potrzebowało, dokładniej, miasto było daleko od wierszy.

Zbierali się w różnych miejscach, ale przeważnie oczywiście w „Muzie”, ta knajpa była chyba jedyną, do której można było wnieść własny alkohol, działała prawie do północy, a barmani znali ich przynajmniej z twarzy, ale to wystarczało.

Gdyby porównać „Muzę” do statku, którym płyną w wieczność argonaucci czy piraci lub przynajmniej handlarze niewolników, to Rimbaud w tym przypadku będzie miał sens, a jego „Statek pijany” wcale nie okaże się metaforą tak odległą, żeby jakoś nie związać tego wszystkiego w jeden węzeł płynnego czasu.

Schodzą się z różnych krańców swojego miasta, siadają przy stoliku, zamawiają, czytają wiersze, kłócą się, obrażają, znowu zamawiają, znowu się kłócą, znowu czytają wiersze. Żadnemu przywoitemu jołopowi nie przyjdzie do głowy, że tak można przesiadywać godzinami, plotać głupstwa o poezji, po pijanemu gadać o niej w pijanym widzie, aż cię niemal za frak nie wyrzucą kelnerzy, którzy też chcą iść do domu, taka błahostka – iść do domu, kiedy decyduje się los poezji...

Oczywiście, kelnerzy nie znają się na poezji.

No bo po co?

Czasy się zmieniają, kawiarnie zmieniają właścicieli, kelnerzy się starzeją... W zeszłym roku, pierwszego dnia mojego przyjazdu do Tarnopola, wybrałem się do centrum miasta, przeszedłem się po wszystkich miejscach, gdzie kiedyś „przepu- tałem” tyle czasu... Kelnerki, młode dziewczęta w spódnicekach mini z fryzurami w stylu lat 60., fartuchy z nakładanymi kieszeniami, w których wystaje notatnik i długopis.

Nie podobne do Ziny.

★★★

Jeszcze raz pomacałeś się po kieszeniach, kilka paczek papierosów bez filtra kupiłeś po drodze, I. powiedziała, że on chce tylko papierosów. Autobus numer 11 pełnie za miasto, na Obwodnicę. Dwa szpitale – poradnia narkotykowa i psychoneurologiczny – zastały wyprowadzone za miasto i dojazd do nich był niewygodny, autobus jeździł rzadko, więc bez potrzeby nigdy się tam nie wybierałem.

I. zadzwoniła wieczorem, jąkała się, lękała słowa, powiedziała, że B. z syndromem samobójczym trafił do szpitala psychiatrycznego.

Kurwa, dupa biała, pomyślało mi się. I zapytałem, w której jest sali.

Nie wiedziała.

Było koło dziesiątej wieczór, wyszedłeś z klatki i zapaliłeś papierosa, ostry marco- wy wiatr gasił zapalki i gasił twoją świadomość.

Wiedziałeś, że B. postanowił z jakimś chłopakiem, z którym parę razy widziałeś go w centrum, sprzedawać cyrkonie, wtedy to się nazywało biznesem. Do biznesu potrzebne były pieniądze. Ty spiknąłeś go z A., a ten z kolei z mafią. Mafia pieniądze pożyczyła, jasny maj, z odsetkami; do tych odsetek A. dodał jeszcze swoje, za pośrednictwo. Czas mijał, żadnych odsetek, a potem, jak się okazało, nawet pożyczonych su-

my B. oddawać się nie zbierał. Co zrobił z tymi pieniędzmi, nie wiem. A. wsiadł na mnie, że to ja go do niego przyprowadziłem, więc i na mnie spoczywa też odpowiedzialność za pożyczone B. pieniądze. Pogoniłem A. w diabły.

Któregoś wieczora A. zwałił się do mnie z dziewczyną, która nie wyglądała na więcej niż 15 lat. Powiedział, że taksówka czeka pod bramą i że musimy jechać do B., żeby pogadać z nim o długu, dodzwonić się do niego nie może, mafia postawiła ultimatum i jak my nie pojedziemy do B., to jemu nic innego nie pozostanie, jak podać im adres B. i ci faceci, którym B. winny jest forszę, szybko się z nim załatwią. Nie miałem wyboru i pojechaliśmy.

Rozmowa okazała się łatwa, B. zgadzał się na wszystko, przedstawione przez A. perspektywy, jakie na niego czekają w najbliższym czasie, rysowały się chujowo.

Gówniara chichotała i paliła, A. głośno ją po talii i pośladkach. Staliśmy na podwórzu willi polskiego pana, w której B. z rodziną zajmował dwa wielkie pokoje. Od czasu do czasu wyglądała żona B. i wołała nas do domu, ale staliśmy na dworze, stali i milczeli. I tylko gówniara kapryślała i chichotała.

– Zamknij jej gębę – wyrwało mi się.

Małolata ucichła.

A. ścisnął jej rękę i rzucił wilcze spojrzenie w twoją stronę, ale powstrzymał się i przemilczał.

Nie wierzyłem w porozumienie z A.

Potem dowiedziałem się, że A. kilka razy był u B. beze mnie, groził, że się z nim rozprawi, psychologicznie naciskał na B., który przeżywał wtedy nie najlepszy okres: pijaństwo i tym podobne.

No i teraz samobójstwo i szaleństwo.

Odszukawszy właściwy oddział, pytasz pielęgniarkę o B. w książce przyjęć nowych pacjentów.

Ona znajduje nazwisko, imię, datę przyjęcia. Wszystko się zgadza.

Wpuszczają cię tylko do niewielkiego pokoju, swego rodzaju poczekalni.

Za kilka minut wychodzi B. w szpitalnej piżamie, wyblakły, wymięty, zielonkawoniebieski, anioł ze szramami na szyi.

Wyciągasz tych kilka paczek papierosów i B. wypycha je do wielkich nakładanych kieszeni. Zza zakratowanego okienka obserwuje nas sanitariusz.

– Zapalimy?

– Nie wolno mi – i odwraca się plecami, nie żegnając się, lekko jak dym wślizguje się w otwarte drzwi wśród krzyku pacjentów i tupotu sanitariuszy.

★★★

GB, oparty o metalowe ogrodzenie, tamował dłonią krew, która płynęła z głębokiego rozcięcia przy szyi. Krew była ciepła i lepka. Śnieg był lutowy i biały, rana była prawdziwa, śmierć była biała i już gdzieś w pobliżu. GB poczuł chłód, przez jego

świadomość błyskawicznie przemknęły jak cienie tych trzech pojebów myśli o ratunku. Trzech pojebów, z którymi jechał w trolejbusie, wysiadło z nim na przystanku i żyłką pocięli mu szyję. GB wstawił się za zmęczoną konduktorką trolejbusu, kiedy oni nie chcieli zapłacić za przejazd.

Godzina była późna i trolejbus, kończąc ostatni kurs, zostawiał GB pociętego i jeszcze przytomnego, ociekającego krwią.

Pojeby szmyrgnęły w przechodnią bramę.

Zaczerpnąwszy dłonią garść śniegu, GB przyłożył go do pociętego miejsca i poszedł.

Na komisariacie senni gliniarze spisywali protokół ze słów GB, a lekarze pogotowia mierzyli mu ciśnienie i bandażowali szyję, czekając, aż gliniarze skończą pisać protokół i pozwolą im go zabrać.

GB uratowało to, że cięcie nie było głębokie, do tętnicy zostało kilka milimetrów, a najbliższy milicyjny komisariat był obok, no i to, że anioł śmierci w taki mróz zasiedział się w swoim kantorku.

Zima pachniała krwią, a poezja czuła chłód ostrza na szyi.

★★★

Oko S. przypominało wybałuszone oko ropuchy.

I on jednocześnie patrzył na ciebie i w okno.

Na oddział neurochirurgii S. przywieźli gliniarze, którzy rano robili obchód i znaleźli go, nieprzytomnego, na schodach, które zbiegały z dzielnicy družbickiej do parku. S. leżał koło nieczynnej toalety, pobity, obrabowany i tylko stały puls utrzymywał go przy życiu.

Wczoraj S. razem z dwoma kumplami obszedł wszystkie salony, w których nalewali, a teraz w łóżku na neurochirurgii, z rozbitą głową, zdeformowaną kością policzkową i trzykrotnie powiększonym okiem i z mętnym spojrzeniem nieobecnie patrzy na ciebie i przewraca się w grobie swojej pamięci.

Faceci, z którymi wtedy balował, też nie mogli wytłumaczyć, gdzie go zgubili, na którym etapie ich trudnego i sławnego szlaku go zostawili. Wariantów było bez liku, a więc, pierwszy, S. sam się od nich odłączył i natknął się na tych, co go obrobili i zostawili, by umierał koło toalety. Drugi, włóczyli się we trzech, taksówkarze odmówili zawiezienia ich z Drużby do centrum, postanowili więc pójść przez park i na schodach, które prowadziły do ciemnych i niebezpiecznych ścieżek, spotkali družbickich młotkarzy, którzy załatwili S. na sto dwa. Trzeci, S. obrobili sami gliniarze i zostawili, a za jakiś czas znowu przyjechali po niego i uznając, że nocnych przestępstw w ich dzielnicy nie potrzeba, wrzucili do milicyjnego gazika i zawieźli do szpitala.

S. przeleżawszy miesiąc, wypisał się z wywalonym na zewnątrz okiem, dziesiątką recept, zanikami pamięci, a poza tym z niczym szczególnym. Potem dawał się we znaki wszystkim kelnerkom, kiedy siedł w tango, rzucał kieliszkami i filizankami o podłogę.

★★★

Futurystyczne hasła, wyszyte na rękawach dżinsowej zimowej kurtki, sypały się cytatami z tych rękawów. Właścicielka kurtki, zdawało się, przyleciała na tych futurystycznych skrzydłach, aby wszystkim o tym obwieścić. Miasto do takich podchodziło podejrzliwie, zwłaszcza gdy ona, zrzucając kurtkę i podwinąwszy rękawy swetra, opowiadała o swoim locie nad miastem, zdradzieckich kochankach, podłych kobietach z księgowości, o wieszaniu, o swojej córce na wsi, o wierszach i wreszcie o swojej misji i przeznaczeniu.

Futuryzm w mieście się nie przyjmował i nie przyjęła się ona.

Z czterech poetów wybrała jednego z najdłuższymi włosami.

O jej wiedźmowatości krążyły plotki i legendy, podglądali ją sąsiedzi w akademiku, we wspólnych kuchniach porządne panie domu szeptały po kątach o niej i jej wybrańcu.

Za jakiś czas ona zniknie z miasta, z poetą.

Mówiono, że widziano ich to w tym mieście, to w innym, czasami wraz z poetą przylatywała też do naszego, mówiono, że spacerowali przez godzinę, dwie po placu Teatralnym i znowu gdzieś odlatywali, mówiono, że gdy nad naszym miastem przelatywały złote deszcze gwiazd, deszcze i śniegi, to razem z nimi na głowy sypały się złote litery futurystycznych wierszy, które rano zmiatały wiatry i miejscowi stróże.

Mówiono, że wkrótce poeta ją zostawi i wróci do miasta zwykłym autobusem, bo latać mógł tylko z nią.

Mówiono, że ona chciała znów go odzyskać, dlatego jeszcze kilka razy przelatywała nad miastem, gubiąc złote litery ze swoich niebieskich skrzydeł-rękawów, a potem wróciła na wieś do córki, zaprzestała latania i stała się kloszardką.

I kiedy kloszardka śpiewa do akordeonu swoje żalosne operowe partie na placu Teatralnym, futurystka przylatuje do niej, przysiadłszy obok, kładzie na jej kolanach swoją krótko ostrzyżoną głowę i słucha.

★★★

Umówiliśmy się, że Nowy Rok 2000 przywitamy wszyscy razem, całym składem Zachodniego wiatru.

Wówczas grupa już przestała istnieć, ale z rzadka jeszcze się spotykaliśmy, żeby popolitykować, wypić i czasem jeszcze poczytać wiersze.

Wszystko było proste – mieszkaliśmy w jednym mieście. Nawet próbowaliśmy zrobić trochę zamieszania, ukrywając się pod nową nazwą *szkoła jezior*, ale odbyło się tylko jedno wspólne czytanie w Galerii, na którym kolejny raz nie pojawił się B.

Grudzień okazał się śnieżny.

To było pożegnanie z latami 90. z ich trudem i z naszą poezją.

Siedziałeś w Muzie, zapijałeś wódkę kawą i paliłeś.

Do nowego roku pozostawało kilka godzin i najbardziej cieszyło to, że świat porzucił sobie z przejściem komputerów na nowe odliczanie lat i nie będzie awarii systemu. Siedziałeś i na nikogo szczególnie nie czekałeś, godzina szósta, miasto opustoszało, przednoworoczne ulice, kawiarnie bez gości, mróz, śnieg. Na stoliku paczka kiszyniowskiego Marlboro, kawa ze śmietanką, zapalniczka.

Znowu zapaliłeś.

Kilka miesięcy temu na twoje biurko przyszła wielka żółta koperta ze Stanów z informacją o wygraniu zielonej karty. Najpierw nawet się ucieszyłeś, potem próbowałeś się pozbyć tej myśli o wyjeździe, a teraz w nowym roku trzeba będzie dokonać wyboru.

O perspektywie palenia prawdziwego Marlboro specjalnie nie pomyślałeś.

Mieszałeś wspomnienia o latach 90. niklowaną łyżeczką, usiłując rozpuścić zaschorupały cukier na dnie filiżanki. Jeden wielki jarmark, rekiet, zabójstwa, kradzione auta, vauchery, prawo własności, niebiesko-żółte chorągwie, niebiesko-żółte ławki, trocheje przepalone papierosowym dymem i podrabianym alkoholem, podpaleńca, jazdy do Polski, Rumunii, celnicy, przekupni gliniarze, wczorajsi komuniści, z przestraszonymi spojrzeniami, nowi demokraci, którzy potajemnie jedzą ikrę i zapijają ją eksportowym piwem „Hopak”, prostytutka w hotelu Tarnopol i na dworcu kolejowym, zamiast kin sale wideo z zagranicznymi filmami w przekładzie na rosyjski, kupony zamiast pieniędzy, egzystowanie zamiast życia, tureckie podróbki zamiast firmowych marek, rosyjski rock z patriotycznymi piosenkami, wybory, kandydaci, partie, głodujący aktorzy przed teatrem – i bezdomne psy na ciemnych ulicach miasta i miasto pachniało psią sierścią.

Tłumaczył Bohdan Zadura



Petro Jacenko

Pokuta

Po kilku dobach nieprzerwanej ulewy ranek wydawał się nadzwyczaj słoneczny. Gdzieś na przyprószonej poranną mgłą drodze skrzypiało koło wozu, a z oddali słychać było krzyk mężczyzny, który bardzo głośno targował się z chłopką o kawałek sera.

Do bram klasztoru sióstr klarysek zastukała miedzianą rączką kobieta o bladym, zmęczonym obliczu. Zastukała trzy razy, i po raz kolejny, a wówczas w ciemnych dębowych drzwiach uchyliło się okienko i wyjrzała z niego zakonnica o pomarszczonej twarzy, otoczonej białym materiałem jak ramką.

– Szukam schronienia – powiedziała kobieta o bladej twarzy, po czym z lękiem odwróciła się i naciągnęła na siebie kaptur, gdy nieopodal zarżał koń, którego smagnął biczem niewyspany woźnica.

Skrzypiąc, otworzyły się drzwi. Mniszka, zaciskając usta, obejrzała kobietę od stóp do głów – czuło się w niej głęboki smutek, ale także głęboko w niej drzemiacą jakąś dziwną siłę. Zaniepokoiło to starą zakonnicę. Nieznajoma ubrana była w długi płaszcz z kapturem, spod którego widać było nieco przybrudzoną suknię. Na jej nogach widać było siniaki i zadrapania. Mniszka zauważyła, że młoda kobieta, choć wyczerpana, była bardzo piękna. „Grzesznie piękna” – pomyślała mniszka, ale wpuściła przybłędę i zamknęła za nią drzwi.

– Jak się nazywasz? – zapytała.

– Lile.

– Idź do kaplicy i pomódl się, Lile. Potem pójdziemy do przeoryszy.

Siostra Serafina, przeorysza klasztoru sióstr klarysek, kochała Boga, pieniądze i różowy kolor. Do tej ostatniej miłości przeorysza sama przed sobą bała się przyznać, ponieważ regulamin klarysek dopuszczał tylko dwa kolory: czerń i biel. Te-

raz klęczała przed nią ta młoda kobieta o szarych bezwstydnym oczach, w zmiętej różowej sukni.

– Dobrze, że patrzysz mi w oczy – powiedziała Serafina. – Nie tak, jak robią to inne rozpustnice, które przychodzą tu szukać schronienia. Znam cię. Jesteś córką Liszczyńskiego. I chociaż chciał, by wszyscy myśleli, że jesteś dla niego obca, nie trudno było domyślić się prawdy. Masz jego oczy i jego charakter. Jesteś zepsutym dzieckiem i nie wiem, po co przyszedłaś prosić o azyl.

Lile opuściła wzrok, kąci jej warg drżały.

– Przygarniemy cię – powiedziała nareszcie Serafina – bo tu gospodarzem jest Pan, a jego miłosierdzie nieskończone. Jednak postawię ci jeden warunek.

– Przy tych słowach po twarzy Serafiny przemknął ledwie zauważalny uśmiech.

Lile znów popatrzyła jej w oczy.

– Przygarniemy, będziesz w nowicjacie, jeżeli nigdy więcej, zapamiętaj: nigdy więcej nie przekroczysz tych murów. Musisz to przysiąc przed siostrami i przed Bogiem.

– Przysięgam – wyszeptła przez zamknięte wargi Lile.

★★★

– Siostró Serafino, przygarnęła siostra tę kobietę? – zapytała przeoryszą stara mniszka.

– Nasze finanse są dość kiepskie, Mario. Potrzebujemy jej spadku.

Siostra Serafina nie lubiła Lile za różowy kolor jej sukni. Tej sukni, której sama nigdy nie odważyłaby się założyć. Zakonnice obcięły Lile jej długie włosy... Zdjęły z niej różową suknię i ubrały w czarną kapotę. Przyszła siostra Serafina i bacznie popatrzyła Lile w oczy. Lile zamknęła powieki. Serafina chwyciła suknię i rozdarła na dwie części.

– Kolor nierządu! – wykrzyknęła. – Spalę to!

– Zabrała suknię do swojej celi.

– Dlaczego postanowiłaś wstąpić do nowicjatu? – zapytały Lile nowicjuszeki w celi.

– Bo nie chcę oskarżeń o śmierć ojca – powiedziała Lile. – Zapiszę majątek klasztorowi. Nowinę tę następnego ranka przekazały przeoryszy. Jej oczy rozbłysły, Serafina uśmiechnęła się ledwie zauważalnie. Za rozwiązanie zachowanie wyznaczyła Lile pokutę: nie spać siedem nocy i przeczytać siedem tysięcy modlitw.

Petro Jacenko,

ur. 1978. Prozaik. Pracuje jako dziennikarz w lwowskiej gazecie „Ekspres”, redaktor w dziedzinie kultury, krytyk literacki. Laureat nagród literackich „Nowi autorzy”, „Smołoskyp”. Autor książek *Jogurtowy bóg*, *Powrót przyglupów*, *Marjana*, *Saga lwowska*. W 2007 roku założył stronę internetową „Text_Context”: text-context.org.ua. Stypendysta Gaude Polonia w 2010 roku. Mieszka we Lwowie.

★★★

Trzeciej bezsennej nocy Lile padła w kaplicy i zasnęła. W snach przyszedł do niej Ma-
do ze zmasakrowaną twarzą. Mówił: „Zabili mnie, kochana”. Wtedy Lile poczuła, że ktoś
mocno złapał ją za ramię i szturcha. Otworzyła oczy, nad nią pochylała się przeorysza.

– Cierpię na bezsenność – powiedziała – więc nie dam ci grzeszyć. Musisz wy-
trzymać bez snu jeszcze siedem nocy.

Lile sypiała, klęcząc w celi. Jej usta ledwie poruszały się we śnie – czytała modli-
twę. Mijał piąty dzień jej pokuty. Do Lile, popiskując i poruszając wąsami, przybiegł
wielki szczur, w fałdach jej ubrania poczuł pożywienie.

Przeorysza zajrzała do kaplicy i zakryła ręką usta, żeby nie krzyknąć. Szczur
gryzł rąbek czarnego ubrania Lile. Przeorysza po cichu wyszła. Lile obudziła się
i kątem oka patrzyła na szczura. Gdy się poruszyła, gryzoń odskoczył. Lile wyma-
cała w fałdach ubrania kromkę chleba, która zwabiła szczura. Odlamała kawałek
i położyła przed nim. Szczur stał na tylnych łapkach, przednimi chwycił chleb
i zaczął gryźć.

Siódmej nocy pokuty rozhułała się nawałnica. Wiatr stłukł gałęzią okno kaplicy,
na Lile padały krople deszczu. Wiatr rzucił do kaplicy zranionego gołębia. Ptak zatrze-
potał na kamiennej podłodze. Lile wstała i wzięła przestraszonego ptaka do rąk.

Rano przyszła siostra Serafina z mniszkami. Chciały przyjrzeć się Lile. Jej twarz
była niczym odmalowana ze starych obrazów świętych męczenników w klasztorach.
W rękach trzymała gołębia. Zakonnice zaczęły szeptać, spoglądając na siebie: „To
znak Boży!”, „To wieść!”.

– To jeden z ptaków, które hodują w męskim klasztorze – powiedziała przeorysza.
– One mają na łapkach takie same srebrne znaki.

– Miałam widzenie – wyznała Lile. – Przyszła do mnie Matka Boża. Powiedziała,
że powinnyśmy wyryc grotę. Jeżeli zrobimy to na zachód stąd, to po pewnym czasie
będziemy mogły spotkać się z aniołami.

– Ona bredzi – powiedziała siostrze przeorysza.

– Mateczko Serafino – zareagowała najstarsza z sióstr – jeszcze nikt nie odbywał
siedmionocnej pokuty. Mówiłam, że to zbyt surowa kara dla młodej dziewczyny. Być
może Bóg zlitował się nad nią i dał jej wiedzę.

– Cóż – uśmiechnęła się Serafina. – Od jutra zaczynajcie ryc grotę.

Zakonnice zaczęły wykuwać grotę następnego dnia o świcie. Przed obiadem, śpie-
wając modlitwy, zagłębiły się bardziej niż na wysokość człowieka. Jednak napotkały tam
pozostałości starych kamiennych fundamentów i praca szła już znacznie wolniej.

★★★

Minął jeszcze miesiąc. Lile z nitek uplotła koszyczek. Powiesiła go gołębiowi
na szyi, gdy już wyzdrowiał, a do środka włożyła karteczkę.

– Leć do domu i przekaż moją wieść – wypuściła ptaka w niebo. – Jeżeli łakną
zysku, to on zaprowadzi ich do piekła! Gołąb zatoczył koło nad jej głową, zatrzepotał
na pożegnanie skrzydłami.

Do tego czasu grota już przekroczyła granice klasztornych murów i przechodziła
akurat pod drogą, która oddzielała klasztor od hałaśliwej, wyłożonej brukiem ulicy.

★★★

Gołąb rzeczywiście poleciał do dzwonnicy klasztoru braci bernardynów, do swo-
jego gołębnika. Tam zaczął gruchać. Zakonnik, który zajmował się gołębiami, zdzi-
wił się, kiedy zobaczył koszyczek i cedułę. – Gdzieś ty był? – wymamrotał. Złapał go-
łębia, wzięł cedułę i zaczął czytać: „Na zachód od klasztoru klarysek, kiedy popatrzeć
w tym kierunku, gdzie spoglądają, gdy wybija zegar, ukryłem dziesięć tysięcy krajca-
rów. Jeżeli się zacznie kopać tunel od muru męskiego klasztoru na wschód, można
będzie na pewno znaleźć kufer”. Przez moment w zakonniku walczyły ze sobą obo-
wiązek i pokusa. Ale dobrze potrafił odganiać diabła, trzy razy więc przeczytał „Ojcze
nasz” i zaniósł zapisek do przeora.

– Mówisz, że gołąb zniknął podczas burzy? – Przeor popatrzył na mnicha swoimi
ciemnymi i spokojnymi jak u dziecka oczyma.

– Tak.

– A dlaczego przyniosłeś mi tę podejrzaną kartkę?

– Pomyślałem... – zaczął i zamilkł, bo zobaczył powstrzymujący gest przeora.

Przeor zamyślił się. Nie oddalił zakonnika i po jakimś czasie powiedział mu, jak-
by kontynuując dawno rozpoczętą rozmowę:

– Tak, masz rację, bracie Piotrze. Chciałbym wierzyć w to, że rzecz nie w upad-
ku wiary czy łaski Bożej, a w tym, że ludzie dziś coraz częściej wracają do pokus,
z którymi chrześcijanin nie powinien mieć do czynienia. Potrzebny nam raczej sym-
bol. Pokuta dla wiary. I taką pokutą mógłby stać się tunel, który możemy dążyć już
teraz. A ten skarb – nie jest ważne, czy znajdziemy go czy nie, to tylko znak Boży,
ukazanie kierunku, w którym powinniśmy działać. Więc ogłoszę braciom, że od ju-
trzejszego ranka zaczynamy kopać grotę i że u kresu tej ciężkiej pracy czeka nas mi-
łość i łaska Matki Bożej.

■
Tłumaczyła Iwona Boruszkowska

Tomasz Różycki

Franeek

Z Opola do Iwano-Frankiwska, jak pokazuje kierunkowskaz na Opolskim Rynku, jest 666 kilometrów. Pośród kilku tabliczek wskazujących z Opolskiego Rynku odległości do miast partnerskich Opola, właśnie ta jest zdawałoby się, szczególna. Nie tylko poprzez znaczenie liczby. Iwano-Frankiwska to miasto z jakiegoś powodu istotniejsze od innych, powiązane jakąś nicią, o której mówić można tylko wówczas, kiedy uruchomi się po raz kolejny przekłętą i piękną maszynę pamięci. „U was wojna wciąż jeszcze się nie skończyła” powiedziała mi ostatnio jakaś znajoma zza Atlantyku. Nawet jeśli skończyła się, to było wciąż ledwie wczoraj.

Otóż tak – wedle nowego mitu założycielskiego, „Opole to drugi Stanisławów”. Wysiedleni ze Stanisławowa po drugiej wojnie światowej Polacy mieli osiedlać się właśnie w Opolu, zajmując wiele stanowisk kluczowych w nowo powstających polskich instytucjach kulturalnych, oświatowych i administracyjnych, co decydowało w jakimś stopniu o charakterze miasta. To głównie stanisławowianie mieli być więc, co wynika z publikacji mentora i porte parole opolskich środowisk kresowych, szczególnie dla nich zasłużonego profesora Sławomira Niciei, pionierami budującymi od nowa Polskę na Ziemiach Odzyskanych. Zamyśl uhonorowania zasłużonych dla miasta postaci ewaluował w świadomości ogólnej szybko w ideę „drugiego Stanisławowa”. Ta koncepcja, oparta na refrenie „szli na Zachód osadnicy”, jest echem powtarzanej od lat i zapieczętowanej w końcu w książce „Wrocław” Normana Davisa, opowiadającej o wieloetnicznych i wielokulturowych korzeniach tego miasta, legendzie o założeniu Wrocławia przez lwowiaków, przejeżdżających pociągiem nieopodal jakichś dymiących pustostanów i kartoflisk niedaleko stacji Psie Pole. Jak każdy mit założycielski, także i ten ma za zadanie ustanowienie nowego początku „naszej” historii – oswojenie obcego terytorium, zagospodarowanie go i utożsamienie się z nowym miejscem i sytuacją. Jednak „drugi Stanisławów” tak, jak i druga Wenecja, nie istnieje.

Istnieje natomiast Iwano-Frankiwska. 666 kilometrów wydaje się ważne – mówić coś, na przykład to, że ten dystans jest naznaczony imieniem Bestii, pewnie Bestii Historii, i że to przez bestię, przez tego diabła jałtańskiego stanisławowianina zostali przeniesieni na zachód. Albo to: że wysiedli właśnie tutaj, po 666 kilometrach, jak-

by prowadziły ich tu złe moce. Albo: nie wracajmy tam, tego miasta nie ma. Nie ma Stanisławowa, jest Iwano-Frankiwska, a w nim stoi pomnik Stepana Bandery, honorowego obywatela miasta. Najprościej jednak jest oczywiście nie wierzyć w liczby.

Sprawdziłem: z Opola do Iwano-Frankiwska jest 524,81 km w linii prostej, jak pokazuje satelita, drogą jest 646 kilometrów. Być może wówczas, kiedy wieszano tabliczkę policzono trasę kolejową, albo trasa drogowa była wtedy inna i dłuższa. W każdym razie informacja jest nieprawdziwa, co anuluje rozważania o szatańskiej symbolice. Ale nie anuluje tabliczki, która takie rozważania generuje. Podsumowując: albo to niedopatrzenie, błąd, albo ktoś chce tam tej właśnie liczby. A jeśli tak, to diabeł, którego liczba widnieje na drogowym znaku, to nie diabeł jałtański – raczej taki, który zamieszkuje okolice opolskiego Ratusza.

O 524 kilometry dalej jest Iwano-Frankiwska, miasto istotne. Jego istotność zaczęła stawać się jasna w latach osiemdziesiątych, zaś w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku kojarzone już z niesprawiedliwym moim zdaniem semantycznie określeniem „fenomen stanisławowski”. Dlaczego niesprawiedliwym? „Fenomen” to rzadkie, niespotykane i zaskakujące zjawisko – to coś, co powstaje, zdarza się, pomimo niesprzyjających warunków, w miejscu i czasie, którego nikt się nie spodziewał, na przekór trudnościom – czyli w Stanisławowie (Iwano-Frankiwska) właśnie, na prowincji, w mieście, po którym nikt nie spodziewałby się (?) takiego wysypu talentów. Zaczyna powstawać tam „nagle” wybitna literatura w języku ukraińskim. Ale przecież Iwano-Frankiwska z pewnych względów jest wymarzone miejsce do powstawania wybitnej literatury. To, co pojawiło się w Iwano-Frankiwsce na początku lat dziewięćdziesiątych (a mówimy tutaj o twórczości takich pisarzy jak Andruchowycz, Prochaśko, Izdryk, Petrosaniak, Dowhan i innych jeszcze), określano przecież często mianem „magizmu realistycznego” o ogromnym mitotwórczym napędzie – a gdzie, jeśli nie tam właśnie – w miastach i miasteczkach Galicji – szukać wspaniałych modeli takiej literatury do naśladowania, poczynając od Schulza, przez Sacher-Masocha, Strykowski, Rotha, Antonycza, Vincenza, Franzosa i wielu innych, nawet jeśli ograniczymy się tylko do czasów „tuż przed”? To literatura wciąż jeszcze nieodkryta, bo sytuująca się gdzieś

Tomasz Różycki,

ur. 1970. Poeta, tłumacz i krytyk. Opublikował sześć tomów wierszy (*Vaterland*, 1997; *Anima*, 1999; *Chata umaita*, 2001; *Świat i Antyświat*, 2003; *Kolonie*, 2007 oraz *Księga obrotów*, 2011), poemat epicki *Dwanaście stacji* (2004 – Nagroda Fundacji im. Kościelskich) oraz zbiór *Wiersze* (2004). Jego utwory publikowane były w krajowych i zagranicznych czasopiśmie i antologiach. Książki Różyckiego ukazały się we Francji, Niemczech, Włoszech, na Słowacji i w Stanach Zjednoczonych. On sam tłumaczył m.in. Artura Rimbauda, Victora Segalena, w 2006 roku opublikował *Rzut kości* Stephane’a Mallarme’a, a w 2011 zbiór wierszy Jacquesa Burko *Wątpewość*. Mieszka w Opolu. Zasiada w jury Nagrody Fundacji im. Kościelskich.

na samych granicach, na przedmieściach nie tylko geograficznych, ale także na przedmieściach ludzkiej świadomości, gdzieś na granicy rzeczywistości i mitu właśnie, w „republice marzeń”, która stała się emanacją literackiej Galicji.

Taka właśnie przestrzeń, przestrzeń ruin mitycznej Atlantydy, w której przyszło poruszać się twórcom ze Stanisławowa, przestrzeń – jak niektórzy ją nazywają – postkolonialna, okupowana przez sowiecką i postsowiecką rzeczywistość potrzebowała nowego mitu, nowego zasiedlenia. Potrzebowała *Re-kreacji* – taki tytuł nosi właśnie jedna z pierwszych książek Jurija Andruchowycza. W tym samym czasie pojawia się, za sprawą współredagujących Jurija Izdryka i Jurija Andruchowycza głównie, przełomowy numer hybrydalnego (mitycznego?) pisma „Czetwer” z mini encyklopedią, zredagowaną przez najsłynniejszych przedstawicieli nowej literatury ukraińskiej. Hasła encyklopedii są borgesowskie i postmodernistyczne równocześnie, ale podstawowe. Mamy tam definicje takich pojęć jak Bóg, Ukraina, Kobieta – każdy z wpisów jest małą literacką perełką; od eseju, mikroopowiadania po wiersz prozą. To gest ważny, założycielski, re-kreacja od podstaw, *credo*, wyznanie – przekorne, literackie i postmodernistyczne nieco, ale niemniej żarliwe – wiary. To ustalenie podstaw, początek nowego, literackiego Iwano-Frankiwska, tak zwanego „Franka”. Otwiera się symboliczna przestrzeń do budowania nowej tożsamości, do wprowadzania nowych symboli w tę rzeczywistą i magiczną, bo odziedziczoną z całym bogactwem ruin i zatartych ścieżek, przestrzeń. Później pojawiają się kolejne publikacje – Taras Prochaśko i jego *Inne dni Anny*, Jurij Andruchowycz od *Moscoviady* po *Perwersję*, Jurij Wynnyczuk, Hałyna Petrosaniak, Jarosław Dowhan, Wołodimir Jeszkilew. Jurij Andruchowycz nazywa to „fenomenem fermentacji”, który był, na równi z Bu-Ba-Bu, początkiem nowych czasów w literaturze ukraińskiej, a także początkiem wkraczania tej literatury w nową, europejską grę relacji i powiązań. Jak pisze Jurij Andruchowycz, wyrwany z Europy Środkowej we wrześniu 1939 roku i przeniesiony do Eurazji, czy raczej Azjopy Stanisławów powraca w ten sposób jako Franek.

„Tego lata wpadłem na dziwny pomysł – chciałem zapisać całe nasze lato, wszystkie dni i wszystko, co zostało powiedziane. Idea pojawiła się kilka dni po przyjeździe – zacząłem sobie przypominać, co już się wydarzyło, dzieci przypominały mi różne momenty do zapisania. Potem zaproponowały, żeby dzień czy dwa po prostu przeleżeć w łóżkach, nie mówiąc nic – żeby kronika dogoniła czas rzeczywisty” – tak pisze Taras Prochaśko w *Spalonym lecie*.

Od tamtego czasu zaczęła się „epoka stanisławowska” ukraińskiej literatury, a sam Franek był nazywany na przemian w licznych komentarzach „Mekką literatów” lub „miastem grafomanów”. Nowa mitologia potrzebuje nowej literatury – to także słowa Jurija Andruchowycza. Wydaje się więc, że mitologia jest najpierw, a literatura musi próbować jej – nieudolnie – sprostać. pierwsze jest więc poczucie braku, potrzeba wypełnienia pustki. Zapisania tych wszystkich spotkań, rozmów, imprez, chwil deszczu i włączenia się po mieście, chwil samotności i wspólnoty. Muzy-

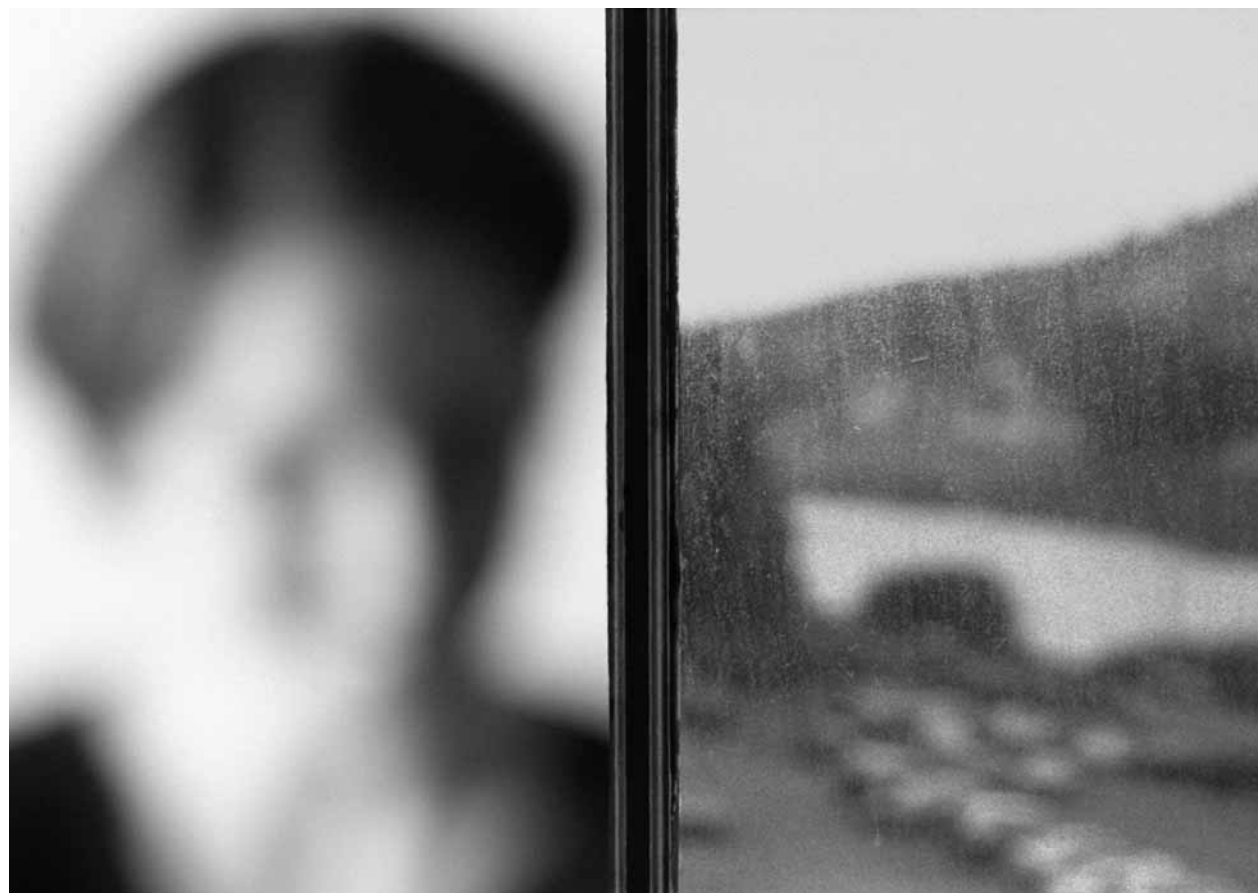
ki, słuchanej do rana. Miłości, gniewu i żalu, czasów studenckich i czasów mobilizacji do wojska, Czarnobyła, przełamania się historii. Nadchodzi jedno, drugie, trzecie pokolenie budujące swoje ogródki działkowe na ruinach, zagospodarowujące te łąki, zdziczałe i zdewastowane parki, odrapane kościoły z obcymi znakami, powstają nowe kawiarnie i bary, a w nich siada nowa młodzież: nowe dziewczęta, nowi chłopcy. Nowi bandyci włóczą się po ulicach, nowi poeci zaczynają marzyć nad ranem o wyjeździe, o piękniejszych miastach, o innym życiu. Są dziewczęta, dla których warto pisać wiersze. I zaczyna się.

„Od mityzacji do mistyfikacji” – tak mogłoby się nazywać studium poświęcone twórczości stanisławowskich pisarzy, gdyby oni sami nie rozbroili tej kategorii w swoich publikacjach daleko wcześniej, nim zaczęto krytycznie reagować i opisywać „fenomen” naukowo. Od Jeszkilewa i jego powieści pt. *Adept*, przez wiersze Hałyny Petrosaniak, Jarosława Dowhana, książki Tarasa Prochaśko (*Nekropol*, *Essai de deconstruction*, *Niezwykli*), Jurija Izdryka (*Wozzeck*, *Wyspa Krk*, *Stanisławów: tęsknota za tym co nieprawdziwe*), po eseje, wiersze i powieści Andruchowycza (*Erz-herz-perc*, *Prawdziwa historia pewnej Europy*, *Próba dezorientacji* czy *Dwanaście kręgów*), mistyfikacja pozostaje jednym z głównych motywów, ba nadaje sens całej twórczości, ponieważ literatura ta buduje od nowa całe miasta, krainy i ich historię, głęboko rozczarowana codziennością i stanem zastałym. Jak zareagować na wielość tradycji, wielość kultur, wielość językowych historii i wiele wersji historii: od narodowej, etnicznej, oficjalnej, alternatywnej, spiskowej, prowokacyjnej po jedyną prawdziwą, poprawną politycznie i zbuntowaną. Co zrobić, kiedy własnej tożsamości nie udaje się odszukać w żadnej z nich. Pozostaje zawsze kraina na wpół fantazmatyczna, literatura, ta, o której pisze Schulz i której tak naprawdę próżno szukać na mapie – nie zgadza się zbyt wiele szczegółów, ktoś zmyślił większość faktów w kronice miejskiej. Żeby zrozumieć tu, w Opolu, czym jest w tej chwili Stanisławów, Stanisław, Stanisław, Stanisławiw, Iwano-Frankiwska, Iwano-Frankowsk czy Franek wreszcie, żeby zrozumieć choć trochę z tego, czym jest to wszystko teraz, czego wciąż brakuje mieszkającym tam ludziom, jak zmieniają się, dublują i znikają bez śladu pory roku, należy czytać te książki, nie zamykać się w twierdzy nostalgii i „drugiego Stanisławowa”, bo takiego nigdy nie było, nie ma i nie będzie. Jest tam, na Ukrainie miasto, które rozwinęło potężną literaturę, jedno z najbardziej w tej chwili bogatych i ciekawych kulturowo miejsc Europy i świata, promieniujące. Miasto, w którym całe zebrane dziedzictwo wieków, wszystkich pokoleń Żydów, Ormian, Niemców, Karaimów, Tatarów, Rosjan, Austriaków, Hucułów, Łemków, Ukraińców, Polaków przysniło się kilkorgu młodym ludziom jako dziwny sen, niezwykle sen, który nie chce zejść spod powiek i który nazywa się literatura.

Mistyfikacja jest naturalna, nieunikniona w tym właśnie momencie – kiedy literatura usiłuje opisać to, na co słów nie ma, tę potrzebę zaledwie – i pojawia się fikcja, mit ufundowany na fantastyce, nie mający nic wspólnego z jakąś historyczną czy – co gorzej – obiektywną prawdą dziejów.

Oczywiście, „fenomen stanisławowski” zbyt jest fenomenalny, aby ze Stanisławowa nie migrować, nie rozprzestrzeniać się we wszystkich kierunkach, także na Zachód. Po prostu dlatego, że jak Lwowa, o czym pięknie pisze Adam Zagajewski, tak i Stanisławowa „było za dużo” i zaczął się ten nadmiar rozlewać po całym świecie. Bo samo miasto jest małe i ma wszelkie wady prowincji, oprócz jej niewidzialnych zalet – znów zacytuję Andruchowycza, pisarza, który przeniósł na zawsze Stanisławów do historii literatury światowej: „Ale Stanisławów jest zbyt mały, czasami po prostu nieznośnie mały, małostkowy, podły”. Dlatego nie mieści się w nim literatura – mało tego – literatura go niewiele zmienia, samo miasto tak naprawdę jej nie potrzebuje ani nie dostrzega, tak jak literatura nie zmieniła Drohobycza, Brodów, Werchowyny, Dukli – żadnego z tych galicyjskich miasteczek. Nie upiększyła ich, nie przeobstawiła w coś innego, niesamowitego, nierealnego. Istnieją nadal w całej swojej surowości, zapraszając do ucieczki w fantazję, przerażając, przygnębiając, zachwycając i pozostawiając słodko-gorzki smak niedosytu, niedokończenia, jednokrotności, który prowadzi do szaleństwa lub literatury. Spacerując po mieście, po Stanisławowie czy po Franku, po tym i po tamtym mieście, widzimy to, co ewentualnie może oba miasta łączyć: ślady po habsburskim imperium, gmach poczty i gmach Zarządu Kolei, dziwny Ratusz w stylu modernistycznym, w tym samym stylu utrzymany kinoteatr, ulice Szewczenki, dawną Lipową (o niej pisał w przewodniku z początku wieku XX doktor Mieczysław Orłowicz: „Najpiękniejsza ulica w mieście”). Potem kościół i kolegiata, jeszcze z czasów Rzeczypospolitej, wreszcie ślady sowieckie, osiedla i fabryki, hale i magazyny, potem willę Dolara, największego mafioso w mieście, nowe kawiarnie Franka, kluby Franka, parki i drzewa Franka. Miasto, w którym może stać się wszystko, a przede wszystkim wielka literatura.

Fenomen, jak każdy fenomen potrafi zmęczyć nawet własnych jego twórców, znużyć krytyków, opiewających jego wyjątkowość i wyśmiewających jego prowincjonalność. Fenomen zmutował już przez te lata, wszedł w „smugę cienia”, został zdekonstruowany przez własnych twórców i przedstawicieli, miał zresztą wpisany ten ruch we własną dynamikę, zdążył sfermentować – i ten ferment wciąż trwa, wino z tych piwnic będzie leżało jeszcze długo i nabierało formy, smaku, barwy i mocy.



Aleksandra Janik • Z cyklu *Pamięć miejsc*, 2006 • druk cyfrowy 50x70 cm

Dobrawa Lisak-Gębala

Tango kresowe

Po krzemienieckim płaskowyżu w powieści Włodzimierza Paźniewskiego *Krótkie dni* (1983) wciąż hula wiatr, szaleje dzika rozchwiewa, miotając strugami deszczu lub przewiewając z miejsca na miejsce mglisty opar. Choć dni w dusznej atmosferze sierpnia 1939 roku są coraz krótsze, gdzieś daleko ktoś wciąż skraca czas pozostały do katastrofy, a po zakurzonym gościńcu tuż przed oknami domów dudnią już żołnierskie buty; w opisywanej krainie stałość złej pogody zapewnia o wieczności znanego trybu życia – utrzymującego się nie bez wysiłku w swej bezczasowej homeostazie, balansującego wciąż na niepewnej granicy między siłami kosmosu i chaosu.

Przypisanie do krzemienieckiej ziemi, podobnie jak skazanie na nieprzychylność klimatu, ciągle butwienie, stęchliznę, to nieuchronny los, a zarazem punkt zaczepienia, reprezentantów wielu nacji zamieszkujących tę krainę, również tych, których losem miała być wieczna tułaczka. Nawet świątobliwy Rebe Rokachem, choć szybko odwołał przed Bogiem swój błąd, dał się przecieć przez krótką chwilę omotać miłością krainy, uznając ją za Ziemię Obiecaną Żydów. Wiąż z krainą rozległych płaskowyżów i rzek cierpiących na bałtycko-czarnomorskie „rozdwojenie jaźni”, nawet gdy wtórnie ustanawiana, okazuje się bowiem na swój sposób pierwotna, staje się niezatartym piętnem swojskości.

Choć terytorium to odznacza się wyjątkowo bujną historią, pełną wojennych epizodów (chłopski pług wrzynając się w glebę niemal za każdym razem wyrzuca kości), przez swych mieszkańców kraina odbierana jest ahistorycznie, jak wieczny w swej

teraźniejszości mit. Jeśli jakaś fatalna siła drzemie w tej ziemi, to nie jest to złowroga przeszłość mogąca odradzać się w postaci kolejnych krwawych konfliktów, ale chthoniczna siła nieczysta, wyrażająca się w postaciach rozstajnych dybuków, zdradzieckich lesowników czy zamieszkujących bagna didków. Co do ich portretu i imion zgodności nie ma – czy żydowskie, czy ukraińskie, czy w końcu polskie to lichy, jedno wiadomo: zjawia się często i lepiej mieć się na baczności. Czy to przypadkiem nie ono mąci bowiem w głowie „zwariowanej krainie” (ta nazwa wciąż dźwięczy w miłosnej żarliwości na ustach młodego narratora *Krótkich dni*, powracając w postaci formuły stałej niemal jak imię własne, stanowiącej jednocześnie świadomie wybrany i, w założeniu zapewne, wolny od skojarzeń pseudonim obszaru wołyńsko-podolskiego pogranicza)? Czy to nie siła nieczysta kusi złudną obietnicą odkrycia cudownych złóż naftowego bogactwa, którego zatraconym poszukiwaczem jest zdziwaczały dziadek opowiadającego? A gdybyż tak w końcu wytrysnęła brunatnym strumieniem ta podziemna mana zwariowanej krainy i uderzyła jej do głowy, niczym produkowana przez jednego z bohaterów, podupadłego rosyjskiego kupca, podróbka szampana, kto wie, gdzie zawiódłby jej mieszkańców rozpętany nagle obłęd, przeważając wnet szalę na rzecz sił chaosu Z pewnością – coś tkwi w tej ziemi, w tych podskórnych złożach, ponad którymi, na powierzchni toczy się trochę irrealna małościasteczkowa codzienność. Wzbiera tu dziwna, zniewalająca moc, skoro nawet nowo przybyli od razu stają się tej władzy powolni, przyzwalając na wszystkie ekstrawagancje krainy, a wręcz przyjmując rolę jej najgorliwszych obrońców. Obłęd okazuje się póki co trzymany w ryzach, gdyż trzej bogowie, katolicki, prawosławny i żydowski, czuwają na zmianę nad spokojem krainy, przyszłość jednak rysuje się złowrogo.

Chwiejna równowaga zwariowanej krainy wynika z wieloetnicznego charakteru zamieszkującej ją zbiorowości, który owocuje hipertrofią narracji. Ów słowotok *Mitoteleuropi*, owa nieuleczalna mitomania, bujanie w obłokach i przywiązanie do autentycznej bujdy – czyż nie to samo próbuje wciąż diagnozować Andrzej Stasiuk, momentami zadziwiająco bliźniaczy w swych rozważaniach z eseistycznymi wywodami Paźniewskiego na temat polskości z tomu *Gramatyka rozproszenia*? Podług wizji autora *Krótkich dni* cała kraina przypominać ma tekst, z mnóstwem aluzji, cytatów, intertekstów i wersji obocznych. Zdaje się ona pęcznieć od tego nadmiaru, co prowadzi do opatrzenia cudzysłowem każdej opowieści, mało kto dba tu bowiem o odniesienie do rzeczywistości. Mieszkańcy zwariowanej krainy, ulegając czarowi *l'art pour l'art* opowiadania, potrafią bez reszty angażować się w różne przedsięwzięcia, zatracać się w nich jak w ekscytującej zabawie. Jednocześnie wierząc i nie wierząc, oddają się cudnej schizofrenii ludyczności. Zdolni są świętować kolejne rocznice zmyślonej bitwy pod Sołotwiną, co roku dodając do swoich relacji nowe szczegóły. Gdy wspólnie sponsorują wyprawę podstarza-

Dobrawa Lisak-Gębala,
ur. 1984. Absolwentka
kulturoznawstwa i filologii polskiej
na Uniwersytecie Wrocławskim.
Mieszka we Wrocławiu.

łego wozaka do Ziemi Świętej, podobnie z fascynacją zanurzają się w zamkniętym i samooczywistym świecie *quasi-literackiej* fikcji. W głębi duszy wiedzą jednak, że to tylko gra, co pozwala im bez większego żalu przyjąć fiasko peregrynacji. Donkiszoterii oddają się też z lubością liczni tutejsi dziwacy – dawny konsul austriacki wciąż żyjący tak, jakby odrodzić się miała świetlana cesarsko-królewska epoka jego młodości; kupiec Moszkowicz poszukujący za radą mądrego rabina z Wiednia Judaszowego srebrnika mającego ocalić krainę od zguby; ekscentryczni kolekcjonerzy fałszywych Stradivariusów, podrobionych rękopisów Słowackiego. Choć gry praktykowane przez mieszkańców zwariowanej krainy miewają czasem tragiczne konsekwencje (jak uprawiana przez podpitych oficerów, w nagłym porwywie podszytej melancholią brawury, zabawa w kukułkę, czyli strzelanie do towarzyszy w niewielkim pokoju w półmroku przedświt), stanowią one *differentia specifica* wykreowanej przez pisarza zbiorowości.

Jakim tekstem miałyby być zatem zwariowana kraina? Rozwiczrzoną esejem, z jego hipotetyczną, pełną meandrów narracją? Tutejszy logik wynalazł przecież rzekomo wzór na wątpliwość. A gdyby tak była wcieleniem Bachtinowskiego ideału powieści polifonicznej, utrwaleniem wielojęzyczności kresowego świata, świata w dialogu – choć nie bez konfliktów, ale bez stałego centrum, niestrukturyzowanego więc przez ustanawiającą hierarchię procedurę kolonizacji? Czyż nie tak chcemy widzieć dawną Ukrainę?

Mit Ukrainy w *Krótkich dniach*, podobnie jak w prozie popularniejszych od Paźniewskiego prozaików, Andrzeja Kuśniewicza, Stanisława Vincenza czy Leopolda Buczkowskiego (jako autora *Wertepów* z 1937 roku), to też rodzaj całkiem poważnej gry, w którą tak chętnie dajemy się wciągać. Akceptujemy jej reguły, będące przede wszystkim regułami konsekwentnej artystycznej kreacji, nie zaś sprawdzianem wierności pamięci. Dajemy się wciągać w bujność nawarstwiających się opowieści zupełnie tak samo jak mieszkańcy zwariowanej krainy hołdują swoim narracjom. „Nigdy nie byłem w tym domu, a przecież pamiętam wszystko doskonale” – jedno z początkowych zdań *Krótkich dni* wyklada nam wprost zasady tej gry. Być może nawet nikt nigdy nie mógł być w tym domu, gdyż ten dom nigdy nie istniał, jest *stricte* literackim tworem, co nie przeszkadza nam wcale rozkoszować się estetycznym współuczestnictwem w rytuałach improwizowanego wspominania, swoistą intensywnością bycia w świecie tekstu, podobną intensywności zbiorowego trwania w świecie mitycznej kresowej Ukrainy. Dajemy się uwieść leniwemu rytmowi zapętłającej się muzycznie narracji z powracającym refrenem wyśpiewującym chwałę zwariowanej krainy, podobnie jak sam autor, nieznający już przecież kresów z własnego doświadczenia, dał się uwieść ułamkom wcześniejszych opowieści, rodzinnych wspomnień oraz własnej, przepojonej nimi, fantazji. Zniewalająca pamięć o utraconej krainie przodków mogła zostać artystycznie przetransponowana na wizję owej tajemnej siły przypisywanej w *Krótkich dniach* krzemienieckiej ziemi. Zwariowana kraina, ujmowana za pomocą licznych personifikacji, okazuje się mieć wprawdzie więcej wspól-

nego z rozkapryszoną kochanką, nie zaś z nobliwą matką-ziemią, zdecydowanie jednak jawi się jako fenomen zakorzeniony w konkretnym miejscu, klimacie, krajobrazie. Miejscu, które, choć niedostępne, oddzielone dystansem czasowym i barierą granicy, wciąż przyciąga, prowokuje powtarzanie i przetwarzanie wspomnień.

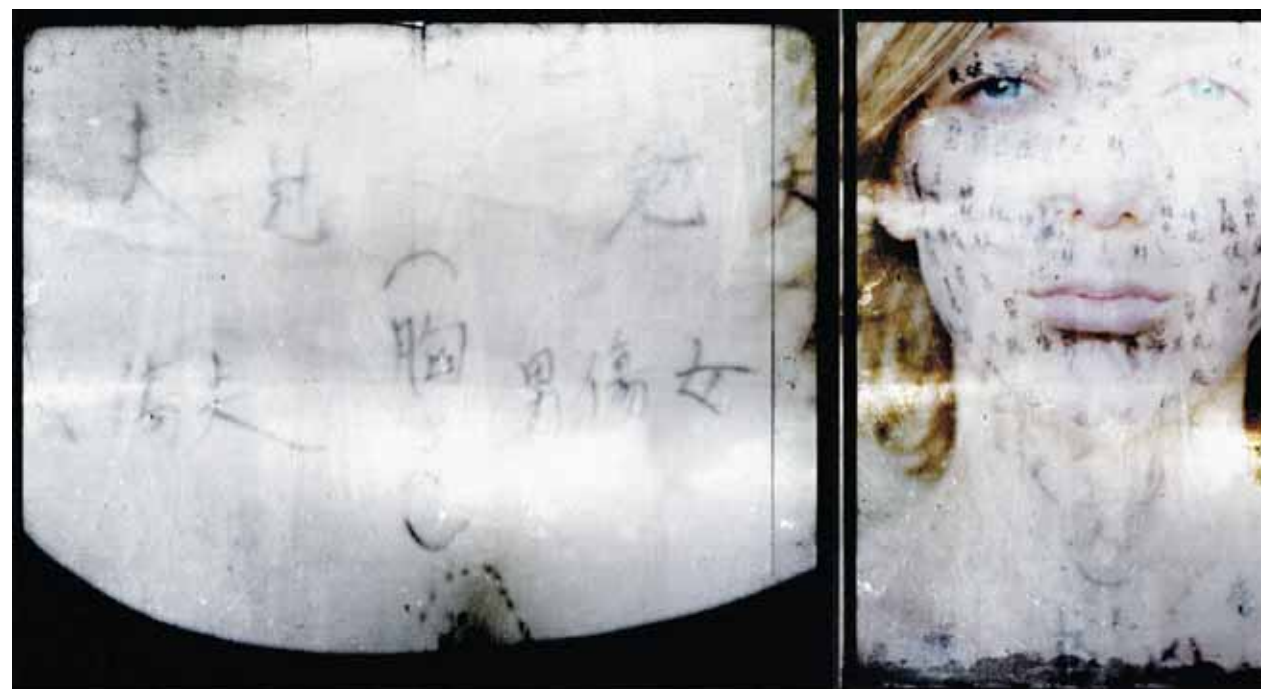
Podsuwająca swoje pokusy obsesja kresowej konfabulacji tłumaczy w pewnym sensie strukturę *Krótkich dni*. Wprost o tej mitomanii pisał Paźniewski w eseju *Podróż na Kresy*: „Kresy są odmianą metafory, repliką tęsknoty za rajem utraconym, żalem po splądrowanej Arkadii, w której nigdy nie wiadomo, co może przytrafić się pamięci [...]”. Mitologia Kresów przypomina gipsową kopię rzymskiej rzeźby pośród wysokiej otawy i pokrzyw, w wyrąbanym na opał parku. Nie można wykluczyć, że ktoś skreślił na jej torsie nieprzyzwoity wyraz. Obchodzimy ją ze wszystkich stron i, podziwiając płynne kształty, staramy się nie widzieć brzydkiego słowa. Mitologia, której nikt pierwszy nie chce powiedzieć *adieu*, bo jakże to tak przyjść do zniszczonego parku z młotkiem i rąbnąć z całej siły w podrobkę, by rozsypała się na kawałki? O wiele wygodniej spacerować wokół niej krokiem poloneza”. Lub może kresowego tanga wynalezionej przez sportretowanych w powieści tancerzy, braci Levinson, prowadzących skromną szkołę? Ów taniec to przecież, jak przypomina na kartach *Krótkich dni* Paźniewski, „smutna myśl, którą się tańczy”. Na ile jesteśmy skłonni łamać reguły naszej nostalgicznej gry? Jak wiadomo przecież nikt nie irytuje bardziej niż popsuj-zabawa. Nawet dla zdziwaczałego dziadka narratora *Krótkich dni* niestawienie się wyzwano przezeń przeciwnika na pojedynek było największą zniewagą, tym większą, iż okazało się w jego odczuciu syndromem nadejścia nowych, skarłałych czasów, w których kodeks Bożewicza nikogo już nie zainteresuje.

Od powtarzania pompatycznych gestów utrwalonych rytuałów wyzwolić się trudno, o czym świadczyć może życie pośmiertne Kakanii (nazwa utworzona z inicjałów połączenia *könige-kaiserlich*), trwanie modelu kultury z epoki Franciszka Józefa w codzienności zwariowanej krainy, mającej wszak przypominać, podług jednego z personifikujących ujęć, „arystokratkę na wygnaniu” szcycącą się wciąż zacną przeszłością i szlachetnością stylu. Czy kraina jest zwariowana, gdyż stanowi reinkarnację zdziwaczałej na starość Kakanii, podobnie balansującej w swych ostatnich chwilach na granicy między resztkami ładu utrzymywanymi mrówczą biurokracją a wybuchem szaleństwa (jak opisywał to Paźniewski w jednym z esejów z tomu *Życie i inne zajęcia*)? Jeśli dusza zwariowanej krainy jest zapożyczona, choć podsycona gorączką podziemnych źródeł, może zdolna jest, podobnie jak styl cesarsko-królewskiej przeszłości, oderwać się od swoich lokalnych korzeni, wywędrować i przetrwać mimo geopolitycznych decyzji zmieniających raz na zawsze strukturę kresowego świata? Czy można zdelokalizować *genius loci* tak prosto, jak spakować i przewieźć lary i penaty?

Próbując wychwycić pod mozaiką migotliwej powierzchni świata przedstawionego w *Krótkich dniach* ukrytą strukturę, pokrewną też wizji Kakanii, można by wskazać na fenomen dialogu związany z funkcjonowaniem kultury pogranicza. Śledzący

go kresoznawcy, tacy jak Eugeniusz Czaplejewicz i Edward Kasperski, wskazują przecież wprost na potencjalny związek filozofii dialogu Martina Bubera, Michaiła Bachtina czy nawet Emmanuela Lévinasa z ich biografią, z bezpośrednią znajomością świata kresowej wieloetniczności zmuszającej do ciągłego kontaktu z innością. Byłaby więc nasza cesarsko-królewska nostalgia za dialogiem i źródłowym zróżnicowaniem rzeczywistości kulturowej podstawą utrzymywania się tej części mitologii kresowej, która jest często przypisywana tradycji wychwalania Polski Jagiellońskiej? Słysząc czasem głosy, iż brak Innego powoduje poczucie wewnętrznej pustki, monoplemienność dla wielu po prostu zieje nudą. Czesław Miłosz przetłumaczył tytuł poematu *Hollow men* (właściwie „wydrążeni ludzie”) Eliota jako *Chochołowi ludzie* i ta analogia dźwiękowa wydaje się wiele mówić. Zabawa w chochołowe tańce, dystygowane polonezy rozkochanej w sobie, choć wydrążonej z Innego, polskości, pewnie dalej trwa, a równoległe do nich praktykowane kresowe tango stanowić ma rodzaj antidotum na jednostronność dominującej narracji.

Być może i ta dialogiczna opcja potrzebuje jednak swojej odtrutki. Jak przypomina przecież sam Paźniewski, nieprzyzwoity napis na gipsowej rzeźbie wystawionej w ogrodzie idealizowanej pamięci o utraconej małej ojczyźnie ktoś jednak skreślił, o czym może zbyt łatwo zapominają piewcy pogranicznego dialogu. Te nieprzyzwoite słowa mogą być wszakże głosem pozostałych mieszkańców dawnych kresów i to właśnie one zdolne są pomóc „rąbnąć z całej siły w podróbkę, by rozsypała się na kawałki”.



Aleksandra Janik • Z cyklu *Saligia*, 2009 • cibachrome 27x50 cm

Adrian Gleń

Podróż: święta Inność

Czy wiedzielibyśmy, kim jesteśmy, gdyby naprzeciw nas nie stawiały się ciągle „lustra Inności”? Przemierzamy nieustannie realne i fikcyjne światy, żeby zrozumieć ostatecznie siebie w inności, która za każdym razem wzywa nas do przemiany. A my stawiamy jej opór albo ulegamy z lubością...

Na doświadczenie podróży – będące wyruszeniem w gościnę do przestrzeni, która nie jest (naszym) domostwem, ale spotkaniem z tym, co inne, obce – trudno znaleźć jednolite określenie, formułę. Ilekroć pakuję plecak, zastanawiam się, co tak naprawdę jest sednem podróżowania i czym jest samo to doświadczenie.

Doświadczyć, zaryzykujemy, w pierwszej kolejności oznacza zawsze (i koniecznie?) – zaznać, znaleźć się wewnątrz tego, co dotychczas było poza nami (a co nagle staje przed nami). Rozumienie doświadczenia (za-świadczanie) jest chyba zawsze aktem refleksji i jako takie przychodzi najczęściej *post factum* (bywa, że pragnienie rozumienia, zawczasu rozbudzone i natrętne, zagradza nam drogę do pełnego doznania inności).

Przemieszczanie się jest dla mnie co prawda punktem wyjścia także dla podróży intelektualnej, ale głównym celem zawsze pozostaje obchodzenie i smakowanie przestrzeni, po to, aby uczynić zeń miejsce (takie, do którego chciałbym wracać), w jakimś stopniu zatem przynajmniej – oswoić inność, „wpisać” (ach, zawsze już myślałem o pisaniu...) w nią siebie. Ale także siebie podarować (stąd to pisanie! jakże często współczesny turysta pragnie jedynie zawłaszczyć inność, mniemając, że „zdejmuje” swoim aparatem cały kraj-obraz i historia, która ułoży się z kolekcji fotografii „wyczerpie” temat), choćby na chwilę.

Jeśli miałbym włączać moje egzystencjalne doświadczenie podróżowania w jakąkolwiek ramę kulturową, zapewne byłaby to figura włóczęgi, który stara się „wywlokłać – jak pisał Piotr Kowalski – z pęt społeczeństwa konsumpcyjnego, nastawionego zaborczo i eksploratorsko wobec świata”. Dzisiejszy włóczęga, jak widzi to wielu kulturoznawców, pojmuję życie jako worek z epizodami, które można dowolnie ustawiać obok siebie bez żadnego porządku. Ale czyż nie takie właśnie jest doznawanie: to przecież nagle „ukłucia”, przeszywające nas do głębi sztychy inności, cięcia w schemat naszego myślenia stanowią sedno olśnienia, którego oczekujemy. Wszak „jeśli podróż, to daleka”...

Oto garść impresji ze spotkań z odmiennym doświadczaniem świętości przez ludzi Wschodu, które spontanicznie ze mnie wyniknęły podczas (moich i mojej przyszej żony) ukraińskich wojaży, w chwilę po doznaniu...

Ślad tego światła wciąż daje mi do myślenia.

★★★

Scena przed kościołem grekokatolickim, którego fasada wieńczy główny lwowski bulwar rozpoczynający się monumentalnym gmachem opery.

Teren przykościelny miesza się ze skwerem. W ten sposób, iż matrona odpoczywająca po robocie, *babuszka* sprzedająca spirytus na ćwiartki mężczyznom o twarzach czarnoziemiu i błagający o jałmużnę żebrak, siedzą nieomal obok siebie.

W tym spięciu ujawnia mi się naraz charakter tego miasta. Ciążącego do chaosu – zatarcia granic pomiędzy odmiennymi porządkami, do których przynależą mieszkańcy Lwowa. Oni, rzecz jasna, ów układ współtworzą. My jesteśmy tu podrzuconymi niechcący świadkami, z którymi oni się nie liczą i liczyć, po prostu, nie mają potrzeby.

Na pierwszy rzut oka, to piękny obrazek. Jednia otwartego miasta, którego prawem jest wspólne-istnienie-obok. Zostaliśmy naraz przyjęci w ów barwny korowód postaci budujących fragment ulicy. Na dobrą sprawę chyba powinienem się cieszyć. Julia poczuła to samo – bezpieczeństwo uczestnika. Zapaliliśmy i pomimo ogromnego zmęczenia wrażenie to trwało. Ale poczuliśmy szczerą ulgę powrotu do skóry obcego, kiedy czas życia papierosa – długość trwania naszej inicjacji – dobiegł końca...

★★★

Wędrowka do wspartego na nieomal pionowej, granitowej skale, prawosławnego *chrama*

Adrian Gleń,
ur. 1977. Krytyk literacki, kulturoznawca. Adiunkt w Instytucie Filologii Polskiej Uniwersytetu Opolskiego. Redaktor prac zbiorowych, autor czterech monografii. Mieszka pod Opolem.

pod wezwaniem Zmartwychwstałego Chrystusa w Forozie, którego bryła góruje nad tą uśpioną miejsciną.

Oto miejsce rzadkiego mariażu turystycznej atrakcji z żarliwą religijnością tutejszych mieszkańców. Przestrzeń świątyni jest otwarta, gwarantuje intymny i nieustający styk z tym, co nosi sakralne znamiona. Na każdej ścianie, na wysokości oczu i ust (szczególnie ten ostatni organ naszych zmysłów jest istotny w kontakcie ze świętością; całując stopy i dłonie świętych na ikonach, wierni tym silniej odczuwają związek z nimi) znajdują się liczne relikwie i obrazy. Przed każdym z nich można zmówić błagalną modlitwę i zapalić cieniutką, podłużną świeczkę intencyjną.

Po przekroczeniu kolumnady kobiety muszą założyć na głowę chustkę. Włosy bowiem dodatkowo wydobywają i podkreślają sensualność (nieczystość) kobiety (jakkolwiek, niejako na przekór temu prawu, Ukrainki i Rosjanki zdają się nie przywiązywać do sprawy fryzury zbyt dużej wagi).

Jeszcze przed kolumnadą, w głębi, jak gdyby w nawie bocznej, mieści się kram, w którym sprzedawane są kopie świętych ikon, świece, kasety z chorałami gregoriańskimi. Tu panuje przedziwny gwar (wyznawcy rzymskiego katolicyzmu zapewne nie wyobrażają sobie takiego połączenia, dla nich opowieść o wygnaniu kupczących ze świątyni oznacza ściśle oddzielenie obu porządków). Turyści mieszą się z wiernymi (i „mieszą” wiernym) w targach ze sprzedawcą. A już metr dalej, za ową kolumnadą wyznaczającą granicę, za którą rozciąga się świętość, skupienie i nabożne modły.

Nie spotkałem się z sytuacją, ażeby natrętnemu profanowi, który bezprawnie narusza tę przestrzeń ktokolwiek spośród wiernych zwrócił uwagę (widziałem nawet jegomościa błakającego się po zakamarkach ołtarza i natrętnie fotografującego wszystkie ikony dostojnych patriarchów, który hałasował przy tym nieznośnie głośnym fleszem). Bijący pokłony i potrójnie żegnający się prawosławni zdają się w ogóle nie dostrzegać obcych. Pograżeni w na poły mistycznym kontakcie ze świętymi patronami zapominają o całym nie-bożym świecie.

Ikona nie jest obrazem Boga. Tym ludziom ikona pozwala być z Bogiem.

★★★

Wycofywanie się pospieszne z cerkwi w chwili podniesienia, gdy celebrans odwraca się do maluczkich, wiernych. Jeszcze kątem oka: niesamowity widok kobiety całującej stopy Chrystusowej rzeźby i wycierającej zaraz po tym białą chustką niedostrzegalny dla nikogo ślad swych ust. Niegodni, niegodni w obliczu ikony.

I my – barbarzyńcy. Uchodziliśmy, czując niestosowność naszej tam obecności.

Na zewnątrz, na zewnątrz...



Aleksandra Janik • Z cyklu *Saligia*, 2009 • cibachrome 27x50 cm



Sylwia Siedlecka,
Szczeniaki,
W. A. B., Warszawa 2010

Marek Szladowski

Przygodne istnienia

Ta książka wzbudza dręczący niepokój, bowiem bezceremonialnie narusza nieme porozumienie społeczne – swoje tabu istnienia – które sprawia, że życie w swej istocie staje się akceptowalne. Nieobecne w codzienności ciemne strony egzystencji po lekturze tej książki nagle, ze zdwojoną siłą, atakują naszą osłabioną odporność na drugą, usuwaną z naszej rzeczywistości, sferę istnienia. Zbiór opowiadań Sylwii Siedleckiej *Szczeniaki* jest bowiem próbą zarejestrowania swoistych marginesów egzystencji, uchybień natury, znaczeń ukrytych, doświadczeń niechcianych.

W *Szczeniakach* wszystko jest osobliwe i zarazem przejmująco tajemnicze. Każda z postaci opowiadania tworzy co prawda osobną mikrohistorię, łączy je

jednak wszystkie piętno fatalnej odmienności (najczęściej jest to piętno fizyczne). Dodatkowo, bohaterowie opowiadań ukazani są w szczególnych, granicznych sytuacjach egzystencjalnych (w tym także w tej najważniejszej – śmierci). Takie połączenie ludzkich osobliwości i sytuacji transgresji powoduje, iż książka niemal w całości utrzymana jest w trudnym lekturowo poznawczym, egzystencjalnym i estetycznym napięciu. Autorka obdarzona jest bowiem rzadkim zmysłem obserwacji. Przy czym dodajmy od razu, iż zmysł ten należy raczej do kategorii „przeklętych talentów”. Co znamienne, nie odczuwamy współczucia, czy sympatii wobec bohaterów opowiadań – choć zapewne powinniśmy. I to chyba jest w tej książce

zadziwiające najbardziej: opisywane sytuacje wprawiają bowiem czytelnika w hipnotyzujące osłupienie, nie pozostawiając często czasu na ujawnienie się emocji. Autorce udało się również tak zbudować narrację, iż funkcjonują one na zasadzie zupełnie niezależnych literackich utworów (tworząc równocześnie spójny świat estetycznych i etycznych obrazów), którym to my sami nadajemy wartościujące znaczenia. Dzięki temu – co nie mniej ważne – teksty sporo mówią o nas samych.

Dzieciństwo à rebour

Obrazy dzieciństwa wykreowane w tekstach Sylwii Siedleckiej to ponura, wręcz karykaturalna wizja młodości pozbawionej złudzeń i nadziei. Już sam tylko rejestr kilku dziecięcych bohaterów opowiadań ujawnia skalę ich egzystencjalnego odrzucenia: bliźniaki syjamskie złączone kręgosłupami, monologujące o szansie własnego przetrwania (*Wodny motyl*); nieochrzczone dzieci, które przebywają w piekle (*Dzieci*); karzeł grający w cyrku (*Czerwony karzeł*); dziewczynka bez nogi marząca o karierze baletnicy (*Baletnica*). To zupełnie tak, jakby autorka dla każdego z idealistycznych wizerunków dzieciństwa stworzyła ich przeciwstawny obraz, swoiste lustrzane odbicia negacji. Przy czym są to negacje totalne.

Co jednak szczególnie znamienne w relacjonowaniu przygód, a raczej fatalnych doznań bohaterów, głos narracji pozostaje w specyficznym dystansie, zupełnie tak, jakby mowa była o całkiem oczywistych i naturalnych sprawach, a nie fizycznych lub społecznych kalektwach. Nie ma mowy o języku emocji, patosu,

nostalgii czy współczucia. Ten wręcz sterylny i chłodny (bezduszny) język czasem nawet przeraża. Jednocześnie przyjęty sposób narracji pełni funkcję „skalpela”, który pozwala wydobyć z wyobraźni rejestry zupełnie niesamowite.

Na ziemi dzieci pozostawiły ciała, tak małe, że z łatwością dałoby się je schować do futerału na skrzypce. Jaki jest los tych ciał? Wiele z nich trafia na stół, robi się im sekcje zwłok, profesjonalści zaglądają do środka i dowiadują się zawsze tego samego: pod sklepieniem żeber serce i dwa płuca, no i oczywiście białe kości, czerwona krew, trochę mięsa. Niektórzy zaglądają do głów, nie trzeba wiele siły, by przepławić czaszkę, wystarczą nożyce, czaszki dzieci są miękkie, po wykonaniu cięcia głowa otwiera się jak dojrzały owoc.

Z niektórych ciał robi się potem słynne lalki bobaski, tak lubiane przez małe dziewczynki.

Doprawdy, trudno wyobrazić sobie, w jaki inny sposób zapisać podobne spostrzeżenie. To obraz w swej istocie makabryczny (dziecięce ciało „przetworzone”

Marek Szladowski,

historyk literatury i kultury.
Współredaktor tomów: *Literatura i/a tożsamość w XX wieku* oraz *Egzystencjalne doświadczenie starości w literaturze*. Współpracował przy wznowieniu leksykonu *Księga żałoby i śmierci*. Pracownik Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Mieszka w Warszawie.

na lalkę), jednak forma tego zapisu jest naturalna i prosta. Autorka *Szczeniaków* wypracowała zupełnie nieprawdopodobny język, który pozwala jej zapisać równie nieprawdopodobne obrazy wyobraźni.

Świat bez domu

Wymownym znakiem spajającym tematycznie wszystkie teksty zbioru jest sceneria dziejących się wydarzeń. Najczęściej są to: szpitale, hotele, kostnice, cudze mieszkania, cyrk, autobusy. Słowem: miejsca obce. Zgodnie z przyjętą w tomie koncepcją „świata odrzuconego” nie ma prawie mowy o domu (rozumianym po Tischnerowsku jako „gniazdo człowieczeństwa”), a jeśli ten już się pojawia, to w złowrogiej formule. Brak domu wiąże się w wykreowanym świecie ze szczególnymi konsekwencjami, bohaterowie stają się bowiem ludźmi bezdomnymi. Czy zatem bohaterowie *Szczeniaków* pozbawieni tego fundamentalnego egzystencjalnego punktu doniesienia, konstytuującego ich tożsamość, są jeszcze w pełni ludźmi? Są pewnego rodzaju sobowtórami ludzi, ale co najokrutniejsze – innych prawie w wykreowanym świecie nie ma. Tak mówi bohater opowiadania *Czerwony karzeł* o przestrzeni cyrku, która w metaforyczny sposób oddaje sens przestrzeni wszystkich bohaterów opowiadań:

Pod jednym dachem ludzkie złomowisko czekające na przemiał. Lalka bez oczka, rycerzyk bez nóżki, miś bez ucha. Tancerka z chińskiej porcelany spada z liny i rozpryskuje się na tysiąc kawałków. Marzę o czymś innym, co jest bardziej w środku, tu mam tego namiastkę.

Ale jestem wystarczająco bystry, by wiedzieć, że niczego lepszego nie mogę się spodziewać.

„Ach, gdyby choć na jeden dzień poodwracać ludzi na lewą stronę [...]”

Jest coś szczególnego w fizyczności bohaterów *Szczeniaków*. I nie chodzi już tylko o ich charakterystyczne cielesne stygmaty. Co prawda, to one właśnie stają się determinantami najważniejszych perypetii, jednak wydają się być jedynie pretekstami do ujawnienia szczególnej paradoksalności. Fizyczność jako taka może być z jednej strony okrutnym balastem ludzkiego istnienia, z drugiej – poprzez doprowadzenie do granic możliwości fizycznego upośledzenia – staje się zaledwie niewidzialną strukturą obecności i pozwala wręcz spojrzeć przez ciało i poza ciało. Bohater pierwszego opowiadania pyta: „dlaczego wszystko przeze mnie prześwituje”. I taka właśnie jest ich cielesność, prześwitująca, a przynajmniej taką czyni ją autorka. Sam ich status fizyczny jest także jakby z nieco innego, niż ziemski, porządku:

Każda porcelanowa figurka da się przekroić, powiedzmy, na pół, każdą da się, przy odrobinie wysiłku, odwrócić na lewą stronę. Te brzydkie strony pokazują tylko w atlasach anatomii. Człowiek jako siatka błękitnych żyłek i brunatnych kawałków mięsa, przytwierdzonych do twardego, lecz kruche go rusztowania. Każdy tę stronę upycha i chowa, żeby nikt nie widział. Nie nie kapie, wszystko pozszywane jak u pierwszorzędnego krawca. Ale otwórz

tylko usta, a już masz zaczątek wnętrza, pulsujące miazgi, chropowate podniebienie, miękki język, to bagno pod nim, nie mówiąc już o gardle, tam się dopiero zaczyna [...]. Ach, gdyby choć na jeden dzień poodwracać ludzi na lewą stronę, zobaczyć prawdziwą mapę człowieka, szwy i sploty, zobaczyć zamsz.

★★★

Michel de Montaigne w eseju *O poczwarnym dziecku* po opisie zrośniętych dzieci tak konkluduje: „[...] Można przypuszczać, iż niejedna postać, która nas tak zdumiewa, ma związek i podobieństwo z innymi postaciami takiegoż rodzaju, nie znanymi człowiekowi”. Zdaje się, że Sylwia Siedlecka ma rzadką umiejętność dostrzegania owych „zduławiających postaci” z pozoru nie znanych ludziom. W tym swoistym ludzkim monstruarium stworzonym w *Szczeniakach* nie chodzi zatem tylko o ukazanie świata bez złudzeń, o kolejną pesymistyczną syntezę ludzkich doświadczeń. Książka stanowi także test naszej czułości, naszej etycznej i estetycznej wrażliwości. Swego rodzaju miernik empatii i jej zaniku.

Wielką wartością tej książki jest także jej autentyczność oraz estetyczna i poznawcza autonomiczność zarazem (choć rzecz jasna odnajdujemy w niej wiele kulturowych i literackich odniesień). W pewnym sensie jest ona – w wymiarze sposobu rejestrowania, konstruowania i prezentowania świata przedstawionego – nawet nieco tradycyjna, co wśród rozmaitych procesów rezygnowania z literackości samej literatury jest za-

letą szczególną. Autorka nie prowadzi także popularnych współcześnie eksperymentów na języku, nie wpisuje się także wprost w żaden modny nurt dekonstruowania, feminizmu (pomimo przewagi kobiecych bohatererek), campu, epatowania wulgaryzmem, szoku itd. Ma coś znacznie więcej do zaoferowania – Literaturę! Spodziewam się, że wielki twórczy potencjał, który tu został objawiony być może w przedwczesnym nadmiarze, jest zapowiedzią większej opowieści. Na razie otrzymujemy historię, która co prawda rozbita jest na autonomiczne teksty, jednak pozwala też na całościowy ogląd (trzeba też jednak odnotować, iż widoczny jest niestety redakcyjny pośpiech przy planowaniu kompozycji tomu, niektóre z tekstów są też wyraźnie słabsze). Spójność książki nadaje między innymi jej klamrowa konstrukcja. Opowiadanie otwierające, *Wodny motyl*, traktuje o narodzinach, które przynajmniej częściowo jest skazane na śmierć, zaś tekst zamykający, *Last minute*, opowiada o śmierci, chwilowo skazanej na życie. Tak oto Sylwia Siedlecka buduje świat skazanych na egzystencję.

„Gdy ciągłość życia – pisze Georg Simmel – zostaje zasadniczo zanegowana, a właściwie nie trzeba jej nawet negować, bo od razu dochodzi do konfrontacji z czymś obcym, nieprzystawalnym, zakłócającym szyk – wówczas mówimy o przygodzie”. Ta książka opowiada właśnie o owej ludzkiej, fatalnej przygodności.

■



Witold Szablowski,
Zabójca z miasta moreli,
Wydawnictwo Czarne,
Wołowiec 2010

Grzegorz Tomicki

Poeci, terroryści, prostytutki, czyli słowo o Turcji

1. „Najwybitniejszy turecki poeta ma na nazwisko Borzęcki i pomieszkuję w polskim sejmie. Tuwim, choć nie rozumie po turecku ani słowa, jego wierszy słucha jak urzeczony. Broniewski wyciąga go na wódkę. A pani Halina spod Ostrołki pisze w liście, że chce z nim zamieszkać i mieć dzieci. Nic dziwnego. Nazım Hikmet Borzęcki jest żywą legendą”. Tak zaczyna się najdłuższy tekst zamieszczony w książce Witolda Szablowskiego *Zabójca z miasta moreli*. Reportaże z Turcji.

Opowieść o mającym polskie korzenie, a od pewnego momentu także obywatelstwo, tureckim poecie dla wielu polskich czytelników zapewne okaże się zaskakująca, bo wcześniej kompletnie nieznaną. Co z jednej strony dziwić nie

może – kto dziś bowiem w Polsce interesuje się poezją turecką? Owszem, jakiś promień poetów, tłumaczy i urwanych z choinki czytelników-dziwaków interesuje się jeszcze poezją amerykańską, brytyjską, francuską, niemiecką, może rosyjską albo i czeską – ale żeby turecką? Cała literatura turecka to w świadomości zbiorowej przeciętnego Europejczyka – czyli nikogo – Orham Pamuk. Ten jednak, o ile mi wiadomo, wierszy nie pisze.

Z drugiej jednak strony, ten legendarny Turek to przecież także Polak. Nasz człowiek! W każdym razie nie mniej nasz i nie mniej Polak niż, dajmy na to, Emmanuel Olisadebe czy, bardziej na czasie, Mamed Khalidov. (W tym kontekście powiedzenie „cudze

chwalicie, swego nie znacie” nabiera co najmniej innego znaczenia).

A nadto nie tylko on nasz pobratymiec, krajan i ziom, ale i w ogóle nie byle kto, bo – jak chce jego tłumaczka i przyjaciółka, Małgorzata Łabęcka-Kocherowa – dla tureckiej poezji jest Rejem, Kochanowskim i Mickiewiczem w jednym. Trzech tuzów w jednym zaklętych Poecie! „Rejem – bo jak Rej po polsku, tak Hikmet jako jeden z pierwszych pisze wiersze po turecku. [...] Kochanowskim – do doprowadza turecki do perfekcji. [...] Mickiewiczem – bo pochyla się nad zwykłymi ludźmi, a w dodatku sporo w nim z ducha romantyzmu”.

Przesiąknięty za młodu komunistyczną ideologią (studia w Moskwie), Hikmet, „jako prawdziwy, wojujący komunista, za swoje poglądy co chwila ląduje w więzieniu”. Wprawdzie jako wnuk generała Celaleddina-Borzęckiego – kleryka seminarium duchownego we Włocławku, przedzierzgniętego następnie w wielkiego tureckiego bohatera – za każdym razem szybko odzyskuje wolność. Opieka sławnego dziada zza grobu nie trwa jednak wiecznie i w końcu poeta musi salwować się ucieczką do, jakże by inaczej, ZSRR. Tam jednak komunistyczny ideał, jakim się karmił, zderza się z sowiecką rzeczywistością, więc prostoduszny deczeko Hikmet daje publicznie wyraz swojemu rozczarowaniu, oświadczając, że podczas planowanego spotkania ze Stalinem zamierza mu „powiedzieć szczerze, jak komunista komuniście, że te niekończące się portrety i pomniki powinny być usunięte”. W reakcji na co władza radziecka po-

wzięła zamiar usunięcia Hikmeta. Na dobre. Ten zaś poczuwszy, „że dopóki na Kremlu rezyduje Stalin, lepiej trzymać się od Moskwy jak najdalej”, zostaje objazdowym propagatorem Komitetu Obróńców Pokoju. „Jeździ po świecie, uświetnia kongresy, przecina wstęgi” itd.

Aby móc jednak „jeździć po świecie”, potrzebuje paszportu, a Stalin nie pali się jakoś do przyznania mu obywatelstwa ZSRR. Poeta tymczasem zawiera niejaki przyjaźnię w Warszawie i właśnie za sprawą polskich przyjaciół dostaje od Bieruta paszport z orzełkiem na nazwisko Nazım Hikmet Borzęcki i, można by rzec, odzyskuje polskie obywatelstwo swojego dziada.

„Czy czuł się choć trochę Polakiem? W 1958 roku, na spotkaniu z czytelnikami w Klubie Międzynarodowej Prasy i Książki, mówi: «Mam polski nos, włosy, które były jasne, nim posiwiały, i sporo polskiego chyba romantyzmu». Rok później w wywiadzie dla «Orki» dodaje: «Mając do wyboru różne kraje, wybrałem kraj mojego dziada». Ale przyjaciółm mówi, że był to wybór przymusowy”.

Grzegorz Tomicki,

ur. 1965. Poeta, krytyk literacki, doktor nauk humanistycznych. Autor tomików poezji *Zawsze tuż obok* (1998), *Zajęcia* (2001). Mieszka w Legnicy.

Hikmet jest powszechnie lubiany, a nawet hołubiony, ale na polskich literatach jego wiersze nie robią specjalnego wrażenia. „Propaganda mówi, że to jeden z najwybitniejszych poetów globu. Ten poeta jest ich kolegą ze Związku, jada z nimi obiady w stołówce. Ale jego wiersze wcale nie wydają się takie wybitne”. Co gorsza, przyznaje się bez specjalnej żenady, że w ogóle nie czytał Mickiewicza. Reja i Kochanowskiego zapewne także.

Nasuwa się z lektury wniosek, że ciekawsze od wierszy było jego burzliwe życie. Zwłaszcza intymne. „Dziś Hikmet byłby ulubieńcem prasy brukowej. Trzy z jego czterech żon rzuciły dla niego poprzednich mężów. Jego romansów nie policzyłby nawet najlepszy kalkulator”.

„On był jak dziecko – wspomina tłumaczka. – Szalenie dobry i jednocześnie naiwny. Jakby pan go spotkał na ulicy i poprosił o pieniądze, wszystko by oddał”.

2. Podobnie – jako „bardzo dobre dziecko” – wspomniany jest przez swoją rodzinę tytułowy „zabójca z miasta moreli”, czyli Mehmet Ali Ağca (urodził się pod Malatją, słynącą z uprawy moreli). W pisanym w zupełnie innym tonie reportażu prezentuje się on jako człowiek-zagadka, o którym wypowiedane są diametralnie sprzeczne opinie.

Jako ośmioletni chłopiec zostaje głową rodziny, pracuje na utrzymanie matki i rodzeństwa, sprzedając wodę i cukierki w pociągach. „Zawsze pracował ciężko. Pomagał matce, bratu, siostrze”. W młodości pisze wiersze, chce zostać nauczycielem, założyć rodzinę, mieć dzieci. Kończy więc kolegium nauczy-

cielskie i wyjeżdża na studia do Ankary. „Tam, śladem tysięcy chłopaków, wpada w łapy grup terrorystycznych”.

Wszystko wskazuje na to, że niedoszły nauczyciel i poeta całkowicie ulega ideologicznej indoktrynacji, jakiej poddaje go organizacja Szare Wilki. „Dobre dziecko” przeistacza się w terrorystę. „Ağca idealnie nadaje się na terrorystę: jest zdolny, pracowity i bez grosza przy duszy. Szybko się uczy”. Wydaje się całkowicie pozbawiony własnego „ja”, stając się bezwolnym narzędziem w ręku wyznawców Idei. Zapewne za ich sprawą zaczyna wyznawać teorię spiskową, według której – jak pisze w liście poprzedzającym wizytę Jana Pawła II w Turcji – „zachodni imperialiści [...] przysłali do Turcji Dowódcę Krzyżowców Jana Pawła przebranego za przywódcę religijnego. Jeśli wizyta [...] nie zostanie odwołana, bez wahania zabiję Papieża Przywódcę”.

Jego brat, Adnan, konsekwentnie forsuje wizerunek Mehmeta jako naiwnej ofiary „złych ludzi”: „Szare wilki? – Mój brat został przez nich wykorzystany. Jest dobrym człowiekiem. Nikomu źle nie życzył. [...] Zabójstwa? – Został wykorzystany. Po co miałby kogoś zabić? On się nie interesował polityką, nikomu źle nie życzył. Zamach na papieża? – Nikomu źle nie życzył. Papieża kochał jak ojca. [...] Brat nie wiedział, kim jest papież. To był plan boży. Poza tym wykorzystano go...”. Reporter w pewnym momencie nie wytrzymuje: „Skoro wszystkich kochał i dla wszystkich chciał dobrze, to dlaczego został terrorystą?! – pytam ze złością. Adnan też ma dość takich pytań: – Został wykorzysta-

ny, już mówiłem. Nikomu źle nie życzył – powtarza swój refren i będzie go powtarzać w nieskończoność”.

3. Zupełnie inaczej, wbrew pozorom, ma się sprawa z dwiema byłymi prostytutkami, których historię Szablowski opowiada – a raczej którą pozwala opowiedzieć im samym – w reportażu *Czarna dziewczyna*. Ich losy to ciąg cierpień i upokorzeń, jakim podlegały wprężnięte w maszynę – mającego w Turcji długą tradycję – seksualnego biznesu, wykorzystującego kobiety do granic ich fizycznych i psychicznych możliwości: „Któregoś dnia nie dojechały dziewczyny z innego miasta. Musiałam obsłużyć siedemdziesięciu sześciu mężczyzn. Przychodzili wszyscy. Policjanci, urzędnicy, nawet śmieciarze. Dwóch mężczyzn zmarło w moim łóżku na serce”.

Bywa, że kobiety do domów publicznych sprzedawane są w Turcji przez swoich mężów, ojców czy braci. Jedna z kobiet opowiada, jak jej przyjaciółka zaszła w ciążę i uparła się, że urodzi. „Alfons zadzwonił do jej brata, żeby mu oddał pieniądze. Brat się strasznie zdenerwował. Przyszedł z siekierą. Kiedy weszłam do salonu, Özlem leżała na kanapie, a jej głowa pół metra dalej”.

Nie mając oparcia w swoich rodzinach („Rodzina nie chciała mnie znać. Mówili na mnie *kara kız*, czarna dziewczyna, przynosząca wstyd”), często nie znajdują go także w policji: „Najgorsze jest to, że prostytutka jest w Turcji legalna. Że kiedy uciekasz, policja cię odwozi do domu publicznego. Nawet nie słuchają, że ktoś cię bił i gwałcił. Wieczo-

rem ci sami policjanci przychodzą jako twoi klienci. Za to, że cię znaleźli, dostają zniżkę od szefa”.

Podobnie jak Ali Ağca, nie miały one zupełnie kontroli nad własnym życiem. Różnica pomiędzy nimi jest jednak zasadnicza. Były one bowiem zupełnie świadome socjokulturowych uwarunkowań, wyznaczających współrzędne sytuacji, w której się znalazły. Nie utraciły zatem swoich autentycznych podmiotowości, dzięki czemu mogły wyzwolić się z pętających je więzów, odzyskać panowanie nad swoim losem, a nawet zająć się polityką, aby uwarunkowania te wydobyc na światło dzienne i tym samym podjąć próbę ich neutralizacji. Że z marnym skutkiem, to może częściowo wina społeczeństwa, które samo ulegając tzw. przemocy mitycznej – presji tradycji, przyzwyczajęń, obiegowych opinii (typu: „rozwódka to gorzej niż prostytutka”) – nie jest w stanie przeciwstawić jej świadomą siebie, samokrytyczną, autorefleksyjną tożsamość. A była prostytutka nie jest godna politycznego poparcia. W zasadzie w ogóle nie jest godna.

4. Szablowski jako reporter piszący o innej kulturze, innym narodzie i jego mentalności skupia się przede wszystkim na uchwyceniu i przedstawieniu cech specyficznych tego narodu, jego „duszy zbiorowej”. Stąd jego bohaterowie to często ludzie, którzy są reprezentantami zbiorowej świadomości (charakteru narodowego) w takiej czy innej jej postaci czy odmianie (a odmiany z grubsza są dwie i tworzą one ciąg opozycyjnych kategorii: nowoczesność – tradycja, ate-

izm – religia, europejskość – azjatyckość itp.). Pochwyceni i kontrolowani przez jeden z dominujących dyskursów zatracają własną autentyczną jednostkowość, zamieniając się w tuby, poprzez które wypowiadają się cudze – powszechne, stereotypowe, obiegowe – idee i przekonania. A widzieć (słyszeć) to lepiej, co wiadomo nie od dziś, właśnie z perspektywy „innego”, „obcego”, np. reportera z Lechistanu.

W ten sposób książka Szablowskiego może być postrzegana jako jeden z kolejnych argumentów potwierdzających Agambenowską tezę, iż „współczesne społeczeństwo wydaje się biernym ciałem poddanym gigantycznym procesom odpodmiotowienia”. Przyczyniając się tym samym do procesów tych obnażenia, a więc i uświadomienia koniecz-

ności przeciwstawienia się temu procesowi. Rzecz jasna, nie tylko w Turcji.

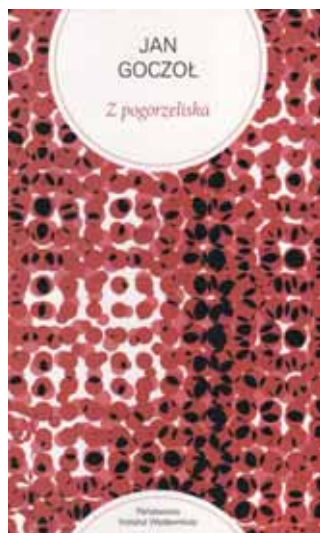
Poza wszystkim jednak jest *Zabójca z miasta moreli* zbiorem reportaży, które nie pozostawiają czytelnika obojętnym, testując jego systemy przekonań, postaw i uczuć poprzez zderzanie ich z rzeczywistością, z którą być może inaczej w ogóle by się nie zetknął.

Krótkie podrozdziały, krótkie akapity, krótkie zdania to forma, w której anonsuje się duch współczesności, co jednym spodoba się bardziej, innym zapewne mniej. Czego by jednak nie mówić, kształt językowy konstruowany jest w sposób konsekwentny, spójny i składający się na dość wyraźnie rozpoznawany autorski styl. Co nie jest bynajmniej normą.

■



Aleksandra Janik • Z cyklu *Transgresje II*, 2007 • druk cyfrowy 100x70 cm



Jan Goczoł,
Z pogorzeliska,
PIW, Warszawa 2011

Bartosz Suwiński

Ciemna poezja. Głosy *Z pogorzeliska*

*Wszystko tak lotne. My tylko ciężymy przestrzeni,
oczarowani ciężarem, co wszystko kaleczy.*

Rainer Maria Rilke

Tajemnica zasnuwa sobą, niczym mgłą, dukt dni mijających w niewiedzy tego, co teraz-tu i tego, co przyniesie jutro. „Jutro bądź mi łaskawe” – pisze w swoim wierszu-prośbie Krystyna Miłobędzka, a Jan Goczoł dzieli z autorką *Po krzyku* doświadczenie oczekiwania „na dobre”, lepsze jutro, pod którego ciężarem nie ustąpią zaprawione w znoju codzienności barki. Autor *Manuskryptu* dowodzi, że dane nam są fakty, ale czymś innym jest rozporządzać nimi, a zgoła odmiennym – pojąć je czy zrozumieć. Opowiedzieć sobie zawiedzione nadzieje, bliskie udręce wygrzebywania z paleniska wciąż ciepłych, iskrzących się w żarze kamieni, wydaje się poecie zadaniem tyle niewdzięcznym, co koniecznym, pozostawiającym go na łasce kapryśnej pamięci. Póki co – póki jeszcze. Dziś już niełatwo ogrzać ręce przy wspomnieniach płomienia, którego języki opowiadały poemat ognia – jego treścią były chwile naszej młodości.

Ostatnie ślady wiodły w stronę rzeki.

Psy śledcze nie podjęły tropu prowadzącego w głąb nocy –

noc uniesie ciało poza rozpoznawalne horyzonty,
cóż dopiero pamięć o wszystkim, co było.

Być może kiedyś muł wyniesie ponad wodę
zarys skureczonych warg i skureczonych powiek,
które się nie doczekały ostatniego słowa,
ostatniego widzialnego znaku¹.

Autor *Na brzoźowej korze* literuje płonne pragnienia wyjaśnienia bycia, których obietnica musi ponieść fiasko. O nasze położenie zapytuje bliski aurze roztaczanej przez wiersze Goczoła Pascal, który w *Myślach* mówi o człowieku: „Jest nieskończenie oddalony od rozumienia ostateczności; cel rzeczy i ich początki są dlań na zawsze ukryte w nieprzeniknionej tajemnicy; równie niezdolny jest dojrzeć nicości, z której go wyrwało, jak nieskończoności, w której go pogrążono”². Poeta podziela słowa autora *Provincjonalek*, nie wzdraga się jednak przed postawieniem pytań bolesnych: o cierpienie towarzyszące wchodzeniu w starość, o śmierć, której ustąpi w końcu miejsca nasz cień – jego chwiejne kontury. Ciemny ton omawianej poezji przełamuje jej metafizyczne zorientowanie. Ustępującej rozpacz, której wciąż nam nie zbywa, towarzyszy nastrój wyczerpania, niepokoju. Poezja krańca, gdzie wiersz staje się zapisem kondycji.

Moja noc jest ciemną, bezgłosną czeluścią.
Nawet przesypujący się w niej czas
nie wydaje żadnego szmeru. Jedynie myśli
bolące do najdalszych granic zaświadczały,
że jestem. Myśli opuchłe czerwie pamięci toczą.

Choroba jest stanem odczucia samego siebie w cierpieniu, udręką somatycznego niedomagania. Starość to wchodzenie w milczenie, kiedy słowa, jeśli są i przychodzą do poety, mogą nieść/niosą wiersze, te zaś na jakiś czas odtrącają istniejące w nas przypływy smutku, odpływy radości. Choroby pojawiają się po to – mówiąc za Cioranem – „by nam oznajmić, że życie to stan absolutnej niepewności, coś z istoty swojej prowizorycznego, że reprezentuje ono przypadkowy modus istnienia”³. Goczoł opowiada się po stronie współtworzenia na nowo metafizyki codzienności tak, by choć przez chwilę świat pozbawiony sankcji boskości pozwolił odzworować swój dawny porządek.

¹ J. Goczoł, *Z pogorzeliska*, PIW, Warszawa 2011. Wszystkie cytaty według tego wydania.

² B. Pascal, *Myśli*, przeł. T. Boy-Żeleński, Warszawa [brak roku wydania], s. 62.

³ E. Cioran, *Upadek w czas*, przeł. I. Kania, Warszawa 2008, s. 116–117.

Bartosz Suwiński,

ur. 1985. Doktorant na Uniwersytecie Opolskim. Szkice literackie i krytyczne publikował m.in. w „Kresach”, „Frazie”, „Toposie”, „Ricie Baum”, „Red.”. W roku 2010 wydał tomik poetycki *Shir*. Mieszka w Opolu.

Pojedynczy człowiek jest kaleki w swojej obecności, a jego pełnię współtworzy znikliwość. Osadzony w jednym istnieniu, dopełnia miary bycia. Czas niesie nam „przyczynę do nieistnienia”. Błądzący się w codzienności, trapieni banałem życia pokrywają tę nieustępliwą szarżę. Melancholia istnienia – wniknąć weń, przeżyć. Pozostaje nam coraz krótszy oddech, coraz więcej dni, pośród których błądzący się, próbując zagrzebać się w pamięci, zaś ze wspomnienia zrobić przyczółek – tam spocząć, wziąć głęboki oddech. Zaklinać minione i w nim odnajdywać treść, dziś już bezpowrotną. Ale trzeba próbować brodzić po mieliznach przeszłej rzeczywistości. Czy w przeszłości „wspomnienia kurczą się od coraz większego chłodu” – pyta poeta w wierszu *Półowa stycznia, czarno na białym*:

Dzień po dniu i noc po nocy, szczególnie nocami,
śnieg. Coraz wyżej ta biel ponad wszystkimi śladami
tego, co było, co jeszcze być miało. Czarno na białym –
kruk. Kruk milczy. Może oniemiał chłodem
tego, co widział za północnymi lasami. Może
chce mi zaoszczędzić zapisania tego arkusza
bielszego nad wszystkie milczące zwątpienia. Kruk
po ostatnim niewidzialnym zdaniu się zawęzła
w czarną, nie do zasypania, kropkę.

Targowisko codzienności jest polifonią głosów, grą łudzących się i tych bez złudzeń, krzątającą sprawunków – pod pozorem ich istotności kryje się zasiane (od pierwszego krzyku) ziarno śmierci wzrastające „już po tobie”. Pozostaje nieodmienne przybywanie kolejnych fałdek strapienia na czoło.

Śląsk opisywany w tomie jawi się jako mitologizowana kraina z przeszłości, opisana blikami gwałtownych pociągnięć, przedstawiona z czułością⁴. Reminiscencje dawnego porządku, kiedy wszystko spoczywało w naturze i pulsowało wspólnie z jej rytmem, wywołuje zgrzyt, przepaść, która nie rymuje się z tym, co jest współcześnie. Jest to rozdźwięk nie do pokonania słowami, poprzez słowa. Oblaskawianie poezją minionej świetności rodzi drastyczną różnicę między nią a tym, co dziś się po niej ostało. To przekracza rozumienie, budzi żal, stąd liczne supliki, których smutek rezonuje bardziej z każdą kolejną lekturą. W sierpniu zeszłego roku Goczoł zapisał wiersz:

Być może wszystkie one były tylko narkotycznym snem.
Na tomograficznych kliszach bezsennych nocy
coraz wyraźniej widać ich rozległe martwice.

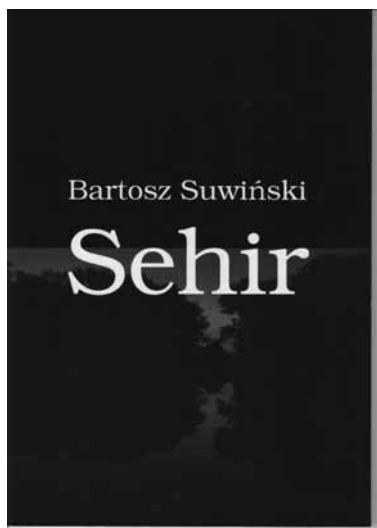
⁴ „... całą twórczość Goczoła można widzieć jako zarys Księgi, utraconego wzoru jedności bytu, podmiotu i języka na Śląsku” (K. Kossakowska-Jarosz, *Jana Goczoła literatura nurtu regionalnego*, [w:] *Człowiek i czas. Studia i szkice o literaturze współczesnej*, pod red. E. Dąbrowskiej, A. Pruszczyńskiej-Kozłub, Opole 2002, s. 251).

Oddychasz ostrożnie i cicho. Mocno zaciskasz powieki
przed jaskrawością dni, jakie ci sądzono
jeszcze przeżyć.

Lękamy się pytań o nasze istnienie i odpowiedzi na nie. Kluczemy koleiną życia, roztrącamy ciemność, lepimy z okruszków bycia naszą glinę powszednią. Nasz czas kurczy się i zapada w siebie – nasz ład podmywany przez fale zacieśnia krąg naszego istnienia. W cieniu niepewności, w jaskrawości zwątpienia, czekamy znaku trwałszego niż my, dopóty owe porządki się przenieśli – czekamy. Dopóty zwieszamy zwiedzione nadzieją głowy – jesteśmy. I poezja, która zbliża się do mądrości, do której dojrzeć znaczy więcej niż ją przeżyć w czytelnym obcowaniu z wierszem. Na sam koniec przywołajmy wiersz zamykający tom *Post scriptum (Instrukcja)* i zastosujmy się do zasad, wedle których powinniśmy oblaskawiać tę poezję dla siebie. Oddajmy głos poecie:

Te wiersze są jak ryby wyrzucone przez rzekę
na wysoki brzeg; z ogromnym trudem łapią oddech.
Należy je czytać zgodnie z ich oddechem, tak
jak się z rzeki wynurzały i w nią zapadały –
jedno zdanie na tydzień; nieraz i rzadziej,
póki się nie skropliły ich wieloznaczności.

Ciemne zawiesiny powinny pozostać nienaruszone –
anegdoty, jakie przesłaniają, niczego nie wyjaśniają,
wiodą mylącymi tropami. Może jedynie na chwilę
w samotnym milczeniu rozbłyskują ich twarze,
odzywają się dalekimi głosami.



Bartosz Suwiński,
Sehir, Mamiko,
Nowa Ruda 2010

Wojciech Koryciński

Człowiek – ta rana świata

Trzeba napisać coś o zamknięciu –
jest tyle rzeczy bez wyjścia.
Okrąg, orbita, obieg krwi.
Także pozorna hiperbola myśli.

Każdy wiersz obraca się raz
na jedno czytanie.
(Antoni Matuszkiewicz, *O obrotach*)

Obrót pierwszy

Niedawno na rynku wydawniczym pojawił się debiutancki tomik poetycki Bartosza Suwińskiego pod intrygującym tytułem *Sehir*. Słowo „sehir” poeta zapożyczył od albańskiej pisarki Orneli Vorpsi, autorki książki *Ręka, której nie kłósz*. W posłowie do tomiku krytyk Jacek Gutorow wyjaśnia: „Sehir znaczy ‘patrzeć’, albo raczej ‘patrzeć na innych’. Zmysłowość patrzenia”.

Zatem czym jest *Sehir*? – traktatem poetyckim o patrzeniu?! Jeśli przyjmiemy taką perspektywę interpretacyjną, to otwieramy możliwość kolejnych pytań: kto dokonuje aktu patrzenia i co jest jego przedmiotem? Pierwsze pytanie pozostawmy na ra-

zie bez odpowiedzi – będzie ono wymagało od nas pogłębionej refleksji, bo bohater wierszy ukrywa się za opisami, nie chcąc rozpraszać uwagi czytelnika skupionej na świecie przedstawionym. Świat przedstawiony – tu przechodzimy do drugiego pytania – został wyprowadzony z krajobrazu pustynnego. Pustynia jak teatralna scena wylania ze swych piasków rekwizyty i nadaje im określone sensy. Przy czym metafora teatralnej sceny i rekwizytów teatralnych jest moim pomysłem – Suwiński określi pustynię mianem matki, która to odsłania, to pochłania nowe światy:

[...] Pustynia przyjmuje

jak matka. Podnosi czoło z piasku, studnia
wsiała w ziemię z buklaka, jak grzęzną wydmy,
jak tuli matka.

(*Pustynia*)

W krajobrazie pustynnym pojawiają się takie rekwizyty, jak: ruchome piaski, woda, gazela, wąż, karawana, oaza, osada, ogień, zatoka i morze. W kolejnych wierszach powyższe motywy będą występować w różnych odsłonach, odgrywając za każdym razem inną rolę w dramacie istnienia. Konsekwencją takiego zabiegu jest z jednej strony budowanie z prostych, wydawałoby się, i ograniczonych w swych możliwościach elementów krajobrazu pustynnego struktur bardziej skomplikowanych, a z drugiej strony nadanie spójności cyklowi wierszy, który zmierza do formy poematu lub, jak to sugerowałem wcześniej, traktatu.

Obrót drugi

Pojawienie się tych samych motywów wpływa na rytmiczność cyklu. Rytmiczność dla poezji Suwińskiego zdaje się fundamentem poetyckości i gra w jego utworach na różne sposoby.

Autor z pełną konsekwencją odwołuje czytelnika od zadania pytania, kim jest bohater, akcentując to, co ten bohater widzi – z jego patrzenia/widzenia będziemy mogli poznać „ukrytego”. Podążmy zatem za następującymi po sobie wierszami-obrazami.

Wiemy już, że autor buduje przestrzeń z prostych elementów, by po kilkakrotnym przetworzeniu stworzyć skomplikowany jej wariant. Ale przestrzeń podlega również bardziej zaawansowanym przeobrażeniom. Gdy przyjrzymy się ko-

Wojciech Koryciński,
ur. 1979, pomysłodawca
i współorganizator Świdnickich
Śród Literackich, doktorant
Uniwersytetu Wrocławskiego,
autor pracy *Studium programów
nowofalowych* i kilkunastu
artykułów o tematyce
krytycznoliterackiej
i kulturoznawczej. Członek
Stowarzyszenia „Chiazma”.
Autor pierwszego świdnickiego
kryminału: *Tajemnice ulicy
Pańskiej*.

lejności występowania rekwizytów, dostrzeżemy, że nie jest ona przypadkowa – najpierw pojawiają się te związane ze światem natury (piaski, woda, gazela, wąż), a następnie te, które delikatnie sugerują obecność człowieka w świecie przyrody (studnia, karawana, Beduini, oaza), by wreszcie zaakcentować świat kultury (osada, wieś, miasto – które rozkwita u ujścia rzeki do morza – i jego mieszkańców).

W układzie motywów odkrywamy kolejny rytm tomiku – rytm stworzenia świata. *Sehir* można odczytywać jako poetycką wersję biblijnego mitu Genesis.

Ale wraz z pojawieniem się człowieka, kreatora cywilizacji, rodzi się problem aksjologicznego zakorzenienia człowieka w rzeczywistości. Punkt ciężkości przenosi się z opisów krajobrazu na problemy egzystencjalne. I tu poeta przypomina sobie zmagania jednego ze swych literackich mistrzów – Tadeusza Różewicza:

Kto znowu nazwie
rzeczy słowa

wypowie koniec języka
pokaże jak dziecko czubkiem palcem

wtedy było śliskim ostrzem
obłą końcówką która się powtarza

i wierzy jak reszta
na słowo kiedy On wyciąga z pochwy

z opowieści z żebra

tylko rzucić kości
cieplej, bliżej nas

(ten drugi, raz za razem)

(*Usta*)

Bohater utworów Bartosza Suwińskiego poszukiwanie wartości rozpoczyna od kontemplacji świata – zapatrzenia się weń. Bardzo prawdopodobne jest to, że rozwikłanie zagadki istnienia zakończy się fiaskiem i wtedy zapatrzenie będzie również kresem poetyckich poszukiwań – ale poeta idzie dalej.

Obrót trzeci

Poszukiwanie zrozumienia świata (nadania mu wartości i znaczeń) zawiedzie bohatera wierszy do rozważań nad kreacyjnym boskim Słowem. Językowa natura

świata zamiast doprowadzić do wyjaśnień ujętych w jasne, ostateczne stwierdzenia stanie się przeszkodą. Język jako narzędzie eksplikacji zawodzi, stanowiąc odrębną rzeczywistość – w tym momencie Suwiński spotyka kolejnego mistrza, Tymoteusza Karpowicza, z którym podejmuje poetycką rozmowę:

Wychodzone ścieżki, wydeptane aleje,
zachodzące na siebie pięty. Stawanie się
powietrza, którym nie sposób się zakrzusić,
na chwilę przestać. Patrz na to, co jest,

zanim będzie samym wiatrem
drzewa szumią tylko w drzewach, o koronach

inaczej las, ścieżką dalej.

(*Trudny las*)

Obrót czwarty

Dochodzi do jeszcze jednego spotkania – z mistrzem Miłoszem. Ślady rozmowy dwóch poetów odnajdziemy w wierszu *To* (taki sam tytuł nosi wiersz i cały tom poetycki noblisty z 2000 roku). Jeśli chodzi o naturę świata i jej zrozumienie, Miłosz nie pozostawia złudzeń:

Ponieważ TO oznacza natknięcie się na kamienny mur,
I zrozumienie, że ten mur nie ustąpi żadnym naszym błaganiom.

(Czesław Miłosz, *To*)

Choć w wierszu Suwińskiego *To* odnajdujemy polemikę z Miłoszowską niemożnością sforsowania muru dzielącego człowieka i świat, wyrażoną w akcie nadziei w samodzielne poszukiwania młodego poety, to jednak spośród trzech mistrzów najbliższy paradoksalnie jest mu właśnie Miłosz, przede wszystkim wtedy, gdy deklaruje się jako wyznawca epifanijnego charakteru poezji. Oddajmy na chwilę głos Miłoszowi, którego rozważania, moim zdaniem, doskonale ujmują również istotę poetyckich poszukiwań Bartosza Suwińskiego:

Nie ukrywam, że szukam w wierszach objawienia się rzeczywistości, czyli tego, co w greckim języku nosiło nazwę epiphaneia (z tego samego źródła co czasownik phaino, pojawiać się, skąd w naszym słownictwie fenomen, epifenomen). Słowo to oznaczało przede wszystkim zjawienie się, przybycie Bóstwa pomiędzy śmiertelnymi czy też jego rozpoznanie w powszednim, znajomym nam kształcie np. pod postacią człowieka. Epifania przerywa więc codzienny upływ czasu i wkracza jako jedna

chwila uprzywilejowana, w której następuje intuicyjny uchwyt głębszej, bardziej esencjonalnej rzeczywistości zawartej w rzeczach czy osobach. Stąd też wiersz-epifania opowiada o jednym wydarzeniu, co narzuca pewną formę.

(Czesław Miłosz, *Epifania*, w: *Wypisy z ksiąg użytecznych* Kraków 2000, s. 19)

Obrót piąty

Docieramy powoli do odpowiedzi na pytanie, kim jest bohater wierszy Suwińskiego, czyli ten „ukryty” za krajobrazem pustyni. Już pośrednio udało się odpowiedzieć na to pytanie: to ten, który patrzy, by dojrzeć – dojrzeć, czyli zobaczyć i zrozumieć, a poprzez dostąpienie zrozumienia stać się dojrzałym. Bohater *Sehira* to osoba, która szuka epifanii.

Drogi Czytelniku, *Sehir* jest poetyckim traktatem metafizycznym, w którym przedstawiona przestrzeń niczym teatr każe poszukiwać nam w fikcyjnej opowieści ukrytych dramatów naszej egzystencji.

Obrót szósty

Zachęcam do ponownego obracania stron debiutanckiego tomiku Bartosza Suwińskiego – to cenna lektura. Proponuję, Czytelniku, by szósty obrót poświęcić m.in. symbolice pustyni, gazeli, ognioi i wodzie.



Aleksandra Janik • Z cyklu *Transgresje I*, 2006 • druk cyfrowy 150x60 cm



Monika Strzępka

Gdzie szkolne lektury, a gdzie żywa klasyka?



Po XXXVI Opolskich
Konfrontacjach
Teatralnych
„Klasyka Polska”

Czasem, kiedy mówię, że pracuję teatrze, widzę ten szczególny rodzaj spojrzenia – szybkie przewijanie na podglądzie w oczach rozmówcy: kolumny ze styropianu, szmaty zamiast horyzontu, odpychające złe aktorstwo wybuczane bez składu i ładu, malowania słowem i ręką, i czym tam jeszcze można podmalować, jak nie ma koncepcji i wymagań, a nauczycielki są zadowolone i dawno już nie były na tak pięknie wyrecytowanej sztuce, a ty się czujesz jak głupek – bo w żaden sposób nie wiesz, dlaczego to takie piękne i ważne. Te spojrzenia patrzą na mnie i uznają, że praca w teatrze to właśnie robienie tego nudnego, złego gówna, które trzeba jakoś przetrwać o ósmej rano. Zysk z tego jest taki, że przepada parę lekcji i nie trzeba czytać lektury. Wstydzę się tego i wiem, że nie mam argumentów. Co mam powiedzieć? Tak, widzę kochana/y, że zostałaś/eś skrzywdzona/y przez zły teatr, ale pójdziesz na teatr dobry – może pokochasz i teatr, i uczestnictwo w kulturze, i książki zaczniesz czytać? I gazety? Być może w przyszłości zaczniesz nawet rozumieć, że tygodnik opinii to tygodnik opinii, a nie tygodnik prawdy?

★★★

To było kilka lat temu. Pracowałam w teatrze, w którym aktorzy mniej więcej raz w tygodniu wyjeżdżali ze spektaklem gdzieś, gdzie było bardzo daleko od ich teatru

i bardzo dużo dzieciaków do oglądania przedstawień. Przedstawień lekturowych. Pewnego dnia postanowiłam, że wybiorę się z nimi. Wyjazd autokarem o szóstej rano. O ósmej zaspani aktorzy w butaforowych dekoracjach i butaforowych kostiumach zaczęli uprawianie sztuki scenicznej. *Skąpiec* – z tego co pamiętam. Lekturowo obowiązkowy. Zrobiony niby „po bożemu” – czyli tak, jak już niby nigdzie się nie gra. Otóż o ósmej rano gdzieś na Śląsku zobaczyłam, że owszem – gra się. Razem ze mną zobaczyło to jakieś trzy tysiące licealnej młodzieży.

Głupie miny, zamaszyste gesty, żarty – bo to przecież komedia – podawane grubo i z mrugnięciem, żeby nikt nie miał wątpliwości, że to komedia. Żeby było jasne – nie mówię tu o skansenie w rodzaju Comédie-Française – tego rodzaju muzealna nieświeżość ma jednak pewne edukacyjne walory. Mówię o systemie, który pozwala zamroczonemu alkoholem i rutyną reżyserowi bredzić o klasycznym teatrze, wysokiej sztuce i misyjności i bezkarnie pokazywać młodzieży pod nauczycielskim nadzorem przygotowaną w dwa tygodnie chałturę objazdową. Bo jak wiadomo – każdy szanujący się teatr wychodzi na przeciw zapotrzebowaniom publiczności. A zapotrzebowanie jest na inscenizowanie kanonu lektur szkolnych.

Balladyny, *Antygony*, *Skąpcy* i *Świętoszki* – gdyby przejrzeć ilość przedstawień, którymi ukatrupia się szansę, że ktoś w dorosłym życiu wróci do teatru z własnej woli, mógłby powstać wielki festiwal pod na przykład tytułem „Wielkie Edukacyjne Osiągnięcia Teatru Polskiego”. Tak, wiem, wiem. To nie nasza sprawa. Jesteśmy tego świadomi, wiemy, co się wyprawia po tych dziurach zapchlonych, znamy te straszne realia. Ale przecież to nie jest prawdziwy teatr. Prawdziwy teatr jest gdzie indziej – jak popisuje klasyk. Chyba że przyjmiemy inną perspektywę: może pracując w teatrze, powinniśmy brać odpowiedzialność za jego całościowy kształt? Za wszystkie jego odmiany?

★★★

Ostatnio widziałam też *Balladynę* w lateksach i dziurawych rajtuzach. Koncepcja reżyserska była z grubsza taka, że i Alina, i Balladyna to kurwy i szmaty. Czyli modelki. Na jedno wychodzi. Są złe i zepsute. I kuszą poczciwych mężczyzn. I sprowadzają na manowce. Chyba chodziło o to, że gdyby na pomysł siostrobójstwa wpadła Alina – akcja potoczyłaby się podobnie. Chyba był to spektakl o tym, że ludzie z awansu społecznego na awans nie zasługują. Bo są źli z natury i z biedy. Po spektaklu usłyszałam rozmowę dwóch pań nauczycielek. Dotyczyła rozwiązania kwestii, „jak szlag trafił *Balladynę*”. Reżyser zdecydował się na śmiałe posunięcie interpretacyj-

Monika Strzępka,

ur. 1976. Reżyserka teatralna. Absolwentka Akademii Teatralnej w Warszawie na Wydziale Reżyserii. Laureatka wielu nagród. Wyreżyserowała m.in. takie sztuki, jak: *Prezydentki* (Scena Polska w Czeskim Cieszynie); *Dziady*. *Ekshumacja* (Teatr Polski we Wrocławiu) czy *Był sobie Andrzej* (Teatr Dramatyczny im. J. Szaniawskiego w Wałbrzychu).

ne: Balladyna ginęła nie wskutek ręki boskiej/pioruna, a wypijając uprzednio przygotowaną przez siebie truciznę (wcześniej zabiła wywarkiem Kostryna). Ale grzmot tak czy inaczej zagrzemiał. Otóż panie nauczycielki były tym rozwiązaniem oburzone. Fukały jedna przez drugą. Od siebie dodam, że w przedstawieniu było parę kwestii istotniejszych i ciekawszych do krytykowania. Mnie by najbardziej chyba interesowało jednak zagadnienie, dlaczego wszystkie aktorki grają kurwy i suki z pejczami. (To znaczy wiem: aktorami – ludzie, szmatami – kobiety). Albo co robią w scenografii te zastawki, na których są porozpinane podarte majty. No dobra, wiem, że udają pajęczynę. W każdym razie znalazłoby się do krytykowania coś więcej niż finałowe awangardowe rozwiązanie kwestii: samobójstwo czy zabójstwo.

Lektury inscenizowane na zamówienie omijają to, co w inscenizacji najistotniejsze: interpretację. Przecież każdy chałturnik lekturowy wie, że inscenizacja, która będzie miała powodzenie w szkołach, to taka, która zgadza się z tekstem, aktorzy są z epoki, kostiumy są z epoki. Widziałam Antygonę w jutowych workach, widziałam Antygonę w białych podszewkach – to, co je łączyło, to występująca w charakterze scenografii kolumna. Chętnie *à la* jońska. Bo dobrze wygląda. I się kojarzy. A jak wiadomo – trzeba wychodzić naprzeciw skojarzeniom widza. I tak w porozumieniu z jońskim stylem architektonicznym, ministerstwem kultury i wolnego rynku teatr systemowo i systematycznie traci swoją podstawową funkcję. Staje się kolejnym brykiem lekturowym, który ma potwierdzić słuszność założeń zawartych w programie nauczania.

Dobrze wymyślony festiwal może pełnić rolę inicjatora nowych zjawisk. Gdyby powstał Festiwal Lektur Szkolnych – z pewnością sprawiłby, że zaczęłyby powstawać przedstawienia naprawdę ciekawe, mimo że (a może właśnie dlatego) dla szkół. Tak zaprogramowany festiwal miałby szansę odczarować złą sławę *Makbeta* Mai Kleczewskiej – jako spektaklu nienadającego się dla młodzieży. Bo pewnie znalazłby się w konkursie, a ministerialna legitymacja byłaby gwarancją dla nauczycielek, że jednak można młodzież na to do teatru przyprowadzić. Jestem głęboko przekonana, że gdyby w Polsce naprawdę poważnie traktowana była edukacja i naprawdę poważnie traktowany był teatr – miałby szansę powstać duży, wieloletni projekt międzyministerialny, wykraczający poza żmudne, źle wymyślone programowe upiorki. Dowodem, że zmiany systemowe czasem działają, jest choćby Konkurs na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej: proszę policzyć, ile nowej polskiej literatury jest dziś na deskach, a ile było – powiedzmy – 15 lat temu. Póki co, granie dla szkół jest wstydlive, upiorne i pachnie chałturą. A właściwie niemiłosiernie nią śmierdzi.

★★★

Ten werdykt mógł być inny. Gdyby na przykład skład jury był inny. Może byłby inny, gdyby czwarta jurorka, Zofia de Ines, dojechała na festiwal. Ale nie dojechała. A skład był taki, nie inny. Można powiedzieć, że każdy werdykt jest ułomny, bo mówi przede wszystkim o gustach jurorów. A gust – poza tym, że się o nim nie dysku-

tuje (swoją drogą, ciekawe dlaczego) – jest podstawowym narzędziem oceniania rzeczywistości. Czego jak czego, ale własnego gustu możemy być pewni.

Wolę trochę inną wersję: jesteśmy zakładnikami własnego gustu. Nawyków, przyzwyczajęń, oczekiwań, które często bezrefleksyjnie uznajemy za świadome i najistotniejsze kryterium odbioru. Bo teoretycznie nie mamy dostępu do żadnych innych kryteriów. Chyba że jesteśmy pewni czegoś innego: swojego światopoglądu. Można uznać, że gust i światopogląd to prawie to samo. A jednak nie. Wyborów opartych na guście nie trzeba argumentować, nie obowiązuje tu żadna określona perspektywa. Przecież o guście się nie dyskutuje. Jakie mechanizmy odpowiadają za kształtowanie gustu – to już odrębna kwestia. Kwestia warta dużego namysłu i poważnej debaty. Pewne jest jedno: z gustem się nie rodzimy.

Kiedy spotkaliśmy się przed obejrzeniem pierwszego przedstawienia, postanowiliśmy, że przyznamy nagrodę Grand Prix. Zdawaliśmy sobie sprawę, że często odstępuje się od jej przyznania, zazwyczaj uzasadniając taką decyzję brakiem „dzieła szczególnie wybitnego”, „dzieła w pełni zasługującego na takie wyróżnienie” itp. Znam tego rodzaju jurorskie uzasadnienia dość dobrze. I nie bardzo mi się to podoba. Zwłaszcza kiedy czytam swoją jurorską umowę z teatrem. Juror jest osobą zatrudnioną (tak, zatrudnioną – nie robimy tego przecież za darmo), żeby obejrzeć, omówić, spróbować ocenić, dojść do porozumienia z pozostałymi członkami jury i ogłosić werdykt, który ma dotyczyć konkursowych przedstawień festiwalu. Tego festiwalu, tych przedstawień. Nie tych, których nie ma. Choć kiedyś, w starych, dobrych czasach bywały. Oj, kiedyś to były FESTIWALE, nie to co teraz. Kiedyś byli nawet aktorzy. Świat schodzi na psy, a teatr razem z nim. Bo – jakby ktoś nie pamiętał – świat jest teatrem. Jurorami – ludzie.

Nie interesuje mnie oglądanie kolejnych przedstawień w oczekiwaniu na „wybitne dzieło sceniczne”. Nie po to korzystam z możliwości uczestniczenia w spektaklu (tak, właśnie uczestniczenia – nie oglądania). Teatr jest sztuką interaktywną z tej prostej przyczyny, że nie istnieje bez publiczności. Spektakl grany bez widzów traci sens. Nie oczekuję od teatru estetycznych ekscytacji, oczekuję – przede wszystkim od siebie – że uda mi się uruchomić proces myślowy umożliwiający dążenie za sprawą, za myślą, czasem po prostu za czymś, czego nawet nie jestem w stanie zwerbalizować – co zostało przygotowane przez grupę ludzi właśnie dla mnie. Albo między innymi dla mnie. Jak kto woli.

To, co widzę w teatrze, często mówi mi o rzeczywistości znacznie więcej niż codzienna prasówka. Ktoś pomyślał przedstawienie właśnie tak. Właśnie w takiej formie. Użył właśnie takich środków. Wybrał właśnie takie ujęcie tematu. Przyjmuję, że jego decyzje są świadome. Jeżeli historia się nie klei – a moje przyzwyczajenia szukają rozpaczliwie linearnej opowieści – zanim się na to „wypnę”, muszę odrzucić teatralne nawyki, muszę przynajmniej spróbować zrozumieć, dlaczego architektura stylistyczno-intelektualna przedstawienia jest właśnie taka. Muszę pójść za reżyserem.

Zdarza mi się oglądać przedstawienia, o których – przyjmując powszechnie obowiązujące standardy – mogłabym powiedzieć: nie moja bajka. Tyle że nie chcę zga-



A ja, Hanna wg *Treńw* Jana Kochanowskiego • Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu
Fot. Magdalena Sztandara

dzać się na powszechnie obowiązujące standardy. Powszechnie obowiązujące standardy naturalizują różne paskudztwa i świństwa. Żądają utrzymania *status quo* w każdej dziedzinie życia. Nie odnajduję w sobie zgody na powszechnie obowiązującą rzeczywistość. Świat, w którym żyję, nie jest moim wymarzonym światem. Jako widz mogę zaprotestować przynajmniej przeciwko swoim teatralnym nawykom. Mogę powiedzieć: Strzępka! Ty już nie bądź taką teatralną, kręcącą nosem ciotką! Już ustaliłaś sobie w sobie, jaki teatr jest dobry, a jaki niedobry? Już to wiesz na wieki wieków? Już cię nic nie zaskoczy, nie wzruszy i nie podekscytuje? W głowie zaczyna sobie z wolna szurać myśl, że prawdziwy teatr jest gdzie indziej?

Lenistwo umysłowe to straszna rzecz. Niestety, dość przyjemna. Ale pamiętajmy – lenistwo umysłowe to również ciężki grzech. Śmiertelny grzech. Grzech pychy. Pychy, która codziennie rano, po przebudzeniu, każe nam myśleć, że jesteśmy projektem ukończonym, sfinalizowanym, doskonałym. Nie chcę tak o sobie myśleć. Chcę być projektem w procesie. Fakt – z takim nastawieniem trudniej się wstaje. Ale warto.

★★★

Nie będę się tłumaczyć z werdyktu – uważam, że spektakl *A ja, Hanna* był najmocniejszym punktem festiwalu. W pełni zasłużone Grand Prix. Po werdykcie słyszałam opinie, że to jednak przesada, że to tylko recital, że jak na Grand Prix – to zbyt mała forma. Te głosy są niestety kolejnym dowodem, jak bardzo nie rozumiemy funkcji tekstu klasycznego, funkcji dziedzictwa kulturowego generalnie. Jak silnie jesteśmy poddani

presji zjawiska „spuścizna kulturowa”. Oczekujemy dużych form i dużych obsad. Oczekujemy chóru i big bandu, a nie solistki i czwórki muzyków – w dodatku istnieje podejrzenie, że rockowych. „Może to i ciekawe – ale raczej jako impreza towarzysząca. Ale udział w konkursie? Nie przesadzajmy”. Te opinie mówią głównie o tych, którzy je formułują. Mówią o ich oczekiwaniach – kształtowanych w procesie edukacji – o ich raz na zawsze ustalonych kryteriach oceny, o nigdy nieweryfikowanej potrzebie zobaczenia tego, co już się zna. Zna i rozumie. Każde zakłócenie ustalonego porządku wywołuje popłoch i rujnuje światopogląd. Mnie ten spektakl przywraca wiarę, że realnie, a nie tylko w przestrzeni wyobrażonej może istnieć takie zjawisko, jak ciągłość kulturowa.

★★★

Niepokojąca jest sytuacja, kiedy wystawiany tekst staje się rodzajem alibi. W przypadku tekstu klasycznego, kanonicznego zdarza się – i były takie przypadki podczas ostatnich OKT – że usprawiedliwieniem dla mało szlachetnych zdarzeń scenicznych był tekst właśnie. Robimy ambitny spektakl sylwestrowy – bo to przecież Bałucki – więc wiadomo, że ambitny, a nie byle jaka sylwestrowa chałtura. Możemy zrobić spektakl zbudowany na paru bon motach Gombrowicza – i uznać, że jak na teatr prywatny, to i tak ambitnie. Który teatr prywatny bierze się za tak ambitną literaturę? Możemy dokonywać próby rekonstrukcji *Akropolis* Grotowskiego i na wstępie uznać, że gdzie nam do niego. No bo to jednak Grotowski. I jednak nie mamy dostępu do jego enigmatycznej i niepowtarzalnej metody pracy.



Akropolis. Rekonstrukcja • Teatr Współczesny we Wrocławiu

Klasyka nie może onieśmielać. Jeżeli ma być zakłętą przestrzenią, do której dostęp mają nieliczni wtajemniczeni – przestaje funkcjonować jako element składowy naszej tożsamości. Zostaje zerwana ciągłość kulturowa. Tak pojmowana klasyka jest projektem elitarystycznym, wykluczającym z uczestnictwa ogromne rzesze jej spadkobierców.

Często spotykam aktorów, którzy nie mają odwagi przeczytać na głos Słowackiego. Wpojono im, że to trudne i tylko nieliczni to potrafią. A właściwie potrafili, bo w większości już odeszli. Kłątwa średniówki straszy po korytarzach szkół teatralnych. To sprytne i wygodne – uczyć w szkole i jednocześnie twierdzić, że niczego nie można nauczyć. Bo dziś prawdziwej młodzieży już nie ma. Jest tylko młodzież serialowa. I dlatego nie chce korzystać z kaganka wersyfikacyjnej oświaty z takim zapalem serwowanej przez profesorstwo szkół teatralnych. Powiem tak: też studiowałam w szkole teatralnej. Nie przyjmuję takich wymówek. Po prostu: uczniowie wielkich mistrzów tak się w nich zapatrzyli, że zamiast przejmować od nich wiedzę – modlili się do nich i do ich mistrzostwa. A w brulionach spisywali głównie anegdoty. Do tej pory karmi nimi studentów. I marudzą o fatalnej edukacji będącej wynikiem fatalnej młodzieży.

★★★

W *Akropolis. Rekonstrukcji* jest scena, w której aktorzy przywołują/odgrywają fragment ze spektaklu Grotowskiego. Nie było tam nawet próby zrozumienia, jaki to rodzaj pracy ciała i głosu, jaka to metoda. Scena zresztą odbywała się w prawie zupełnej ciemności, jakby z góry założono, że lepiej nie przekraczać granicy śmieszności i żenady. Bo przecież próba rekonstrukcji spektaklu Grotowskiego musi być śmieszna. Musi być żalosna. Musi być ukłonem: wybacz mistrzu, że dotykamy. Kto śmiały dotknąć tajemnicy mistrza? Wybac, że porywamy się na tak śmiały gest obrazoburstwa. Zakłęcie zadziałało. Mistrz jak siedział na półce „nie dotykać. eksponat muzealny” – tak siedzi. Nietknięty.

★★★

„Ten dzień, w którym głos analfabety tyle znaczy co głos profesora, głos głupca co głos mędrca, głos posługacza co głos potentata, głos rzezimieszka co głos cnotliwego, jest dla mnie najbardziej pomyłonym z dni. Nie rozumiem, jak ten akt fantastyczny może wyznaczać na kilka następnych lat coś tak ważnego w praktyce, jak rządy krajem. Na jakiejże bajce opiera się władza! Jakim sposobem ta pięcioprzymiotnikowa fantastyczność może stanowić podstawę bytowania społecznego?” (To fragment monologu, który Iwona Bielska w zadumie, z zatroskanym czołem wypowiada ze sceny w *Dziennikach* Teatru Imka. Ciekawe o kim wtedy myśli? Mam pewne podejrzenia. Nie chcę się nimi dzielić – bo liczę, że jednak się mylę).

Witold Gombrowicz, *Dzienniki* • Teatr Imka, Warszawa

Dzienniki Gombrowicza, którymi każdy polski inteligent lubi powycierać sobie głowę, są dowodem, jak bezrefleksyjne używanie klasycznego tekstu może stać się bezużyteczne, a nawet szkodliwe. Czy w demokratycznym państwie wypada z pogardą mówić o ludziach gorzej sytuowanych, gorzej wykształconych? Czy gombro-biblia polskiego inteligenta nie mogłaby stać się wspaniałym dowodem na to, jak zmieniła się rzeczywistość, w której żyjemy? Jak zmieniły się stosunki społeczne? A może polski inteligent nie zauważył, że się zmieniły? Więc może się nie zmieniły? Może skromny sentymencik do czasów, kiedy pozycję społeczną się dziedziczyło, a cham nie miał wstępu na salony z tego prostego powodu, że był chamem, jednak nas trochę podnieca? Może inteligencja zaangażowana uprawia dziś tęsknotę za powrotem pańszczyzny? Albo monarchii? We mnie na taką inteligencję rodzi się tęsknota za Rabacją Galicyjską.

★★★

Teksty się starzeją. Są zapisem konkretnej rzeczywistości. Tej rzeczywistości już nie ma. Więc nie ma publiczności, której ta rzeczywistość dotyczy. Scena ma szansę przywrócić martwy język życiu. Może nawet przywołać „tamte wydarzenia”. Taka rekonstrukcja – dajmy na to *Kordiana* – bardzo by mnie interesowała. Byłby to bardzo odważny politycznie gest: odczarować to, co zostało zakłęte w haniebnej tradycji wystawiania tego tekstu.



Klub polski • Teatr Dramatyczny Miasta St. Warszawy

Teatr się starzeje. Język teatru się starzeje. Doskonale widać to było w najbardziej chyba przez nas dyskutowanym *Klubie Polskim*: Paweł Miśkiewicz wykonał ryzykowny, ale wart ćwierci historii teatru polskiego manewr: użył Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej jako cytatu. Mogliśmy zobaczyć – jak grało się kiedyś. I jak to nie działa dzisiaj. A może grało się jednak trochę inaczej? I się Teresie Budzisz-Krzyżanowskiej zapomniało? Tak jak zapomina się często aktorom, kiedy reżyser nie przyjeżdża na próby wznawieniowe? Bo np. Jerzemu Treli – też funkcjonującemu w spektaklu na zasadzie cytatu – jakoś się nie zapomniało. Żywy człowiek – precyzyjnie i logicznie – z wielką świadomością warsztatu, świadomością słowa (tak, tak – to ja piszę, Monika Strzępka, nie Tomasz Mościcki) usiadł na scenie i swoim dwudziestokiluminutowym monologiem dał dowód na to, że konflikt między nowym a starym teatrem nie jest konfliktem generacyjnym. Jest konfliktem między teatrem, który jest po to, żeby spotkać się z ludźmi na widowni, a patetycznymi szelestami sukni Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej rozkochanej w melodii własnego głosu. Istotą tego konfliktu jest świadomość bądź nieświadomość faktu, że komunikacja z widownią jest zagadnieniem żywym, któremu wciąż należy się przyglądać i kontrolować, czy komunikacja ta nie jest zagłuszana przez szumy niezrozumiałych konwencji.

★★★

Tak. Moje wybory są wyborami politycznymi. Nie zgadzam się na czytanie *Dziadów* bez kontekstu historyczno-społeczno-politycznego. Inscenizując je dzisiaj

– można je umieścić w dowolnym kontekście. Jednak zawsze musi być to wybór świadomy. A trudno reinterpretować tekst klasyczny, nie rozumiejąc okoliczności, w jakich został napisany. Na poziomie szczegółu zaś – jak został zapisany. Jaka wersyfikacja wtedy obowiązywała i czy autor poza nią przypadkiem nie wykraczał, a może nawet tworzył nową. Własną.

★★★

Kilka dni po zakończeniu festiwalu obejrzałam materiał o Konfrontacjach wyprodukowany przez lokalną telewizję. Oprócz ogólnego, lokalnego marudzenia o tym, że żaden spektakl nie zasługuje na Grand Prix, uderzył we mnie osobiście głos pewnego opolskiego teatrologa, który to teatrolog insynuował Krzysztofowi Mieszkowskiemu stronnictwo. Miała ona wynikać z faktu, że jako juror oceniał spektakl Teatru Współczesnego z Wrocławia, będąc jednocześnie dyrektorem innego wrocławskiego teatru – Teatru Polskiego. Panie teatrologu! Istnieją granice dalej położone niż geograficzna topografia. Podpowiadam: chodzi o kulturę.



Natalia Władiimirowa

„Żywa współczesnego

przestrzeń” ukraińskiego teatru

Pisanie o współczesnym ukraińskim teatrze wcale nie jest rzeczą łatwą. Trudności wszakże wynikają raczej z nadmiaru i różnorodności niż z niedostatku wydarzeń i zjawisk w teatralnym życiu Ukrainy. Stanowi to poniekąd całkowite zaprzeczenie kryzysowej sytuacji, w której znajdowała się Ukraina w ciągu ostatnich kilku lat (jak zresztą większość europejskich państw). Nawet w czasie najmniej sprzyjającym sztuce teatry prawie nigdy nie były puste. Nie tylko stołeczne czy te w dużych metropoliach, ale również i te w małych miasteczkach. Teatralna publiczność, wbrew wszelkim społecznym i ekonomicznym wstrząsom, pesymistycznym prognozom i strachom, corocznym kataklizmom i życiowym niesnaskom, pozostała wierna teatrowi. Co proponował i czym zadziwiał widza w ostatnich latach współczesny ukraiński teatr? Repertuar zawierał szerokie spektrum propozycji: począwszy od nowej interpretacji antycznej tragedii (*Król Edyp* Sofoklesa), skończywszy na wyrafinowanej i fantasmagorycznej wykładni współczesnej kultowej powieści Abe Kobo *Kobieta z wydmi*. Lub z innej strony: zaczynając od tradycyjnie szeroko reprezentowanej narodowej klasyki (Lesia Ukrainka, Iwan Franko, Olga Kobylańska, Iwan Karpienko-Karyj), a kończąc na scenicznym czytaniu i prezentacji współczesnych ukraińskich autorów (Oksana Zabuzko, Maria Matios, Neda Niezdana, Oksana Taniuk).

Obok fenomenalnej scenicznej parady szekspirowskich tragedii (tylko na kijowskiej scenie w latach 2008–2009 dane nam było obejrzeć cztery realizacje *Romea i Julii*), mieliśmy nieoczekiwany zwrot (również na narodowej scenie Ukrainy, w Teatrze Dramatycznym im. I. Franko) w stronę *Burzy* – niezwykle osobistej spowiedzi wielkiego Anglika. A do tego jeszcze – niemiecki dramat postlitteracki (Igor Bauersima, Lukas Bärfuss) i dramat francuski (od Molièra do autorów absurdu, a po nich Bernard-Marie Koltès, Jeannine Worms, Bernard Werber), a także liczne realizacje rosyjskiej, zarówno klasycznej, jak i współczesnej dramaturgii. Dramaturgiczny kalejdoskop wygląda na ukraińskiej scenie dość okazale i różnorodnie. Taki sam obraz mamy, jeśli chodzi o samą formę, w której dramat uzyskuje sceniczny kształt.

Wszystkie duże teatry Ukrainy aktywnie wykorzystują ostatnio potencjał swoich małych scen. Ciągłe otwierają się nowe, niewielkie teatralne miejsca, gdzie najczęściej dominuje forma eksperymentalna. To właśnie tam dokonuje się przełom w teatralnej estetyce i można zaryzykować określenie tego zjawiska fenomenem ukraińskiego teatru początku trzeciego tysiąclecia. Zanim nakreślę najbardziej znamienne cechy tego fenomenu i – w pewnym stopniu – także całej współczesnej teatralnej kultury Ukrainy, czytelnikowi należy się małe wyjaśnienie. Choć autorka tych słów w ostatnich latach śledziła teatralne życie wielu dużych kulturalnych regionów Ukrainy (Odessa, Charków, Lwów), to uznać trzeba, że siły napędowe teatralnej sytuacji kraju znajdują się w jego stolicy – Kijowie.

Dlatego, nie bez żalu rezygnując z omówienia wielu interesujących regionalnych zjawisk, spróbuję, na przykładzie stołecznych teatrów, wytyczyć zasadnicze wektory określające najbardziej znaczące kierunki współczesnej ukraińskiej kultury teatralnej. Pierwszy wektor to niewątpliwie powrót do twórczości Antoniego Czechowa. W Kijowie mamy dzisiaj dwa przedstawienia *Wujaszka Wani* (Teatr Młody i Teatr na Padole), *Wiśniowy sad* na scenie Teatru Rosyjskiego Dramatu im. Lesi Ukrainki, *Mewę* w Teatrze Młodego Widza na Lipkach i w Teatrze Ukraińskiego Dramatu im. I. Franko, *26 pokoi* (inscenizacja na motywach sztuki *Boruta* i wcześniejszych opowiadań. Czechowa) w Teatrze Dramatu i Komедii na lewym brzegu Dniepru, a także kilka inscenizacji opartych na Czechowskiej prozie: *1001 namiętności albo drobiazgi życia*

Natalia Władiimirowa,
prof. dr hab., Narodowa Akademia
Sztuki Ukrainy (Kijów).
Historyk teatru i krytyk teatralny,
autorka ponad 150 publikacji
naukowych (m.in. *Rola teatru
zachodnioeuropejskiego
w przemianach kulturowych
przełomu XIX-XX wieku*, 2008);
członek jury nagrody teatralnej
„Kijowski Pektorał”.



Prawo tanga

w Teatrze Rosyjskiego Dramatu, *Romans doktora* w Teatrze Młodego Widza, *Bezbronne stworzenia* w Nowym Ukraińskim Teatrze Dramatycznym. Wreszcie, pod koniec 2010 roku, mała scena Teatru Dramatu i Komедии zaprosiła widzów na spotkanie z *Trzema siostrami*.

Ze wszystkich wyżej wymienionych przedstawień wyodrębnię dwa, które – według mnie – zupełnie nie pasują do tych licznych eksperymentów z klasyką, kiedy to często (co grzechem byłoby ukrywać) pod szokującą formą próbuje się ukryć jedynie zespół nieuzasadnionych chwytów oraz przeróżnych pomysłów, będących rezultatem reżyserskiej pretensji do nowatorstwa. Pozytywnie wyróżniają się w tym kontekście *Wujaszek Wania* w Teatrze na Padole i ostatnia, wspomniana powyżej, premiera Teatru Dramatu i Komедии *Trzy siostry*. Te dwa spektakle dzieli od siebie siedem lat, a łączy, paradoksalnie, nieobecność w nich czasu. Czy to ważne kiedy, niczym grom z jasnego nieba, dopada człowieka miłość? Może to być na buninowskim statku, może w starym czechowowskim dworze albo w krzątaniu współczesnego metropolisy... Zawsze, poza współrzędnymi czasu, istnieli i będą istnieć cynicy i sceptycy, zrozpaczeni i wiecznie zakochani, a przede wszystkim – ci, którzy zdolni są marzyć o gwiazdach na niebie.

Delikatne, uważne, a przede wszystkim pieczołowite odczytanie czechowskiego tekstu przez Witalija Małachowa i Edwarda Mitnickiego wyciąga na światło dzien-



Prawo tanga

ne odchodzącą w zapomnienie mądrość w relacjach między mężczyzną a kobietą, między różnymi pokoleniami, i zmusza do spojrzenia nie w przeszłość, lecz do wnętrza samego siebie. Te dwa spektakle, o których powodzeniu w dużym stopniu zdecydowały także aktorskie zespoły, stały się szczególnym miernikiem naszej codzienności, niewiele różniącej się od czasu bohaterów tych sztuk.

Oddzielne słowa uznania należą się scenograficznym rozwiązaniom w obu spektaklach. W *Wujaszku Wani* (scenografia Anatolij Łobanow z wykorzystaniem dekoracji Daniła Lidera) bohaterzy błąkają się w labiryncie ram okiennych, ich twarze ukazują się poprzez „płaczące” okna: deszcz, burza, łzy rozpacz, łzy nadziei – wszystko jest tutaj obecne. Otwierając się, okna wciągają widza w atmosferę beczasowości tego domu, zatraskując się z głośnym stukaniem, gwałtownie obrywają ostatnie nici porozumienia między jego mieszkańcami. A w finale spektaklu, po burzy, przez okna, razem z monologiem Zosi, wpada powiew nadziei i zmian. W spektaklu *Trzy siostry* (scenografia Oleg Łuniew) głównym elementem scenografii są walizki. Zwykłe walizki, brązowe, trochę przetarte, z wysłużonymi rączkami, które jakby kilka stuleci koczują razem ze swoimi gospodarzami po stołecznych i prowincjonalnych dworcach całego świata. W głębi sceny, z walizek niczym z cegieł, reżyser ustawia głuchą ścianę. Jest ona nie tyle tłem duchowego miotania się bohaterów, lecz wręcz namacalną przeszkodą, której nigdy nie będzie dane im pokonać. W ciągu całego ak-



Prawo tanga

tu element ten jest aktywnym uczestnikiem spektaklu, przekształcając się w otwierane komody, w komórki drzwi, wreszcie w na pół rozwaloną ścianę domu, zionącą pustką jałowych starań i ciężkich czasów.

Kończąc „czechowski” temat, nie można nie wspomnieć o reaktywowaniu w 2008 roku, po dziesięcioletniej przerwie, międzynarodowego festiwalu teatralnego „Teatr. Czechow. Jałta”. W jednym z najbardziej malowniczych miast uzdrowiskowych Ukrainy już trzy lata z rzędu z ukraińskimi teatrami z różnych regionów spotykają się liczne zespoły z Rosji, Białorusi, Litwy, Hiszpanii, Singapuru. Odzyskawszy drugi oddech, festiwal wskrzesza najlepsze tradycje zarówno klasycznej, jak i nowatorskiej scenicznej interpretacji klasyka literatury rosyjskiej, przyczyniając się do integracji teatralnej Ukrainy ze światem.

Drugi wektor wyznaczający, moim zdaniem, eksperymentalną drogę współczesnego ukraińskiego teatru wskazuje na działania zmierzające do stworzenia dramatycznego spektaklu bez tradycyjnej dramaturgicznej podstawy. Wspomnieć tu trzeba o jednym z pierwszych tego rodzaju spektakli – był to balet-show dla aktorów dramatycznych *Niezwykły bal*, którego premiera odbyła się jeszcze w 2002 roku na scenie Teatru Dramatu Rosyjskiego im. Lesi Ukrainki. Autorem libretta i reżyserem tego spektaklu, absolutnie nietypowego dla ukraińskiego teatru tamtego czasu, jest znana balerina i choreograf Alla Rubin. Opierając się na plastyce zmysłowości, którą udało



Prawo tanga

się jej wyzwolić w aktorach teatru dramatycznego, Rubin zaprezentowała zadziwiający dialog ciała ludzkiego z przestrzenią sceny oraz z otaczającym światem. W dialog ten, wnosząc niezbędny nastrój i emocjonalne przebliski, po mistrzowsku zostały wplecione zarówno rosyjski folklor muzyczny, kompozycje Nino Rotty, jak i żydowskie melodie w aranżacji Gorana Bregovića. Plastyczny język baśniowych postaci (Ptak Feniks, Kobieta-wąż, Kobieta-kot) był zadziwiająco wyrazisty, wzbogacony adekwatną dla każdej postaci emocjonalną barwą, a jednocześnie – różnorodny i dynamiczny. W rezultacie pojawiło się wrażenie, że właśnie plastyczność ruchów, wzmacniając piękno swobodnego gestu, jest tym rdzeniem, na który nakładają się muzyczne rytmy spektaklu. W ten sposób, pozbawiwszy aktorów dramatycznych tradycyjnego dla nich, werbalnego środka komunikowania się ze sobą i z widzami, wyzwoliwszy emocjonalną istotę każdego z nich wyłącznie za pomocą języka plastyki, Alla Rubin uformowała ich wyraziste indywidualności, ukazując nowe możliwości teatru dramatycznego.

W duchu opisanego eksperymentu został także zrealizowany spektakl *Prawo tanga* w Nowym Teatrze na Piechersku. Najpierw jednak kilka słów o samym teatrze, który w ubiegłym roku obchodził swoje dziesięciolecie. Trzon aktorskiego zespołu stanowi grupa uczniów najbardziej doświadczonego pedagoga Narodowego Uniwersytetu Teatru, Kina i Telewizji im. I. K. Karpienko-Karowa, głównego aktora Teatru Rosyjskiego Dramatu Mikoły Ruszkowskiego. Ten młody zespół, którego szefem ar-

tystycznym jest Aleksandr Kryżanowski, nieustannie poszukuje nowych form wyrazu, co z powodzeniem udowadnia nie tylko ukraińskiej, ale i zagranicznej publiczności. Aktorzy występowali w Rosji, Wielkiej Brytanii, Niemczech, prowadzili wspólne projekty z ambasadą Królestwa Szwecji, z Instytutem Goethego w Kijowie czy Centrum Kultury przy ambasadzie Argentyny. I nie jest to bynajmniej pełen wykaz międzynarodowych działań tego teatru.

Kryminalna intryga spektaklu *Prawo tanga* nawiązuje do erotycznych treści argentyńskiego tańca oraz wybranych tekstów trzech laureatów Nagrody Nobla – J. Cortazara, J. L. Borgesa i P. Nerudy. W spektaklu tango pokazano jako taniec stworzony przez mężczyzn, jako taniec-pojedynek, który wylania tego silniejszego. Ale wraz z nadejściem miłości, poprzez taniec, pomiędzy mężczyzną a kobietą rodzi się harmonia. To tajemnica, którą tych dwoje przekazuje w tańcu. Igor Rubaszkin, aktor odtwarzający jedną z głównych ról w tym przedstawieniu, został laureatem prestiżowej nagrody teatralnej *Kijowski Pektorał*.

Do najbardziej wyrazistych aspektów współczesnego teatru Ukrainy należy scenografia, a szczególnie ta przygotowana przez przedstawicieli najmłodszego pokolenia. Swoje twierdzenie opieram nie tylko na analizie twórczości *stricte* teatralnej tych artystów, ale także na obserwacji licznych wystaw i działań, które miały na celu prezentację osiągnięć ukraińskiej scenografii. W tym kontekście należy wspomnieć o stosunkowo dużym projekcie pt. „Bilans sezonu”, który już od kilku lat jest prowadzony w Centrum Teatralnym Akademii Kijowsko-Mogiliańskiej. Uczestnicy tego przedsięwzięcia byli pierwszymi, którzy pokazali się publiczności jako nowa generacja artystów, z nowymi pomysłami i nową energią. Młodzi z tego pokolenia nie tyle manifestują twórczy potencjał zawodu scenografa, co jawią się jako przewodnicy, którzy już teraz gotowi są prowadzić teatr narodowy ku odmiennemu twórczemu myśleniu. W ekspozycyjnej przestrzeni wystaw, które odbywały się w ramach projektu, prezentowane były poszczególne etapy i najbardziej różnorodne formy scenograficznego myślenia (grafika, makiety, szkice kostiumów, same kostiumy, instalacje, itp.), prowadzone były dyskusje i panele z udziałem historyków sztuki, krytyków, reżyserów, a także studentów.

Projekt „Bilans sezonu” w pewnym stopniu sprowokował także następną akcję – wystawę pod lakoniczną nazwą „Scenografia”, która została otwarta w salach Muzeum Narodowego Sztuki Rosyjskiej w październiku 2010 r. i prezentowała oryginalną retrospekcję ukraińskiego teatru przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Oglądając tę wystawę, wielu zwiedzających nostalgicznie wspominało stare spektakle, zapisane w pamięci twarze aktorów, z ich głosami i intonacją, niuanse partii operowych, delikatne rysunki baletowych choreografii. Teatrolodzy mieli możliwość naocznego prześledzenia etapów rozwoju ukraińskiej scenografii, jej twórczych zasad i metod, proces wchodzenia do współczesnego teatru nowych technologii i zaskakujących środków artystycznych. Jednak najważniejszym osiągnięciem tej wystawy było to, że zwiedzający otrzymali nie tylko możliwość spojrzenia w przeszłość i przywrócenia

w pamięci tego czy innego spektaklu, lecz mogli także od całkiem innej strony spojrzeć na zawód scenografa teatralnego – nie jak na ilustratora dramaturgicznego tekstu, lecz przede wszystkim samodzielnie myślącego, autonomicznego autora dzieł, które nierzadko pretendują do statusu odrębnego dzieła sztuki.

Analogicznie nowatorskie interpretacje zawodu scenografa i jego potencjału zostały zaprezentowane jeszcze w kilku innych przedsięwzięciach zrealizowanych na przełomie lat 2010–2011. Przykładem może być tu wystawa „Teatralny strój”, otwarta w Państwowym Muzeum Sztuki Teatralnej, Muzycznej i Kina, a także wspólny projekt młodych scenografów Kijowskiej i Krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych pt. *Romeo i Julia*, zaprezentowany w salach Narodowej Akademii Sztuk Plastycznych i Architektury.

Oczywiście, w niniejszym szkicu nie przedstawiłam wszystkich nazwisk i wydażeń, które dzisiaj wypełniają przestrzeń ukraińskiego teatru. Mówię tutaj chociażby o skandalizującym Andrieju Żoldaku oraz jednym z najbardziej wyrazistych festiwalu ostatnich lat „Gogol-fiest” czy o mistrzu ukraińskiego teatru Bogdanie Stupce i unikatowym w swoich estetycznych poszukiwaniach *Teatrze w koszyku* Iriny Wolickiej. W tej przestrzeni istnieje wiele godnych uwagi zjawisk. Jestem przekonana, że najistotniejszy jest fakt, iż obserwujemy dzisiaj rozwój ukraińskiego teatru – obok przyswajania nowych artystycznych technik pojawiło się tu wiele niezwykłych, naprawdę twórczo myślących osobowości. Osobowości, które jak uważał wielki mistrz ukraińskiej sceny, założyciel współczesnej ukraińskiej szkoły scenografii, Danił Lider, są w stanie zamienić teatr w proces „żywego działania w żywej przestrzeni”.

■
Tłumaczył
Roman Sapeńko

Michał Czyżewski
Małgorzata Feusette-Czyżewska

Nad brzegiem mainstreamu

Demoniczny pan Nick, „ktoś, kogo nikt nie chciałby nigdy spotkać”, przybywa do zagubionego w śnieżnych górach klasztoru z zamiarem obalenia wyznawanej tam wiary, że wszechświat istnieje tylko dzięki wytrwałemu snuciu przez mnichów nieskończonego opowiadania. Podczas pogawędki z jednym z nich, imieniem Parnassus, przy pomocy magicznego przyrzędu gość zamyka usta wszystkim opowiadającym.

– Historia się zatrzymała, a my wciąż tu jesteśmy! – tryumfuje przybysz. – Wszechświat nadal trwa. Nic się nie zmieniło: ogień wciąż płonie, śnieg nie przestał padać, wiatr wieje jak wprzód.

Wtem na meloniku pana Nicka, ku wielkiej radości Parnassusa, ląduje pokazanych rozmiarów ptasie jajko.

– To znak! – woła mnich. – Ten ptak jest posłańcem! Teraz wszystko rozumiem! To nie my podtrzymujemy istnienie wszechświata. Właśnie teraz, i w każdej innej chwili, gdzieś na świecie ktoś snuje jakąś historię. Powieści, romanse, wiadomość o nagłej śmierci... Dzięki temu nadal tu jesteśmy. Nie zatrzymasz wszystkich historii. Nie możesz być wszędzie!

„Być wszędzie” chyba najlepiej wyraża marzenie niejednego widza podczas festiwalu filmowego; jego motywacje są jednak całkiem odmienne od pragnień diabła z filmu Terry’ego Gilliamy *Parnassus (The Imaginarium of Dr. Parnassus)*, Francja,



Kadr z filmu *Jak zostać królem*

Kanada, Wlk. Brytania, 2009), z którego scenę przytoczyliśmy powyżej. Widz ów chciałby zobaczyć wszystko; postawiony zaś wobec klęski urodzaju, jaką oferuje mu bogaty repertuar festiwalowy, nigdy nie jest pewien, czy któryś z czterech lub pięciu filmów, z których właśnie zrezygnował, nie jest znacznie lepszy od tego, na który się wybrał. Co więcej, często nie ma już okazji zweryfikować swojej decyzji. Obrazy wyświetlane w czasie takiego festiwalu, jak Era Nowe Horyzonty, rzadko bowiem trafiają do dystrybucji, i niemal w ogóle nie są promowane poza obiegiem festiwalowym, czy – ogólnie – studyjnym.

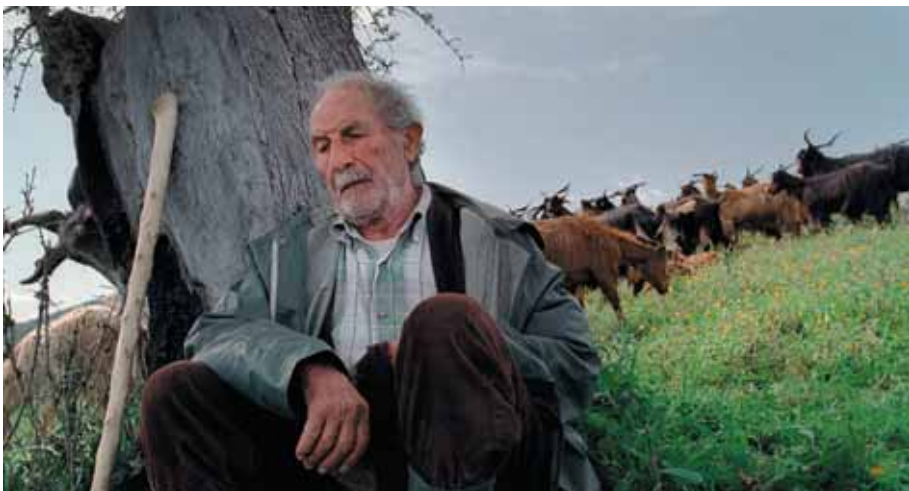
Nie bez powodu festiwale filmowe nazywane są „świętami kina”. Na czas ich trwania najbardziej zdeterminowani widzowie wyłączają się wszak zupełnie z „powszedniego” uczestnictwa w kulturze. Na moment znika świat, który leży na przeciwnym biegunie – świat, w którym filmy tygodniami goszczą w każdym kinie (zwykle – multipleksie), w którym każdy film jest sprawiedliwie oceniany przez liczących się krytyków, a nie słyszeć o jakimś filmie, nawet jeśli nie ma

Michał Czyżewski,

ur. 1984. Student polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Współautor tomu *Duma Sowiżralska*. Mieszka w Warszawie.

Małgorzata Feusette-Czyżewska,

ur. 1985. Absolwentka polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Współpracowała m.in. z miesięcznikiem teatralnym „Foyer”, tygodnikiem „Wprost” i opolską telewizją regionalną. Pracuje w Narodowym Centrum Kultury. Mieszka w Warszawie.

Kadr z filmu *Le quattro volte*

się zamiaru go obejrzeć, niepodobna. To również świat, którego przekleństwem i błogosławieństwem zarazem jest internetowe piractwo, którego siła napędowa zwie się popularność.

I oto widzimy naszego widza, który z olbrzymim pudłem popcornu sadowi się w wygodnym fotelu tuż przed projekcją kolejnego *blockbustera* nakręconego w technice trójwymiarowej. Co on tu robi?

W swojej najnowszej, wydanej z okazji nadchodzącego Europejskiego Kongresu Kultury, książce *Kultura w płynnej nowoczesności* Zygmunt Bauman, przywołując słowa Richarda Petersena z Uniwersytetu Vanderbilt, definiuje współczesnego odbiorcę sztuki jako „wszystkożernego” konsumenta, zwracając uwagę, że mniej więcej w połowie ubiegłego stulecia zniknęły dawne podziały klasowe, wedle których definiowano poszczególne szczeble kultury. Szczególnie musiał więc również niegdysiejszy snobizm, który stawiał wyraźne granice między sferami kultury gminnej, mieszczańskiej oraz wykwintnej, zwanej najczęściej „wysoką”. „Znamieniem przynależności do kulturowej elity jest dziś maksymalna tolerancja i minimalna wybredność” – pisze Bauman. – „Snobizmem kulturalnym jest ostentacyjne wyrzekanie się snobizmu” (s. 28).

Wydaje się jednak, że ludzi takich jak nasz frapujący widz nie jest aż tak wielu. Nie każdy „wyrobiony” odbiorca jest w stanie przełknąć intelektualne mielizny i nie-logiczności wielu produkcji, wielu też zżyma się na poziom artystyczny zdobywców Oscarów. Tegoroczny zwycięzca, wysoko oceniony także przez polskich krytyków, film *Jak zostać królem* (*The King's Speech*, reż. Tom Hooper, Wlk. Brytania, Australia 2010), jak słusznie zauważyła Anita Piotrowska w „Tygodniku Powszechnym”, uwodzi widza bajką o dobrym, mądrym i sprawiedliwym władcy, bajką potrzebną w czasach upadku autorytetu monarchii. Film Hoopera wykorzystuje również uni-

wersalny i wielokrotnie wypróbowany schemat „od zera do bohatera”, zawsze ciepło przyjmowany przez widownię. Dodajmy do tego postaci o czytelnie zarysowanych cechach i raz na zawsze przypisanej moralności, wyrazistą, nieco teatralną grę aktorów oraz dialogi z obowiązkową, smakowitą puentą – i nie zapomnijmy przy tym, że to film naprawdę mistrzowsko poprowadzony przez reżysera, spójny i bezbłędnie zmontowany, w którym żadna scena i żadne ujęcie nie są zbędne – otrzymujemy dzieło doskonałe w swym rodzaju i, co bardziej istotne, skrojone na miarę naszych oczekiwań.

Kategoria oczekiwań widza jest bowiem jedną z wytycznych, wedle których można sądzić o przypisaniu danego obrazu do odpowiedniego nurtu. W tej perspektywie *Jak zostać królem* bez wahania zaliczymy do tzw. *mainstreamu*. Moce kapitałowe zawiadujące rynkiem tego nurtu znakomicie zdają sobie sprawę, że większość ludzi najchętniej ogląda to, co już kiedyś widziało. I jak bardzo by nie szydzić z tak kształtowanego gustu, jest to w gruncie rzeczy potęga, której nie sposób lekceważyć.

Rzućmy teraz okiem w przeciwnym kierunku. Podczas zeszłorocznej edycji festiwalu Era Nowe Horyzonty, nasz bohater, peregrynując w poszukiwaniu filmów absolutnie *nie-mainstreamowych*, trafił na projekcję obrazu Harmony’ego Korine’a pt. *Trash Humpers* (USA, Wlk. Brytania 2009). Możemy się zakładać, czy, wzorem kilkudziesięciu innych widzów, opuści salę, zniesmaczony, a w najlepszym wypadku

Kadr z filmu *Parnassus*

Kadr z filmu *Trash Humpers*

skonsternowany. Dzieło Korine'a (właściwie: antydzieło), to film, który ani trochę nie liczy się z oczekiwaniami widza. Nakręcony w estetyce taśmy VHS, paradokumentalny zapis jednego dnia z życia społecznych wyrzutków, jest niby wygrzebany ze śmietnika materiał, który bez żadnej obróbki trafił od razu na ekran. Ludźmi-śmieciami z własnego wyboru są też bohaterowie filmu, których absurdalne a powtarzane w nieskończoność rytuały, jak pozorowane gwałty na śmietnikach i drzewach, irytujące wierszyki i piosenki skrzeczone drażniącym falsetem, nieodpowiedzialne zabawy prowadzące do przypadkowych zabójstw oraz ciągłe lekceważenie podstawowych reguł mieszczańskiej powagi i logiki doprowadzają niektórych widzów do rozpacz. Brud, brzydota, których nie poddano tu zabiegom upiększającym, są jedynymi elementami przedstawienia – nie dziwi więc, że część widowni reagowała na film tak, jak zwykle reaguje się na zanieczyszczenie.

Trash Humpers było wszelako jedyną tak radykalną propozycją głównego festiwalowego konkursu. Jego laureatem został tajlandzki film *Zwyczajna historia* (*Jao Nok Krajok*, reż. Anocha Suwichakornpong, 2009) – wielowymiarowa przypowieść o cyklach życia, o karmie, która przenika nie tylko ludzką egzystencję, lecz także dzieje społeczne i polityczne oraz cały wszechświat. Zasadniczym wątkiem opowieści jest rodząca się więź między Ake, sparaliżowanym po samochodowej kraksie młodzieńcu z bogatego domu, a jego pielęgniarzem Punem, pochodzącym ze społecznych nizin. Ake i jego ojciec, obaj cierpiący na emocjonalny bezwład, otoczeni są służbą, któ-

ra pielęgnuje surowe konwenanse, przytłaczające wszystkich domowników. Ich tło stanowią nie tylko głęboko chowane urazy osobiste, lecz również aluzje polityczne i religijne. Nieustannie nakładające się perspektywy i mnożące się przez to sensory, bardzo silnie zanurzone w egzotycznym kulturowym kontekście, nieco utrudniają odbiór obrazu. Ponadto twórcy nad logikę chronologii przekładają wizualny rytm symbolicznych scen. Dla większości umysłów ukształtowanych w chrześcijańskiej z ducha Europie nie zawsze będzie w pełni czytelna metafora reinkarnacji, która jest intelektualną osią filmu. Dla niektórych aporia ta może jednak stać się impulsem do pogłębienia swej wiedzy i – nomen omen – poszerzenia horyzontów.

Nie tylko ten obraz dowodzi, że chyba nie ma dla naszego kręgu kulturowego mniej przystępnej twórczości filmowej niż – szeroko pojęta – kinematografia azjatycka. Wielkie kontrowersje wzbudziło przecież w ubiegłym roku canneńskie zwycięstwo filmu *Wujek Boonmee, który potrafi przywołać swoje poprzednie wcielenia* (*Loong Boonmee raleuk chat*, reż. Apichatpong Weerasethakul, Francja, Hiszpania, Holandia, Niemcy, Wlk. Brytania, Tajlandia 2010). Krytycy i komentatorzy wyraźnie wskazywali, które dzieło na Złotą Palmę rzeczywiście zasłużyło. Tymczasem znakomity *Kolejny rok* Mike'a Leigh (*Another Year*, Wlk. Brytania 2010) ustąpić musiał miejsca obrazowi, którego wybór przewodniczący jury Tim Burton uzasadnił w ten sposób: „takiego filmu jeszcze nie widziałem”.

Podobne wrażenie często towarzyszy widzowi wrocławskiego festiwalu, choć nie zawsze wiąże się to z przeszkodami w pojmowaniu istoty dzieła. Wśród konkursowych filmów, które wraz ze *Zwyczajną historią* znalazły się w pofestiwalowym wyborze, szczególną uwagę zwraca niezwykle *Mama* w reżyserii Nikolaya i Yeleny Renardów (Rosja 2010). Niema historia dwustukilogramowego mężczyzny i jego matki, którzy, uzależnieni od siebie nawzajem, duszą się jednocześnie od niewypowiedzianej niechęci, ma urok werystycznego zapisu rzeczywistości. Kilka scen z życia bohaterów składa się z drobiazgowej obserwacji każdego elementu ich życia: szykowania i jedzenia posiłków, wieczornej toalety, układania się do snu. Efekt dokumentalizmu potęguje statyczna kamera i niezwykle długie ujęcia, w czasie których postaci niekiedy wychodzą poza kadr, zostawiając widza z kilkuminutowym widokiem pustej przestrzeni. Słowem – „nic się nie dzieje”. A jednak trudno oderwać wzrok od tego obrazu. Pod skórą powszednich gestów i zachowań pulsuje tu bowiem namiętna rzeka emocji, których wybuchu na próżno jednak oczekujemy. W ostatniej scenie matka, która miała obudzić syna, by zdążył na samolot, drzemie przy jego łóżku. Nic się nie zmienia.

Kiedy myślimy o oczekiwaniach widza, nie możemy pominąć tej szczególnej kategorii, jaką jest nagroda publiczności. *Le Quattro Volte*, film Michelangelo Frammartino, (Włochy, Niemcy, Szwajcaria 2010), właśnie dzięki widzom trafił do kin w ramach pofestiwalowej dystrybucji. W obrazie tym kamera śledzi losy czterech bohaterów – pasterza kóz, koźlątka, drzewa oraz drewna – poświęcając im tyle samo uwagi i obdarzając jednakową sympatią. Rzadko można obejrzyć tak ciepły film

Kadr z filmu *Zwyczajna historia*

o umieraniu i ostatnich chwilach przed odejściem, kiedy codzienne rytuały pozwalają nam zapomnieć o nieuchronnym końcu. Rzadko też z tak subtelną ironią opowiada się o towarzyszącej śmierci samotności, postawionej wobec obojętnego ruchu materii i jej przechodzeniu z rąk do rąk. Stary pasterz umiera, raz nie wypiwszy swego codziennego napoju z wody i kościelnego kurzu; mała kózka, odłączywszy się od stada, ginie w wielkim lesie; drzewo zostaje ścięte, by stać się centralnym punktem lokalnego święta; pocięte na drobne kawałki, już jako drewno, trafia następnie do miejscowej wytwórni węgla drzewnego. Jest to „zwyczajna historia” na miarę widza europejskiego, a o takiego nam tu przecież chodzi.

Nasz widz wygląda więc na zadowolonego. Podejrzewamy wprawdzie, że już wkrótce ponownie ujrzymy go z prażoną kukurydzą wpatzonego w widowiskowe sceny wysokobudżetowej produkcji. Będzie już miał jednak pewną przewagę nad sąsiadami z rzędu. Wiele z nich prawdopodobnie nigdy nie obejrzało filmu innego niż *mainstreamowy*, dobrze wypromowany i świetnie zarabiający. Przypuszczamy, że nie znają innej kultury niż popularna. Nasz bohater natomiast, radykalny Petersenowski „wszystkożerca”, co jakiś czas będzie znikał z ich świata, by wystawić na próbę swe kinowe przyzwyczajenia.

Na koniec musimy uczciwie przyznać, że *mainstream*, który tutaj obraliśmy jako kategorię orientacyjną, jest często pojęciem płynnym i trudnym do zdefiniowania. Dzieje się tak głównie dlatego, że, jak ostatnio w „Dużym Formacie” zauważył Wojciech Orliński, nigdy nie wiadomo, co stanie się popularne. Zaś podwójny mecha-

nizm rynkowych i artystycznych strategii dystrybutorów oraz sądów krytyków i recenzentów nieraz sprowadzał uwagę widza na manowce.

Przywołany na początku Terry Gilliam jest ofiarą owej maszyny. Chcąc dać upust swej niepokohamowanej wyobraźni, wdał się w romans z hollywoodzkimi producentami, których jednak już wkrótce jął przerażać konsekwencją w budowaniu autorskiej wizji (co z reguły oznacza większe ryzyko inwestora). Z jednej strony nie chciano mu dać pieniędzy na zrealizowanie wielu „szalonych” pomysłów, z drugiej, skoro już coś wyprodukowano, awansem wchodziło to do obiegu *mainstreamowego*, gdzie często spotykało się z murem niezrozumienia. Zaś ci z widzów, którzy z góry odrzucają to, co szeroko reklamowane (a z pewnością są i tacy), omijali dzieła Gilliama z daleka. Wszystkim zaś dodatkowo przeszkadzali krytycy, którzy z reguły dzielili się po połowie zachwytem i przyganą.

Stąd pewne kontrowersje wywołała zapowiedź retrospektywy Terry’ego Gilliama podczas 11. festiwalu Era Nowe Horyzonty. Odważna decyzja Romana Gutka naszego „wszystkożernego” widza jednak zapewne ucieszy. I bardzo możliwe, że twórczość Gilliama będzie dlań jednym z bardziej treściwych posiłków tego lata.



Łukasz Kropiowski

Formy obecności

Grafiki Aleksandry Janik

W 2001 roku Aleksandra Janik zaprezentowała wystawę „Fotografie z podróży”. Artystka z tytułowej podróży do Stanów Zjednoczonych przywiozła wizerunki pełne kurzu, cieni, zjaw oraz ornamentów utworzonych przez zacieki, rozdarcia, odpryski i zapomnianą miejską typografię. To, co przykuło jej uwagę i uznała godnym prezentacji, to właściwie efemerydy, nieużytki i wszelkiego rodzaju peryferia rzeczywistości. Ów cykl fotografii wymownie wskazał fascynacje autorki, którym, dodajmy, pozostaje wierna.

Prace jej poszczególnych cykli graficznych przedstawiają ustawione pod światło, a więc niewyraźne i pozbawione detalu sylwetki, rozmyte konterfektu zestawione z równie zamglonymi krajobrazami i przedmiotami, cienie o różnym natężeniu, wizerunki, na które nałożone zostają znaki odrębnego pisma oraz aluzyjne formy zaczerpnięte ze świata przyrody. Artystka prowadzi grę z materią i jej zniekształconym obrazem. Celem tych zniekształceń nie jest ekspresja, choć niewątpliwie prace posiadają również tenże walor, a raczej stworzenie odpowiedniego podłoża pod analizę doświadczenia wewnętrznego. Dlatego postaci i obiekty ukazuje jako rozmyty obraz, refleks czy odbicie. Zatraca ich kontur, spowija w aluzyjną mgiełkę i nadaje transparentności, stwarzając wrażenie wspomnienia czy introspektywnego widma. „Analiza doświadczenia wewnętrznego” to kategoria równie rozległa co mętna, ale prace traktują właśnie o tym co niejasne, czego doznajemy i przechowujemy w sobie, nie potrafiąc ująć w jednolitą myśl. Artystka nie szuka jasnej konstatacji, próbuje raczej poetyckiej medytacji i to, co wyraźne, uznaje za zbyt jednostronne, a tym samym fał-

szywe i niezdolne do uchwycenia sedna – równoczesności wielu wątków rzeczywistości, tych zewnętrznych i tych wewnętrznych.

Istotną rolę w jej twórczości pełnią światło i cień – ich przeciwstawienie, ale też wewnętrzne sprzeczności, które w sobie zawierają. Światło wydobywa obraz, ale może także rozrywać kontur materii, cień ukrywa przedmiot, ale też może podkreślać jego wolumen. Światło zawiera w sobie zarówno moc objawiania, jak i oślepiania, czasem działające jednocześnie, o czym świadczy historia Szawła jadącego do Damaszku. Cień jest dziwaczną niematerialną konsekwencją naszej materialności i, jak pisze artystka, „jest podwójnym symbolem obecności i ulotności”. Rozwijając tę myśl, można jeszcze dodać – ulotności obecności i obecności efemerycznej, czy też dalej – trudno dostrzegalnej strony egzystencji. Obydwa czynniki cechuje niestałość, którą autorka podkreśla. Warto pamiętać, że wzrokowy odbiór rzeczywistości jest całkowicie podległy tej niestałości – obraz świata uzależniony jest od zmiennych warunków oświetlenia (natężenia, kąta padania itp.) i od wędrującego cienia, zmieniającego oblicze przedmiotów, na które się kładzie. Myśl o tej zmienności uświadamia uzależnienia oka, jego nieautonomiczność i iluzoryczność zmysłu wzroku. Wskazanie na momentalność efektu prowadzi także do pytania o istotę przedmiotu, o część immanentną, niezależną od zewnętrzności.

Kontrast światło-cień jako jeden z głównych środków wyrazu jest symptomem cechy, która konstituuje całą twórczość Aleksandry Janik. Myślę tu o wielopłaszczyznowym dualizmie. Już na poziomie struktury prac pojawia się dwoistość – wiele z nich jest mniej lub bardziej zbliżonych do dyptyków (szczególnie wyrazistym tego przykładem jest cykl *Pamięć miejsc*). Pozostając przy formie, rzuca się również w oczy dualizm planów kompozycji – podział na plan obrazu i plan znaku (pisma), na którym opiera się wiele cykli. Natomiast w planie semantycznym istnieje silnie zarysowana dychotomia widoczne-niewidoczne oraz swego rodzaju gra z tymi pojęciami – odwracanie i wymienianie ich, gdyż zamglenie w pracach sugeruje percepcję wyższego rzędu, poetyckie uchwycenie istoty rzeczy, natomiast dosłowność może powodować zacieranie pełni sensu. Jest to oczywiście konsekwencja wspomnianych dychotomii, które mieszczą w sobie światło jako czynnik „objawiający”, ale też przez niestałość odmieniający i złudny oraz cień symbolicznie odnoszący się do „przepływu” niematerialności w materii i ścisłych wzajemnych powiązań materii i ducha.

Kolejną zauważalną binarność tych prac jest metaforyka nieostrzych sylwetek. Z jednej strony niewątpliwie odnoszą się one do tego, co stanowi „rdzeń” człowieka – jaźni, czy też duszy.

Łukasz Kropiowski,
ur. 1981. Historyk sztuki,
absolwent Uniwersytetu
Wrocławskiego. Zajmuje się sztuką
współczesną, pracuje w Galerii
Sztuki Współczesnej w Opolu.
Publikacje w wydawnictwach GSW
– w katalogach, kwartalniku
„artpunkt” oraz w Piśmie
Artystycznym „Format”
(Wrocław). Mieszka w Opolu.

Jednak niosą ze sobą także konotacje odwrotne, wrażenie pewnej anonimowości, neutralności przywodzącej na myśl kukłę, braku cech charakterystycznych, właściwego manekinom. Jest to konsekwencja podziału na to, co zewnętrzne i wewnętrzne, który w szczególny sposób akcentuje cykl *Transgresje*. Grafiki tego cyklu przedstawiają sylwetki kobiet odcinające się na tle świetlistych przestrzeni. Silnie odczuwalna jest w nich obecność czegoś, co można nazwać niewidocznym dalszym planem. Pomimo tego, że sylwetki i świetliste tło zlewają się w dosyć płaską całość, istnieje sugestia jakiejś niewidocznej głębi, skąd dochodzi światło, sugestia jakiegoś przedłużenia przedstawienia, ale nie przedłużenia linearnego, a raczej mentalnego. Przedłużenia, które może być właśnie tytułowym przekroczeniem, przekroczeniem zewnętrzności, będącym w równym stopniu zawróceniem i wkroczeniem w siebie. To odczucie nieobecnej, czy raczej niewidocznej obecności, w szczególny sposób ujmujące jedna z grafik przedstawiająca sylwetkę kobiety w ciąży, wyraźnie w tym kontekście symboliczną.

Właściwie cała twórczość autorki jest w jakiś sposób próbą wyjścia poza to, co zewnętrzne, by doświadczyć wnętrza. Ciekawym jej aspektem jest paradoks dążenia poprzez sztuki wizualne do przekroczenia wizualności i – ogólniej – przekroczenia zmysłowości, dążąc w kierunku uchwycenia obecności odmiennej – utajonego wewnętrznego źródła doświadczenia, które według Artura Schopenhauera jest jedynym prawdziwym odbiorem świata: „[...] czas, przestrzeń i przyczynowość nie przychodzą do nas ani przez wzrok, ani przez dotyk, ani też w ogóle z zewnątrz, ale raczej mają źródło wewnętrzne, a więc nie empiryczne, lecz umysłowe. Wynika stąd znowu, że ogląd świata cielesnego jest w istocie procesem umysłowym, dziełem intelektu, któremu wrażenie zmysłowe dostarcza tylko sposobności i danych do zastosowania w poszczególnym wypadku”. Prace Janik są w pewnym sensie przedłużeniem tego umysłowego procesu.

Dążenie to jest oczywiście subiektywne, czego artystka nie ukrywa. Grafiki odnoszą się do jej doświadczeń, jej wspomnień i jej wyobrażeń. Píše o „rekonstrukcji miejsc, spotkań, wizualizacji emocji i tymczasowych uczuć”. Momentami nawet wydaje się, że prace te stanowią rodzaj dziennika, w takim wrażeniu utwierdzają motywy odręcznego pisma, które nałożone zostają na plan przedstawień. Dodajmy, że jeśli można mówić tu o dzienniku, to ściśle prywatnym i wewnętrznym, a więc po części niedostępnym i szyfrowanym. Przy całym subiektywizmie, twórczość ta jest jednak w dużej mierze syntetyczna, przez co nie zamyka się w hermetycznym świecie, ale ukazuje również powszechne doświadczenia introspekcji, doświadczenia, na które składają się czynniki nieustannie i nieuchronnie kształtujące nas wszystkich. Mówią o nich tytuły niektórych cykli: *Pamięć miejsc*, *Czas i obecność*.

Pamięć – grafiki artystki mówią w równym stopniu o jej trwaniu i zacieraniu się, mówią o konfrontacji miejsc realnych i miejsc zapamiętanych, które czasem wykazują zadziwiająco wiele różnic, gdyż pamięć utrwała i jednocześnie deformuje po-

przez kreację, przez laserunek sentymentu, emocji i konfabulacji. Pamięć jest więc, podobnie jak światło i cień, czynnikiem w jakimś stopniu iluzorycznym.

W swoich grafikach autorka analizuje delikatne przemiany, którym rzeczywistość, także mentalną, poddaje strumień czasu. Strumień ten ma przemożny wpływ na odczuwanie świata i według św. Augustyna człowiek ma skłonność do retrospekcji, a więc odnoszenia się do niepewnej pamięci: „[...] czujna uwaga człowieka, będąca czymś teraźniejszym, przeprowadza przyszłość ku przeszłości: przyszłość ciągle się zmniejsza, a przeszłość wzrasta, aż wreszcie – po pełnym wchłonięciu przyszłości – wszystko jest już tylko przeszłością. Lecz w jaki sposób można zmniejszać albo wchłaniać przyszłość, która jeszcze nie istnieje. I jak może wzrastać przeszłość, której już nie ma? Możliwe jest to tylko dzięki temu, że w umyśle, który owych rzeczy dokonuje, istnieją trzy funkcje: oczekiwanie, uwaga i pamięć”. Triada ta jest wyczuwalna w pracach autorki i wydaje się, że w każdej z grafik stara się uchwycić wszystkie trzy aspekty czasu. W tym miejscu samostannie pojawia się również pojęcie „obecności”, które w tytule cyklu towarzyszy „czasowi”, kontynuując myśl św. Augustyna: „Obecnością rzeczy przeszłych jest pamięć, obecnością rzeczy teraźniejszych jest dostrzeganie, obecnością rzeczy przyszłych – oczekiwanie”.

Podtrzymując teorię o wielowątkowym dualizmie twórczości Aleksandry Janik, do pozostałych czynników zawierających dychotomię dołączę również czas: „[...] zmiana jest sukcesją stanów, ta zaś jest możliwa tylko w czasie. Stąd też czas można również zdefiniować jako możliwość przeciwnych określeń tej samej rzeczy” (Artur Schopenhauer). Medium fotografii zawsze obecne w cyklach grafik artystki, w oczywisty sposób zawierające w sobie element czasu i światła, jest oczywiste tylko z pozoru. Przetworzona fotografia ma w tych grafikach więcej wspólnego z procesem myślowym, niż ze „zdejmnowaniem” wizerunku – jest narażona na nieciągłość, przerywana, szarpana, niepewna i niepełna, używa syntetycznych obrazów i wewnętrznego kodu. Z myślami jest tak, że gdy powstają, są dla nas naturalne i klarowne, natomiast gdy chcemy je wypowiedzieć, tracą krystaliczność, gubią trafność i w końcu grzęzną w języku. Nieco podobnie jest z pisaniami o „myślach” artystki: „Jeśli nikt mnie o to nie pyta, wiem. Jeśli pytającemu usiłuję wytłumaczyć, nie wiem” – cytując raz jeszcze św. Augustyna. Prace te są zbiorem delikatnych emocji, subtelnych skojarzeń i odczuć. Przedstawiają doświadczenie wielowarstwowości tego, co rzeczywiste i jednoczesnych sprzeczności połączonych w delikatną tkaninę. Mowa o tego typu doświadczeniu kończy się zwykle tandetą, sztaampą lub banałem. Tym bardziej na uwagę zasługuje to, że prace Aleksandry Janik zachowują subtelność tych wewnętrznych doznań i nie tylko są postrzeganiem, ale i dostrzeganiem, bo autorka nie pozostaje na powierzchni zmysłów, wiedząc o tym, że „wrażenie oczu i uszu, przy nieobecności intelektu, nie dostarcza percepcji” (Plutarch).

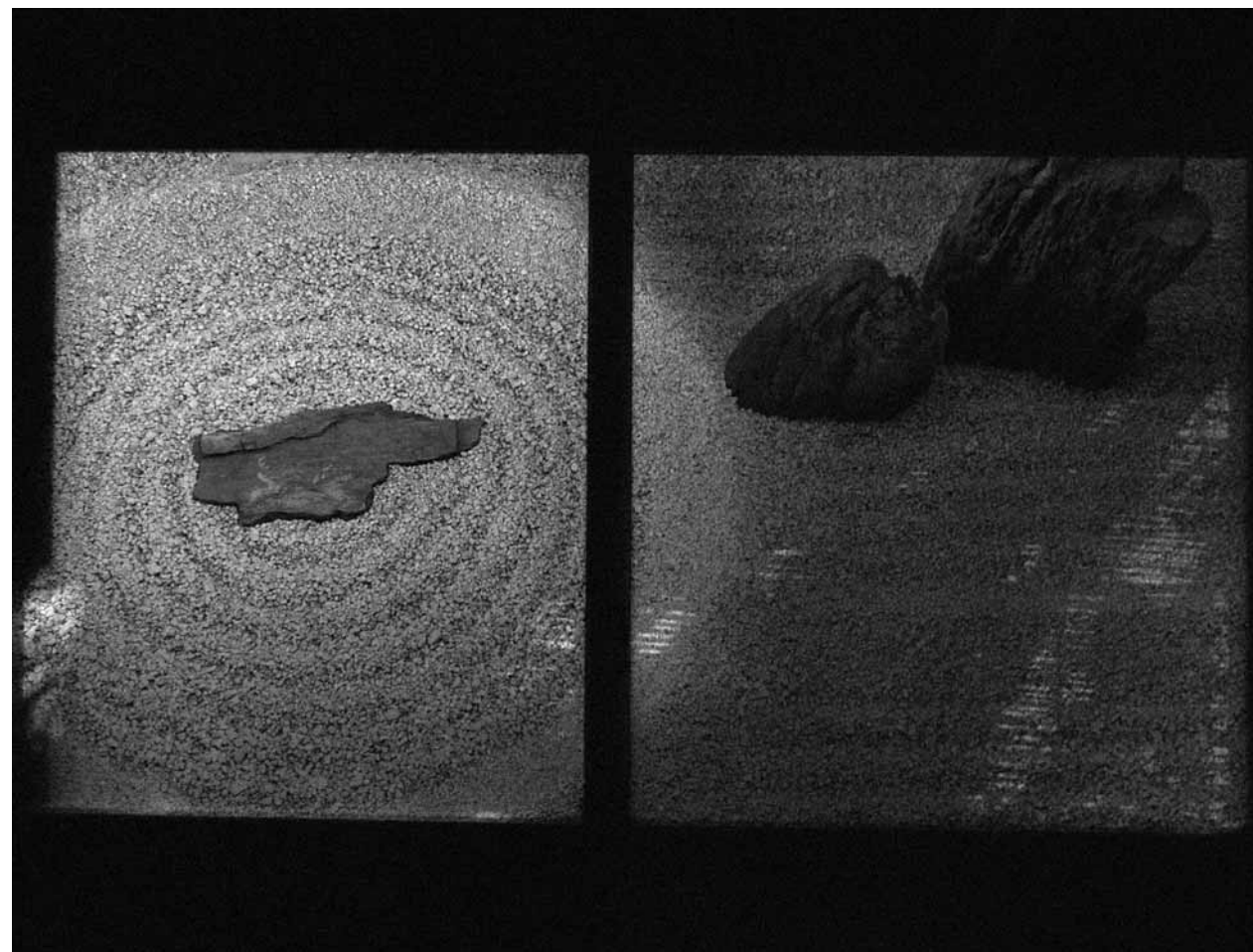
Aleksandra Janik

Urodziła się w 1971 r. w Katowicach. Studia ukończyła na Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu (dyplom w Pracowni Grafiki Artystycznej prof. H. Pawlikowskiej w 1996 r.). W latach 1996–1997 stypendystka DAAD Hochschule für Bildende Künste w Brunshwiku. Prowadzi Pracownię Grafiki na stanowisku profesora uczelnianego w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Opolskiego. Zajmuje się grafiką i fotografią. Swoje prace prezentowała na wielu wystawach indywidualnych i zbiorowych w kraju i za granicą. Jest laureatką wielu nagród i wyróżnień, m.in.:

- 1998 – Nagrody Sponsora na *Międzynarodowym Biennale Grafiki* w Sapporo;
- 2003 – Nagrody Promocyjnej Prezydenta Miasta Opola w Dziedzinie Kultury;
- 2003 – Stypendium Fundacji św. Adalberta na projekt *Współczesna książka artystyczna*;
- 2006 – Nominacji do Nagrody Holland Casino Grid na *Międzynarodowym Biennale Fotografii*, Amsterdam;
- 2006 – Grand Prix na *Salonie Jesiennym 2006*, Opole;
- 2007 – Nagrody Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych na *Salonie Jesiennym 2007*, Opole;
- 2007 – Wyróżnienia na *International Photography Awards* w Los Angeles;
- 2007 – Nagrody Jury (Hibino Prize) na 14. *Mino-Washi Akari-art Exhibition*, Mino;
- 2007 – Nagrody Jury na 14. *Triennale Grafiki w Tallinnie*;
- 2008 – Nagrody Jury na 15. *German International Exhibition of Graphic Art*, Frenchen;
- 2008, 2009, 2010 – Wyróżnienia na *International Photography Awards* w Los Angeles.



Aleksandra Janik • Z cyklu *Transgresje I*, 2006 • druk cyfrowy 150x60 cm



Aleksandra Janik • Z cyklu *Translokacje*, 2008 • druk cyfrowy 50x70 cm

Karol Pietrowski

Przed obliczem szaleńca

Poprosiłem kiedyś Myrosława Jahodę, by powiedział do kamery parę słów o sobie. Jahoda usiadł na krześle, siorbnął wody z kubka, wytarł rękawem brodę, pociągnął nosem i zaczął: „Jestem Myrosław Jagoda: malarz, poeta, dramaturg. Żyję tutaj w pracowni. Piszę, maluję... Żyję”. Po czym zapalił papierosa. Można zatem powiedzieć, że z grubsza już wiem, kim jest Myrosław Jahoda.

Kiedy zejdziesz się w mroki piwnicy, wtapiając się w Życie Artysty, kiedy zaczniesz się marznąć razem z nim w zawilgotniałych ścianach, słuchać jego poezji i oglądać obrazy, człowiek szybko przestaje rozumieć znaczenie słów. Wszystkie stają się za ciasne, niejasne, jakieś za małe dla tego pełnego witalności szaleńca. Staję przed obliczem Myrosława Jahody i dochodzę do wniosku, że słowa wypowiedziane przez niego samego nie wystarczają. Zaczynam poznawać jego przeszłość i wydaje mi się, że rozumiem więcej. Szukam nowych słów na określenie fenomenu Jahody i jestem przekonany, że jestem blisko poznania. A na koniec zataczam pętlę.

Po kolei. Jahoda żyje samotnie w pracowni, gdzie nawiedzają go demony albo ludzie żyjący powyżej okien jego jaskini. Wchodzą i wychodzą. Piją razem wódkę, roz-

mawiają, kurzą papierosy, kryją się przed światem. Istnieją przez jakiś czas w niepokojącej przestrzeni. Jahoda pije prawie ze wszystkimi – dopóty nie padnie, rzadko odmawiając komukolwiek. Przychodzi jednak dzień, w którym drzwi są dla wszystkich zamknięte. Malarz zanurza się wtedy w świecie wyobraźni, przeraźliwej samotności, w której od wielu lat towarzyszy mu jamnik Rex i wielki Chrystus wiszący na ogromnym krzyżu, na ścianie naprzeciw wejścia. To wtedy walczy z demonami, uwieczniając je potem na obrazach. Niewidoczny dla świata, samotny, zamknięty w piwnicy, z której wydobywa się krzyk: zmaterializowany w postaci obrazów i poezji.

Jahoda urodził się w górniczym miasteczku Hirnyk w 1957 roku. Los jego był przesądzony. Czekala go praca pod ziemią – jak większość mężczyzn. Jednak od dziecka ojciec uczył go malarstwa, a on sam mówi, że zawsze wiedział, że zostanie malarzem: „Szedłem z cmentarza, od babci z mogiły, i mówiłem, że namaluję obraz i napiszę wiersz. I tak się stało”. I tak stało się. Po szkołach rysunku, po rocznej pracy w kołchozie, gdzieś na dalekim radzieckim wschodzie, po ukończeniu Państwowego Instytutu Poligraficznego na Wydziale Grafiki we Lwowie (1986), po malowaniu cerkwi w obwodzie tarnopolskim, kupuje Jahoda pracownię i w niej mieszka, pisze i maluje do dziś. Ucieka do Lwowa z miejscowości, gdzie czekała go praca pod ziemią. Chowa się w piwnicy miasta, gdzie trud istnienia nie jest wcale mniejszy od ciężkiej pracy fizycznej. Mroki te same, a praca łączy się z niemocą, cierpieniem, bólem i męką porównywaną do Chrystusowej.

Poznanie historii wiele wyjaśnia, ale ciągnie z sobą w odleglesze głębiny. Wprowadza nowy bałagan. Bo poznanie przeszłości zmusza nas do sięgnięcia po system znaków, poprzez które objawi się przed nami tajemnica osoby. Sięgam do słowników. Szukam słów i ich znaczeń, które pomogłyby mi zrozumieć Odludka żyjącego w jaskini, gdzieś we Lwowie. Staram się szukać nazw, określić, żeby nie pogрузić się w ciemności. Przecież to, co nienazwane, nie mieści się w sferze poznania. I tak zaczynają krążyć wokół mnie słowa: Idiota, Jurodiwy, „Ja”, Wódka, Chrystus, Krzyż, Milczenie, Człowiek, Ikona, Jahoda. Być może te słowa pozwolą mi przybliżyć choć trochę tę trudną do opisu postać.

Idiota. Słowo to pochodzi od greckiego *idios*, *idiōtēs*. Oznacza ono człowieka prywatnego, niepiastującego żadnych stanowisk. Od słowa *idios* – własny, *idioma* – właściwość; więc idiotyzm (*idiōtismos*) znaczy „właściwość”. Jahoda bez wątpienia jest człowiekiem prywatnym. W wyniku samotności, Artysta uwikłany jest w samego siebie, pochłonięty sobą i absolutystyczną wizją świata. Idiota to także ten, który nie potrafi przystosować się do życia w społeczeństwie. Albo robi wszystko na opak, albo nie uznaje powszechnej umowności. Zatem zamknięty w mrokach pracowni, odizolowany od świata, niepotrafiący się przystosować. Jedno

Karol Pietrowski,

ur. 1986 w Chełmie. Przez dwa lata uczęszczał do szkoły filmowej we Wrocławiu (Mastershot). Licencjonowany historyk sztuki (UŁ). Obecnie student kulturoznawstwa (KUL).

słowo pociąga drugie. Skoro idiota, skoro wschód i religia prawosławna, skoro świętość, to nasuwa mi się kolejne słowo: jurodiwy – szaleniec Chrystusowy. To „głupi”, który skrywa prawdziwą Bożą mądrość¹. Fragment z Pierwszego Listu św. Pawła do Koryntian trzeba uznać za podstawę jurodstwa: „Wydaje mi się bowiem, że Bóg nas, apostołów, wyznaczył jako ostatnich, jakby na śmierć skazanych. Staliśmy się bowiem widowiskiem światu, aniołom i ludziom; my głupi dla Chrystusa, wy mądrzy w Chrystusie, my niemocni, wy mocni; wy doznajecie szacunku, my wzgardy. Aż do tej chwili łakniemy i cierpimy pragnienie, brak nam odzieży, jesteśmy policzkowani i skazani na tułaczkę, i utrudzeni pracą rąk własnych. Błogosławimy, gdy nam złorzeczą, znosimy, gdy nas prześladują; dobrym słowem odpowiadamy, gdy nas spotwarzają. Staliśmy się jakby śmieciem tego świata i odrazą dla wszystkich aż do tej chwili” (1 Kor 4,9–13). Jurodstwo nie ma żadnych podstaw teoretycznych i nie jest modelem świętości. Istnieje więc w rozmaitych przepoczwarzonych postaciach. Dobrowolnie przyjmuje mękę Chrystusa, skazując się na życie pełne cierpienia, samotności, braku zrozumienia, nędzy, wyobcowania. Daje mu to jednak prawo do łamania hierarchii, parodiowania albo burzenia przyjętych przez wszystkich ziemskich norm społecznych, które traktuje on jako fałszywe². Jurodiwych cechuje ogromna miłość do Chrystusa i Krzyża.

Słowo *chrystocentryzm* określa dążność do naśladowania Chrystusa (meta-Twarzy) jako najwyższego ideału moralnego. Każdy człowiek jest zaś „gorszy” od Jezusa. Chrystocentryzm to pełne i bezwarunkowe przyjęcie Bożego świata, przed Którym wszyscy są równi, jednocześnie poddani. Kultura staroruska ma więc wyraźnie nowotestamentowy charakter, co oznacza, że wszyscy zasługują na miłość; a więc ubodzy i Boży szaleńcy, a także nędzarz, jakim jest Jahoda, świadom swojej niedoskonałości. Wzorem Jahody–człowieka jest „istota Boża” – wzór i podobieństwo Boskie. Inaczej ikona. By umacniać ją w sobie, potrzebne są pokora, dobroć i łagodność. Natomiast wyklucza się pychę, niewskazana jest refleksyjność, dbanie o własną cielesność³. To wszystko prowadzi do wypaczenia ikony i wydaje mi się, że Myrosław Jahoda posiada cnoty, które pozwalają mu zbliżyć się do Istoty. Jahoda to człowiek prosty, gardzący wszystkim, co niszczy bliskość Wzoru. Mówi: „Tego nie trzeba rozumieć, to trzeba czuć”. W tym zwrocie zawiera się cała jego pogarda dla wiedzy i jej zgubnej refleksyjności. Analizując życie Jahody i jego samego, nie możemy zapomnieć o problemie „Ja”. Ja-god-a, gdzie „a” to pierwsza litera w alfabecie, utożsamienie z samym sobą i z Bogiem. „Ja” musi zanegować to, co zwyczajnie ludzkie, upokorzyć się, by wrócić do Identytety. Wprowadzenie człowieka na miejsce Boga, by znaleźć się w samym źródle Łaski, może się dokonać po unicestwieniu „ja”, zrzuconiu powłoki cielesnego stworzenia. „Ja” musi się powierzyć wewnętrznemu zadaniu, żeby być obrazem Boga.

¹ C. Wodziński, *Św. Idioty. Projekt atopologii apofatycznej*, Gdańsk, 2009, s. 22.

² *Idee w Rosji. Leksykon rosyjsko-polsko-angielski*, tom V, red. A. de Lazari, Łódź, 2003, s. 384.

³ *Ibidem*, s. 382

Temu *homo religiosus* wódka ma pomagać w przejściu przez trud, w walce z samym sobą, którą trzeba stoczyć, by zjednoczyć się z Chrystusem. Zatracać się, schodząc coraz niżej i niżej... Trzeba nieludzkiej siły, żeby przetrwać ziemskie piekło, mróz i mroki, zanim dostąpi się ostatniej Łaski. Trzeba ofiarnej zatury.

Tak i ja ofiarnie staram się określić fenomen Jahody, intuicyjnie poszukując słów, które wyjaśniłyby mi istnienie tego, który stoi przede mną. Ratuję się przed obliczem szaleńca. Nazywam, żeby zrozumieć to, co się przede mną jawi, nadając mu zrozumiałe słowne kształty. Poznanie przejawia się poprzez słowo. Na nim wszystko jest zbudowane i ono pokrywa wszystko. Jest fundamentem, a zarazem dachem dla wszystkich obrazów, wrażeń i wyrażen. A ponad nim jest już tylko sklepienie milczenia – do niego prowadzi nas Jahoda. Słowo stara się wprowadzić ład na obszarze ziemi, służy do przyswajania. Tak jak i ja, z przerażenia przed nieznanym (niewypowiedzianym). Zszedłem w mroki, oświeclając już tylko fragmenty bytu, nie będąc w stanie ogarnąć całości jednym spojrzeniem, sprowadziłem je do ramek, chcąc uporządkować bezładną przestrzeń. Zejść niżej nie dałem rady. Zatrzymałem się, dusząc się w wielości i zdając sobie sprawę, że stoczenie się głębiej, nam ludziom, niczego nie wyjaśni. Wracam więc do początku: „Jestem Myrosław Jagoda: malarz, poeta, dramaturg. Żyję tutaj w pracowni. Piszę, maluję... Żyję. Nazywam ją złotą pracownią. Dlatego, że wtapiam się w te ściany i żyję tymi ścianami. Cóż powiedzieć...”



Myrosław Jahoda i Rex

Fot. Karol Pietrowski



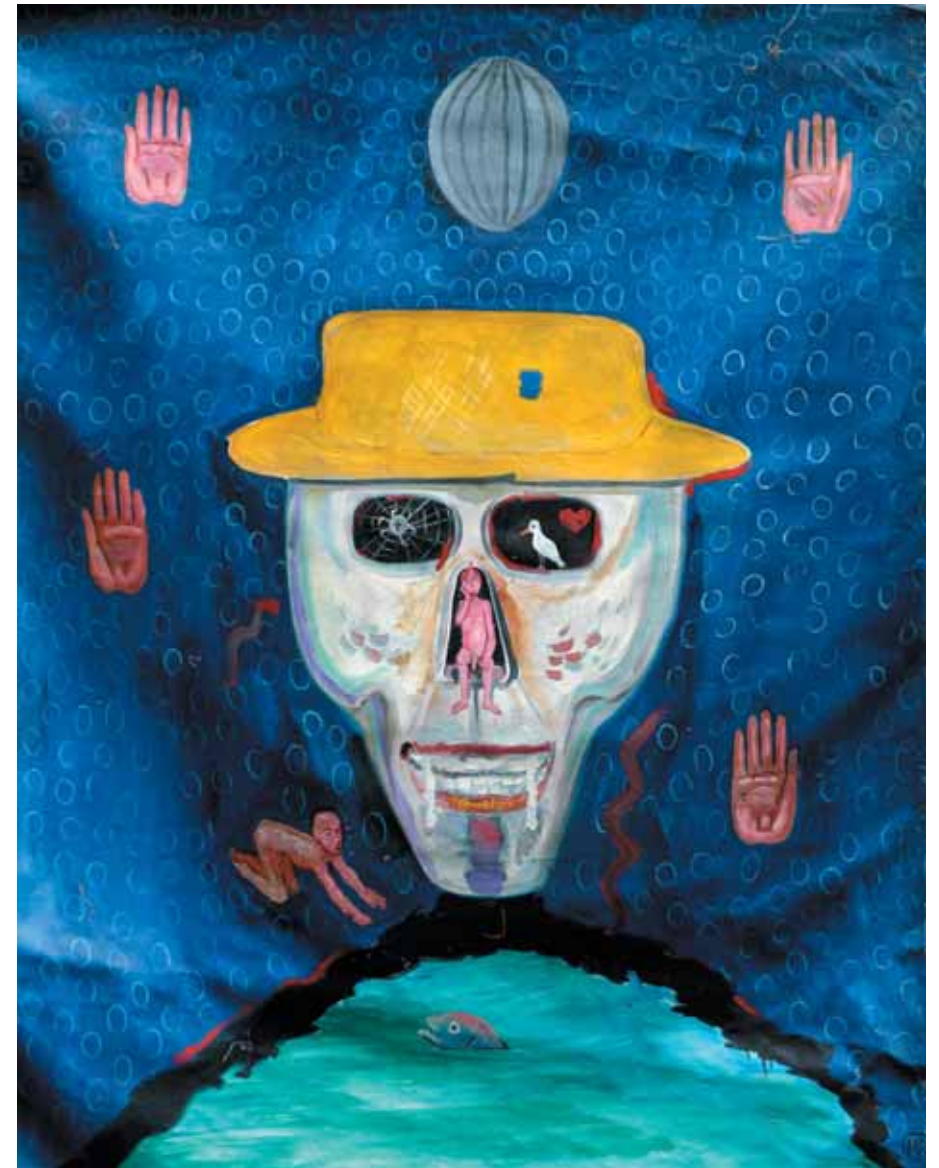
Myroslaw Jahoda • *Autoportret* [75x55], 1992 • akryl



Myroslaw Jahoda • *Chrzt. Van Gogh* [85x111,5], 2001-2002 • akryl



Myroslaw Jahoda • tytuł nieznany • akryl



Myroslaw Jahoda • tytuł nieznany • akryl

Krzysztof Cichoń

Jahoda

jest poetą

Kiedy go poznałem, był bardziej malarzem. I dzięki temu się poznaliśmy. Interesowanie się poetami, pisanie o poetach to albo sprawa zupełnie prywatna, albo czyste wariactwo. Co innego malarz. Tłumaczenie obrazów na słowa, w odróżnieniu od tłumaczenia słów na inne słowa jest zajęciem dość użytecznym i trzymającym się z daleka od tautologii.

Najgorsze, co może się Jahodzie przytrafić i co jest, niestety, coraz bardziej prawdopodobne, to możliwość, że ostatecznie zostanie atrakcją turystyczną. Wcielonym artystą-bestią zagrzebaną gdzieś na dnie Lwowa. Lwowa, który patrząc z naszej zachodniej strony, dziwnie przypomina wschodni gród Kiteż – coraz głębiej pograżający się wraz ze wszystkim, co w nim żyje, w odmęcie nostalgii i mitu. Bez trudu mogę sobie wyobrazić Jahodę – atrakcję, Jahodę – pamiątkę mniej więcej taką jak postać Epifana Drowniaka, który za życia też malował, a teraz, zarazem uwznioślony i unieruchomiony w „narodnej” pamięci i spiżu, dzień i noc siedzi pod kościołem dominikanów, do którego ciągną kolejne polskie wycieczki, i rzadko która mijając nieco zbyt galanteryjny pomnik jest w stanie rozpoznać w nim Nikifora.

Zamienianie Jahody w atrakcję turystyczną zaczęło się już kilka ładnych lat temu. Dopóki Jahoda pisze, mówi i chodzi o własnych siłach, żadna mnemoniczna mumifikacja w słusznej pozie mu nie grozi. Bo Jahoda codzienny, Jahoda z rzadka wynurzający się ze swojej „masterni” jest na swoje szczęście bardzo, ale to bardzo nieatrakcyjny. Ma niepospolity talent wkurzania wszystkich, którzy znajdują się dostatecznie blisko niego i szasta tym talentem z nonszalancją godną geniusza.

Wśród wielu knajp Lwowa do pierwszej ligi zaliczała się i chyba nadal zalicza knajpa o krótkiej i skromnej nazwie „Znamienite ludi mista Lviva” ze ścianami gęsto udekorowanymi portretami wszystkich, z biografii których składa się wielki mit tego miasta. Jest tam i Jahoda, jeden z nie tak znów wielu żywych. Ale żywego Jahody do knajpy nie

wpuszczają. Raz, że za drogo jak dla poety (i malarza), dwa, że nie wiadomo, czy nie wypłoszy turystów. W zasadzie wiadomo, że wypłoszy, skandal robi i co wtedy? Pytanie „co wtedy?”, albo „co potem?” zupełnie nie obchodzi Jahody. Konsekwencje, przewidywanie skutków, praktyczna kalkulacja to nie jest coś, co istnieje w świecie, w którym robi się to, co się musi robić. To bardzo prosty świat, świat jednoznacznych wyborów (stąd pewnie Mironowe uwielbienie dla Pana Cogito), nieodwołalnych decyzji. Świat w swojej przewidywalnej nieprzewidywalności bliski religijnej zapiekłości natchnionych herezjarchów. Jahoda, który nieodmiennie nagle wstaje i wychodzi, albo wyrzuca wszystkich z pracowni, bliski jest Lutrowi uparcie powtarzającemu „Tu stoję, inaczej nie mogę...”. Od dawna nie wiemy, czym jest sztuka, ale nadal jesteśmy przekonani, że jest ona potwornie, nieludzko egotyczna, skupiona na samej sobie. I nie zaszkodzi, jak będzie skandaliczna.

Jahoda nieprzesadnie lubi porównywanie tego, co robi, z religią. Ale sam te porównania prowokuje. Jednym z elementów zapadających w pamięć odwiedzających jego pracownię (tych, którzy zostaną zaproszeni do drugiego kręgu, za zazwyczaj zamknięte drzwi oddzielające kuchnię od pracowni-sypialni) jest widok stojącego obok legowiska wielkiego krucyfiksu. *Scandalon crucis*. Sposób życia, jaki Jahoda wybrał, życia znacznie poza obszarem bezpieczeństwa, przezorności, jest niczym innym jak skandalem. *Scandalon artis*. *Scandalon Jahodae*, można to przełożyć jako *Przykrość Jahody*. Nie ma się co dziwić, że do eleganckich lokali nie wpuszczają. Ale wcześniej czy później (jak tylko minie niebezpieczeństwo, że narozrabia) pomnik postawią.

Nikofor nie używał swojego sądownie ustalonego „prawdziwego” imienia Epifan. Co do Jahody, to jeszcze żaden sąd nie ustalił, jakie jest jego „prawdziwe imię”, ale skoro, jak sam mówi, przeżył Odkrowienie, iluminacje – czy czort jeden wie – apokalipsę¹, to wielce prawdopodobne, że i on mógłby legalnie używać imienia Epifan. A już najgorsze w tej Jahodowej przykrości, którą dzielnie znosi, jest to, że wszyscy, ale to zupełnie wszyscy, nawet ci, co pchają się do pracowni, by posłuchać poezji, rachują zupełnie jak ostrożni lwowscy restauratorzy. Nikt nie zaryzykuje, żaden obrazu nie kupi. Po prostu skandal! Ale wcześniej czy później nadejdzie Odkrowienie, i to dla wszystkich, a wtedy...

Krzysztof Cichoń,

ur. 1966. Historyk sztuki, krytyk sztuki, specjalizuje się w ikonografii średniowiecznej i współczesnej. Pracownik naukowy w Katedrze Historii Sztuki Uniwersytetu Łódzkiego.

¹ Co gorsza, chyba nie kłamie, bo ślady tego widać w jego obrazach i wierszach.

Olga Denisiuk
Aliona Sznurienko-Szczerbicka

Kosmos i psyche:

Iwan Marczuk – retrospektywa twórczości

Iwan Marczuk – to prawdopodobnie najbardziej znana postać wśród współczesnych twórców Ukrainy. Jeszcze dwadzieścia lat temu twórczość tego genialnego artysty była mało znaną w Ukrainie, choć dawno uznana na świecie. W czasach sowieckich Marczuka prześladowano za oryginalne artystyczne myślenie i styl, określany „nacjonalizmem burżuazyjnym”. W dzisiejszej, niepodległej Ukrainie, jego płótna są wysoko oceniane przez krytyków, bardzo wysoko wyceniane na aukcjach i z powodzeniem wystawiane na licznych indywidualnych wystawach.

Ponadto, za całokształt pracy twórczej, Marczuka uhonorowano w 1996 roku tytułem Zasłużonego Artysty Ukrainy, a rok później został laureatem Państwowej Nagrody Ukrainy im. Tarasa Grigoriewicza Szewczenki. Wtedy właśnie pojawiła się idea stworzenia pracowni-muzeum artysty.

Marczuk cieszy się także dużym uznaniem zagranicą. W 2006 roku International Academy of Modern Art w Rzymie przyjęła artystę do swej elitarnej Złotej Gildii (Gold Guild), która zrzesza w swych szeregach około pięćdziesięciu artystów o światowej renomie. Iwan Marczuk został wybrany na honorowego członka Rady Naukowej Akademii.

W kolejnym roku artystę zaliczono do grona najwybitniejszych osobowości współczesnego świata. Według brytyjskiego rankingu *Stu geniuszy naszych czasów* gazety „The Daily Telegraph” Marczuk znalazł się na 72 miejscu. Uznano przy tym, że szczególna oryginalność Marczuka polega na głębokim wycuciu niepokojów współczesnego świata, całego spektrum nieustannych zmian, kalejdoskopowości wydarzeń, nierozstrzygalności teoretycznych i praktycznych kwestii, wycuciu różnorodności poglądów i opinii. Szczególną sławę i światowe uznanie przyniosła Iwanowi Marczukowi jego własna, unikalna, pracowita metoda artystyczna – „plionta-

Iwan Marczuk • Przylatujcie na jesień moją, 1967





Iwan Marczuk • Czernobylska Madonna, 1989

nizm” («плести», «пльонтати» – pleść, wypłatać, szydełkować). Technika wykonania polega na nakładaniu wielu warstw malarskich metodą plecionki z różnokolorowych niezliczonych „włókien” farby, z których artysta za pomocą pędzla „tka” niesamowite formy. Charakterystyczne dla tego stylu są na przykład prace: *Spotkania* (Зустріч – 1989), *Gracja* (Грація – 1991).

Fenomenalne jest to, że te niezrozumiałe i chaotyczne na pierwszy rzut oka spłoty, zarysowują na płaszczyźnie płótna ogromne postaci, kształty, których każda część mogłaby zostać namalowana w bardziej realistyczny sposób. Ręce, twarz i inne obiekty stają się tu szczególnego rodzaju artystycznymi akcentami. Wszystkie widniejące na obrazach postaci i kształty odznaczają się tak charakterystyczną dla malarstwa ikonnicznego bezcielesnością, przejrzystością i lekkością (*Słowicza pieśń* /Пісня солов'їна 2000, *Wiktor Juszczenko* 2003, *Madonna* 1989, *Przebudzenie/Пробудження* 1992, *Pokusa/Спокуса* 1992). Można odnieść wrażenie, że ogląda się nie tyle materię, ile jej transcendentalne ujęcie albo samą duszę tych symbolicznych bytów, ujawnianą artyście przez jego podświadomość i nadwrażliwe postrzeganie istoty, znajdującego się w ciągłym ruchu, świata.

Twórczy dorobek Iwana Marczuka zawiera ponad cztery tysiące prac. To dziesiątki ogromnych cykli, które różnią się nie tylko tematyką, znaczeniem czy filozoficznym ujęciem świata, lecz także techniką i stylem warsztatu malarskiego. Najlepiej widać to w obszernych i pojemnych seriach, takich jak na przykład: *Głos mojej duszy* (Голос моєї душі), *Szewczenkiada* (Шевченкіана), *Kwitnięcie* (Цвітіння), *Marzenia wychodzą z brzegów* (Виходять мрії з берегів), *Nowe ekspresje* (Нові експресії), *Martwe natury* (Натюрморти), *Pejzaże* (Пейзажі).

W twórczości Iwana Marczuka ważną rolę odgrywają tak zwane mini-cykle, które wykraczają poza konkretne artystyczne serie dające się zamknąć w jednej nazwie. Ta ogromna ilość cykli, różniących się nie tylko tematyką i znaczeniem, ale także technikami malowania, świadczy doskonale o niewyczerpanym w inwencji artystycznej talencie Marczuka. Jak często podkreślał sam artysta, w jego twórczości jest realizm i surrealizm, hiperrealizm i ekspresjonizm, wszystko jednak przefiltrowane przez pryzmat jego osobistych wizji i rozumienia świata, wyrażone w jego własnym artystycznym języku.

Olga Denisiuk,

docent w katedrze teorii sztuki i ekspertyz w Narodowej Akademii Kierowniczych Kadr Kultury i Sztuki (Kijów); malarka i teoretyk sztuki; laureatka nagrody im. Giedroycia ambasady polskiej w Kijowie za pracę *Akademia Sztuk Pięknych w Krakowie na tle ukraińsko-polskich relacji artystycznych w latach 20-30 XX w.*; autorka ponad 30 publikacji naukowych.

Aliona Sznurienko-Szczerbicka,

starszy wykładowca Kijowskiego Muzeum Sztuki Rosyjskiej; teoretyk i krytyk sztuki; interesuje się fotografią artystyczną.

Unikalnym ciepłem, urokiem, liryzmem oraz cichą kontemplacją, wypełnione są pejzaże Marczuka. Charakterystyczną ich cechą jest nieodłączny motyw ziemi ukraińskiej (*Jabłko na śniegu/Яблуко на снігу* – 1974, *Step rozmarzony/Замріяний степ* – 1984, *Jaka księżycowa noc/Ніч яка місячна* – 1987, *Słońce weszło nad Dnieprem/Зійшло сонце над Дніпром* – 2003, *Wigilia/Святий вечір* – 2002, itd.). Nawet przebywając na emigracji – w otoczeniu egzotycznej przyrody Australii, krajobrazów Stanów Zjednoczonych czy niepowtarzalnych widoków Kanady – artysta umieszczał w swoich obrazach bliskie jego duszy ojczyste krajobrazy, rodzinę oraz bliskich. Iwan Marczuk, jak nikt inny, prezentuje się jako niedościgniony poeta-malarz ukraińskiego pejzażu. Słowo „poeta” jest tu całkowicie uzasadnione. Oto przecież tytuły obrazów – (*Jaka księżycowa noc/ Ніч яка місячна*, *Na wiosnę słońce wyglądało/ На весну сонце подивилось* (2008), *Kładły się cienie na drodze/ Стелилися тіні на дорозі* (2004), *Ptaki w wirze uleciały/ Птахи у вихорі полетіли* (2007), *Spojrzał księżyc na podwórze/ Глянув місяць на подвір'я* (1995), *A światło padało z nieba/ А світло падало з небес* (1984) i inne – niczym poetyckie wersy – zawierają w sobie szczególną melodię i uczucie... Nie mają one charakteru opisowego – tytuły obrazów nie odzwierciedlają tego, co przedstawiają. Tworzą nastrój do odbycia podróży wewnątrz siebie i do wnętrza obrazu. Wiele prac artysty pełnych jest głębokiej refleksji filozoficznej, wyrafinowanej psychologii, a także życiowej mądrości – indywidualnej i tej opartej na budowanym przez stulecia systemie wartości, zakorzenionym w życiu i mentalności narodu ukraińskiego. Przykładem tego mogą być prace: *Przylatujcie na moją jesień/ Прилітайте на осінь мою* (1967), *Obok źródła życia/ Біля джерела життя* (1973), *Ogień przodków/ Вогонь предків* (1980), *Opustoszone gniazdo/ Опустіле гніздо* (1980), *Pamiętajcie ślady swoje/ Пам'ятайте сліди свої* (1978). Ważną cechą dzieł Iwana Marczuka jest skupienie się na wydarzeniach współczesnych, na politycznych realiach. Artysta bierze sobie do serca wszystkie ważne wydarzenia i problemy Ukrainy, z których następnie czyni motywy swoich prac. Przykładem jest katastrofa w Czarnobylu, w odpowiedzi na którą pojawiła się praca *Madonna z Czarnobyli* (1986) oraz cykl *Czarnobyl'86*. Ciekawostką jest fakt, że niektóre dzieła z tego cyklu, w tym tryptyk *Monolog* (1986), zostały namalowane (proroczo jakby...) na dwa tygodnie przed wypadkiem w czwartym reaktorze.

Iwana Marczuka cechuje niepowtarzalna, tylko jemu właściwa filozofia życia oraz poglądy, mocno wyrastające z uniwersalnych idei, wartości i ludzkich cnót, a przede wszystkim – z miłości do ojczyzny. W jego obrazach, z pozoru prosta fabuła, która od razu jest odczytywana przez widza, odkrywa po chwili kolejne pokłady znaczeń i zachęca do refleksji nad uniwersalnymi problemami ludzkiej egzystencji. Jednocześnie, poprzez nierealne ujęcie postaci i rzeczy, które jakby dopiero co wyszły z zakątków podświadomości autora, jesteśmy prowadzeni do innych światów, do innej rzeczywistości. Surrealistyczny świat artysty pełen jest niekończących się refleksji, kontemplacji, często nostalgii. Każdy obraz ma swój nastrój, ale przeważa w nich liryczny spokój, który pobrzmiewa w duszy widza nutą smutku, a jeśli rado-

Iwan Marczuk • *Pamiętajcie ślady swoje*, 1978



ści – to jakby niespiesznej, pełnej powolnego rytmu. Dla wielu prac artysty charakterystyczne jest zmaganie się zarówno z nieprzerwanym biegiem czasu, jak i z niepojętą wiecznością.

Wydaje się, że najwyraźniejszym przejawem światopoglądu artysty jest jego dziesiąty cykl *Spojrzenie w bezmiar*, którego źródeł szukać należy w poprzedzającym go cyklu (dziewiątym) *Marzenia wychodzą z brzegów*. To logiczna kontynuacja odtwarzania przez artystę wielorakości i nieskończoności światów, myśli, uczuć oraz różnorodności w postrzeganiu wszechświata. Nad cyklem tym Marczuk pracuje od jesieni 2008 roku do dziś. *Spojrzenie w bezmiar* obejmuje obecnie ponad trzy tuziny płócien. Jego cechą charakterystyczną, odróżniającą go od poprzednich, jest nadzwyczajna spójność i integralność wszystkich prac. Wyraża się to szczególnie poprzez swojego rodzaju wzajemne zestawianie obrazów. Rozmieszczając obrazy obok siebie, artysta otrzymuje w rezultacie całościowe i harmonijne *panneau*, mozaikę połączoną jednym sensem, jedną ideą, której każdy kawałek (czyli każdy obraz oddzielnie) wyposażony jest w unikalny odcień nastroju, odczuwania świata i ideowe przesłanie. Nasycenie współczesnego życia bezlikiem zdarzeń, ich nieustanny ruch i szybkość, przeplatają się z osobistym spojrzeniem na świat, tworząc specyficzną wizję, która tak wyraziście pulsuje w płótnach. Według słów artysty, zagląda on jakby „na drugą stronę nieba”, do tych poza-świadomych światów, których niezliczoność i bezgraniczność tworzy absolutnie gigantyczny chaos, ogromne wysypisko. Dopiero intuicja oraz podświadomy ogląd i fantazja artysty wyszukują coś pięknego i sensownego, przetwarzając chaos w całościowy twór, napełniony głębokim znaczeniem.

Chaos kosmosu, alogiczny ruch bezmiaru świata jest zwielokrotnioną projekcją, jest modelem współczesnej kondycji świata. Tego rodzaju patrzenie staje się szczególnie charakterystyczne dla współczesnej Ukrainy, gdzie nastroj niepewności, niejasności, nierozumienia kierunków życia społecznego, społeczno-gospodarczej i politycznej sytuacji, znajduje odzwierciedlenie w duszy takich artystów jak Iwan Marczuk. *Spojrzenie w bezmiar* jest konstruowane wedle praw leżących poza granicami świadomości i możliwości rozumienia widzów, którzy jedynie intuicyjnie mogą dostroić się do klimatu obrazów, nie są jednak w stanie pojąć podświadomej logiki Marczuka. Mimo to, widz nie może odwrócić wzroku i podąża za rytmem form oraz powikłań kolorystycznych harmonii. Metoda pracy artysty wydać się może dość chaotyczna. Marczuk nigdy z góry nie zastanawia się nad tym, co tworzy jego ręką, prowadzona przez niestrudzoną w poszukiwaniu, surrealistyczną podświadomość. Zapewne dlatego jego prace znajdują się nie tylko poza świadomością widzów, ale nawet poza granicami jego własnej świadomości. Czy nie jest to dość powszechne dla współczesnego oglądu i postrzegania świata? Specyfiką cyklu *Spojrzenia w bezmiar* jest połączenie linii surrealizmu z abstrakcją, dekoratywności i lokalności koloru ze światłocieniowym modelowaniem konkretnych detali fantastycznych form. Nieprzewidywalne kontury wywołują w podświadomości widza dziwne asocjacje z formami rzeczywistego świata ziemskiego. Lecz sam artysta nie odtwarza halucy-

Iwan Marczuk • z cyklu: *Spojrzenie w bezmiar*Iwan Marczuk • z cyklu: *Spojrzenie w bezmiar*

Iwan Marczuk • *Kładły się cienie na drodze*, 2004

nacyjnych wariantów rzeczywistości. Marczuk odwzorowuje jedynie na płótnie swoje bezgraniczne, podświadome światy, których formy nie są czymś konkretnym, a demonstrują jedynie swoją płynność, skłonność do elastycznego przeciekania i transformacji. Prace dziesiątego cyklu prezentują, klasyczne dla surrealizmu, fantastyczne transformacje obiektów i form, ewoluujących nawet w ramach jednego obrazu, a mimo to pozbawionych absurdalności czy też niezborności. Z drugiej strony, całkowite wycofanie się do podświadomości, powrót do świata fantasy, do pewnej płynności marzeń sennych i jednoczesna obecność wielkich konkretnych form zbliża te prace do abstrakcyjnego odgałęzienia surrealizmu. *Spojrzenie w bezmiar* jest absolutnie logicznym (!) i organicznym tworem współczesności, zwierciadłem estetycznej świadomości i podświadomości artysty, jego psychologicznego stanu i filozoficznego ujęcia bytu, a jednocześnie naoczną demonstracją plastycznych transformacji świata, zrealizowanych w ogromnych ruchomych formach, które twórca wyciąga z mrocznej nieskończoności wszechświata.

Obecnie Iwan Marczuk żyje i kontynuuje twórczą pracę w ukochanym, rodzinnym Kijowie. Jest wśród nas. Ma dopiero 75 lat. Sam artysta zapewnia, że gdyby miał żyć wiecznie, będzie malował niebo i zawsze uczyni to inaczej. Ukraina i świat czekają więc na nowe prace mistrza. Wierzimy, że najlepsze obrazy dopiero zobaczymy. Liczymy na to...

■

Tłumaczył
Roman Sapeńko



Iwan Marczuk • *Wiktor Juszczenko*



Iwan Marczuk • *Pokusa*, 1992

Projekt BOMŻ

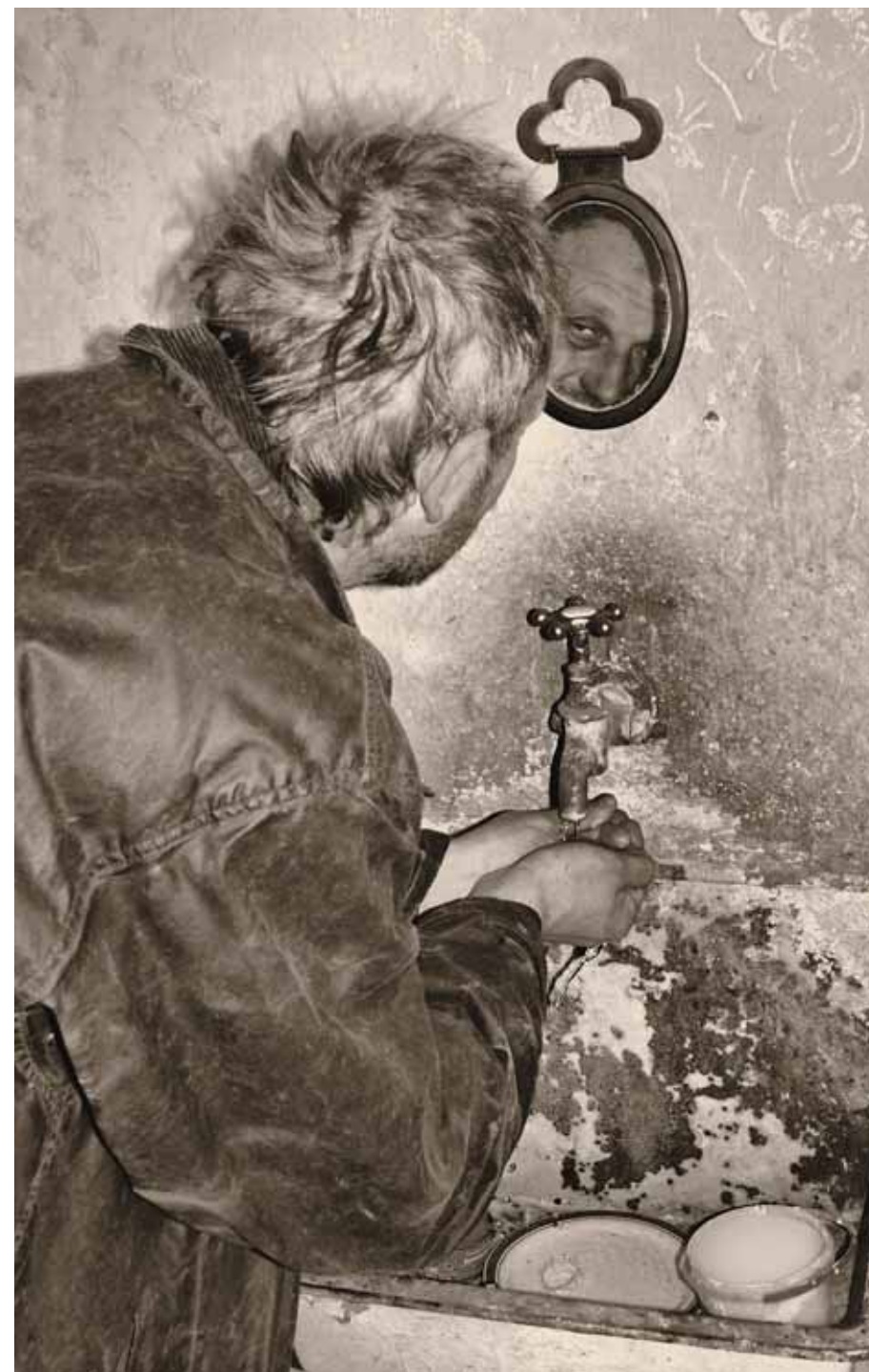
Projekt BOMŻ – Bez Stałego Miejsca Tworzenia – został wymyślony przez poetę Hrycka Semenczuka dla pisma „Prosta neba” (Pod gołym niebem), wydawanego przez lwowsko-wygnaniacką Wspólnotę Wzajemnej Pomocy „Oselia” (osada). Pismo ma charakter kulturalno-artystyczny i jednocześnie społeczno-informacyjny. Jego głównym zadaniem jest pisanie o bezdomności i dla bezdomnych, służyć im informacją i pomocą. Kolportowane jest przez nich samych, a połowę dochodu ze sprzedaży pisma mogą zachować dla siebie.

Do każdego numeru Rostysław Szpuk przygotowuje materiał zdjęciowy z sesji z jednym bohaterem – artystą, pisarzem, poetą. Do tej pory w role bezdomnych wcielali się Jurij Andruchowycz, Sofija Andruchowycz, Taras Prochaśko, Jurij Izdryk, Oleh Hnatiw, Wołodymir Jeszkiw, Myrośław Jaremak, a ostatnio Tania Malarczuk.

Projekt BOMŻ rozwinął się i przekształcił w wystawę fotograficzną „300-milimetrowe kino” (montowana jest z czterech ujęć na trzystumilimetrowej taśmie, przez co przypomina kadry filmowe), która była prezentowana w Iwano-Frankiwsku i we Lwowie, a jej ciągle aktualizowana wersja jest dostępna w internecie.

Tytuł projektu nie jest łatwy do przełożenia. Skrót BOMŻ pochodzi bowiem z języka rosyjskiego i jest urzędowym określeniem osoby bezdomnej „Biez Opriedielnogo Miasta Żytelstwa” – bez miejsca stałego zamieszkania, bez stałego zameldowania. Funkcjonuje jako zwykły, odmieniający się przez przypadki rzeczownik: bomż, bomża, bomżem. Oznacza nie tylko bezdomnego, jest pogardliwym określeniem osoby z marginesu społecznego, włóczęgi, alkoholika, polskiego menela, żula. Rostysław Szpuk tytuł swojego projektu rozszyfrowuje jako „Bez Oznak Mysteckoho Żyttia” – Bez Cech Artystycznego Życia.

(Oprac. Dorota Różycka na podstawie wywiadu z Rostysławem Szpukiem, który dla czasopisma „e-Radar” przeprowadziła Renata Rusnak. Pełny tekst wywiadu dostępny pod adresem www.e-radar.pl)





Rostosław Szpuk

BOMŻ

(Bez Cech Artystycznego Życia):

prawie tekst-ilustracja
do prawie fotoopowieści

Jeżeli w twojej przeszłości królowała przyszłość, to może się ona w niej zatracić. I nie nadejść...

Bomże to osobniki nieoczekujące zysków, nie pragną posiadania tego, co dla innych wręcz niezbędne, i kiedy nagle czegoś potrzebują, to tylko dlatego, żeby móc jakoś się obejść bez owego poczucia, że czegoś im brakuje, a przy tym zrzucić z siebie ciężar stereotypowych obowiązków.

Bomże nie muszą organizować się w rodziny, aby stać się kruchą „podstawową komórką społeczną”, ze wszystkimi „gradacjami, kasacjami, sanacjami, lustracjami, fellacjami” i innymi społecznymi roszczeniami życia społecznego.

Jakkolwiek byśmy uszlachetniali pracę, w rewanżu za to, jak to ona nas „uszlachetnia”, to każda praca, której się podejmujemy, w jakimś stopniu sprowadza się do wykorzystywania naszego braku wykształcenia, braku kompetencji, naszej głupoty albo niedoskonałości, a może pomysłowości, w przeciwnym razie bowiem każdy z nas znalazłby sposób, żeby się od niej wykręcić.

Miasto, w którym nie ma bomży, jest martwe jak park pełen starych drzew, w którym nie ma już jeży, bo wielu ludzi przypomina blaknące się psy – nie przestrzegają zasad regulujących nasze wspólne życie. Jeśli w pewnym sensie wszyscy jesteśmy teatralnymi kukiełkami, to oni są kukiełkami, którym obcięto sznurki umożliwiające właściwe funkcjonowanie. Nikt nie narzucił im tej „wolności”, sami dobrowolnie (a dokładniej – z winy złego losu) stanęli z tyłu, zlikwidowali kolejkę, wszystkim innym dając możliwość, aby bez jakichkolwiek wysiłków, niejako uprzedzając wydarzenia, przestali być ostatni. I tu trzeba przyznać państwu, że tę warstwę społeczną przed zniknięciem chroni skuteczniej niż inne... Można by rzec, że oni wszyscy

– bomże wagi państwowej – sami sobie są ochroniarzami, często sami sobie są także ścianami, stanowią dla siebie okna i kraty.

Oczywiście, istnieją różne przyczyny, motywy czy wewnętrzne głosy, które powodują, że zostają oni bomżami – czasem decyduje im tylko właściwa psychika (jakieś specyficzne odczuwanie otaczającego świata), niekiedy niechęć wobec norm i przymusu; z jednej strony może to być jakaś cecha wrodzona, z drugiej – coś w rodzaju zwyrodnienia. Można w tym widzieć swoistą alergię „na przyciąganie ziemskie”, poczucie, że cokolwiek zrobisz, ręce opadają, po prostu coś się „zapowietrzyło” w pojmowaniu świata i nie da się już w żaden sposób naładować tej wewnętrznej baterii.

Bardzo łatwo potępić bomży, gdyż skutecznie, po swojemu, opierają się stereotypom. Typowy (czyli przeciętny) bomż to człowiek ulotnych uczuć, należący do konkretnej republiki-komuny, która stanowi solidny fundament (w każdym znaczeniu), z niej wyniesiono wszelkie „dekoracje”, wszystko, co nieprawdziwe, sztuczne – wymyślone. Tam nie obowiązuje tak istotna dla nas dyktatura kalendarza, oddawanie hołdu wielkim datom. Prawo głosu przepadło, zostało zredukowane do maksymalnej liczby zer, jaką można zmieścić na banknocie, a pojęcie „żyć” zamieniono na inne: „gnieździć się”. Bieda ich nie jest wydumana, nie jest autosugestią – w przeciwieństwie do powszechnie panującej zwyczajnej mieszczańskiej biedy.

Projekt „Bez Cech Artystycznego Życia” (zainicjowany przez młodych lwowskich literatów w ramach, i poza ramami, magazynu „Pod gołym niebem”) nie jest maskaradą, miał on umożliwić odbiorcom przynajmniej zerknięcie za zasłonę oddzielającą świat bomży od „reszty”, aby na własne oczy mogli się przekonać, że podział na bomży i resztę jest czymś jedynie umownym, niemającym wyraźnej granicy, obydwie bieguny są zależne od siebie, a stany przeciwne łatwiej się przenikają, niż się to może wydawać. Bo stać się bomżem może nawet pomnik, i odwrotnie – bomże są pomnikami architektury. Tylko nikt nie składa przed nimi wieńców.

(Tekst zamieszczony
w katalogu wystawy fotografii)

Tłumaczyła **Ksenia Kaniewska**

Rostosław Szpuk,

ur. 1967. Fotograf, ilustrator. Pomysłodawca i autor projektu fotograficznego BOMŻ – cyklu fotografii przedstawiających znanych ukraińskich pisarzy ucharakteryzowanych na bezdomnych. Prace swoje wystawiał w Kijowie, Lwowie, Iwano-Frankiwsku, a także w Cieszynie. Publikuje w czasopiśmie „Photographer”, „Nowinar”, „Prosto Neba”, „Kraina”, „Radar” i innych. Ostatnio wraz z Jurijem Izdrykiem i Hryckiem Semenczykiem pracował nad audiowizualnym projektem *Drum TI atr.* Mieszka w Iwano-Frankiwsku.



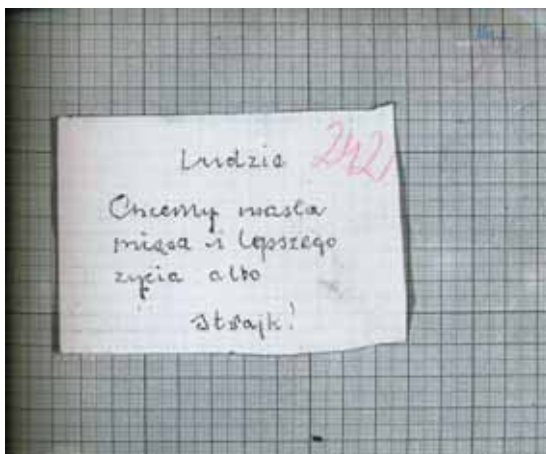
Zbigniew Bereszyński

Przełom polityczny z lat 1970–1971 na Śląsku Opolskim

Gdy w październiku 1956 r. Władysław Gomułka, stary komunista, ale także były więzień polityczny, represjonowany w okresie stalinowskim z powodu rzekomego „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego”, obejmował funkcję I sekretarza Komitetu Centralnego PZPR, powszechnie łączono z tym faktem nadzieję na demokratyzację życia politycznego w kraju i rozluźnienie polityczno-militarnej zależności Polski od Związku Sowieckiego. Nadzieje te zostały jednak zrealizowane tylko w niewielkim stopniu, a z upływem czasu nastąpił wyraźny odwrót od przejściowej liberalizacji. Gomułka dość szybko zaczął na nowo „dokręcać

śrubę” społeczeństwu, angażując się w kolejne konflikty z Kościołem, tzw. rewizjonistami partyjnymi i znaczną częścią środowisk inteligentnych.

Do rządów Gomułki rozczarowały się stopniowo również środowiska robotnicze, oczekujące poprawy material-



nych warunków bytu. Stałym problemem był niedostatek poszukiwanych przez społeczeństwo dóbr konsumpcyjnych. Szczególnie wiele negatywnych emocji budził permanentny kryzys na rynku mięsa i artykułów mięsnych. Podaż tych artykułów zawsze pozostawała w tyle za popytem, a długie kolejki w sklepach mięsnych należały do codziennej rzeczywistości tamtych czasów. Powszechnym zjawiskiem było „polowanie” na trudno dostępne artykuły konsumpcyjne. Tak np. w 1970 r. przeciętny Polak zmuszony był tracić dziennie 1,5 godziny na wystawanie w kolejkach i szukanie towarów w sklepach.

Przed burzą

Reakcje środowisk pracowniczych na złe warunki życia nie ograniczały się tylko do narzekań i krytycznych wypowiedzi pod adresem władz. W różnych zakładach pracy na terenie kraju dochodziło do strajków, nazywanych eufemistycznie „przerwami w pracy”. Tylko w pierwszym kwartale 1970 r. doszło do 32 strajków w różnych częściach kraju.

Przejawy aktywnego sprzeciwu wobec nieznośnych warunków życia społecznego w PRL dały się zaobserwować również w województwie opolskim. Wyrażało się to w szczególności w rozpowszechnianiu wierszowanych tekstów satyrycznych, „dowcipów ośmieszających przedstawicieli najwyższych władz partyjnych i państwowych oraz anonimów, napisów itp.”. Miejscowa SB wszczęła w związku z tym 17 spraw przeciwko 15 podejrzanym.

Szczególnie wymownym przejawem szerzącego się niezadowolenia społecznego było żywiłowe powielanie satyrycznego tekstu *Jadłospis*, który w ocenie komunistycznej Służby Bezpieczeństwa ośmieszał „dostojników państwowych i partyjnych w kontekście zaistniałych trudności rynkowych na niektóre artykuły spożywcze”. Anonimowy autor *Jadłospisu* wyliczał, jakie artykuły konsumpcyjne przysługują wymienionym z imienia i nazwiska dygnitarzom komunistycznym, a co zostaje dla reszty społeczeństwa. Czołową pozycję w tekście zajmował oczywiście Władysław Gomułka, któremu przyznano przywilej konsumowania bekonów i bułek. Nie pominięto również – rzecz ciekawa – przyszłego szefa PZPR, Edwarda Gierka, którego przysmakami miały być golonka i żeberka. Ludzie o stalowych nerwach mieli żywić się rybami i konserwami rybnymi. Reszta pracującej ludności musiała zadowolić się ochłapami, kośćmi, chlebem z margaryną na śniadanie, jajami trzeciego gatunku na obiad oraz sucharkami i ceresem (rodzaj tłuszczu roślinnego) na kolację.

Według ustaleń SB, tekst *Jadłospisu* – znany również w innych częściach kraju – był jesienią 1970 r. rozpowszechniany m. in. w Zakładach Przemysłu Bawełnianego „Frotex” i niektórych

Zbigniew Bereszyński,

ur. 1956. Publicysta, autor prac naukowych i popularnonaukowych z dziedziny historii. Zasłużony działacz niepodległościowy. Mieszka w Opolu.

innych zakładach pracy na terenie Prudnika. Kolportaż polegał na „indywidualnym przepisywaniu jego treści w paru egzemplarzach na maszynie lub ręcznie” oraz przekazywaniu „znajomym lub współpracownikom”. Dalsze rozpowszechnianie *Jadłospisu* uniemożliwiła interwencja SB oraz powiatowej organizacji partyjnej PZPR. Funkcjonariusze SB przeprowadzili ogółem 52 rozmowy ostrzegawczo-wyjaśniające z osobami ze środowiska prudnickiego, które kolportowały, posiadały bądź czytały tekst *Jadłospisu*.

Podobna sytuacja wystąpiła w Gminnej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska” w Gorzowie Śląskim, w ówczesnym powiecie oleskim. Organizatorem kolportażu *Jadłospisu* był tutaj wiceprezes GS, Roman Jerzyk, członek PZPR, zamieszkały w Prasce, w ówczesnym powiecie wieluńskim. W ramach działań represyjnych został on przesunięty na inne stanowisko pracy i wydany z PZPR. Prokuratura Powiatowa w Kluczborku wszczęła przeciwko niemu śledztwo, które jednak zostało umorzone pod koniec grudnia 1970 r. SB odnotowała również trzy inne przypadki kolportażu *Jadłospisu* w powiecie oleskim. W przypadkach tych zostały przeprowadzone rozmowy ostrzegawcze z kolporterami.

Za sprawą Marceliny Sznabel, rewidentki Powszechnej Spółdzielni Spożywców „Społem”, tekst *Jadłospisu* był rozpowszechniany także w Brzegu. Przy okazji przeprowadzanych przez siebie remanentów w sklepach, odczytywała ona tekst *Jadłospisu* z dopisanym dodatkowo satyrycznym dwuwierszem o Leninie, zaczynającym się od słów „W małej chatce w Poroninie...”. Sznabel została zatrzymana na 48 godzin przez SB, a Prokuratora Rejonowa w Brzegu wszczęła przeciwko niej śledztwo, umorzone w końcu grudnia 1970 r.

Narastająca w społeczeństwie frustracja – spowodowana głównie sytuacją ekonomiczną – doprowadziła do tego, że również w województwie opolskim zaczęto myśleć i mówić o ewentualnych akcjach strajkowych i innych wystąpieniach protestacyjnych. Już w styczniu 1970 r. jeden z tajnych współpracowników SB (skrywający się za pseudonimem „Polana”), relacjonując krytyczne wypowiedzi pracowników Instytutu Śląskiego w Opolu, narzekających na „duże ograniczenia finansowe, brak papieru, pieniędzy na publikacje”, przytoczył m. in. następujący komentarz Stanisława Gruszeckiego: „czuję w kościach »nowy marzec« w roku 1970”. Wypowiedź ta nawiązywała do protestów studenckich z marca 1968 r.

Pod koniec października 1970 r. na tablicy ogłoszeń wydziału tkalni prudnickiego „Frotexu” nieznana osoba wywiesiła wykonaną odręcznie ulotkę o treści: „Ludzie, chcemy masła, mięsa i lepszego życia – albo strajk!” Ulotka została przejęta przez SB, ale wcześniej z jej treścią zapoznać się część załogi wydziału.

Podwyżka

Przed końcem 1970 r. ostatecznie przebrała się miara cierpliwości w wielu środowiskach pracowniczych PRL. Bezpośrednią tego przyczyną stała się kolej-

na drastyczna podwyżka cen, wprowadzona w życie z dniem 13 grudnia 1970 r., w okresie intensywnych zakupów przed świętami Bożego Narodzenia. Podwyżka ta była dla społeczeństwa prawdziwym szokiem. Po raz kolejny podniesiono wówczas ceny mięsa i jego przetworów – tym razem średnio o 17,6 %. W drastycznym stopniu wzrosły także ceny innych artykułów spożywczych. Podniesiono ceny opału i niektórych materiałów budowlanych. Więcej kosztować miały też m. in. motocykle, motorowery, rowery, sprzęt sportowy, sprzęt fotograficzny, meble, artykuły papiernicze, zasypki dla dzieci i najpopularniejsza pasta do zębów. Niejako na zasadzie przeciwwagi, przy akompaniamencie hałaśliwej akcji propagandowej, obniżono ceny niektórych artykułów przemysłowych. Tak skonstruowana regulacja cen uderzała najdotkliwiej w najsłabsze materialnie rodziny, dla których główną pozycję w wydatkach stanowiły zakupy niezbędnych do życia artykułów spożywczych.

Stanisław Słodkowski i rewolta robotnicza na Wybrzeżu

Podwyżka pociągnęła za sobą wielką falę robotniczych protestów w różnych częściach kraju. Podjęta przez władze PRL próba zdławienia rewolty przy użyciu siły zaostriżyła tylko sytuację, doprowadzając do trwających kilka dni krwawych starć ulicznych w Gdańsku, Gdyni, Szczecinie i Elblągu.

Szczególnie dramatyczny przebieg miały wydarzenia Gdyni. Chaotyczne działania władz komunistycznych doprowadziły tam do straszliwej tragedii, której kulisy ciągle jeszcze nie doczekały się pełnego wyjaśnienia. 15 grudnia 1970 r. zastrajkowała załoga gdyńskiej Stoczni im. Komuny Paryskiej. Stoczniovcy wraz z pracownikami innych zakładów udali się do Komitetu Miejskiego PZPR, a następnie do Prezydium Miejskiej Rady Narodowej. Przewodniczący MRN, Jan Mariański, przystąpił do rozmów z komitetem strajkowym, któremu przewodził Stanisław Słodkowski, urodzony w 1944 r. w Kolonii Mosty, na dawnych polskich kresach wschodnich, ślusarz-spawacz, ówczesny pracownik stoczni gdyńskiej, zamieszkały na stałe w Głubczycach w województwie opolskim. Doszło nawet do podpisania „Protokołu porozumiewawczego”. Po rozmowach z Mariańskim został powołany Główny Komitet Strajkowy Miasta Gdyni pod przewodnictwem Stanisława Słodkowskiego. W godzinach wieczornych komitet ten opracował odezwę z siedmioma postulatami strajkowymi, dotyczącymi spraw cenowych i płacowych.

Niestety, w nocy z 15 na 16 grudnia 1970 r., na krótko przed północą, Słodkowski i inni członkowie Głównego Komitetu Strajkowego zostali zatrzymani i przewiezieni do Aresztu Śledczego w Wejherowie. Oburzona tym załoga stoczni gdyńskiej próbowała bezskutecznie interweniować w Prezydium MRN i Dowództwie Marynarki Wojennej. Wysłany na Wybrzeże przedstawiciel Biura Politycznego Komitetu Centralnego PZPR, Zenon Kliszko, zarządził zwolnienie z pracy wszystkich gdyńskich stoczniovców i ponowne zatrudnienie tylko tych, którzy zo-

staną pozytywnie zweryfikowani przez SB. Zjednoczenie Przemysłu Okrętowego postanowiło zawiesić działalność stoczni gdyńskiej z dniem 17 grudnia 1970 r., a o północy stocznia została formalnie zmilitaryzowana. Dojścia do zakładu zostały zablokowane przez wojsko i milicję.

Tymczasem działający bez uzgodnienia z Kliszką wicepremier Stanisław Kociołek, w wystąpieniu nadanym wieczorem 16 grudnia 1970 r. przez lokalne radio i telewizję, wezwał pracowników do powrotu do pracy. Apel ten został pozytywnie odebrany przez większość załóg i rankiem 17 grudnia 1970 r. pracownicy masowo stawili się do pracy. Na ich drodze stanęło jednak wojsko, które po bezskutecznych wezwaniach ludzi do zatrzymania się, zaczęło strzelać z broni maszynowej, dokonując prawdziwej masakry. Zginęło jedenaście osób, było wielu ciężko rannych. Doszło również do licznych aresztowań. Odpowiedzią na masakrę były manifestacje uliczne. Przy ich rozpędzaniu przez wojsko i milicję zginęło kolejnych siedem osób.

Następnego dnia, 18 grudnia 1970 r., SB rozpoczęła weryfikację pracowników zamkniętej stoczni gdyńskiej. Z łącznej liczby około 8,5 tysiąca stoczniovców zakwalifikowano negatywnie blisko 660 osób. Pozostali powrócili do pracy 20 grudnia 1970 r. Wśród tych, którym odmówiono prawa powrotu do stoczni, znalazł się również Stanisław Słodkowski. W związku z tym powrócił on do Głubczyc, zatrudniając się w miejscowym Przedsiębiorstwie Budownictwa Rolniczego. Jako czołowy uczestnik grudniowego protestu robotniczego stał się on obiektem zainteresowania opolskiej SB, która pierwotnie planowała objęcie go kontrolą operacyjną w ramach prowadzonego samodzielnie kwestionariusza ewidencyjnego. W późniejszym czasie miejscowa SB zaczęła jednak realizować zadania związane ze dochodzeniem prowadzonym przeciwko Słodkowskiemu przez SB w Gdańsku, rezygnując z planowanego założenia kwestionariusza ewidencyjnego.

Trzeba wyjaśnić w tym miejscu, że jeszcze przez szereg miesięcy po upadku Gomułki i objęciu najwyższej funkcji partyjnej przez Gierka, władze komunistyczne kontynuowały działania represyjne przeciwko dużej liczbie uczestników grudniowej rewolty robotniczej. Wiele osób przebywało w aresztach w oczekiwaniu na przygotowywane procesy. Żadnych tego typu akcji nie planowano natomiast w stosunku do osób z kręgu aparatu władzy, odpowiedzialnych za grudniowy rozlew krwi na Wybrzeżu.

Obiektem represji stał się również Stanisław Słodkowski, o którym wiadano, że próbował kontynuować niepożądaną przez władze działalność również po zwolnieniu go z Aresztu Śledczego w Wejherowie. O poczynaniach Słodkowskiego i związanych z nim ludzi, SB dowiadywała się na bieżąco dzięki uzyskanemu w tym czasie „dotarciu operacyjnemu” do tej grupy (przypuszczalnie pozyskano jakiegoś informatora w tym kręgu). Zapewne dzięki temu błyskawicznie zareagowano na kolejną inicjatywę Słodkowskiego i jego kolegów, podjętą na spotkaniu w dniu 12 stycznia 1971 r., kiedy to – jak napisano w materiałach SB – „wyłoniła się idea zorganizowania nielegalnego związku”. Już następnego

dnia wszyscy uczestnicy spotkania, a mianowicie Stanisław Słodkowski, Krzysztof Muskała, Kazimierz Mizerski (wiceprzewodniczący Głównego Komitetu Strajkowego Miasta Gdyni w grudniu 1970 r.), Stanisław Denis, Zbigniew Szymański, Weronika Szymańska i Andrzej Szymankiewicz, zostali zatrzymani przez SB. Wydział Śledczy KW MO w Gdańsku wszczął przeciwko nim dochodzenie z art. 278 kodeksu karnego. Niezależnie od tego, opolska SB starała się kontrolować Słodkowskiego w miejscu pracy i zamieszkania, posiłkując się w tym celu osobowym źródłem informacji – tzw. kontaktem obywatelskim.

Dochodzenie przeciwko Stanisławowi Słodkowskiemu i jego kolegom zostało w dniu 3 kwietnia 1971 r. ostatecznie umorzone, co uzasadniono znikomym niebezpieczeństwem społecznym czynu zarzucanego podejrzanym. W związku bowiem z niezwłocznym zatrzymaniem ich przez SB, podejrzani nie zdążyli podjąć planowanej działalności organizacyjnej.

Akcje protestacyjne na Opolszczyźnie i działania prewencyjne aparatu bezpieczeństwa

Główną widownią grudniowej rewolty robotniczej było Wybrzeże. Burzyły się i protestowały jednak również środowiska pracownicze w innych częściach kraju.. Szczególnie istotną rolę w dalszym rozwoju wydarzeń odegrał rozpoczęty 10 lutego 1971 r. wielki strajk w zakładach bawełnianych Łodzi. Do akcji strajkowych i innych aktów protestu dochodziło jednak również w innych częściach Polski.

Fala społecznych protestów nie ominęła również województwa opolskiego. Najgroźniejsza dla władz komunistycznych sytuacja wystąpiła na terenie Nysy, gdzie w godzinach przedpołudniowych 17 grudnia 1970 r. zastrajkowało ponad 700 pracowników Zakładów Urządzeń Przemysłowych. Akcja strajkowa zaczęła się na Wydziale Mechanicznym ZUP, gdzie o godzinie 6.00 nie podjęło pracy około 500 osób. Według późniejszych materiałów SB, jako pierwsi zastrajkowali Stanisław Kluska i Józef Sawko. Za przykładem Wydziału Mechanicznego poszli pracownicy Wydziału Montażowego (około 160) i Wydziału Odlewni (około 50). Niektóre materiały SB mówią o podjęciu akcji strajkowej przez około 1500 pracowników ZUP (na łączną liczbę 4500 zatrudnionych).

Strajkujący krytykowali podwyżkę cen, żądając wyjaśnienia jej powodów, a także deklarowali solidarność ze strajkującymi robotnikami Gdańska i żądali dokładnej informacji o wydarzeniach w tym mieście. Niezależnie od tego pracownicy Wydziału Mechanicznego domagali się zrewidowania norm wydajności pracy. Żądano „zbadania prawidłowości pracy technika normowania, który ich krzywdzi”. W materiałach SB odnotowano, że ta ostatnia kwestia została wyjaśniona „i niektóre normy faktycznie uległy zmianie”. Strajk zakończył się o godzinie 12.00 po rozmowach z dyrekcją ZUP oraz przedstawicielami zakładowych, miejskich i wojewódzkich władz partyjnych PZPR.

Tego samego dnia w Liceum Ogólnokształcącym w Nysie (tzw. Carolinum) pojawiły się ulotki o treści: „Uczcijmy chwilą milczenia pamięć Polaków poległych w walce o słuszną sprawę”, „Popieramy prawdziwych Polaków z Gdańska”, „Śmierć komunistycznym bandytom”. Na ulotkach widniały faktyczne bądź fikcyjne podpisy setki uczniów. Rozpoznano wśród nich m.in. podpis Janusza Sanockiego, późniejszego wieloletniego lidera nyskiej „Solidarności”.

Ulotki lub napisy o treści opozycyjnej pojawiły się także w innych miejscowościach regionu (Opole, Brzeg, Grodków, Racibórz, Tworków k. Raciborza, Skoroszyce, Kędzierzyn, Paczków, Wołczyn, Góraźdże, Ozimek, Zawadzkie). Przykładem tego może być napis „Idioci, ceny”, namalowany 13 grudnia 1970 r. farbą olejną na szybach auli Studium Nauczycielskiego w Namysłowie. W następnych dniach, w tymże mieście pojawiły się napisy o treści „Nigdy więcej podwyżki” oraz „Precz z Gomułką i złodziejami ze stanowisk”. 21 grudnia 1970 r. w Brzegu pojawiły się ulotki o treści: „Zamienię książeczkę partyjną na kilo smalcu”. Na jednej z nich widniał dopisek: „zgłoszenia przyjmuje KP MO”. SB odnotowała również wiele wypowiedzi ustnych o charakterze opozycyjnym. W Opolu aresztowano mężczyznę, który rozbił witrynę w sklepie z artykułami mięsnymi.

Większej liczbie tego typu zdarzeń na terenie Opolszczyzny miała zapobiec szeroko zakrojona akcja profilaktyczno-represyjna SB i MO, podjęta w ramach szerszej akcji o kryptonimie „Jesień 70”, prowadzonej w całym kraju przez służby podległe MSW w związku ze spodziewanymi niepokojami społecznymi na tle podwyżek cen. Działając na mocy specjalnych dyrektyw MSW, do 20 grudnia 1970 r. „izolowano” ogółem 337 osób (56 osób zatrzymanych przez SB i 281 zatrzymanych przez MO).

„Izolowani” byli m.in. czterej pracownicy Zakładu Energetycznego w Namysłowie: Włodzimierz Grzegorzczak, Stanisław Kocot, Leon Stelmaszyk i Leonard Wesołowski. Tego samego doświadczyli dwaj inni mieszkańcy Namysłowa – Kazimierz Peliak i Kazimierz Brzeski. Osadzeni w areszcie prewencyjnym zostali również dwaj pracownicy Głucholaskich Zakładów Papieru: Józef Ślęzak i Wiesław Jaszczyżyn. Funkcjonariusze Referatu SB Komendy Miasta i Powiatu MO w Opolu zatrzymali na 48 godzin dwóch robotników zamieszkujących w Kątach Opolskich, Wernera Pacullę (murarz) i Józefa Leżucha (stolarz), „którzy pochwalali wydarzenia na Wybrzeżu”. 15 grudnia 1970 r. „za wrogie wypowiedzi pod adresem KC i Rządu” został zatrzymany na pięć dni Antoni Wojciechowski, technik chemik zatrudniony w Zakładach Azotowych w Kędzierzynie. Funkcjonariusze SB z Komendy Powiatowej MO w Koźlu zatrzymali również Mariana Żabę, karanego sądowo za rozlepienie ulotek o treści opozycyjnej w marcu 1968 r. W powiecie krapkowskim SB „izolowała” siedem osób: trzy osoby znane już wcześniej z „wrogich wypowiedzi” oraz cztery osoby zatrzymane „za wrogie wypowiedzi i agresywną postawę w trakcie wypadków grudniowych”. Referat SB w Grodkowie „izolował” cztery osoby, w tym dwie osoby podejrzane o związek z pojawieniem się napisów o treści opozycyjnej (jedną z nich był Mirosław Pepke). Funkcjonariusze SB Miasta i Powiatu MO w Raciborzu w okresie „wydarzeń grudniowych” zatrzymali „profi-

laktycznie na 24 i 48 godzin ogółem 6 osób za uprawianie propagandy ustnej rewizjonistycznej lub rozpowszechnianie wiadomości szkodliwych dla PRL”. SB Komendy Powiatowej MO w Niemodlinie zatrzymała Bonifacego Polaka „za wrogie wystąpienia szkalujące przedstawicieli władz partyjnych i państwowych”.

Funkcjonariusze KP MO w Głubczycach zatrzymali Adama Hanuska, rolnika z Boguchwałowa, zatrudnionego jako magazynier w głubczyckiej Spółdzielni Ogrodniczej, który 16 grudnia 1970 r. na przystanku w Bogdanowicach „negował politykę Partii i Rządu, twierdząc, że powinno dojść do zmiany Rządu ze względu na podszły wiek, szczególnie Gomułki”. SB KP MO w Oleśnie „w okresie wydarzeń na Wybrzeżu” dokonała „w trzech wypadkach zatrzymań profilaktycznych na 48 godzin osób znanych z przeszłości ze swych wrogich wystąpień”.

W tym samym czasie SB i MO przeprowadziły również 1770 rozmów profilaktyczno-ostrzegawczych (SB – 480, MO – 1290). Charakter wybitnie ostrzegawczy miała rozmowa przeprowadzona 16 grudnia 1970 r. przez funkcjonariuszy Wydziału III Komendy Wojewódzkiej MO w Opolu ze wspomnianym już Stanisławem Gruszeckim, pracownikiem Instytutu Śląskiego w Opolu, znanym Służbie Bezpieczeństwa z krytycznego nastawienia do społeczno-politycznej rzeczywistości PRL. Gruszeckiego ostrzeżono, że „że w razie kontynuowania wrogich wypowiedzi politycznych zostanie poddana ocenie jego obecność w Instytucie Śląskim”. W ramach podjętej przez SB i MO akcji prewencyjnej zastosowano także wzmożone patrolowanie terenu miast i zakładów pracy.

Dalsze protesty i niepokoje społeczne

Robotnicze protesty z grudnia 1970 r. pociągnęły za sobą daleko idące zmiany personalne w najwyższych władzach partyjno-państwowych PRL. Dotychczasowy I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR, Władysław Gomułka, zmuszony był podać się do dymisji. Na VII Plenum KC PZPR, zwołanym w trybie nadzwyczajnym w niedzielę 20 grudnia 1970 r., nowym szefem partii został Edward Gierek, dotychczasowy I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach.

Zmiany na szczytach aparatu władzy nie satysfakcjonowały jednak środowisk pracowniczych, których znaczna część nadal protestowała przeciwko grudniowej podwyżce cen. Szczególnie istotną rolę w dalszym rozwoju wydarzeń odegrał rozpoczęty 10 lutego 1971 r. wielki strajk w zakładach bawełnianych Łodzi. Do akcji strajkowych i innych aktów protestu dochodziło jednak również w innych częściach Polski. Przykładem tego może być strajk w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego w Oleśnicy w dniach 19-20 lutego 1971 r. Jednym z przywódców akcji strajkowej w tym zakładzie był Józef Jasiński, mieszkaniec Namysłowa w województwie opolskim. Według materiałów SB skupił on wokół siebie „grupę młodych pracowników, których aktywizował do wrogich okrzyków i polemik”. Jasiński został członkiem komitetu strajkowego, który przedłożył dyrekcji ZNTK postulaty i żądania załogi. On

sam „domagał się głównie zmian personalnych na stanowiskach kierownictwa wydziału parowozowego, na którym pracował”.

Niespokojna sytuacja utrzymywała się również wśród mieszkańców województwa opolskiego. SB odnotowała tutaj w szczególności „zjawisko ustnych i anonimowych pogrozek pod adresem terenowych działaczy politycznych i społecznych”. Szereg odnotowanych przez SB wypowiedzi wyrażało sprzeciw wobec bezkarności osób odpowiedzialnych za niedawny rozlew krwi na Wybrzeżu. Dyskutujący o wydarzeniach z grudnia 1970 r. przedstawiciele opolskich środowisk inteligenckich szukali odpowiedzi na pytania: „kto personalnie ponosi odpowiedzialność za grudniowy dramat [?]; czy ludzie ci zostaną pociągnięci do odpowiedzialności i sprawiedliwie ukarani [?]; czy i kiedy społeczeństwo polskie znać będzie obiektywną prawdę [?]”. Były komendant komisariatu MO w Kędzierzynie, Jerzy Januszek, zatrudniony w zakładach „Kofama” w Koźlu Porcie, mówił, iż „będąc w Gdańsku dowiedział się całej prawdy i uważa, że najgorszymi łobuzami są funkcj.[onariusze] MO”, w związku z czym „dziś nie żałuje, że nie nosi już munduru”.

Ostro krytykowana była postawa i działalność ówczesnych związków zawodowych, funkcjonujących pod polityczną kuratelą PZPR. Zwłaszcza w środowiskach inteligencji technicznej powszechnie domagano się „zmiany formy i stylu ich pracy”. W toczących się na ten temat dyskusjach podkreślano, że „Związki Zawodowe są instytucją o przestarzałej strukturze organizacyjnej i nieżyciowych metodach działania”. Wskazywano na brak „więzi pomiędzy tą instytucją a ludźmi pracy”. Mówiono, że kontakty związków z załogami „ograniczają się do mobilizacji i zachęcania robotników do zwiększonej pracy i wykonywania zadań ponadplanowych fabryk”. Krytykowano nadmierną biurokratyzację związków oraz ich „sztywne podporządkowanie partii, która kieruje nimi w sposób imperatywny”. Oceniano jako rzecz niedopuszczalną, „by Związki zawsze bezkrytycznie realizowały decyzje partii i rządu, nie broniąc interesów szerokich mas”. Postulowano generalną wymianę kadr w związkach zawodowych (i nie tylko), a także dokonanie zmian w ich „strukturze organizacyjnej pod kątem likwidacji wielu organów administracyjnych”.

Do najbardziej spektakularnych akcji o charakterze opozycyjnym można zaliczyć nadanie audycji Radia Wolna Europa z wykorzystaniem sieci radiofonii przewodowej (tzw. kołchoźników) w centrum Opola. Akcja ta, przeprowadzona przez nieznaną osobę, wieczorem 25 stycznia 1971 r. (w godzinach od 19.30 do 20.00), objęła rejon dziesięciu ulic. Nie mogąc przerwać transmisji w inny sposób, państwowe służby radiofoniczne spowodowały zwarcie w sieci.

W okresie do połowy czerwca 1971 r. odnotowano w województwie opolskim również „99 przypadków kolportażu wrogiej lub szkodliwej politycznie propagandy pisanej”. Szczególną popularnością cieszyły się krążące w odpisach różne teksty *Piosenki grudniowej*, napisanej na melodię popularnej w owych czasach piosenki *Jadą wozy kolorowe*. Jedna z wersji tekstu zaczynała się od słów: „Jadą wozy milicyjne kolumnami”, inna od słów: „Jadą wozy kolorowe z gliniarzami”. W obiegu była również

wersja z tekstem zaczynającym się od słów: „Jadą wozy kolorowe na drewnianych kółkach”, stanowiąca satyryczny komentarz do politycznego upadku Władysława Gomułki. Najwięcej przypadków kolportażu tekstu piosenki odnotowano w powiatach nyskim, niemodlińskim i krapkowickim.

W wielu zakładach pracy województwa opolskiego utrzymywały się ostre napięcia społeczne, głównie na tle ekonomiczno-płacowym. Po doświadczeniach z grudnia 1970 r. pracownicy znacznie odważniej niż w przeszłości przedstawiali swoje postulaty i oczekiwania. W opracowanym w początkach lutego 1971 r. sprawozdaniu rocznym dla MSW opolska SB informowała: „Na fali ekonomicznych żądań portowców i robotników innych zakładów Wybrzeża, również na Opolszczyźnie zaczęto śmieiej wysuwać różnorodne postulaty. Robotnicy zwracali uwagę na niegospodarność i braki organizacyjne. Wiele krytycznych uwag wysuwano pod adresem terenowych ogniw Związków Zawodowych”.

Podobnie jak w innych częściach kraju, również na Opolszczyźnie zdarzało się, że przerywano pracę dla poparcia stawianych przez załogi żądań. Tak np. 6 stycznia 1971 r. w głubczyckich Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego – Zakład „E” w Łączniku (w ówczesnym powiecie prudnickim) strajkowało przez godzinę 40 pracowników z Oddziału Dziewiarni Ręcznej. Pracownice te protestowały przeciwko ustaleniu niekorzystnych dla nich stawek wynagrodzenia za produkcję nowej serii rękawiczek. Efektem strajku było blisko dwukrotne podniesienie przez dyrekcję stawki wynagrodzenia: z 5,30 zł do 10,00 za parę rękawiczek.

Do kolejnej akcji strajkowej doszło 26 stycznia 1971 r. w kopalni odkrywkowej bazaltu w Graczach, w ówczesnym powiecie niemodlińskim. Przerwali tutaj pracę zatrudnieni na drugiej zmianie robotnicy z Oddziału Wyrobniska i Transportu Wewnętrznego, oburzeni zaniżeniem przez kierownictwo o 200 kg wagi wózka z urobkiem. Strajk trwał od godziny 19.15 do 20.30, a jego efektem było cofnięcie niekorzystnej dla pracowników decyzji kierownictwa.

19 lutego 1971 r. w Śląskich Zakładach Pluszu i Dywanów w Kietrze strajkowało przez godzinę (od 11.00 do 12.00) 42 robotników z Oddziału Tkalni Dywanów Szeniłowych. Protestowali oni przeciwko decyzji dyrekcji o zakwalifikowaniu wykonanej przez nich partii dywanów do drugiej kategorii. Kierownictwo zakładów zażegnało konflikt, postanawiając, że dywany będą zakwalifikowane do drugiego gatunku, ale tkacze otrzymają wynagrodzenie jak w przypadku gatunku pierwszego, „albowiem wady nie powstały z ich winy”.

16 marca 1971 r. strajkowali przez godzinę (od 7.00 do 8.00) pracownicy Wydziału Remontów Związków Azotowych w Zakładach Azotowych „Kędzierzyn” – ogółem 24 osoby. Trzy osoby z tego grona, a mianowicie Józef Kosowski, Franciszek Rajca (członek PZPR) i Augustyn Serzysko, nie pracowały znacznie dłużej, bo w godzinach od 7.00 do 11.00. Pracownicy ci zostali wydelegowani do Komitetu Powiatowego PZPR w Koźlu dla przedstawienia postulatów załogi. Głównym powodem strajku był brak pozytywnej reakcji na żądanie załogi, która domagała się prze-

niesienia na inny wydział jednego z pracowników, członka PZPR, uważanego „za donosiciela do Dyrekcji i Komitetu Zakładowego [PZPR]”. Drugim powodem protestu był bulwersujący załogę tryb postępowania w sprawie premii („odbywały się trzy kolejne posiedzenia kolektynu w sprawie rozdziału premii dla robotników i na każdym zmieniano listę podziału premii”). Żądania załogi zostały spełnione (osoba uważana za donosiciela została przeniesiona do pracy w rozdzielni Zakładu Elektrycznego). Uczestnikom strajku potrącono jednak część wynagrodzenia za przerwę w pracy.

Władze komunistyczne obawiały się nowych inicjatyw opozycyjnych z okazji święta 1 maja. W związku z tym, rankiem 1 maja 1971 r., w godzinach od 4.00 do 7.00, SB i MO przeprowadziły „penetrację terenu województwa opolskiego”. Mimo to w nocy z 29 na 30 maja 1971 r. w różnych miejscach na terenie Kędzierzyna pojawiło się sześć napisów wykonanych olejną farbą. Cztery z nich wzywały do ukarania morderców i „rządowych zbrodniarzy z Gdańska”.

SB i MO próbowały w różny sposób przeciwdziałać szerzeniu się niepożądanych nastrojów i postaw w społeczeństwie. Celowi temu miały służyć w szczególności licznie przeprowadzane rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze. Sama tylko SB z Komendy Wojewódzkiej MO w Opolu (nie licząc powiatowych struktur SB) w okresie od 3 do 28 stycznia 1971 r. przeprowadziła ogółem 64 rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze „z osobami, które ze względu na swą negatywną postawę, względnie tendencyjne wypowiedzi, zwłaszcza w sprawach wydarzeń grudniowych, próbowały oddziaływać na otoczenie, szczególnie w zakładach pracy”.

VIII Plenum KC PZPR i odwołanie podwyżki

Poddane niezwykle silnej presji społecznej władze PRL były ostatecznie zmuszone cofnąć grudniową decyzję o podwyżce cen. Doszło do tego 15 lutego 1971 r. z mocą od dnia 1 marca. W wielu zakładach pracy województwa opolskiego dały się słyszeć głosy, że odwołanie podwyżki jest efektem robotniczych protestów, a w szczególności akcji strajkowej w Łodzi, oraz że: „klasa robotnicza wypróbowała nową broń i gdy im się coś nie będzie podobać, to ulgi wywalczą sobie strajkami”.

Decyzję o odwołaniu grudniowej podwyżki cen poprzedziły obrady VIII Plenum Komitetu Centralnego PZPR w dniach 6-7 lutego 1971 r. Na plenum tym powołano specjalną komisję pod przewodnictwem Jana Szydłaka dla zbadania przyczyn i okoliczności tragicznych wydarzeń z grudnia 1970 r. W praktyce skończyło się na pięknie brzmiących deklaracjach, a sprawy, którymi miała zająć się komisja, nie doczekały się rzetelnego wyjaśnienia aż do końca czasów komunistycznych. W kwestiach natury programowej VIII Plenum KC PZPR nie przyniosło nic poza ogólnikowymi deklaracjami na temat wypracowania „strategii dalszego rozwoju” oraz „dalszego postępu”, warunkowanego rozwojem „demokracji socjalistycznej”.

Jak o tym świadczą zachowane materiały SB, wiele osób od początku nie robiło sobie żadnych złudzeń co do możliwych efektów Plenum. Stanowisko takie prezentował

m. in. Tadeusz Żyliński, aktor Teatru Ziemi Opolskiej, były żołnierz AK, skazany w maju 1955 r. na rok aresztu za rozpowszechnianie fałszywych (a w istocie prawdziwych!) informacji na temat „gospodarczych i politycznych stosunków ze Związkiem Radzieckim, stosunków Związku Radzieckiego z innymi państwami, zbrodni katyńskiej, suwerenności i zmiany granicy zachodniej PRL, stosunków gospodarczych i politycznych w Polsce Ludowej”. Według informacji uzyskanych w dniu 6 lutego 1971 r. przez Wydział III SB KW MO w Opolu od TW ps. „Szejtan”, Żyliński wyraził negatywny stosunek do mającego właśnie rozpocząć się VIII Plenum KC PZPR, określając je „mianem jeszcze jednej szopki, urządzonej przez wszytkowiedzącą partię dla społeczeństwa”. Z wypowiedzi Żylińskiego wynikało, że niektórzy aktorzy ludzą się, iż „na VIII Plenum PZPR zgodzi się, aby jedno ze stronnictw miało charakter opozycji wobec PZPR”. On sam nie wierzył jednak w taką ewentualność, „gdyż w niedługim czasie opozycja zepchnęłaby PZPR do roli już nie drugorzędnej, ale trzeciorzędnej”. „Ludzie bowiem od dawna – argumentował Żyliński – mają dość rządów «czerwonej burżuazji»”.

Bardzo pesymistyczną ocenę sytuacji zaprezentowała także Aniela Górzna, nauczycielka geografii w Liceum Ogólnokształcącym w Grodkowie, znana już wcześniej Służbie Bezpieczeństwa „z negatywnych postaw i klerykalnych zapatrywań”. Według informacji uzyskanych przez SB od dyrektora liceum, miała ona na przełomie lutego i marca 1971 r. wyrazić następującą opinię: „sytuacja w kraju nie ulegnie zmianie; odeszli jedni, przyszli drudzy, tacy sami – była banda i będzie banda”.

Dramat braci Kowalczyków

Jedną z pośrednich konsekwencji tragicznych wydarzeń z grudnia 1970 r. była zmiana na stanowisku komendanta wojewódzkiego MO w Opolu. Na stanowisko to, zajmowane dotychczas przez płk. Benedykta Cadera, został przeniesiony płk Julian Urantówka, dotychczasowy komendant wojewódzki MO w Szczecinie, którego konto obciążał udział w niedawnym tłumieniu wystąpień robotniczych na Wybrzeżu.

W dniu 6 października 1971 r. płk Urantówka miał uczestniczyć w dorocznej akademii z okazji święta MO i SB, odbywającej się w auli Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Opolu. Akademia ta nie doszła jednak do skutku, ponieważ w nocy z 5 na 6 października 1971 r., w efekcie długo przygotowywanej akcji, aula została wysadzona w powietrze przez Jerzego Kowalczyka, pracownika technicznego WSP.

We wrześniu 1972 r. Sąd Wojewódzki w Opolu skazał Jerzego Kowalczyka na karę śmierci. Jego bratu, Ryszardowi Kowalczykowi, pracownikowi naukowemu WSP, oskarżonemu o udzielanie pomocy i wskazówek Jerzemu, wymierzono karę 25 lat więzienia. Wyjątkowa surowość spowodowała liczne protesty w społeczeństwie (około 6 tysięcy podpisów pod petycją w sprawie zmiany wyroku), co – jak się wydaje – ostatecznie zmusiło Radę Państwa PRL do zastosowania prawa łaski. W styczniu 1973 r. orzeczona wobec Jerzego Kowalczyka kara śmierci została zamieniona na karę 25 lat więzienia. Kolejne inicjatywy w obronie braci Kowalczyków, podejmo-

wane zwłaszcza po sierpniu 1980 r., spowodowały ostatecznie przedterminowe zwolnienie z więzienia obu braci: Ryszarda w 1983 r. i Jerzego w 1985 r.

Historyczne znaczenie przełomu

Wydarzenia z lat 1970-1971 nie przyniosły zmiany w mechanizmach funkcjonowania systemu komunistycznego w Polsce. Oznaczały one jednak zasadniczy przełom we wzajemnych relacjach między władzami PRL a społeczeństwem. Po raz pierwszy w dziejach sowieckiego imperium niezależny ruch społeczny zdołał w bezpośredni sposób osiągnąć własne cele, zmuszając władze komunistyczne do ustępstw, czego wyrazem było odwołanie podwyżki cen z grudnia 1970 r. Środowiska robotnicze skutecznie wykorzystwały w tym celu broń strajkową, wyciągając stąd także określone wnioski na przyszłość.

Stworzony wówczas precedens, inspirujący polskie środowiska pracownicze w następnych latach, legł u źródeł masowych protestów robotniczych z lipca i sierpnia 1980 r., które doprowadziły do narodzin „Solidarności”. W dyskusjach z przełomu lat 1970-1971 prezentowana była, urzeczywistniona ostatecznie w 1980 r., idea niezależnych politycznie związków zawodowych, działających poza kuratelą rządzącej partii komunistycznej.

Trzeba również pamiętać, że w materiałach wytworzonych przez opolską SB w związku z wydarzeniami z przełomu 1970 i 1971 r. przewijają się nazwiska niektórych późniejszych działaczy „Solidarności”, jak Tadeusz Żyliński i Aniela Górzna (w 1981 r. członkowie Zarządu Regionu Śląska Opolskiego NSZZ „S”) czy Janusz Sanocki (przewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „S” Ziemi Nyskiej w latach 1980-1981). Zakłady Urzędzeń Przemysłowych w Nysie, których załoga strajkowała w grudniu 1970 r., stały się po latach jednym z głównych bastionów regionalnej „Solidarności”.

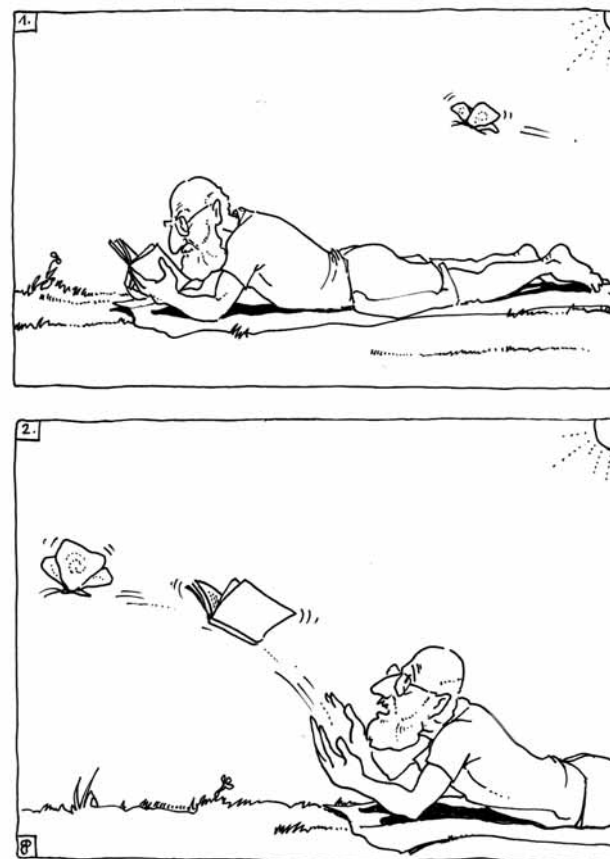
Ważną rolę historyczną odegrała podjęta w 1972 r. walka o złagodzenie drakońskiego wyroku wobec braci Kowalczyków. Podejmowane w tym celu działania przyczyniły się do rozwoju ruchu opozycyjnego w Polsce, a odniesiony przez opozycję sukces można zaliczyć do prawdziwych słupów milowych na drodze do poszerzenia zakresu wolności politycznej w kraju.

Wydarzenia z lat 1970-1971, włącznie z późniejszą sprawą braci Kowalczyków, okazały się ostatecznie jednym z najważniejszych etapów na drodze do niepodległości Polski. Warto pamiętać, że aktywnymi uczestnikami owych wydarzeń byli także mieszkańcy województwa opolskiego.



Pan Lolek Pana Bolka

Bolesław Polnar



Bolesław Polnar,
ur. 1952. Grafik i malarz.
Projektuje także plakaty
oraz scenografie teatralne.
Jego prace znajdują się w zbiorach
polskich i zagranicznych.
Twórca uhonorowany prestiżowymi
nagrodami artystycznymi.
Jego obrazy były eksponowane
na wystawach indywidualnych
i zbiorowych w Polsce i za granicą.
Mieszka w Opolu.

Marian Buchowski

Referat

chwilowego prezesa

(opolski oddział ZLP i okolice)

Gdyby jakimś przypadkiem po ten tekst sięgnął ktoś młody, to żeby nie przedłużać wstępu o czasach, zwanych teraz „komuną”, powiem najdelikatniej: były to czasy co najmniej dziwne. Każdy miał pracę, choć większość nie pracowała. Większość nie pracowała, ale plan był zawsze wykonywany przed terminem i w ponad 100 procentach. Plan był wykonywany i przekraczany, ale niczego nie można było normalnie kupić... I przyszedł Sierpień 80, kiedy to wystarczająco wielu ludzi wystarczająco głośno i wystarczająco zgodnie powiedziało: dość.

„Zlep” stary czy nowy

Do stanu wojennego, opolskim oddziałem Związku Literatów Polskich kierował (wybrany 14.01.1981 r.) zarząd w składzie: Zbyszko Bednorz – prezes, Marek Jodłowski – sekretarz i Kazimierz Kowalski – skarbnik. W skali ogólnopolskiej ZLP (czyli „Zlep” – jak od zawsze ten skrót czytano w środowisku) skupiał pisarzy bardzo różnych, zarówno pod względem jakości dorobku, jak i światopoglądu czy przekonań politycznych. Część pisarzy zrzeszonych w ZLP jawnie kontestowała ówczesny ustrój i poczynania jego władz, a na szykany (rozległe ingerencje cenzury, nazwisko na indeksie, całkowity zakaz druku) odpowiadała publikacjami w bezdebitowych wydawnictwach lub za granicą, by chociaż w ten sposób istnieć w publicznym obiegu. Prze-

ciwieństwo tej grupy stanowili pisarze (szczególnie poeci), którym ówczesny ustrój i jego władze były totalnie obojętne. Żyli oni w swoich wewnętrznych światach, kontaktując się z rzeczywistością tylko w zakresie elementarnego minimum i patrzyli na politykę trzeźwo, a nawet na rauszu. Jeszcze inni funkcjonowali jako sprzymierzeńcy władzy i tamtego systemu politycznego, choć już motywy takiej postawy były różne (od zgodności z własnymi przekonaniami, po koniunkturalizm i jego karieronośne skutki). Niemalą też była grupa literatów, którzy jedną ręką pokazywali władzy „fucka”, a drugą pisali podania o liczne i szcudrobliwie rozdzielane stypendia, zapomogi, pobyty w domach pracy twórczej.

Podział na grupy o podobnym charakterze dotyczył zresztą całego społeczeństwa. 13 grudnia 1981 roku władza wprowadziła stan wojenny. Związek Literatów Polskich, podobnie jak większość stowarzyszeń, najpierw zawieszono, a potem rozwiązano. Spory i rozliczenia, artykułowane burzliwie w krótkim okresie karnawału „Solidarności”, zostały teraz wypchnięte z oficjalnego obiegu. Jedni pisarze włączyli się wtedy w działalność struktur podziemnych, inni poparli władzę i jej poczynania, jeszcze inni – kibicowali sytuacji i czekali na kierunek jej rozwoju. Pytanie: co dalej ze Związkiem Literatów Polskich? – zadawało sobie wielu. Niektórzy próbowali szukać na nie odpowiedzi. Do dziś trwa niesłabnący spór, czy powołany do istnienia pod koniec 1983 roku Związek Literatów Polskich to reaktywowany stary „Zlep”, czy też jest to tzw. neozwiązek, a prawdziwy spadkobierca to utworzone w 1989 r. Stowarzyszenie Pisarzy Polskich (do którego przystąpiła część członków dawnego ZLP, w tym wiele nazwisk z górnych półek).

W Opolu grupę inicjatywną przywracającą do istnienia organizację pisarską o nazwie Związek Literatów Polskich stanowili: Jan Goczoł, Nina Kracherowa, Kazimierz Kowalski, Marek Jodłowski i Stanisław Chaciński, do której – pokonawszy dość zasadnicze opory – dołączył Harry Duda (korzystam tu z jego informacji, zawartych w książce *Edukacja regionalna w zreformowanej szkole*). Wielbicielom czarno-białej optyki taki skład osobowy trochę utrudniał etykietowanie, bo np. Marek Jodłowski za swe poglądy polityczne utracił stanowisko zastępcy naczelnego w redakcji miesięcznika społeczno-kulturalnego „Opole”, a po jednej z rozmów z TW donoszącym na opolskich pisarzy i dziennikarzy, oficer SB zlecił temu „kapuście” szczegółowe raportowanie m.in. o Jodłowskim. Zaś Harry Duda po ukończeniu studiów szukał pracy z wilczym biletem, którym władza podziękowała mu za aktywność w czasie Marca 68 i działalność redaktorsko-autorską w studenckiej „Famie”.

Marian Buchowski,
ur. 1943. Poeta, dziennikarz, autor
nagradzanych książek
reporterskich, m.in. *Szara masa
i ludzie; Tabor hegemonia;
Diabelski młyn*, a także książki
*Edward Stachura – biografia
i legenda*. Mieszka w Opolu.

Odnosząc się do podjętej w Opolu, w 1984 roku, próby ponownego zorganizowania się środowiska piszących – Harry Duda, po wielu latach, w publikacji zatytułowanej *Opole literackie 1945–2000 (próba podsumowania)* tak rekonstruuje, chyba nie tylko swoje, motywy działania. Uważa on, że grupa inicjatywna „wyszła ze słusznego – nawet z dzisiejszej perspektywy – pragmatycznego założenia, że ważniejsze jest samo utrzymanie na przyszłość instytucjonalno-organizacyjnego stanu posiadania (organizacja pisarska i lokal z biurem) dla naszego środowiska, niż poddanie się bez reszty wyważaniu racji politycznych. Zresztą grupa ta była jednomyślna w ocenie, że ówczesne władze partyjno-państwowe dopuściły się ewidentnego nadużycia polityczno-prawnego i wielkiej szkody, nie tylko moralnej, wobec pisarzy, dokonując zamachu na ZLP. Jednak w wymiarze regionalnym, opolskim, w środowisku złożonym z tak nielicznej w sumie grupy osób, wolnym w zasadzie od zbyt ostrych podziałów politycznych i personalnych, uznaliśmy, że należy stanąć ponad sprawami wielkiej czy średniej polityki i ocalić, co się da. Wszak przyszłość była przed nami niewiadomą tak samo, jak przed innymi”.

29 lutego 1984 roku wybrany zostaje zarząd opolskiego oddziału ZLP w składzie: Jan Goczoł – prezes, Harry Duda – sekretarz, Stanisław Chaciński – skarbnik. Goczoł prezesuje zarządowi do roku 1992, kiedy to kierowanie oddziałem przejmuje Harry Duda, praktycznie pełniący od wielu lat funkcję urzędującego wiceprezesa, zajmującego się większością nie tylko bieżących spraw.

Duda pełni funkcję prezesa zarządu aż przez trzy kadencje, do roku 2002. Zarząd, za prezesury Harry’ego Dudy, uzupełniali: Tadeusz Soroczyński – sekretarz i Kazimierz Kowalski – skarbnik (kadencja 1992–1996), Krystian Szafarczyk – sekretarz, Zygmunt Dmochowski – skarbnik (lata 1996–2002). W tzw. międzyczasie zmieniał się nie tylko skład zarządu u opolskich literatów. Zmienił się też np. ustrój.

Sam piszesz, sam wydajesz, sam czytasz

Nowa władza, według nowego klucza, rozdawała wpływy, stanowiska i majątek. Sfera, zwana za „komuny” nadbudową, zaczęła w nowym ustroju pisać najcieńiej. A nie był to pisk rozkoszy. Mecenat państwa nad kulturą i sztuką uznano skwapliwie za czerwony przeżytek, polskiego kapitalisty z epoki straganów na łózkach polowych jeszcze nie stać było (materialnie i mentalnie) na matkowanie artystom, „Desa” przegrywała konkurencję z komisami samochodowymi. Rozproszone i skonfliktowane środowiska artystyczne pozostawiono samym sobie, twórcom niewidzialna ręka rynku na dzień dobry pokazała figę.

Stał się też jednak i cud: oto teraz nowa władza ani myślała bać się artystów przywykłych, że ich listy protestacyjne, utwory czy bojkoty przyprowadzają o zawał, nie tylko załęknięte o brak honorariów żony buntowników. PRL-owska władza, prawdopodobnie ze względu na swój plebejski rodowód, wyolbrzymiała rolę i znaczenie artystów, kojarzących się jej z nosicielami jakichś nadprzyrodzonych mocy

pozwalających stwarzać z niczego, bo z głowy. Demonizowała wpływ artystów na zbiorową świadomość. Szczególnie bała się pisarzy, bo na ateistyczny sposób (jakże często był to ateizm pozorny) wierzyła wiarą wyniesioną z rozmodlonego domu rodzinnego, że na początku wszystkiego jest słowo. Toteż pisarze byli obiektem szczególnej troski cenzorów. Także teatr, żonglujący słowem, wydawał się władzy potencjalnie niebezpieczny i w związku z tym wymagający czujnego baczenia. Aż tu nagle to „baczenie” władzy ustało, ze wszystkimi tego złymi, ale i przyjemnymi skutkami.

No więc jest rok 1989, opolski oddział ZLP liczy zaledwie 8 członków i grozi mu, ze względów statutowych, rychłe rozwiązanie. Warunkiem przynależności do ZLP, oczywiście oprócz ochoty, jest spełnienie wymagań określonych w paragrafie 14 statutu: „Do Związku może być przyjęty autor utworów literackich uznanych za wartościowe i opublikowanych w postaci: 1) dwóch książek prozatorskich albo: 2) trzech książek poetyckich, albo: 3) dwóch oryginalnych, pełnospektaklowych utworów dramatycznych wystawionych na scenie lub ogłoszonych drukiem, albo: 4) jednej publikacji książkowej z zakresu eseistyki lub krytyki literackiej, albo: 5) dwóch oryginalnych, samodzielnie napisanych fabularnych scenariuszy filmowych, zrealizowanych bądź ogłoszonych drukiem, albo: 6) dwóch oryginalnych sztuk dla teatru radiowego lub telewizyjnego, zrealizowanych bądź ogłoszonych drukiem, albo: 7) trzech artystycznych przekładów dzieł literackich, przetłumaczonych z oryginału i ogłoszonych w formie książkowej, bądź trzech artystycznych przekładów dzieł dramatycznych, przetłumaczonych z oryginału, wystawionych lub ogłoszonych drukiem”.

Po zlikwidowaniu cenzury i partyjnego monopolu wydawniczego wydanie książki stało się, patrząc od strony proceduralnej, sprawą bardzo łatwą. Zamożny i płodny grafoman mógł teraz, nakładem własnym, dorównać ilościowo nawet Józefowi Ignacemu, bo nie musiał przepuszczać utworów przez jakieś recenzje wewnątrzwydawnicze, a jedyny recenzent siedział w kasie. Wśród różnorakich pól wolności pojawiła się bowiem także wolność gospodarcza, co dla pisarzy otwierało i taką oto możliwość: sam piszesz, sam wydajesz, a jak jesteś pracowity, to sam tę swoją książkę czytasz tyle razy, ile tylko dusza zapagnie. Bo jak wolność, to wolność! Książek zaczęło więc gwałtownie przybywać, natomiast zaczęło ubywać księgarń, bo czas dalej był dziwny.

W poczet członków ZLP przyjmuje Prezydium Zarządu Głównego na wniosek Komisji Kwalifikacyjnej, która czuwa, aby starający się o wstąpienie czynił zadość nie tylko formalnym wymogom statutowym, ale prezentował też swymi utworami przynajmniej przyzwoity warsztatowo poziom literackich umiejętności. Za starego reżymu z pomnażaniem dorobku literackiego i jego popularyzacją radzono sobie w różny sposób. Na Opolszczyźnie dobrze rokującym adeptom umożliwiały debiut regionalne środki przekazu (szczególne zasługi miała tu opolska rozgłośnia Polskiego Radia, a osobiście – Kazimierz Kowalski, przez długie lata kierujący tam Redakcją Literacką). Ówczesną „Trybunę Opolską” wypełniał nie tylko kit propagandowy. Zwłaszcza w magazynie sobotnim (szczególnie gdy redagowali go Janina Hajduk-Ni-

jakowska i Henryk Kubicki) sporo miejsca poświęcano środowiskom twórczym, drukując utwory literackie, prezentując sylwetki twórców, zamieszczając recenzje i omówienia. Ważną rolę, od początków zaistnienia w 1970 roku, zaczął odgrywać miesięcznik społeczno-kulturalny „Opole”, którego redaktorami naczelnymi byli kolejno Edward Pochroń i Jan Goczoł, a nad jakością publikacji związanych z teatrem i literaturą czuwał surowy w ocenach Marek Jodłowski. Nie stroniły od publikowania twórczości literackiej opolskich autorów „Kalendarz Opolski” (w niektórych latach mający nawet charakter almanachu literackiego) i (wydawany przez Opolskie Towarzystwo Kulturalno-Oświatowe) kwartalnik „Wczoraj, dzisiaj, jutro”. Sprawom środowisk twórczych sporo miejsca poświęcał Almanach Miejski „Opolanin” redagowany przez Krystynę Turwid, a wydawany staraniem Towarzystwa Przyjaciół Opola.

Oficina z widokiem na książki

Spory i różnorodny był więc teren do stawiania małych pisarskich kroków. Dla pisarza duży krok to oczywiście książka (jeśli kiepska, to krok w tył). „Jednak do roku 1989 praktycznie o żadnym wydawnictwie literatury pięknej na Opolszczyźnie nie mogło być mowy, mimo wielu starań i apeli środowiska. Wydawnictwa z innych ośrodków raczej niechętnie i w znikomym zakresie chciały wydawać książki opolskich pisarzy, w przewadze poetów, zwłaszcza debiutantów. Jakkolwiek więc renomowani już pisarze, głównie prozaicy, nie mieli specjalnych kłopotów z wydawaniem w Śląsku, Wydawnictwie Łódzkim, LSW czy Wydawnictwie Literackim w Krakowie i innych wydawnictwach o zasięgu ogólnopolskim, w pewnym momencie zaznaczyła się niebezpieczna luka wydawnicza. Środowisko starzało się, ludzie umierali bądź odchodzili z Opola, pojawiali się natomiast nowi, młodzi adepci literatury [...]. Rodziło się więc młodziopisarskie środowisko, zaś oddział ZLP ulegał nieuchronnemu ilościowemu rozpadowi. I nie mógł ulec zasileniu z powodu braku możliwości wydawniczego wykreowania osób spełniających warunki kandydackie lub członkowskie ZLP”. Autor tych zdań, Harry Duda, ma tę ogromnie rzadką wśród pisarzy cechę, że pisanie wierszy i poetyckie widzenie świata nie pozbawia go umiejętności dostrzegania prozy życia. To efektem jego pomysłu, starań i talentów organizatorskich było powstanie przy opolskim oddziale ZLP Oficyny Literackiej „Wers”. Prezesujący wówczas oddziałowi Duda prowadził tę oficynę jednoosobowo, z imponującymi ilościowo skutkami.

Władze od kultury nie zdążyły jeszcze w tym czasie postawić zakrojonej nogi na gruncie nowego ustroju i starym nawykiem, zwanym dotacją, cykały literatom po parę złotych na sprawy wydawnicze. Do tego trochę pieniędzy prywatnych, trochę od sponsorów i w latach 1989–2000 w „Wersie” wychodzi aż 59 książek literackich. Były to zbiory: Edmunda Borzemskiego, Stanisława Chacińskiego, Daniela Długosz-Pency, Zygmunta Dmochowskiego, Ireny Zajączkiewicz-Dudek, Harry’ego Dudy, Jacka Grunwalda, Marka Jodłowskiego, Jerzego Kareckiego, Zygmunta Kętrzyńskiego, Jerzego Kozarzewskiego, Dobromira Kożucha, Adama Kurczyny, Bo-

lesława Lubosza, Pawła Maleszki, Wiesława Malickiego, Kazimierza Markowskiego, Teresy Nietykszy, Andrzeja Pałosa, Andrzeja Pierszkały, Edwarda Pochronia, Wilhelma Przeczka, Waltera Pyki, Jana Pyski, Zbigniewa Ruszela, Macieja Siembiedy, Izabeli Skalka-Langier, Tadeusza Soroczyńskiego, Krystiana Szafarczyka, Karoliny Turkiewicz-Suchanowskiej, Marka Wołyńskiego i Janusza Wójcika.

Głównie dzięki książkom wydanych przez „Wers” opolski oddział ZLP znacznie się powiększył.

Harry’ego Dudę, jak łatwo się domyślić znając polską normę, spotkała nie tylko i nie przede wszystkim wdzięczność autorów „uksiażkowionych” przez „Wers”. Dlatego pisemnie powiadomił członków organizacji opolskiej, że w kolejnej kadencji nie zamierza ubiegać się o żadną funkcję we władzach oddziału, a potem, nie opuszczając Opola, wraz z Elżbietą Lisak-Dudą przeniósł się do oddziału ZLP w Warszawie. A Oficyna Literacka „Wers”, jak również łatwo się domyślić, przestała działać. I nie wszystkich z tego powodu ogarnęła w Opolu rozpacz.

Książek przybywało, pojawiali się nowi autorzy, ale – niestety – szeregi pisarzy o ugruntowanej już pozycji topniały nie tylko za sprawą wyprowadzki z naszego województwa. W latach 1990–2007 zmarło 10 członków opolskiego oddziału ZLP: Stanisław Chaciński (1936–1990), Marek Jodłowski (1941–1992), Nina Kracherowa (1929–1993), Andrzej Pierszkała (1952–2000), Bolesław Lubosz (1928–2001), Jacek Grunwald (1948–2003), Jerzy Karecki (1954–2005), Adam Kurczyna (1935–2005), Irena Zajączkiewicz-Dudek (1922–2005), Karolina Turkiewicz-Suchanowska (1939–2007). Niepowetowaną stratą nie tylko dla środowiska literackiego była śmierć nestora opolskich pisarzy Zbyszka Bednorza (1913–2010), swego czasu członka dawnego ZLP i prezesa opolskiego oddziału, a po 1989 roku należącego do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Ostatnie kropki życia stawiało nie tylko pisarzom. Przestały się ukazywać, goszczące sporo tematyki artystycznej, wydawnictwa Opolskiego Towarzystwa Kulturalno-Oświatowego i Almanach Miejski „Opolanin”, Instytut Śląski z ekonomicznej konieczności musiał zredukować ofertę wydawniczą, zniknął miesięcznik społeczno-kulturalny „Opole”, a będące rodzajem jego kontynuacji „Strony” też na długie lata zmuszone były zrobić przerwę. Po słynnym swego czasu Klubie Związków Twórczych, w którym odbywały się czwartki literackie, została jedynie wisząca nad drzwiami maska, pod którą, północną porą, wahał się nie tylko myślowo ten i ów twórca, zanim podjął próbę dojścia do domu przy pomocy samych tylko nóg. Lokalne media, w trosce o zaspokojenie oczekiwań klientów i związane z tym dochody, uwalniały łamy czy anteny z niechodliwego towaru, za jaki uznano kulturę i sztukę. No, chyba że jakaś sprawa dotycząca sztuki pachniała skandalem albo dała się na skandal ucharakteryzować. Tylko ileż skandali w przeliczeniu na głowę artysty może dostarczyć bohema najmniejszego województwa?

Zupełnie nie *a propos* skandali... Załóżmy (niesłusznie), że każdy piszący wiersze jest poetą. Wówczas można śmiało powiedzieć, że opolskie środowisko literac-

kie zdominowali poeci. Jest tych poetów i poetek kilkudziesięcioro co najmniej. Czterech z nich (Jacek Gutorow, Paweł Marcinkiewicz, Jacek Podsiadło i Tomasz Różycki) zażywa sławy ogólnopolskiej i tłumaczeń na języki obce, zdobywa prestiżowe nagrody lub nominacje, piszą o nich wszędzie (nawet w Opolu), a wiele wskazuje, że ta ich zasłużona sława i wysoka pozycja nie wynikają wyłącznie z faktu niewdepięcia dotąd w szeregi ZLP. Mając w Opolu taką mocną poetycką czwórkę – powinni się cieszyć wszyscy mieszkańcy całego województwa, do których, formalnie rzecz biorąc, zalicza się również cała reszta opolskich poetów. Podobno jednak nie cała reszta opolskich poetów się cieszy. Złośliwcy plotą, że wielkość cienia rzucanego przez Gutorowa, Marcinkiewicza, Podsiadłę i Różyckiego sprawia, iż niektórym pozostałym opolskim poetom bardzo dokucza tego cienia chłód, wszystko im się od tego chłodu kurczy, włącznie z zachwytem czytelników i zainteresowaniem mediów. Do tego jeszcze Jacek Podsiadło, w jakimś zaułku „NTO”, kijem ongiś wygrzmocił Związek Literatów Polskich; walił chwilami poniżej pasa, choć trzeba z bólem przyznać, że kij był zgrabnie wystrugany – o takiej ladze może tylko pomarzyć niejeden publicystyczny łobuz.

Jeszcze żyjemy

Samotność pisarza jest nieodzownym warunkiem twórczości, ale samotnie trudno z tą twórczością dotrzeć do odbiorcy. Opolski oddział ZLP miał to szczęście, że w pierwszych latach zdziczałego kapitalizmu prezesem zarządu był Harry Duda, który w sobie tylko znany sposób potrafił nie czynić szkody swej aktywności pisarskiej, choć ogrom czasu i energii poświęcał sprawom kolegów zrzeszonych w ZLP. A problemy sprawiało wszystko, i wszystko rozbijało się o brak pieniędzy. Nie tylko na przedsięwzięcia wielkie. Także urzędników od kultury dotknęła choroba sieroca po nagłym zgonie mecenatu państwowego, kiwali się nad każdą złotówką, rozkładali przed petentami przepisy i ręce, dodawali otuchy i formularzy niezbędnych przy ubieganiu się o jakieś granty...

„Jeszcze żyjemy” – wisielczo zatytułowali poeci z ZLP jeden z wieczorów autorских. Powodów do zalewania się, choćby dla oszczędności tylko łzami, było wiele, np. zalany po kolejnej ulewie lokal związku. Elektrownią Opole rządził wówczas Józef Pękala, inżynier o horyzontach światłego humanisty, który miał słabość do artystów i szacunek także dla niematerialnych wartości, a że szczególnie cenił ówczesnego prezesa opolskich literatów – pomógł Dudzie wyremontować zalany lokal i pozwolił elektrownianemu działowi PR włączyć firmę w sponsorowanie paru książek opolskich autorów. W roli sponsorów wystąpiły też kędzierzyńsko-kozielskie „Azoty”, Wojewódzki Zakład Doskonalenia Zawodowego, firmy „Zdrój” i „Tenar”. Zarząd opolskiego ZLP, szukając oszczędności, rozważał nawet odcięcie grzejnika w siedzibie związku, żeby zmniejszyć czynsz; parę złotych przyznanych przez Warszawę na dwa spotkania autorskie też poszło na czynsz (bo honoraria z tych spotkań Har-

ry Duda i Zygmunt Dmochowski przekazali ZLP w formie darowizny); we wstępnym porządkowaniu związkowego archiwum pomóc miała za „Bóg zapłać” Maria Gębczak, zbierająca materiały do pracy doktorskiej na temat historii środowiska literackiego Opolszczyzny. „W minionej kadencji działalność merytoryczna nie była łatwa. Nadal odczuwalne były skutki transformacji ustrojowej. Dlatego też niejednokrotnie w publicznych wystąpieniach (w wywiadach prasowych, audycjach radiowych i telewizyjnych), w pismach do władz samorządowych i wojewódzkich sygnalizowaliśmy kłopoty i problemy środowiska literackiego. Zwracaliśmy uwagę, że środowiska twórcze pozostawione wyłącznie same sobie nie mogą w autentyczny i naturalny sposób współtworzyć kulturalnego oblicza regionu. Zaniechanie przez instytucje kultury spotkań autorskich i imprez literackich zakłóca kontakt twórcy z czytelnikiem” – można przeczytać w sprawozdaniu z działalności oddziału w latach 1992–1996. Harry Duda przygotował nawet sążnisty *Memoriał w sprawie pisarzy*, dotyczący sytuacji nie tylko opolskiego środowiska literackiego i wręczył to opracowanie goszczącej w Opolu ówczesnej wiceminister kultury.

Życzliwy opolskim pisarzom Departament Kultury Urzędu Marszałkowskiego (kierowany przez poetę Janusza Wójcika) zorganizował 27.10.1999 r. duże spotkanie na temat: „Sytuacja i problemy kultury oraz środowisk twórczych na Śląsku Opolskim”, a dwa lata później (06.11.2001 r.) temat spotkania brzmiał jeszcze mądrzej: „Strategie sektorowe, zdiagnozowanie obecnego stanu stowarzyszeń twórczych”. Coś czuję, że nie muszę pisać o praktycznych efektach tych i im podobnych spotkań.

Regały pełne życzliwości

Ale były też przyjemniejsze chwile, np. kiedy któryś z członków ZLP otrzymywał doroczną nagrodę wojewódzką czy miejską, albo został doceniony przez środowisko literackie i uhonorowany jakąś liczącą się nagrodą (Harry Duda w roku 2000, a Tadeusz Soroczyński rok później otrzymali Nagrodę Literacką im. Marka Jodłowskiego). Niezmordowany Duda, dopóki się dało, w swoim radiowym „Glossatorium” wytrwale popularyzował literaturę, mając wsparcie red. Ewy Lubowieckiej i jej „Śpiewnika literackiego”, a wspólnie z Tadeuszem Soroczyńskim przygotowywał dla ukazującego się w Katowicach „Górnośląskiego Diariusza Kulturalnego” siedem wkładek poświęconych życiu literackiemu Opolszczyzny.

Było więc ciężko, ale nie beznadziejnie. Dzięki staraniom zarządu lub przy jego współudziale udało się doprowadzić do skutku sporo przedsięwzięć o różnorodnym charakterze. Oto kilka przykładów. Współpraca programowa przy organizacji Najazdu Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu, uczestnictwo w cyklu siedemnastu spotkań w filharmonii, zatytułowanych „Słowo – muzyka – obraz”, współpraca z innymi organizacjami grupującymi piszących, coroczne „Urbanowe spotkania” (uwaga młódzież: mowa o R a f a l e Urbanie, pierwszym prezesie

opolskiego oddziału ZLP, środowiskowej legendzie, bohaterze jednego z wierszy-piosenek Edwarda Stachury) i zorganizowana przez Uniwersytet Opolski sesja naukowa poświęcona temu pisarzowi (podczas biesiady literackiej wspomnieniami o Rafale Urbanie dzielili się m.in. Jan Goczoł i Kazimierz Kowalski); z inicjatywy zarządu reaktywowano Nagrodę Literacką Prezydenta Opola, nawiązano współpracę z polskimi pisarzami mieszkającymi na Zaolziu i kilku z nich organizacyjnie i wydawniczo przygarnięto; z mniejszą wprawdzie częstotliwością, ale jednak odbywały się nadal spotkania autorskie w szkołach i instytucjach kultury. Oraz, oczywiście, w bibliotekach.

Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu wspólnie dyrekturuje Elżbieta Kampa i tam panie bibliotekarki zmonopolizowały hołdy składane załodze przez pisarzy. W Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej (dyrektor Tadeusz Chrobak) i Pedagogicznej Bibliotece Wojewódzkiej (dyrektor Jan Feusette) panie bibliotekarki wdzięcznością pisarzy muszą się wprawdzie dzielić z dyrektorskimi mężczyznami, ale zasoby tej wdzięczności są przecież nieprzebrane. A panie bibliotekarki (zarówno te z dostojnymi tytułami starszego kustosa, jak i pracujące w wiejskich placówkach) to już jedno z ostatnich środowisk, które wagi książek nie liczy w kilogramach.

Udział bibliotek w popularyzowaniu twórczości literackiej nie ograniczał się do organizowania spotkań autorskich czy zakupu jednego egzemplarza książki tego i owego autora. Z inicjatywy Kazimierza Kowalskiego Miejska Biblioteka Publiczna podjęła się uruchomić – w ramach swej struktury – Miejską Oficynę Wydawniczą, dzięki czemu wyszły prozatorskie książki Zbyszko Bednorza (*Gniazdo wędrujące*), Jana Goczoła (*Na brzoźowej korze*), Adama Wiercińskiego (*Głowy opolskie*) i Kazimierza Kowalskiego (*Pamiętnik opolski*). Wojewódzka Biblioteka Publiczna była głównym organizatorem jubileuszu 40-lecia opolskiego oddziału ZLP i 50-lecia opolskiego środowiska literackiego. Uroczysta część obchodów odbyła się w dniach 29–30 listopada 1995 r. Odznaką „Zasłużony Opolszczyźnie” uhonorowano wtedy Annę Markową, Stanisława Nyczaję i Zbigniewa Żakiewicza – pisarzy przed laty tworzących w Opolu; wojewoda i władze samorządowe spotkały się z całym środowiskiem, do tego biesiada literacka w filharmonii, wystawa „Dziedzictwo i współczesność” w Bibliotece Głównej Uniwersytetu Opolskiego; ukazuje się wydawnictwo zatytułowane *Opolskie środowisko literackie*, aż 8-kolumnową wkładkę literacką przygotowuje „Nowa Trybuna Opolska”...

Popularyzatorskie wysiłki WBP nie ograniczyły się do przedsięwzięć jubileuszowych. Z benedyktyńską cierpliwością gromadzono tam i systematyzowano wszelkie ślady pisarskiej aktywności autorów zrzeszonych i luzaków, wydawano informatory o całym środowisku i książkowe opracowania o niektórych autorach; bywalcy gmaczu przy Piastowskiej co jakiś czas natykali się na kolejną wystawę poświęconą literaturze i jej twórcom. MBP organizuje jubileusze opolskim pisarzom, a jej kolejne Opolskie Jesienie Literackie oferują coraz atrakcyjniejszych bohaterów i co roku gromadzą bardzo dużą widownię.

Harry Duda, zgodnie z wcześniejszą pisemną zapowiedzią, nie wyraził zgody na kandydowanie do zarządu w kolejnej kadencji. Nie pomogły usilne prośby kolegów. Swoją kadencję zakończył, zostawiając oddział we wzorowym porządku, zarówno formalnym, jak finansowym i technicznym. Opolski oddział ZLP powiększył się do 26 osób (w tym dwie o statusie kandydata, który to status potem zlikwidowano).

Zgromadzeni 8 czerwca 2002 r. na walnym zebraniu sprawozdawczo-wyborczym słuchali pełnego treści sprawozdania z prac zarządu i zastanawiali się, jak to jest, że ustępujący prezes, prezentujący w swych wierszach pełną rozmach, nieokiełznaną wyobraźnię, potrafi jednocześnie docenić wagę przyziemnych konkretów. Ze sprawozdania zarządu: „Lokal jest odmalowany i jako tako wysprzątany, firany są wyprane i czekają na zawieszenie, zważywszy gabaryty 4 m, przez kogoś względnie silnego i sprawnego. Z darowizny kol. Dmochowskiego w szafie znajduje się sprawny odkurzacz do korzystania, a z darowizny H. Dudy – czajnik elektryczny. Kuchenka wyposażona jest w zastawę, a lokal w podstawowe narzędzia czystości i podręczną drabinę. Naprawiono też niesprawną spłuczkę w WC”.

Nowym prezesem, wybranym na tym zebraniu, został Ryszard Kincel (rocznik 1933) – mieszkający w Raciborzu badacz historii Śląska i jej popularyzator; za swój dorobek pisarski uhonorowany m. in. Nagrodą im. Karola Miarki. W skład zarządu weszli także: Kazimierz Kowalski – wiceprezes, Zygmunt Dmochowski – sekretarz i Wiesław Malicki – skarbnik.

W jakiś czas po wyborach kontakt (także telefoniczny i listowny) z nowym prezesem się urwał, nie znano przyczyny tego stanu, dopiero potem okazało się, że sprawcą wycofania, nie tylko z prac w zarządzie, jest ciężka choroba. Oddziałem zaczął więc kierować wiceprezes Kazimierz Kowalski, współorganizujący przed półwieczem oddział ZLP w Opolu. Teraz ten pisarz o ogromnym dorobku, wypełnionym prozą, słuchowiskami, utworami dramaturgicznymi, eseistyką, felietonami, szefowaniem redakcji literackiej w Radiu Opole, musiał się zetknąć z przyziemnymi czynnościami o urzędniczym charakterze, zderzyć z machiną instytucji i zasięgami nowych i ciągle zmieniających się przepisów. Wspierany w związkowych poczynaniach – jak twierdzi – tylko przez jednego z członków zarządu, próbował tu i tam zachęcać urzędników do pomocy literatom, przypominając, że drzewiej nie tak pisarzy traktowano: mieli za darmo lokal, sekretarkę, telefon, dotacje, stypendia... „Może i tak było, ale się skończyło” – myślał sobie ten i ów urzędnik czy samorządowy dostojnik, a głośno i z serdecznym uśmiechem zapewniał, że rozpatrzmy, dołożymy starań, rozzeznamy możliwości...

Próbował więc Kowalski upominać się o kolegów będących w najtrudniejszej sytuacji, występował z wnioskami o nagrody i odznaczenia, przypominał o potrzebie godnego uczczenia pisarskich jubileuszy. A rzeczywistość, ze stoickim spokojem, z większością tych starań grała na czas, przetrzymując pisma lub udzielając na nie odpowiedzi pełnych słów pozbawionych treści. Lokal związkowy przestał nadawać się do użytku, bo przez dziurawy dach kolejna ulewa po raz drugi zdewastowała po-

mieszkanie. Przedstawiciel zarządcy lokalu przyszedł, obejrzał, pokiwał głową ze zrozumieniem, porobił zdjęcia, obiecał rychły remont i na obietnicy poprzestał, nie zapominając jednak wysyłania kolejnych faktur za czynsz.

Stanać na cudze nogi

Kadencja zarządu działającego w niepełnym składzie (Ryszard Kincel zmarł 4 sierpnia 2004 roku) minęła, zapowiadane zebranie sprawozdawczo-wyborcze nie odbyło się, opolski oddział ZLP na kilka lat wszedł w stan swoistej hibernacji. Był, a jakoby go nie było, co oczywiście nie przeszkadzało koleżankom i kolegom zabiegać skutecznie o wydanie kolejnych książek i uczestniczyć w poczynaniach organizowanych przez inne podmioty. Wreszcie, po sześciu chyba latach, o Opolu i literackiej organizacji pochłoniętej przez jakąś czarną dziurę, przypomniała sobie stolica i na wiosnę 2010 roku pchnęła tu Stanisława Nyczaję – członka Prezydium Zarządu Głównego ZLP. Z misją reanimacyjną.

Staszek zna dobrze dawne Opole i wielu z nas, mieszkał tu do połowy lat 70., efektywnie przewodził opolskiemu środowisku młodoliterackiemu, potem przeniósł się do Kielc, i teraz najstarsi literaci świętokrzyscy nie pamiętają już, od kiedy Nyczaj kieruje ich oddziałem.

Na opolskim zebraniu reaktywacyjnym w słonecznym dniu 23 kwietnia 2010 roku przedstawiciel literackiej centrali najpierw delikatnie nas zawstydził, potem okazał pochwałami za twórcze osiągnięcia i potencjał. Ale najbardziej zdziwił towarzystwo, kiedy oświadczył, że oddział szybko stanie na nogi, bo można śmiało liczyć na życzliwe i konkretne wsparcie ze strony władz wojewódzkich i miejskich, bo on, stojący tu przed nami Nyczaj, z tymi władzami po partnersku rozmawiał i usłyszał gorące zapewnienia. Być może, pomyśleli zebrani, rozmawiał z władzami w Kielcach i tam coś z takich zapewnień wynika, ale że nastrój był podniosły, nie wypadało gościć ze stolicy zbijać z pantafiku pytaniami.

Sięgnięto po spis członków budzonego do życia oddziału i z tego spisu wynikało, że o własnych, opolskich siłach, oddziału ze snu wyrwać nie chcieli lub nie potrafili: Edmund Borzemski, Marian Buchowski, Daniela Długosz-Penca, Zygmunt Dmochowski, Jan Goczół, Ewa Kaca, Kazimierz Kowalski, Wiesław Malicki, Zenon Miernicki, Teresa Nietyksza, Walter Pyka, Maciej Siembieda, Tadeusz Soroczyński, Krystian Szafarczyk, Marek Wołyński, Władysław Żołnowski.

Na tym reaktywacyjnym zebraniu w kwietniu 2010 r., oprócz członków oddziału i Stanisława Nyczaję, obecny był diabeł. Wprawdzie nikt go nie widział, ale ja odczułem skutki tej obecności, bo wyraziłem zgodę na kandydowanie do funkcji prezesa, a potem – w wyniku głosowania – uległem wybraniu. Czort wie, co mną wtedy na tym zebraniu kierowało. Do ZLP wstąpiłem w 1993 roku, bo rozstałem się z etatowym dziennikarstwem, a w nowej pracy wizytówka uzupełniona napisem CZŁONEK ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH mogła na łatwowiernych robić wrażenie,

że właściciel takiej wizytówki może umie się nie tylko podpisać. W życiu związkowym nie uczestniczyłem: unikałem spotkań autorskich i imprez literackich, w lokalu związkowym nie byłem ani razu, nie drukowałem książek w „Wersie”; od kiedy zacząłem podejrzewać, że może jednak nie jestem genialny – przeszła mi biegunka twórcza, pisałem mało, pamiętając, że świat jest przeludniony słowami. Chyba nie skłamię, jeśli powiem, że jedyną aktywność związkową wykazywałem w zaleganiu ze składkami. Jak zresztą prawie wszyscy.

Jako świeży prezes dostałem w spadku po zarządzie sprzed lat pieczętę podłużną z nieaktualnym adresem, plik szpargałów, niezapłacone faktury, pustą kasę z dziurawym dnem i okrutnie duże oczekiwania kolegów. Zacząłem od lektury statutu i wędrówek po zarośniętych już ścieżkach, wydeptanych przez moich poprzedników sprzed lat, odbyłem trochę wizyt, których kurtuazyjny charakter podkreślał fakt, że gospodarze na zegarek zerkali bardzo dyskretnie. Zapoznałem się (pobieżnie, ale jednak wystarczająco) z literackim urobkiem tych kolegów, których dorobku do tej pory nie znałem, odwiedziłem Zarząd Główny z informacją o opolskich zaszłościach i pytaniem: na co można liczyć z ich strony? Urząd Gminy w Korfantomie zaprosił nas na tamtejszą „Jesień Poezji”, było kilka spotkań w szkołach i bibliotece, przy ognisku próbowaliśmy się integrować, sporą grupą uczestniczyliśmy w studyjnej wyprawie do muzeum w Łambinowicach (temat główny: polscy pisarze w niewoli wojennej), powstała strona internetowa naszego oddziału...

Szybko do mnie dotarło, że niektóre osoby nie wyobrażają sobie istnienia oddziału ZLP, który nie ma własnego, na wyłączność, lokalu. A przecież, po pierwsze, kasa oddziału jest pusta, nie ma więc pieniędzy na czynsz. Po drugie – jeśli danego literata ciągnie do ludzi i ma ochotę pogawędzić, to można ustanowić jeden dzień w tygodniu i o stałej porze, w jakimś sympatycznym miejscu (idealnie do tego pasuje kawiarnia w nowej, imponującej także wewnątrz, siedzibie miejskiej biblioteki przy pl. Wolności w Opolu), wyznaczać sobie regularne spotkania tak długo, aż się wytworzy na tę okoliczność jakaś kolejna, że zacytuję klasykę, nowa tradycja świecka. Zebrania (ileż ich w roku?) można odbywać w lokalu Miejskiego Centrum Organizacji Pozarządowych przy ul. Żeromskiego 3 w Opolu: środek miasta, pomieszczenie czynne do godz. 20.00, wyposażone w telewizor, projektor multimedialny, odtwarzacz DVD, Internet, ksero... Z marzeniem o własnym lokalu udało się, na szczęście, oddziałowi rozstać, choć uchwałę w tej sprawie na zebraniu nie wszyscy poparli, nie proponując jednak jakiegoś innego, ale realnego rozwiązania.

Szybko dotarło do mnie, że – owszem – można się tak kontentować różnymi drobiazgami i szarpać w nieskończoność, tylko że od tego środowisko nie nabierze siły, znaczenia i wpływu – także na przywracanie kulturze należnego jej miejsca, zajętego przez rozpychającą się hucpę, tandetę i humbug. Będzie pozorować istnienie, jeśli nie połączy wysiłków, nie podejmie próby organizacyjnego odłowienia przynajmniej niektórych, licznych na Opolszczyźnie literackich luzaków. Jeśli nie wzmocni sił witalnych, których nadmiaru w opolskim oddziale ZLP, grupującym

w przewadze ludzi bardzo już dorosłych, nie ma. Mógłby tu swoją niewyczerpalną energią i bogatym doświadczeniem pomóc Harry Duda. „Wróć do nas, Harry. Harry, go home!” – proszę któregoś dnia Dudę po starej i dobrej znajomości, a Duda tym swoim głębinowym głosem i tonem zniechęcającym do ponawiania prośby: „Never! Dopóki on jest w opolskim oddziale ZLP, to moja noga tam nie postanie!”. I wymienił nazwisko, na szczęście – nie moje. Niezrażony czarną polewką od Harry’ego – szukam dalej. To może, kombinuję, uruchomić jakiś organizacyjny tor równoległy, powołać jakieś stowarzyszenie z osobowością prawną (której nie posiada opolski oddział ZLP), do tego stowarzyszenia zaprosić także osoby spoza środowiska literackiego, chodzące po ziemi dziarsko i nie po bezdrożach fantasmagorii – niech one wniosą do planu działania swoją energię, znajomość realiów, europejski horyzont. Trafny skład grupy inicjatywnej mógłby uwolnić to przedsięwzięcie od jałowych sporów o przeszłość sięgającą aż starożytności, zagrozić drogę ludziom zarażonym wirusem destrukcji.

Taki twór organizacyjny to nie jest, oczywiście, pomysł oryginalny, sprawdził się np. w Katowicach. Tamtejsze Górnośląskie Towarzystwo Literackie (wśród członków-założycieli był, a jakże, niezmordowany Harry Duda) wydaje otwarty na rzeczywistość miesięcznik „Śląsk”, w którym Opolanie drukują nie tylko wiersze. To – redagowane z dziennikarskim temperamentem (mimo że naczelnym jest bardzo dobry poeta Tadeusz Kijonka) – czasopismo podejmuje ważką dla regionu problematykę, uruchamia interesujące inicjatywy, wznieca ożywcze dyskusje i polemiki, do swojej liczącej się nagrody starannie dobiera kandydatów... Streściłem więc na zebraniu opolskiego oddziału ZLP ten pomysł. Kto jest za? – wszyscy podnieśli ręce, oczywiście nie w geście poddania się życiu, tylko głosując za. No dobrze – ołśniło mnie po zebraniu – tylko: kto to wszystko będzie robił, organizował, i jeszcze znajdzie czas, żeby pokazać się w domu i wklepać coś w komputer, by dać szansę noblowskiemu komitetowi? Po jakimś czasie przyszło kolejne olśnienie: przecież nie jestem sam, jest zarząd, który od kilku miesięcy ze mną współtworzą: Władysław Żołnowski – sekretarz, Wiesław Malicki – skarbnik i, jako członek zarządu, Edmund Borzemski, z którym się rychło zakolegowałem i na którego mogłem liczyć. Na pozostałych kolegów z zarządu też mogłem liczyć, nikt mi liczyć nie zabraniał, więc liczyłem. Aż do 19 stycznia 2011 roku, kiedy to na zebraniu poświęconym wyborowi delegatów na zjazd w Warszawie – złożyłem rezygnację z funkcji prezesa.

★★★

Kończąc ten tekst, zgłaszam świetną kandydaturę na nowego prezesa. Na razie *in blanco*. Nowy prezes powinien posiadać łącznie (powtarzam: łącznie!) następujące przymioty: dużo czasu, dużo energii, zapal do pracy, organizatorski talent, nadmiar pieniędzy na znaczki, telefony i benzynę, dar przekonywania tak wielki, żeby przekonał choć połowę członków do płacenia składek. A także głębo-

ką wiarę w sens istnienia organizacji w dotychczasowej formie. Trzymam kciuki za (tym razem) dobry wybór.

PS. Tekst ten nie powstał z inicjatywy autora. Jakiś czas temu pani Hanna Jamry z Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej poinformowała mnie, że dla przygotowywanego przez WBP wydawnictwa trzeba sporządzić materiał o opolskim oddziale ZLP. Jako ówczesny prezes oddziału natychmiast cały rozum zaprząłem do szukania pretekstu, żeby się od tego zadania wykręcić. Ale rozum nie po raz pierwszy zawiódł. Pisać zaś powyższy tekst zacząłem już jako związkowy szeregowiec. Ale nie tylko dla tego, niektóre akapity stoją tu w postawie na „spocznij”.



Aleksandra Arndt
(Godło: Warkocz Bereniki)

O imionach na Śląsku

(wyróżnienie w konkursie na esej o tematyce śląskiej)

Wędrowniki po cmentarzach, w sposób doskonały nastrajające do refleksji nad tym, co ostateczne i boleśnie nieuniknione, w określonych okolicznościach potrafią także zaowocować wiedzą z obszaru psychicznej i intelektualnej kondycji istnień ludzkich; jej niezwykle czułym nośnikiem bywają słowne ornamenty płyt nagrobnych. Chociaż większość z nich stanowi efekt rutynowej pracy kamieniarzy i ogranicza się w zasadzie do imienia i nazwiska zmarłego, daty jego narodzin i zgonu, niektóre wieńczą dodatkowo – wyrażone w nader osobistym tonie – słowa pożegnania ze strony rodziny. W małej miejscowości C. na Śląsku Opolskim często zdarza mi się przechodzić obok pomnika, na którym widnieje komunikat pewnej rodziny, utrzymany w podobnym stylu: „Tu spoczywa w Bogu nasz ukochany syn i brat”. Sądzę, że równie zaangażowane napisy to konsekwencja życia przerwane nagle, za wcześnie, wbrew porządkowi natury, za to w sposób okrutny. Że generuje je rozpacz, jakiej nie sposób zamknąć w bezosobowej zimnej płycie. Że trzeba tę płytę jakoś ogrzać.

Z drugiej strony, nagrobki funkcjonują również (choć nieczęsto) jako medium pewnej informacji historyczno-kulturowej. Zjawisko to obserwować możemy na przykładzie łacińskojęzycznych inskrypcji, naniesionych na tablice o zmarłych. Trudno doprawdy o lepszy dowód na to, że język Cicerona dzierżył palmę pierwszeń-

stwa w Kościele katolickim od wieków średnich i że – niezależnie od tego, jaką postać przybiera w danym momencie europejska *lingua franca* – dzierży ją tam do dziś (*vide*: oficjalna strona internetowa Watykanu i wysiłki tegoż państwa, mające na celu uwspółcześnienie i uaktualnianie nieco już „zakrzepłej” łaciny). W środowiskach wiejskich piękną lingwistyczną tradycję podtrzymują przede wszystkim duchowni – to właśnie na pomnikach nagrobnych ich zmarłych przyjaciół-księży pojawiają się łacińskie napisy, jak zaobserwowany przeze mnie we wspomnianej miejscowości C. *hic requiescit in domino* (‘tu spoczywa w Bogu’), względnie *hic requiescunt in domino* (‘tu spoczywają w Bogu’), w przypadku grobów zbiorowych. Na płytach osób świeckich raczej trudno o obszerne manifestacje znajomości języka południowoeuropejskich przodków. Jeśli już, łacina bywa raczej dyskretnie wzmiankowana w postaci skrótu *r. i. p.* Chociaż niekwestionowana pozostaje jego wyższość nad innym, tym razem polskojęzycznym, skrótem *ś. p.* (który przy nieuważnym odczytaniu może zamienić się w „śpi”, co trąci banałem i trywialnością), wątpliwości nie budzi również jego enigmatyczność. Któż, przy aktualnym eksodusie łaciny ze szkół, zdoła bez zająknięcia przeobrazić *r. i. p.* w *requiescat in pace* (‘niech spoczywa w pokoju’), przy jednoczesnym zidentyfikowaniu pierwszego członu wypowiedzi jako *coniunctivus optativus*, trybu „życzącego”?!

Co ciekawe, odpowiednio zinterpretowane nekropolie jawią się także jako swoiste targowiska próżności. Należałoby tu chyba zrewidować osąd Jeremiego Przybory (wyśpiewany refleksyjnie przez Grzegorza Turnaua na płycie *Cafe Sultan*), który widział w nich głównie

[...] średnie miasta,
Gdzie żaden dom nad inny nie wyrasta...,

uważając przy tym, że

... w średnich miastach mężczyzna czy niewiasta
Niezwykli są sąsiadów swych przerastać.

Bo czy naprawdę poszczególni zmarli nie są w stanie górować nad innymi chociażby kunsztownością pomników nagrobnych czy urodą i egzotyczną proveniencją imion?

Zwiedzam kilka śląskich cmentarzy, uważnie odczytuję napisy na płytach nagrobnych. Utrwalam na zdjęciach te spośród nich, których zawartości informacyjne

Aleksandra Arndt,
ur. 1980. Doktor nauk humanistycznych w zakresie literaturoznawstwa, tłumaczka poezji antycznej. Pracuje jako adiunkt w Instytucie Filologii Klasycznej na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

uzupełniają się wzajemnie i układają w logiczną całość. Po powrocie do domu raz jeszcze przeglądam fotografie – odkrywam tą drogą stare, dawno przebrzmiałe regionalne mody na imiona. Jedynie nieliczne zwracają uwagę swoim oryginalnym pięknem, większość, wkomponowana we współczesny śląski krajobraz, brzmi kuriozalnie, śmiesznie, a czasem nawet – nieestetycznie.

Zastanawiam się, co przywiodło rodziców właścicieli tych imion do ulegania określonym trendom lub pójścia im na przekór? Siła zwyczaju? Może religijność? Odmienne od aktualnego poczucie estetyki albo zwykły brak dbałości o rytuał przeobrażania bezimiennego noworodka w obywatela o własnych danych personalnych?

Wśród nazw żeńskich prym zdecydowanie wiedzie Gertruda. Najstarsza z kobiet o tym imieniu, jakie spoczywają na znanych mi śląskich cmentarzach, urodziła się w roku 1891, najmłodsza – w 1938. Jak wynika z *Księgi naszych imion* Józefa Bubaka, Gertruda stanowi złożenie germańskich słów *ger*, ‘oszczep’, i *trud*, ‘siła, moc’. Autor *Księgi...*, obok etymologii, wymienia również kilka nazwanych tak słynnych kobiet, wśród nich córkę Mieszka II i potomkinię Henryka II Pobożnego. Nie wydaje się jednak, by o ogromnej żywotności imienia na przedwojennym Śląsku zadecydowała jego oryginalna etymologia, wróżąca małym właścicielkom hart ducha i waleczność (przymioty skądinąd pożądane w obliczu nadchodzących światowych konfliktów zbrojnych), ani, tym bardziej, odległy w czasie autorytet piastowskich księżniczek. W o wiele znaczniejszym stopniu zaważyły na niej wpływy niemieckie, połączone z ówczesną siłą religijności. Germańskim imieniem obdarzano głównie dziewczynki urodzone w marcu, miesiącu śmierci św. Gertrudy z belgijskiego miasta Nivelles, opiekunki ogrodników, szpitali i kotów, albo w listopadzie, kiedy do wieczności odeszła św. Gertruda Wielka z pobliskiej Turynii, późniejsza patronka Ameryki Południowej. Na początku XX wieku w niektórych śląskich parafiach funkcjonowała książeczka *Modlitwy świętej Gertrudy*. Pewien mieszkaniec Laskowic pokazywał mi jej wydanie z 1901 roku (przechowywane pieczołowicie w niewielkim kartonie na szafie), nie pamiętam jednak, której z kanonizowanych poświęcony był modlitewnik.

Obecnie imię coraz bardziej wychodzi na Śląsku z użycia; z trudem potrafię przypomnieć sobie trzy, może cztery żyjące na tym terenie Gertrudy. W sukurs mojej pamięci przychodzi wyszukiwarka ze społecznościowego portalu nasza-klasa.pl: na terenie całego Opola odnajduje dziewięć imienniczek świątobliwych niewiast, głównie w starszym wieku (dla porównania – na tej samej stronie zarejestrowanych jest siedemset pięć Natalii i aż osiemset pięćdziesiąt jeden Aleksandr z grodu Piaśtów...). Przebrzmiała moda na Gertrudy stanowi dobry miernik zmienności społecznych i jednostkowych źródeł inspiracji. Podczas gdy dawniej odnajdywano je w Kościele, kiedy to istnienie ludzkie niemal od samego początku podporządkowane było kalendarzowi liturgicznemu, rytmowi religijnych świąt i uroczystości, obecnie szuka się ich raczej w kulturze Zachodu. Niewykluczone jednak, że o spadku zainteresowania imieniem w czasach powojennych przesądziło nie tylko rozluźnienie

gorsetu tradycji katolickiej, ale także – przeobrażona z biegiem lat definicja pewnej estetyki języka. Bądź co bądź, w „Trudce”, pieszczotliwej wersji „Gertrudy”, zachodzi na poziomie werbalnym ubezdźwięcznienie wsteczne wewnątrzwyrazowe, nieublaganie zmieniające owo zdrobnienie w „trutkę” (przeciwko komu?). Chociaż z drugiej strony... czy współcześni Ślązacy stali się istotnie większymi estetami? Jeśli tak, czym wytłumaczyć zawrotną karierę imienia Denis? Brakiem umiejętności rymowania?

Zatrzymajmy się na chwilę przy kwestii urody językowej. Pośród nazw własnych – nie tylko imion, także nazwisk i miejscowości – zdarzają się osobliwe wykwyty lingwistyczne, których konieczność codziennego użycia, z uwagi na słowotwórczą przynależność do sfery obscenicznej, wprawiać może w nie lada zakłopotanie. Stosunkowo niewielki problem, jeżeli skrepowanie wiąże się z niefortunnym brzmieniem imienia i nazwiska danej osoby. Te bowiem, od czasu dekretu z 10. listopada 1945 roku, przy przedłożeniu odpowiedniej argumentacji wymienić można na inne. Gorzej, gdy nieestetycznie brzmi nazwa jakiejś ludzkiej osady. Na terenie Śląska niechlubne zjawisko reprezentują Kup, Kały oraz Bzinica. Wyobrażam sobie, że mieszkańcom wsi sen z powiek spędza kierunek asocjacji, jaki nawiązywać mogą przypadkowi przejezdni na widok tablic informacyjnej u wlotu do miejscowości. Wielce możliwe, że w skrytości ducha obawiają się posądzeń o kopolalię ze strony niewtajemniczonych słuchaczy. Cóż jednak począć w takiej sytuacji? Zwołać lokalne referendum w celu nadania osadzie nowego imienia? Niestety, przedsięwzięcie to byłoby cokolwiek kłopotliwe, a przede wszystkim bardzo kosztowne – wiązałoby się z koniecznością wymiany dowodów osobistych, praw jazdy, aktualizacji adresów *et cetera*. Nie pozostaje zatem nic innego, jak tylko życzyć mieszkańcom feralnych wiosek, by podobnie upiększająco-administracyjne działania objęte zostały kiedyś odpowiednim programem europejskim i dofinansowane przez Unię. Dopóki tak się nie stanie, mogą albo pójść za radą profesora Miodka i „zamieszkać w Kupiu”, albo, jak pewien znajomy mojej siostry, schować swą przynależność administracyjno-regionalną w cieniu peryfraz i pochodzić z „małej wioski koło Dobrzenia”...

Estetyczną przeciwwagę dla Gertrudy stanowi na cmentarzach Helena, imię również bardzo popularne w okresie przedwojennym. Na odwiedzonych cmentarzach odnalazłam czterdzieści siedem obdarzonym nim kobiet; najstarsza z nich urodziła się w 1906, najmłodsza zaś w 1925 roku. Zdrowy rozsądek każe domyślać się, że także to imię znalazło oparcie dla swej popularności w pobliskiej kulturze germańskiej, zasobnej w jego niemieckie odmiany (Helene, Leni). Z drugiej strony, trudno oprzeć się romantycznemu wyobrażeniu o wielkiej krasie ich posiadaczek, godnych następczyń Heleny spartańskiej – najpiękniejszej kobiety antycznego świata.

Zastanawiam się, ilu ze śląskich rodziców nadawało swoim córkom to starogreckie, „słoneczne” imię (*hele* oznacza ‘jasność’ i ‘blask’) ze świadomością, że oto nakłada na nie zobowiązanie do majestatycznej urody, któremu niełatwo będzie spro-

stać (i któremu, *entre parentheses*, nie sprostano do dziś, o czym świadczy fatalny wybór mało urodziwej Diane Kruger na odtwórczynię roli Heleny w hollywoodzkiej ekranizacji eposu Homera)? Biorąc pod uwagę niski poziom edukacji w przedwojennych wsiach, raczej niewielu. Jeśli właścicielki imienia wyrastały na krępe i jurne dziewczęta o mało szlachetnych rysach, bardziej lipskie Jagny niż trojańskie księżniczki, to dobrze się stało, że ciąg skojarzeń nie poprowadził nikogo na południowschód, do ukrytej w twierdzy Ilionu kochanki Parysa. Co innego dzisiaj – wszechobecny kult piękna w połączeniu z powracającą modą na starożytność skutkować powinien istnym wysypem Helenek w żłobkach, przedszkolach i gimnazjach. Tymczasem w spisie dzieci szkolnych śląskiej gminy L. z ostatnich kilku lat Helena nie pojawia się ani jeden raz... Widnieją tam natomiast rozmaite Vanessy, Nadine'y, a nawet Jessiki i Layle – nowomodne *nomina omina*, których wysokiej rangi w hierarchii upodobań współczesnych Ślązaków nie usprawiedliwia żadna słynna postać kobieca z obszaru historii czy literatury. Teraz to na nich wszelako spoczywa odpowiedzialne zadanie zagwarantowania swoim małym właścicielkom dużego uroku.

Jeszcze bardziej niż ich silna reprezentacja frapuje jednak w rejestrze brak wszelkich Jadwig. Fakt ten zdumiewa zwłaszcza z uwagi na fakt, że słynna święta o tym imieniu już od siedmiu wieków patronuje oficjalnie śląskiej krainie. Pamięć o Jadwidze rokrocznie opiewa się w Kościele 16 października, dzień po jej śmierci w 1243 roku. Około połowy miesiąca w Bierdzanach pod Kluczborkiem oraz w Biskupicach nieopodal Olesna odbywają się poza tym uroczyste odpusty z tej okazji, na terenie wsi znajdują się bowiem kościoły pod wezwaniem Świętej Jadwigi Śląskiej. Co prawda, w ostatnich latach odpusty zatraciły po części swój wymiar ludowy. Wiąże się to z wymarciem lokalnego zwyczaju, zgodnie z którym młodzież okolicznych parafii przyjeżdżała do odpustowej miejscowości ze sztandarami oraz obrazami i figurkami świętych, by brać udział w uroczystej procesji wokół świątyni. W dawnych czasach młodzi przedstawiciele sąsiednich wsi przemieszczali się na wozach ciągniętych przez konie, później środkiem lokomocji stały się traktory z przyczepami. Obecnie, nawet wysoki stopień zmotoryzowania poszczególnych parafian nie zdołał zapobiec upadkowi tego odwiecznego śląskiego obyczaju.

Relikwiarz z czaszką świętej Jadwigi odwiedza się przy okazji pielgrzymek do sanktuarium w Trzebnicy, głównego miejsca kultu śląskiej patronki w Polsce. To zwłaszcza tam nie gaśnie pamięć o wielkiej empatii i wrażliwości na cierpienie bliskich kanonizowanej. Jadwiga w 1202 roku założyła w mieście pierwsze kobiece zgromadzenie zakonne na Śląsku, do historii przeszła również jako fundatorka rozlicznych szpitali i domów opieki. (Tradycję działalności charytatywnej podtrzymywała w rodzinie następnie siostrzenica Jadwigi, święta Elżbieta Węgierska, która sfinansowała budowę szpitala w Marburgu; mieszkańcom po dziś dzień przypomina o tym gotycki kościół pod jej wezwaniem w centrum miasta nad Lahnem). Co zatem odwołuje współczesnych Ślązaków od idei obdarzania swych potomków imieniem wielkiej filantropki? Może jej hagiografia? Żywot śląskiej świętej bezsprzecznie nazna-

czony był cierpieniem – bawarska arystokratka, późniejsza księżna Silesii i żona Henryka I Brodatego, przeżyła piastowskiego małżonka i niemal wszystkie swoje dzieci (w tym ukochanego syna, Henryka Pobożnego, który poległ w bitwie z Tatarami), zaś śmierć poniosła w wyniku nader surowego życia mniszki trzebnickiego klasztoru – a obecne standardy myślenia nakazują wszak staranne wymiatanie z umysłów wszelkich martyrologicznych refleksji. Poza tym, pewnemu rozprężeniu uległo poczucie przynależności regionalnej. Owszem, na Śląsku, w odróżnieniu od innych części kraju, nadal uroczyste świętuje się zwłaszcza dwie rocznice urodzin: pierwszą, tak zwany „roczek”, i pięćdziesiątą – „Abrahama”, gotuje kluski i modrą kapustę. Zwyczaje te pielęgnowane są jednak raczej siłą rozpędu i przyzwyczajenia niż napędzane mocą świadomości historycznokulturowej. W swojej własnej interpretacji omawianego zjawiska – znikania Jadwigi ze śląskich kanonów mody – wskazałbym jeszcze na aspekt pewnej nieestetyczności imienia (dyskusyjnej urody zdrobnienie „Jadzia”), jest to jednak faktor tak dalece subiektywny, że chyba niewart nadmiernego eksponowania.

Co ciekawe, współczesne zubożenie na dawne wzorce religijne nie przekłada się w żaden sposób na spadek popularności imienia Anna, które nosiła przecież babka Chrystusowa. Imienniczki biblijnej świętej i opolskiej patronki znaleźć można na Śląsku wśród zmarłych na cmentarzach, żyjących kobiet starszego i średniego pokolenia, dziewczynek w wieku szkolnym i przedszkolnym, wreszcie pośród niemowląt. Swoistym gwarantem powszechności imienia są oczywiście znane śląskie miejsca pielgrzymkowe, związane z kultem rodzicielki Najświętszej Marii Panny. Wśród nich największym rozgłosem cieszy się kompleks kościelno-klasztorny na Górze Świętej Anny oraz drewniany kościół w Oleśnie pod wezwaniem kanonizowanej, prawdziwa perła sakralnej architektury drewnianej wśród budowli Opolszczyzny.

Na Górę Świętej Anny we wrześniu każdego roku udają się tłumnie pątnicy z okolicznych wsi i miasteczek, by uczestniczyć tam w obchodach Podwyższenia Krzyża Świętego. Ich powrót do domu, przynajmniej przed laty i przynajmniej w miejscowości C., której mieszkańcy jeździli na Kalwarię (zespół trzech kościołów, w których odbywają się uroczystości) pociągami, stanowił duże wydarzenie w życiu macierzystej parafii. Proboszcz wychodził wówczas na pobliską stację kolejową i w towarzystwie licznych wiernych, którzy nie wzięli udziału w peregrinacji, oficjalnie witał pielgrzymów. Obecnie rytuał ten nie ma już racji bytu, zamknięto stację kolejową, a pątnicy przemieszczają się specjalnie do tego celu wynajętym autokarem.

Na lipcowe święto babki Chrystusowej w oleskim kościele pod jej wezwaniem przybywa się natomiast *per pedes* albo jeszcze częściej – własnym samochodem. Msza odpustowa ma miejsce pod gołym niebem, na przyległej połaci cmentarnej; podobnie jak na nabożeństwa kalwaryjskie, ściągają na nią co roku tłumy wiernych z całej okolicy, tudzież byli mieszkańcy dekanatu, a obecni obywatele Republiki Federalnej Niemiec. Uroczystość stanowi ponadto swoiste preludium do dwudniowego święta całego miasteczka. Na krótką chwilę rozbrzmiewa ono wówczas niemiec-

kojęzycznym gwarem dawnych oleśnian, by po ich powrocie za zachodnią granicę na kolejnych dwanaście miesięcy od nowa pogrążyć się w uśpieniu.

W Silesii, jak zresztą i w całej Polsce, zastanawia pewna selektywność w traktowaniu imion o starotestamentowej proveniencji. Niektórymi z nich, jak wzmiankowaną Anną czy też Marią, można swobodnie żonglować, podczas gdy stosowanie innych uchodzi za głęboko niewłaściwe i wywołuje oburzenie. Wielkie emocje – zwłaszcza wśród przedstawicieli starszego pokolenia – wzbudza na przykład pseudonim artystyczny wokalistki Madonny, będący jednocześnie jednym z określeń Marii z Nazaretu. Niewielu ludzi zdaje sobie sprawę, że przydomek ów stanowi w istocie rodzone imię artystki i że jest ono *nota bene* często nadawane dziewczynkom na obszarze latynoamerykańskim, bez ograniczeń czerpiącym inspirację z biblijnych zasobów onomastycznych. Pamiętam swoje własne zdziwienie podczas spotkania z pewnym Brazylijczykiem, który przedstawił mi się jako Moisés. Traktowałam go początkowo z dużą rezerwą, tkwiąc w błędnym – bo bazującym na fałszywej interpretacji imienia – przekonaniu o ortodoksyjnej katolicyzacji Latynosa. Po krótkim czasie okazało się jednak, że Moisés jest zupełnie normalnym młodym człowiekiem, doktorantem z inżynierii chemicznej na uniwersytecie w Sao Paulo, znakomicie władającym językiem francuskim. Nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą o religii, co najwyżej o „religii” brazylijskiego pisarza, Paulo Coehlo.

Spośród akceptowanych społecznie imion biblijnych do lamusa odchodzi na Śląsku Józef. Nagrobki cmentarne wykazują co prawda sporą żywotność imienia jeszcze przed drugą wojną światową, obecnie jednak coraz rzadziej można natknąć się na małych Józków i Józików (wspomniany rejestr z gminy L. nie zawiera ani jednego). Imię zaczyna być postrzegane powszechnie jako anachroniczne, niedzisiejsze, cokolwiek staromodne. Przeświadczenie to łączy się być może z wymieraniem ciesielstwa – zawodu, któremu patronował święty Józef z Nazaretu, jego najstarszy znany przedstawiciel. Co prawda, oblubieniec Najświętszej Marii Panny nadal otaczany jest w Kościele kultem, powierzono mu bowiem pieczę nad liczniejszą od ciesielskiej grupą robotniczą i czci jego pamięć w dniu 1 maja. W niczym nie zmienia to jednak faktu, że w coraz bardziej zlaicyzowanej społecznej świadomości miejsce tego opiekuna tradycyjnego rzemiosła zajmować zaczęli lokalni wytwórcy materiałów budowlanych na tak zwaną szeroką skalę i to ich otacza się teraz pewnym nabożeństwem...

Można oczywiście ubolewać nad specyficzną logiką, która dobór imion uzależnia od popularności związanych z nimi profesji ludzkich, nie sposób jednak nie przyznać jej pewnych racji. Jak się wydaje, to właśnie czułość na subtelne powiązania pomiędzy sferą nazewniczą a obyczajową zadecydowała o całkowitym wyparciu z obiegu Alfonsów, od czasów komedii Aleksandra Dumasa syna *Monsieur Alphonse* z 1873 roku służących w roli rzeczowników pospolitych (alfonsów) jako określenie stręczycieli. Należałoby zapytać jednak, dlaczego – mimo wyraźnie negatywnej konotacji imienia – na Śląsku obdarzano nim dzieci jeszcze w latach wczesnopowojennych? Odpowiedź na to pytanie jest na pewno złożona i kryje się

po trosze w mentalności Ślązaków, po części zaś zawiera w historyczno-politycznych kolejach losu Silesii. Jeśli idzie o te ostatnie, wpływy niemieckie zadecydowały o częstej wybieralności Alfonsa na imię dla śląskich potomków. Podobnie jak wspomniana wcześniej Gertruda, posiada ono bowiem soczystą germańską etymologię (człony *adal*, ‘szlachetny’, oraz *funs*, ‘szybki, chętny, życzliwy’ – podaję za *Księgą...* Józefa Bubaka). Przyczyną faktu, że przez długie dziesięciolecia nie położyła się na niej cieniem Dumasowa niesława alfonsa, upatrywać należy natomiast w naturalnej skłonności Ślązaków do przedkładania nad wszechstronne humanistyczne wykształcenie (w tym lektury francuskich pisarzy) solidnego fachu, gwarantującego w miarę dostatni byt. W bogatej historii regionu niewielu spośród jej mieszkańców wspinało się po szczeblach wyższej edukacji. Jeżeli w ogóle pobierali nauki uniwersyteckie, to w celu zostania bądź nauczycielem – jak urodzony w Oleśnie Józef Lompa – bądź księdzem. Można domniemywać, że to właśnie za sprawą pragmatycznego, nie zaś idealistycznego podejścia do życia, Ślązacy z pewnym opóźnieniem zasłyszeli wieść o literackiej kompromitacji Alfonsa i wyrzucili go z rejestru imion używanych.

Co ciekawe, na terenie Europy istnieją obszary, w których Alfonsowie trzymają się mocno – należy do nich chociażby Hiszpania. Współcześni mieszkańcy Półwyspu Iberyjskiego, w przeciwieństwie do Polaków wolni od asocjacji, jakimi obciążył imię Dumas syn, chętnie nazywają nim swoje dzieci. Niewątpliwie podtrzymują w ten sposób wielowiekową tradycję narodu, w której wielu było Alfonsów na tronie. Imię nosił na przykład król Kastylii, zwany Mądrym, oraz jeden z władców Aragonii. Ewoluując w pamięci bezleśne, kamieniste krajobrazy aragońskie, których ziemia regularnie chłonie w siebie byczą krew, przelaną na korridach, zastanawiam się, jakie też imię nadawane bywa najczęściej dziewczynkom z tej krainy? Może Carmen?

Moda na imiona ma swoją własną geografę. Niektóre z nich, teoretycznie internacjonalne (najczęściej greckiego lub łacińskiego pochodzenia), przyjmują się w jednych krajach bez problemu, by w innych uchodzić za bardzo wyszukane lub wręcz udziwnione – i w konsekwencji prawie w ogóle tam nie istnieć. Podobna sytuacja ma miejsce w przypadku Letycji. Chociaż rzeczownik pospolity, od którego urobione zostało żeńskie imię, oznacza w języku Cyserona radość i piękno, nie sposób przypomnieć sobie jakiegokolwiek obdarzonej nim Polki. Co innego nad Sekwaną. Tam nosi je wiele kobiet, w tym co najmniej dwie słynne Francuzki – łyżwiarka figurowa Laetitia Hubert oraz modelka Laetitia Casta. Zwłaszcza przypadek drugiej ze sław wydaje się interesujący, mamy w nim bowiem do czynienia z niesamowitym wręcz przykładem harmonii imienia „mówiącego” i powierzchowności jego właścicielki: Casta, której podobizna zdobiła swego czasu popiersie Marianny, symbolu Republiki Francuskiej, słusznie uchodzi za jedną z najpiękniejszych kobiet na świecie. Przyglądając się niektórym jej fotografiom, można odnieść wrażenie obcowania ze współczesnym ucieleśnieniem bogini Wenus – pełnym zmysłowości, namacalnym, a jednocześnie bardzo dalekim i nieosiągalnym.

Na Śląsku dbałość o zachowanie harmonii pomiędzy imieniem i nazwiskiem nie wydawała się nigdy szczególnie częstym zabiegiem. W ostatnich latach, po wejściu w życie ustawy gwarantującej dużą swobodę w nadawaniu dzieciom imion, zaobserwować można wręcz zjawisko swoistego dysonansu w tej sferze; polega ono na kuriozalnych połączeniach niepasujących do siebie dwóch członów nazw. Lokalna prasa, która cyklicznie prezentuje na oddzielnych stronach nowo narodzonych obywateli regionu, z zadziwiającą regularnością dostarcza jednocześnie ciekawego materiału badawczego w tej kwestii. Okazuje się, że dzieci o tradycyjnych, typowo śląskich nazwiskach, na przykład z końcówką -ok lub -orz (pełne *nomina sunt odiosa*), obdarzane zostają egzotycznymi w rodzimym pejzażu Silesii angielskimi imionami typu Vanessa, Dustin albo Nadine, z taką ortografią oraz ortofonią.

Młodzi rodzice, autorzy owych lokalno-internacjonalnych zestawień, ulegając onomastycznej nowomodzie, dają się poznać jako neofici kultury świata zachodniego, wszechobecnej anglosaskości i kolorowej egzotyki. Niewykluczone, że nadawanie dzieciom „międzynarodowych” imion ma na celu swoistą europeizację pociech. Ale może chodzi po prostu o wybujały indywidualizm rodzicieli albo megalomańskie pragnienie wyróżnienia ich potomków z tłumu...

Tak czy inaczej, aktualne trendy już teraz decydują o zupełnie nowej szacie graficznej śląskich cmentarzy za kilkadziesiąt lat – niespójnej, niejednolitej, poniekąd „eklektycznej”. Już teraz przygotowują również inspirujący materiał do dywagacji przyszłym badaczom Silesii. Niezależnie od tego, czy spacerując pośród mogił, powtórzą oni wtedy za Jeremim Przyborą

[...] przyznam, jakiś urok jest w tych miastach,

czy też odmówią cmentarzom nostalgicznego uroku, można spodziewać się, że zaprezentują swoje odczucia w znakomitych esejach o Śląsku.



Pan Lolek Pana Bolka

Bolesław Polnar





Adolf Niedworok (1930–2011)

24 marca 2011 roku zmarł Adolf Niedworok, opolski poeta i prozaik. Był redaktorem „Trybuny Opolskiej”. Autor m.in. *Opolskich słów*; *Przechodzącej godziny*; *Szarego srebra dnia* i *Magii rzeki*.



Wiesław Malicki (1935–2011)

16 maja 2011 roku zmarł Wiesław Malicki, opolski poeta, dziennikarz, aforysta, doktor nauk humanistycznych. Wieloletni prezes Nauczycielskiego Klubu Literackiego w Opolu. Opublikował 6 tomów poezji i 9 tomów aforyzmów.

Aleksandra Janik • Z cyklu *Transgresje I*, 2006 • druk cyfrowy 150x60 cm



Agnieszka
Dela-Kropiowska
Łukasz Sawicki



Fot. Łukasz Sawicki

28 kwietnia 2011

W Muzeum Śląska Opolskiego zorganizowano spotkanie promocyjne książki *Opole. Dzieje i tradycja*.



Fot. Łukasz Sawicki

9 maja 2011

W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu zainaugurowano lokalne obchody VIII Ogólnopolskiego Tygodnia Bibliotek.



Fot. Łukasz Sawicki

5 maja 2011

Nowy budynek Miejskiej Biblioteki Publicznej w Opolu został zwycięzcą w konkursie „Polska pięknieje – 7 Cudów Funduszy Europejskich”. Nagrodę Ministra Rozwoju Regionalnego przyznano bibliotece w kategorii Rewitalizacja za przebudowę, rozbudowę i nadbudowę budynku na siedzibę MBP w Opolu.

11 maja 2011

Przedstawienie *Pod-Grzybek* Opolskiego Teatru Lalki i Aktora im. Alojzego Smolki zostało zakwalifikowane do finału 17. Ogólnopolskiego Konkursu Na Wystawienie Sztuki Współczesnej.



Fot. Rafał Mielnik

Fot. Bartłomiej Wołkowicz

11 maja 2011

W restauracji Trio w Opolu otwarto wystawę prac opolskiego grafika Andrzeja Sznejweisa.



23 maja 2011

W Miejskiej Bibliotece Publicznej w Opolu odbyło się spotkanie autorskie opolskiego poety Harry'ego Dudy.



Fot. Łukasz Sawicki



Fot. Łukasz Sawicki

24 maja 2011

Na osiedlu im. Armii Krajowej w Opolu odsłonięto pomnik gen. Augusta Emila Fieldorfa „Nila” autorstwa Mariana Lewczaka.

Galeria Sztuki Współczesnej

26.05 – 26.06.2011

Wystawa Sponsorowana

Wystawa Jerzego Kosalki i Adama Niklewicza jest zderzeniem twórczości dwóch artystów, którzy w swych projektach wykorzystują podobne tropy: łamią konwencje, uciekają do wspomnień z przeszłości wplecionych w tradycję czy innym razem historię Polski, prowadzą dyskurs z historią sztuki. Przede wszystkim oboje tworzą w tych samych mediach stawiając na obiekty, instalacje i site – specific.

Jerzy Kosalka to artysta związany z legendarnym, wrocławskim środowiskiem *Luksusu*, formacji kontestującej rzeczywistość lat osiemdziesiątych w Polsce. Ironia i dystans były

Agnieszka Dela-Kropiowska, ur. 1982. Absolwentka historii sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego, pracuje w Galerii Sztuki Współczesnej w Opolu, publikowała swoje teksty w „Formacie”, „artpunkcie”, „Prowincji”. Mieszka w Opolu.

Łukasz Sawicki,

ur. 1982. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Opolskim. Pracownik Pedagogicznej Biblioteki Wojewódzkiej. Mieszka w Opolu.



Jerzy Kosalka • *Żegnam Państwa* • 2004, obiekt

podstawowym narzędziem twórców działających w duchu nowej ekspresji, w całej Polsce ostatniej dekady PRL. Wymykali się oni oficjalnemu obiegowi sztuki państwowej jak i tej patetycznie związanej z Kościołem. Obecnie artysta posługuje się tymi samymi narzędziami, które w celny sposób ukazują interesujące go, współczesne zagadnienia.

Początek lat osiemdziesiątych był momentem emigracji Adama Niklewicza do Stanów Zjednoczonych, gdzie artysta jest nauczycielem akademickim uczelni artystycznych równocześnie tworząc sztukę niezwykle subtelną, nawiązującą do polskiej rzeczywistości prowincji sprzed lat: prostych ludzi i przedmiotów. Artysta mitologizuje kielbasę, wiadro, plastry miodu. Poprzez jego ironię przebijają delikatny element magicznego realizmu odkrytego na polskiej



Adam Niklewicz • *Żimonek* • instalacja

prowincji z perspektywy mieszkańca Nowego Jorku.

Aby w pełni zrealizować swoje projekty artyści posługują się ironią i emocjami związanymi z pewnego rodzaju nostalgią za utraconą przeszłością. Wyciągają sny i legendy z prywatnych zasobów pamięci (Adam Niklewicz, *Wizja, Żimonek*) oraz czerpią z historii powszechnej (Jerzy Kosalka, *Plan bitwy pod Kłobuckiem, Skok, z cyklu najważniejsze wydarzenia świata*). Przewrotne ukazanie powszechnie znanych obrazów oraz faktów dziejowych burzy mity hermetycznej historii i historii sztuki (Jerzy Kosalka, *Fontanna z cyklu Pardon Marcel, Żegnam państwa*, Adam Niklewicz *Przed/Po* – w pracach tych artyści ironizują na temat postrzegania wielkich artystów: Marcela Duchampa, Leonarda Da Vinci oraz Salvadora Dali). Jerzy Kosalka dodatkowo ironizuje

na temat swego „ja” – artysty, któremu naród stawia pomnik (*Kosałce naród*). Tym samym warto zauważyć, że niektóre prace Jerzego Kosałki prezentowane na wystawie, stanowią nowe ikony sztuki współczesnej i znalazły swoje stałe miejsce w podręcznikach studentów kierunków artystycznych.

Wystawa w zabawny sposób ukazuje absurd rzeczywistości i historii, jest pewną grą z widzem i jego tradycyjnym postrzeganiem sztuki. Artyści przez lata swej twórczości nie utracili jasności spojrzenia, ciągle zaskakują krytyków sztuki świeżością pomysłów.

Wzgórze Uniwersyteckie – podziemia Schron sztuki 3-5 czerwca 2011

W ukrytych pod wzgórzem uniwersyteckim bunkrach odbyła się kolejna odsłona artystycznych dokonań studentów i osób związanych z Instytutem Sztuki Uniwersytetu Opolskiego. Ta coroczna impreza gromadzi prace z różnych dziedzin sztuki; od malarstwa, grafiki po instalacje i obiekty. Wystawa nie ma wątku przewodniego; schron sztuki jest zbiorem problemów formalnych i ideowych, które zajmują wielu młodych opolskich twórców. Trudno tym samym spamiętać wszystkie nazwiska artystów wystawiających w schronie, jednak kilka prac wyróżniało się w sposób szczególny. Instalacja Katarzyny Kos wykorzystująca odbicie, iluzję i perspektywę w intrygujący sposób „wciąga” widza do środka. Z humorem odebrać można

było sprawnie przemyślaną instalację interaktywną Jakuba Kubary, którą budowało światło i możliwość sterowania nim przez widza za pomocą klawiszy w „mini organkach”. Ciekawe były również prace Małgorzaty Pientki, posługujące się oszczędną, czarno – białą kreską, wpisujące się w bardziej tradycyjne środki wyrazu. Studenci okazali się pilnymi uczniami, cytującymi nazwiska – ikony sztuki współczesnej, wykorzystując podobne rozwiązania formalno – treściowe (nawiązania m.in. do twórczości Krzysztofa Bednarskiego – rzeźby cienie na opolskiej ekspozycji czy Jonasza Sterna – symetryczne układy kości autorstwa jednej ze studentek).

Jeśli potraktujemy wystawę jako przegląd obecnych trendów w Instytucie Sztuki UO i środowisku z nim związanym, to zauważamy pewien rodzaj rozluźnienia, dystansu i tendencji do poszukiwań nowych środków wyrazu. Sztuka przestała tu być czystym rzemiosłem – bardziej istotny staje się w niej koncept.

Galeria Zamostek 31 maja 2011 – wernisaż Historie niezapisane

W nowej galerii sztuki, mieszczącej się w podziemiach biblioteki miejskiej w Opolu, swoje prace pokazały cztery artystki, absolwentki Instytutu Sztuki UO: Elżbieta Gądek, Anna Gądek, Joanna Berka, Katarzyna Mular.

Katarzyna Mular w prezentowanej instalacji wykorzystuje grafikę komputerową. Artystka używa cyfrowych technologii



Fot. Agnieszka Dela-Kropiowska

Wystawa • *Historie niezapisane*

ale z nostalgią skłania się ku tradycyjnym rycinom i fotografii. Ukazuje miasto będące kolażem miejsc istniejących w rzeczywistości, a w pracy Mular tworzący nierzeczywistą, współczesną wedutę. Tajemniczy i zaskakujący klimat wprowadzają tu ryby w tym samym, graficznym

charakterze, zwisające przed wspomnianym, wielkoformatowym kolażem.

Joanna Berka skupia swoje środki wyrazu wokół ilustracji. Aby wprowadzić widza oglądającego jej malarskie prace w świat niezwykłych historii, używa prostych form wyrazu zrodzonych w wy-



Fot. Agnieszka Dela-Kropiowska

Wystawa • *Historie niezapisane*

obraźni dziecka. Jej obrazy pełne są nierzeczywistych zwierząt i roślin, które istnieją przy biegających z nieskończoność drogach. Jej ilustracje powodują uśmiech na twarzy oglądającego ale równocześnie rodzą pewien niepokój.

Anna Gądek rzeźbi sylwetki ludzkie w miniaturowych formach. Celowo zaburza proporcje człowieka i ubiera go w kolorowe kąpielówki. Jej prace przypominają formą prehistoryczne figurki Wenus. Z tej perspektywy przygląda się zarówno mężczyznom jak i kobietom. Artystka pokazała ponadto kilka kolaży z barwnych papierów i papierków po słodyczach, wykorzystując zarys sylwetek rzeźbionych postaci. Wszystkie kompozycje są niezwykle wysublimowane estetycznie, podobnie jak rysunki Elżbiety

Gądek. Rysuje ona portrety anonimowych postaci delikatną kreską, przełamując czasem czystą przestrzeń rysunku płamą barwną. Jak sama mówi, stara się odnaleźć granice płci, prowadzi swój prywatny dyskurs z teorią genderu.

Mimo podejmowania różnych tematów w twórczości młodych artystek ujawnia się charakterystyczna tendencja do dekoracyjności i wyraźnej estetyzacji warstwy formalnej prac. Ich twórczość łączy ponadto pewien dystans i żartobliwość, które nadają pracom lekkość, w dobrym tego słowa znaczeniu.

Spójrzmy prawdzie w oczy

Kiedy byłam małą dziewczynką, nosiłam w sobie bardzo poważnego dorosłego i wstyd mi było za dorosłych kłócących się, przeklinających, rozrabiających, śmiejących zbyt głośno, trzaskających drzwiami, kłamiących, czyli robiących wszystko, czego zabraniano małym dziewczynkom.

Kiedy stałam się dorosłą kobietą, nie wyzbyłam się dziecięcego spojrzenia na świat, przez co niejeden dorosły wykonywał na mój widok ruch polegający na dotknięciu skroni palcem wskazującym i poruszaniu nim tak, jakby się coś przyśrubowywało lub odśrubowywało. Czułam się zawieszona pomiędzy dorosłością a dzieciństwem, w którym byłam za bardzo dorosła i odpowiedzialna. Nigdy więc tak do końca nie byłam dzieckiem, ani nie stałam się dorosłym bez skrzywdzonego dziecka w środku. Być może jest to znak wszystkich, którzy dzieciństwa nie mitologizują i nie widzą w nim li tylko krainy sielskiej i anielskiej.

Jedni nazywali mój sposób bycia ekscentrycznym, inni stukniętym, a ponieważ uparłam się, by przez wiele lat uczyć polskiego w szkole średniej, pracując z dziką pasją, więc czasem wyglądało to tak, jakby posiadanie przynajmniej jednego wariata w składzie ciała pedagogicznego, najbrzydszego z wszystkich ciał, jak mawiał Gombrowicz, należało do dobrego tonu.

Uciekałam od rutyny w nadziei, by wszystko, co robię, miało żar ognia, by miało polot i ideę. Czasem czułam się zagubiona jak Aleksander Marz, bohater powieści Heinara Kippharda, który do swojego psychiatry powiedział: Przyszłość należy do czarnego bzu. A psychiatra zapytał go mniej więcej tak: Panie Marz, czy to znaczy, że czarny bez przetrwa, bo jest rośliną mało wrażliwą i choćby nie wiem, jak go przetrzebić, odrośnie, wybije się, podobnie jak mało wrażliwi ludzie, którzy nie pozwolą ograniczyć własnych pragnień i osiągną swój cel? Aleksander Marz odpowiedział mniej więcej tak: Być może powinienem był się uczyć tak pięknego wyrażania się.

Zmorą mojego dzieciństwa było słowo „gorolica”. Nie wiedziałam, co znaczy. Kiedy przychodziłam z placzem z podwórka, rodzice niewiele potrafili mi wytłumaczyć poza tym, że nie ma nad czym rozpaczać, gdyż jedni są „gorolami”, a drudzy „hansami”. Oba te słowa wydawały mi się równie „brzydkie” i stygmatyzujące, choć jako dziecko, rzecz jasna, nie znałam słowa „stygmat”.

Od urodzenia mieszkam w Katowicach, choć przyszłam na świat w Siemianowicach Śląskich, w szpitalu, 1 stycznia, tam akurat był dyżur. W dniu moich narodzin premierem był Józef Cyrankiewicz, prezydentem Bolesław Bierut, papieżem – Pius XII.

W dniu moich narodzin rozpoczął działalność „Węglukoks”, Centrala Handlu Zagranicznego. Cztery miesiące później podpisano umowę polsko-radziecką o budowie w Warszawie Pałacu Kultury i Nauki im. Józefa Stalina. W roku moich narodzin literacką Nagrodę Nobla otrzymał Francois Mauriac, a pokojową Albert Schweitzer.

Kiedy przychodziłam na świat, w mieście było cicho, bo odsypiano sylwestrowe szaleństwo. Był mróz, wieczorem spadł śnieg. Mijał kolejny dzień w kraju, w którym „budowano szczęście dla wszystkich ze szkodą dla każdego” (Andre Gide).

Moi rodzice po wojnie przywędrowali tutaj ze Wschodu (ojciec z Podlasia, matka z Lubelszczyzny). Ojciec pracował w kopalni „Katowice”, gdzie ukrywał swoją partyzancką, AK-owską przeszłość pod fałszywym nazwiskiem, pod którym i mnie zarejestrowano. Udaowało mu się to aż do roku 1955, kiedy to znalazł się ktoś, kto uprzejmie doniósł, więc ojciec trafił do więzienia.

Nie mam śląskich korzeni, jestem więc Ślązaczką w pierwszym pokoleniu, do czego długo nie chciałam się przyznać. Jestem także podwórkową „gorolicą”, która nie potrafiła mówić gwara, stąd te wyzwiska. Rodzice upierali się przy tym, bym pielęgnowała swój polski język, nieskażony gwara. Jako podwórkowa „gorolica” wiedziałam jednak, że nie mam szans na integrację, na wspólną zabawę na kłopsztandzie, na grę w fuzbal i skakanie przez Ślepiotkę river, tudzież przeskakiwanie przez rowy z gnojówką, odprowadzaną oczywiście do tej rzeczki (uda się lub nie uda przeskoczyć), dopóki nie będę mówiła tak, jak dzieci na podwórku.

Szybo pojęłam, co znaczy „ciepać się jak wancka nie kecie”, co „dostać bez ten gupi bezpysk”, a co mieć „ała i dwa boloki”, jeść chleb z „tustym” czy z „wusztem”. Kaszankę z łatwością zamieniłam na krupniok, zrazy na rolady, pyzy na „gumiklejzy”. Do dziś nie wiem, jak się uchowałam bez „wodzionki”, miejsce której w naszym domu zajmowały różne barszcze. Najtrudniej było mi opanować akcent, pochyłości samogłoskowe i intonację. Niestety, nie mam zdolności językowych.

Miotalam się w poszukiwaniu tożsamości, aż w końcu postanowiłam odrąbać korzenie, wmaiwiając sobie, że do niczego nie są mi potrzebne. Koszmarna pomyłka, teraz wiem. Drażylałam ten problem w *Listach spod kapelusza*, także w opowieści autobiograficznej pod tytułem *Święta Rito od Rzeczy Niemożliwych*.

Dzisiaj też się miotam, ale jest kilka rzeczy, które wydają mi się pewne, a nawet blank pewne. Uwielbiam gwara śląską. Także schludność Ślązaczek, ich czyste kuchnie, siłę ducha, umiejętność przyjmowania ciosów i wychowywania mężów, także dzieci. Uwielbiam śląski

Marta Fox,

ur. 1952. Poetka, powieściopisarka, eseistka. Autorka 30 książek (powieści, opowiadania, wiersze, eseje). Jej książki zostały uhonorowane przez Polską Sekcję IBBY (International Board on Books for Young People) w konkursie „Książka Roku” 1995 i 2000. Wiersze tłumaczono na język angielski, niemiecki, hiszpański. W 2004 roku otrzymała Złoty Telefon – honorowe odznaczenie „Niebieskiej Linii” – Ogólnopolskiego Pogotowia do Walki z Przemocą w Rodzinie, za książkę *Coraz mniej milczenia. O dramatach dzieciństwa bez tabu*. Mieszka w Katowicach.

matriarchat, ogródki działkowe i żur, nie żurek. Cenię Ślązaków za ich prawość, życzliwość. Lubię nawet rzekomą śląską „dupowatość”, opiewaną od lat przez Kazimierza Kutza.

Rozumiem, dlaczego Ślązacy wyjeżdżali do RFN (Richtig Fajne Niemcy) i dlaczego pomarańcze stamtąd wydawały im się taaaaakie duże. Po 59 latach spędzonych na śląskiej ziemi wiem, co znaczy mieszkać na pograniczu. Zmutowałam się na tyle, by rozumieć, czemu Ślązak zemdlął po przyjeździe w góry i pierwszym haucie powietrza. I dlaczego jedynym ratunkiem, by odżył, było położenie go pod rurą wydechową autokaru.

Jako gorolica ciągle udowadniam, że ja też kocham tę śląską ziemię i to, że narzekam na brak architektonicznego rynku w Katowicach, na niszczenie zabudowań starego dworca (Dworcowa 4) i na wiele innych spraw, bynajmniej nie jest przejawem niewdzięczności wobec miejsca, które zostało mi dane.

Po raz któryś powracam do tego tematu, by spojrzeć prawdzie w oczy i zobaczyć swoją twarz. Teraz się nie waham i pomiędzy moją śląskością a gorolstwem stawiam odważnie spójnik „i”.

Bo „i” to nie tylko nieodmienna część mowy, łącząca słowa, części zdania lub wyrażenia. „I” to w moim przypadku wyraz zgody na bycie całością i niezgody na to, by wiatr mną miotał w różne strony.



50 lat „Odry”

Już 50 lat wychodzi regularnie (poza przerwą spowodowaną stanem wojennym) we Wrocławiu „Odra”, miesięcznik, któremu – jak pisze w majowym jubileuszowym numerze jeden ze współpracowników pisma niemal od jego początków Jacek Łukasiewicz – warto by poświęcić nie tylko fachową monografię, ale i krytyczno-eseistyczną publikację. Rzeczywiście, jak sięgam myślą w przeszłość, w historii „Odry” odzwierciedlały się w wybiórczy, lecz istotny sposób losy polskiej inteligencji, zwłaszcza twórczej i naukowej, szczególne dzieje naszych elit, starających się nie oddawać za dużo pola ingerującej w dziedzinę kultury władzy. Po odwilży październikowej ’56, na której fali pojawił się we Wrocławiu naprzód tygodnik, a potem, w roku 1961, miesięcznik o tej regionalnej – obliczonej wówczas na obsługiwanie dolnośląskich środowisk politycznych i artystycznych – nazwie, tytuł wbrew oczekiwaniom władz zaczął sięgać coraz wyżej ponad regionalne opłotki i wybijać się na niezależność, pogłębianą także po zmianie ustrojowej 1989. I zdobywać wcześnie renomę i powodzenie czytelnicze w kraju, czemu na początku sprzyjał okres niepowtarzalnego boomu kulturalnego, wyróżniającego do mniej więcej połowy lat 70. stolicę Dolnego Śląska. Zresztą zasługą grupy pisarzy, pracowników Uniwersytetu Wrocławskiego i artystów skupionych właśnie wokół pisma było m.in. zaproszenie i sprowadzenie do Wrocławia w drugiej połowie lat sześćdziesiątych Tadeusza Różewicza, a także – z Opola – Teatru 13 Rzędów (późniejszego Teatru Laboratorium) Jerzego Grotowskiego, jak i innych wybitnych artystów, ludzi teatru, uczonych.

„Odra” stawiała się, poczynawszy od lat 70., jednym z niewielu tytułów czasopiśmienniczych poszukiwanych w kioskach (władza nie dopuszczała do powiększania nakładu powyżej 6 tys. egzemplarzy) w całej Polsce i nie bojkotowanych przez często trafiających na indeksy zakazów ówczesnego reżimu autorów. Czemu to zawdzięczała? Być może swojej lokalizacji w regionie uznanym przez ówczesne władze centralne za wciąż niepewny obszar „poniemieckich” wpływów i w związku z tym mocno niedoinwestowa-

Mieczysław Orski,
ur. 1943. Poeta i krytyk literacki. Redaktor naczelny miesięcznika „Odra”. Autor esejów poświęconych współczesnej literaturze, m.in. *Autokreacje i mitologie; Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji...*; *Rozbite zwierciadło*. Mieszka we Wrocławiu.

nym; być może wytypowano ją jako przedsięwzięcie kulturalne ryzykowne, lecz bezpieczne, bo odległe od „centrali” i nadające się do roli tzw. politycznego „wentyla bezpieczeństwa”, gdzie można było upchnąć twórczość ówczesnych jeszcze nie dysydentów, ale kandydatów na dysydentów – demonstrując na zewnątrz, że mają i oni w PRL-u swoje przytulki. We Wrocławiu partyjna władza przymykała oko na np. ogólnopolskie festiwale teatru studenckiego czy kontestacyjnego teatru „otwartego” w „Kalamburze” ze spektaklami głośnych amerykańskich czy jugosłowiańskich teatrów rzucających wyzwanie wschodniej satrapii. We Wrocławiu znalazło się więc miejsce na publikacje w piśmie tekstów zatrzymanych przez cenzurę lub niedopuszczanych do druku w pobliżu „centrali” (np. w warszawskiej „Polityce”), takich jak *Rozmowy z katem* Kazimierza Moczarskiego czy *Zdążyć przed Panem Bogiem* Hanny Krall. Publikacje w odcinkach tych dwu dramatycznych świadectw literackich, rzucających nowe światło na koleje niedawnych polskich dziejów, najmocniej przyczyniły się do powodzenia „Odry” w latach 70.

Powodzenie to gwarantował dobrany zespół i specyficzny, zwany wówczas „magazynowym” – łączący elementy doraźnej publicystyki, informacji z literaturą i materiałami z „półek” najwyższej kultury – model pisma. Został on ukształtowany po następnej polskiej „odwilży”, tym razem gierkowskiej, po roku 1970. Wtedy to w związku z zakusami polityczno-regionalnymi ówczesnych decydentów trzech redaktorów „Odry”, Zbigniew Kubikowski, Tymoteusz Karpowicz i Ignacy Rutkiewicz przy wsparciu grafika Zbigniewa Paluszaka, podało się do dymisji – po czym, niespodziewanie dla siebie, po strajkach na Wybrzeżu, odzyskali stanowiska, uzyskując w rezultacie pewne koncesje i ustępstwa ze strony władzy. Jednym z tych ustępstw było zasilenie redakcji przez wcześniej nieakceptowanych współpracowników miesięcznika, m.in. Urszuli Koziół i niżej podpisanego (*nb.* we wrocławskim „białym domu” nie zgodzono się na objęcie przeze mnie funkcji sekretarza redakcji, którą faktycznie przez długi czas pełniłem, aż kiedyś Karpowicz na kolegium zaproponował, by jednak ogłosić pełnienie przeze mnie tej roli w stopce redakcyjnej: „a czego mamy się bać, najwyżej każą nam to wykreślić...”; nie kazali).

Mało kto dziś jednak, również we Wrocławiu, pamięta, że jednym z pomysłodawców i głównych realizatorów modelu „Odry” był zmarły niestety przedwcześnie przed ponad dwudziestu laty Zbigniew Kubikowski. Niesłusznie zapomniany, także jako pisarz, Kubikowski, wieloletni prezes wrocławskiego oddziału Związku Literatów Polskich, potem sekretarz Zarządu Głównego ZLP był niewątpliwym „głównowodzącym” i zespołu redakcyjnego, i całej grupy inspiratorów ówczesnego boomu kulturalnego Wrocławia, z profesorem Czesławem Hernasem u boku. Przemyślenia i doświadczenia intelektualisty prowadzącego wytrawną grę z władzą peerelowską znajdowały u niego spontaniczną wykładnię w różnych formach aktywności społecznej; a obserwacje społeczeństwa peerelowskiego, stosunków między władzą a obywatelami, zakłamania ideologicznego znajdowały ujście w twórczości literackiej, najczęściej w głośnych w latach 60. i 70. powieściach, jak *Katastrofa* (sfilmowana później

przez Sylwestra Chęcińskiego), *Chwila po przebudzeniu*, w adaptacjach teatralnych i telewizyjnych. Sekundowali mu w odnowionej po 1970 roku redakcji nadal Rutkiewicz w dziale publicystyki i Karpowicz naprzód w dziale literackim, a potem esejistycznym, kiedy literacki objęła Urszula Koziół. Autor *Znaków równania* współredagował „Odrę” od jej początków po niechlubny w polskiej historii rok 1976, pozostając na etacie w piśmie mimo swojego wyjazdu do USA, gdzie objął w 1974 roku katedrę literatury polskiej na Uniwersytecie Illinois w Chicago. Odwołując się do doświadczeń i tradycji lirycznej Awangardy Krakowskiej i do poezji Juliana Przybosia, Karpowicz, jak wiadomo, zainicjował modny ówczesnie wśród młodzieży piszącej kierunek zwany dziś nurtem liryki lingwistycznej; trudno oczywiście w skrócie oddać sprawiedliwość jego dokonaniom twórczym, które zostały dopiero w ostatnich latach odpowiednio ocenione. Po latach nieobecności poeta, zaproszony z Chicago, otrzymał w 2000 roku roczną Nagrodę „Odry”, co zaowocowało dłuższą wizytą w kraju i ciepłymi spotkaniami w redakcji, w gronie byłych i nowych kolegów z piśma. Urszula Koziół łączyła pracę w redakcji z funkcjami m.in. prezesa wrocławskiego oddziału i członka Zarządu Głównego Związku Literatów Polskich, członka Zarządu PEN Clubu. Renomę krajową, a później przekłady zagraniczne przyniósł jej bardzo wysoko oceniony przez krytykę tom *W rytmie korzeni*, zaś wydany później *W rytmie słońca* stał się podstawą teatralnej adaptacji Bogusława Litwińca we wrocławskim „Kalamburze”, którą teatr ten z powodzeniem przez kilka lat wystawiał na scenach polskich i zagranicznych. Twórczość poetycka, łączona z prozatorską i felietonami *Z poczekalni*, zapewniła autorce wiele trofeów polskich i niemieckich, m.in. Nagrodę Kulturalną Śląska przyznaną przez Rząd Dolnej Saksonii, i również niemiecką Nagrodę Eichendorffa, a ostatnio wrocławską Nagrodę Silesiusa. Spośród licznych najdłużej współpracujących z „Odrą” autorów, pisarzy i uczonych, przypomnę kilka nazwisk: Tadeusza Różewicza (przez długi czas autora stałych felietonów *Margines*, *ale...* i *Kartki wydarte z dziennika*, który także swoje ważne utwory powierzał piśmu), Jacka Łukasiewicza, Ludwika Flaszena, Józefa Kelerego, zmarłego przed rokiem Andrzeja Falkiewicza, Feliksa Przybyłaka, Piotra Kajewskiego, opolskiego eseisty i stałego recenzenta teatralnego Marka Jodłowskiego, historyka Wojciecha Wrzesińskiego, publicystę i felietonistę oraz autora bestsellerowych książek biograficznych Mariusza Urbanka, kiedyś reportera a obecnie znanego reżysera Wiesława Saniewskiego, Karola Maliszewskiego, Adama Chmielewskiego... Na łamach „Odry” debiutowało bądź zdobywało ostrogi spore grono poetów, prozaików, krytyków, esejistów z całego kraju.

Jedną z trzech istotnych przerw w biografii miesięcznika był okres „rewolty radomskiej” w 1976 roku, kiedy to władze zdjęły ze stanowiska Zbigniewa Kubikowskiego, a ówczesnego sekretarza redakcji (czyli piszącego te słowa) internowały na 36 dni, razem z poetami Nowej Fali, w armii, po czym narzuciły nowego redaktora naczelnego, Waldemara Kotowicza, który jednak nie spełnił nadziei władz w ujarzmieniu zespołu i sprowadzenia „Odry” z powrotem do roli regionalnego kul-

turalnego periodyku. Redakcja i wtedy, po okresie kryzysu i wewnętrznych wahań, zachęcana do niepoddawania się i nieopuszczania stanowisk przez bliskie jej gremia współpracowników i przyjaciół z całego kraju, często związanych ze zdeklarowaną opozycją, funkcjonowała nadal – i szybko po roku 1977 odzyskała zaufanie również tych, którzy postanowili po usunięciu Kubikowskiego na jakiś czas zerwać z redakcją współpracę. Do zespołu stałych felietonistów po roku 1980 dołączyli m.in. Wisława Szymborska, Stanisław Lem.

„Odra” należała do pism najdłużej blokowanych w stanie wojennym, została „odwieszona” po półrocznej przerwie dopiero w maju 1982, wraz z „Tygodnikiem Powszechnym”; sensacją publiczną stał się fakt, że władza zaakceptowała żądania zespołu – usuwając ze stanowiska naczelnego, podczas rządów generałów (!), pułkownika Kotowicza, a zgadzając się na objęcie tej funkcji przez Ignacego Rutkiewicza (także członka kolegium redakcyjnego katolickiej „Więzi”!). Pierwszy numer „powojenny” w lecie 1982 zaświadczał dobitnie, że pismo zaszczycają współpracą nadal najwybitniejsi pisarze, uczeni, publicyści (niektórzy przysyłali pierwsze teksty nawet z miejsc internowania). Wreszcie roku 1987, po słynnym raporcie „ekspertów” Komitetu Centralnego PZPR, podjęto na górze decyzję o ostatecznym rozwiązaniu „Odry”, wysyłając nas na zieloną trawkę; kiedy jednak z kolegami i z bawiącym akurat we Wrocławiu Markiem Jodłowskim leczyliśmy smutki, otrzymałem po trzech tygodniach raptem w *Klubie Dziennikarza* pilną telefoniczną wiadomość, by następnego dnia... stawić się w pracy. O dalszych dziejach, jak i o całym 50-leciu pisma, przyznawanych przez „Odrę” corocznie nagrodach, redagowanych przez młodych pisarzy i dziennikarzy suplementach „8 Arkusz Odry”, poradach dla piszących zamieszczanych w „Pocztówkach literackich” Karola Maliszewskiego *etc.* można dowiedzieć się najwięcej w majowym numerze pisma z dołączonym do niego dodatkiem, zawierającym wybór najbardziej znaczących publikowanych tekstów 50-lecia.

Iłła, zen i młodzi poeci

„Za mało pisze się o Iłłakowiczównie”, wołał dawno już temu Jerzy Kwiatkowski (*Notatki o poezji i krytyce*, 1975). Pod tym względem niewiele się zmieniło – sam wyrzucam sobie, że do dziś nie ukończyłem dawnego eseju o tej wybitnej poetce – ale zastanawia, że Iłła wciąż, także pośmiertnie, pozostaje mistrzynią poetyckiej młodości. Nie, nie jako muza czy patronka; raczej typ dyrektorki angielskiego elitarnego liceum, wyprawiającej w świat świeżo upieczonych maturzystów. Z matczyną troską, pomieszaną z ciętą ironią i udawaną dozą tak zwanego kamiennego serca.

W sześćdziesiątych i siedemdziesiątych latach XX wieku życie literackie Poznania stało pod znakiem lingwizmu w poezji i uniwersyteckiego strukturalizmu w humanistyce. Nowe tomiiki Edwarda Balcerzana, Bogusławy Latawiec, Krystyny Miłobędzkiej (mieszkającej już we Wrocławiu, ale związanej z Poznaniem przez domowe Puszczykowo, studia polonistyczne na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza, Teatr Lalki i Aktora „Marcinek” czy Biennale Sztuki dla Dzieci), młodszych Stanisława Barańczaka i Ryszarda Krynickiego, rozprawy teoretyczne Jerzego Ziomka, Balcerzana i Barańczaka – czyniły tradycyjnie mieszczański, przed wojną endecki Poznań (mieszkał tutaj w Chłudowie i dobrze się miewał Roman Dmowski) ośrodkiem neoawangardy ważnym nie mniej, niż Warszawa Mirona Białoszewskiego, Warszawa, Szczecin i Berlin Zachodni Witolda Wirpszy i Wrocław Tymoteusza Karpowicza. Także tworzący w Poznaniu plastycy, dość wspomnieć Jana Berdyszaka, czynili tu konkurencję neoawangar-

Sergiusz Sterna-Wachowiak, ur. 1953. Poeta, prozaik, eseista, krytyk literacki, tłumacz, redaktor, edytor, scenarzysta teatralny, radiowy i telewizyjny. Autor sześciu tomów poezji; dwóch powieści oraz czterech tomów esejów i szkiców. Autor antologii poezji polskiej XX wieku w przekładach na język niemiecki *Polnische Lyrik aus hundert Jahren* (Hamburg 1997), uczestnik „antologii pięciu” *Rzeczywiste* (2003). Jego twórczość była przekładana na język niemiecki, angielski, francuski, rosyjski, węgierski, bośniacki, czeski i bułgarski. Redaktor i wydawca serii eseistycznych *Tropami pisarzy na Kresach zachodnich*, *Wielkopolski Parnas literacki* oraz *Pasaże i palisady*. Wieloletni kierownik literacki Teatru Nowego im. Tadeusza Łomnickiego w Poznaniu. Prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, członek PEN Clubu. Mieszka w Suchym Lesie pod Poznaniem.

dzie krakowskiej czy łódzkiej. Niespecjalnie atakowano estetyczną dawność i passeizm, bo wiadomo było, gdzie jest miejsce Tetmajera, Staffa czy Skamandrytów, zapędzonych do lamusa. W Poznaniu passeizm i dawność uosabiała jakby od zawsze międzywojenna, najczęściej pisząca rymami, staroświecko wiktoriańska Kazimiera Iłakowiczówna, ze światopoglądu wcale jednak nie endecka, osobista kiedyś sekretarka marszałka Piłsudskiego. Z punktu widzenia lingwistów – ze strukturalistami pod rękę – wiersze Iłły zdawały się krążyć po orbitach odległych o miriady lat świetlnych tak od Peipera i Przybosia, jak Leśmiana, Gałczyńskiego i Tuwima. Jedynie Barańczakowi, i to na początku przemian w estetyce i poetyce, w roku 1967, zachciało się (w recenzji *Szeptem* na łamach „Nurtu”) anihilować staroć. Trochę upraszczam, na to przecie, aby mocniej wybrzmiał problem. Co wobec tego powoduje, że ta staroć mimo wszystko nie umiera? Co się mogło stać, że tenże Barańczak, drugi po Ille, tłumaczył Emily Dickinson i rozczytywał się, a potem przekładał angielską poezję metafizyczną? Jak to możliwe, że 7 grudnia 1981 roku, podczas nadania sędziwej już, niewidomej Iłakowiczównie uniwersyteckiego doktoratu *honoris causa*, laudację jej osoby i poezji głosił Balcerzan?

Nie upieram się rozwiązywać podobnych zagadek; zbyt są proste, jeśli nie banalne. Dość przywołać autorkę *Trazymeńskiego zająca*, komentującą pamflet Barańczaka: młodość ma swoje okrutne prawa, zrozumiałe, że debiutanci chcą zepchnąć starych z piedestału. Ciekawsze, że Iłła mimo to wciąż młodym sygnuje matury.

„Gdyby rzecz sprowadzić do kronikarskiej notatki – pisał Józef Ratajczak w *Lekcjach u Iłakowiczówny* (1986) – wyglądałoby to mniej więcej tak: w listopadzie 1947 roku Kazimiera Iłakowiczówna powróciła do kraju i już w grudniu tegoż roku osiedliła się w Poznaniu. Zamieszkała przy ul. Gajowej 4 m. 8 w ogromnym pokoju z oknami wychodzącymi na zajezdnię tramwajową. Ze względu na to, że był to pokój we wspólnym mieszkaniu, poetka poprzedziła go przy pomocy szafy, bibliotecznych półek i firanek na swoiste «osobne» pomieszczenia. I tak – «gabinet» znajdował się w pobliżu okna (z prawidłowo ustawionym biurkiem, to jest w taki sposób, aby światło padało z lewej strony; była na to bardzo czuła), na lewo od wejścia (w ciemniejszej strefie) usytuowana została «sypialnia» zasłonięta firanką, na prawo zaś – podręczna «kuchenska» i «toaleta». Przy biurku stał wielki, wygodny fotel, prócz tego półki na książki, komódka oraz – po drugiej stronie – dwa krzesła. Nie było tu żadnych luksusów i przez całe lata nic się właściwie nie zmieniło”. Jest tak do dzisiaj: szpitalne czy koszarowe metalowe łóżko, proste biurko, regały biblioteczne bez snycerskich ozdób, radykalnie niezbędne sprzęty, surowy ład przestrzeni i przepełniająca wszystko, trudno uchwytna aura granicznej ascezy, wyrzeczenia, powściągnięcia.

Raz w roku na półtorej, dwie godziny do tego niewidzialnego klasztoru wchodzi zaproszony przez jury laureat Ogólnopolskiej Nagrody Poetyckiej im. Kazimierzy Iłakowiczówny za najlepszy książkowy debiut poetycki roku. Zwiedza mieszkanie-

-pracownię czy raczej przebywa w niej, przekracza klauzulę, otrzymuje oświecenie, które przyjmie albo odrzuci, i czyta swoje wiersze. Aleksander Rybczyński (1983), Marek Grała (1984), Janusz Ryszkowski (1985), Marek Zgaiński (1986), Iwona Pokora (1987), Janusz Drzewucki (1988), Andrzej Wierciński (1989), Kazimierz Biculewicz (1990), Józef Kurylak (1990), Jarosław Mikołajewski (1991), Eugeniusz Kasjanowicz (1992), Andrzej Sosnowski (1992), Marzanna Bogumiła Kielar (1993), Mariusz Grzebalski (1994), Wojciech Wencel (1995), Janusz Szuber (1996), Mariusz Kalandyk (1997), Mirosław Woźniak (1998), Grzegorz Olszański (1999), Wojciech Kass (2000), Michał Sobol (2001), Jacek Bierut (2002), Roman Misiewicz (2003), Łukasz Mańczyk (2004), Joanna Wajs (2005), Magdalena Bielska (2006), Krzysztof Bąk (2007), Przemysław Owczarek (2007), Bianka Rolando (2009), Waldemar Jocher (2010)...

Niedługo potem, gdy w grudniu 1949 roku powstało Koło Młodych przy poznańskim oddziale dawnego Związku Literatów Polskich, na jednym z zebrań pojawiła się Iłakowiczówna, przysiadła w kącie, wyjęła z koszyka robótkę i w milczeniu przysłuchiwała się młodym. Po zakończeniu dyskusji poprosiła o głos i oznajmiła, że w trosce o młodą literaturę zobowiązuje się uczyć bezpłatnie dwóch młodych pisarzy języka obcego, do wyboru, angielskiego, francuskiego, niemieckiego albo rosyjskiego. W czasach stalinowskich nie publikowano jej twórczości oryginalnej, wobec czego tłumaczyła klasykę światową, zasilając budżet jeszcze lekcjami języków obcych. Zaraz po poznańskim powstaniu 28 czerwca 1956 roku napisała głośny, raz tylko wówczas opublikowany (na łamach „Ziemi i Morza”) wstrząsający liryk *Rozstrzelano moje serce*:

Rym się na gromadę zwłókt;
jest go dosyć... Tyle pokoleń...
Lecz zbryzgano mózgiem bruk
i bruk się wzdyma powoli,
myśleć zaczął, choć ledwie się dźwiga
i do zapytań ośmiela –
„– Czemu zawsze rządzi inteligent,
a do robotników się strzela?”

Niemy dotąd warknął koci łeb,
splunęła granitowa kostka:
„Znowuśmy się dali wziąć na lep”,
położono nas – jak zawsze – mostem.
A ja na tym moście jak kiep
do essayu oczy przysłaniam;

Rozstrzelano moje serce w Poznaniu.

Wiersz i postawa poetki, a nade wszystko jej czysta, niezależna liryka, uczyniły ją ikoną Poezji dla młodych poznańskich wierszopisarzy pokolenia Października '56. Zaproszona przez Grupę Literacką „Wierzbak”, 12 listopada 1956 roku przyszła na jej burzliwy i tłoczny wieczór poezji erotycznej i, z braku miejsca, usiadła na stole. Zgodziła się też napisać coś „zamiast słowa wstępnego” do antologii poezji miłosnej „Wierzbaka”, zatytułowanej *Liść człowieka* (1957). Wprowadzenie w dwóch trzecich ułożyła wierszem, który do dziś czytać można jak najważniejsze przesłanie Iłły do młodych poetów. Pozostaje ono, rzecz jasna, w stylu błogosławiącej maturzystów na drogę dyrektorki dawnego liceum:

Nieraz tak niby nie
się
zaczyna
przestać pisać
można by
tak
snadnie
lecz zanim się
spoztrzeże chłopina
z kretesem
zabrnie.

Machnie raz
i drugi
długo-
pisem
trafi w gusta
moda go
wydźwignie
i chcąc nie chcąc
musi być farysem
pleść jak
w malignie

Sztucznym ogniem
wzleci i
zaświeci
a już potem
nie
wstanie
od biurka

aż go przeklną kiedyś
wszystkie dzieci
w
szkolnych mundurkach

Żartobliwe wierszowane przesłanie – rozpoczyna je i kończy *coda*: „Nad Wierzbakiem – nie same wierzby, / a w Wierzbaku / nie sama woda... / Pozwólcie mi / po-kiwać głową, / koledzy, / bo mi/ was/ szkoda” – miało adresata między innymi w wierzbakowcu Marianie Grześczaku, który obok pokoleniowo młodszego nowofalanina, Krzysztofa Karaska, najdłużej i najczynniej zasiadał w jury umyślnego po śmierci poetki w 1983 roku konkursu. Pomysłodawcą i animatorem nagrody jest zaś Włodzimierz Braniecki – także dziecko Października '56, redaktor „Wybojów”, przyjaciel i pocieszyciel poznańskich artystów, którego świętej pamięci Marian Grześczak nazywał, trafnie, człapiastą. Braniecki przez dziesiątki lat uprawiał publicystykę na łamach „Głosu Wielkopolskiego”, który to dziennik uczynił patronem Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Kazimierzy Iłakowiczówny, jak też Medali „Młodej Sztuki” czy nie ukazującego się już miesięcznika literackiego „Arkusze”.

Czym doświadczenie mieszkania-pracowni Iłły jest, czy mogłoby być, dla najlepszych młodych poetów? Zaproszenie do niewidzialnego klasztoru starej, mądrej poetki jest jak nauka otrzymana od mistrza *zen*. Pewien adept pytał mistrza, czym jest życie. W odpowiedzi mistrz podniósł palec do góry. Adept, niczego nie rozumiał, powtórzył pytanie, a mistrz ponownie udzielił mu swojej odpowiedzi. Za trzecim razem nie podniósł już palca, tylko ujął łaskę i uderzył ucznia. Ból rozjaśnił umysł adepta i przepełnił go zrozumieniem.



Bal żebraczy u literatów

Niedawno brałem udział w „Balu żebraczym” w lokalu krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Kilka dni wcześniej we Wrocławiu przyjaciel – pisarz Staszek Srokowski – opowiadał mi o pewnym pisarzu średniego pokolenia, który żebrze i o dwu innych poetach ze starszego pokolenia, których widzi czasami przez blokowe okno, jak grzebią w kubłach ze śmieciami (nazwisk z wiadomych względów nie wymienię). Łączy mi się to jakoś z listem Gabrieli Matuszek, prezeski krakowskiego oddziału SPP, odczytanym w trakcie „Balu żebraczego”:

Literatura wysoka skazana jest dziś na powolne umieranie, a pisarze na głodowanie [...] w czasach, gdy dominuje pieniądz i komercja, staramy się pracować dla dobra publicznego, często bez honorariów, poświęcając własny czas, bo wierzymy, że lampka oliwna nie powinna zgasnąć. Ale czy mamy przenieść się z nią pod mosty, gdy właściciele wynajmowanego przez nas od lat lokalu podnoszą dramatycznie kosztą wynajmu, władze miasta nie są zainteresowane pomocą finansową i historyczne lokum pisarzy może ulec likwidacji?

Czy i komuś dziś jeszcze zależy na wartościach i ich najważniejszym nośniku – wysokiej literaturze? Bo ta popularna miewa się bardzo dobrze. Czy mamy już w naszej młodej (ciagle niedojrzałej) demokracji ludzi biznesu, potrafiących myśleć o duchowym dobru wspólnym? O ciągłości dziedzictwa narodowego, które bez polskiej Literatury skarleje i da się wchłoniąć zunifikowanej bezpostaciowej europejsko-amerykańskiej magmie?

Na blogu krakowianina Krzysztofa Pasierbiewicza przeczytałem celny komentarz do tego sobotniego balu:

Wczoraj, w ostatnią sobotę karnawału, o tej samej porze, odbyły się w Krakowie trzy prestiżowe bale.

Pierwszy, charytatywny, ściągnął do „Hotelu Pod Różą” śmietankę lokalnego biznesu. W wykwintnej oprawie, przy królewsko zastawionych stołach, bawiło się towarzystwo odstrzelone podług najnowszej mody Paryża, Londynu i Nowego Jorku. A w dobroczynnej aukcji, bombastyczni kreżusi świata polskiej finansjery licytowali wystawione fanty, by nieco uśmierzyć wyrzuty sumienia. I dobrze, można by powiedzieć. Przecież o to walczyliśmy, żeby żyć jak ludzie.

Drugi, okolicznościowy, czy może lepiej kuglarski, równie „bogaty”, odbył się w snobistycznej kawiarni „Łoża”, nie wiedzieć czemu zwanej „Klubem Aktora” i zo-

gniskował ponoć śmietankę zaściankowego Krakówka. Było tak „elegancko”, iż podobno mimo ciepłej aury, szatnia nie wytrzymała naporu najdroższych z drogich futer, a uszy aż puchły od przechwałek uczestników szpanerskiego rautu, ile też gwiazdek miał hotel na dalekich wyspach, skąd właśnie wrócili. Też dobrze. Każde europejskie miasto ma taką śmieszna „elitkę”.

Odbył się również bal trzeci, skromny, składkowy, nie bez przyczyny nazwany „Balem żebraczym”. Naprawdę nie żartuję. Taka była oficjalna nazwa tego balu. Te łzawe bachanalia miały miejsce przy ulicy Kanoniczej 7, w siedzibie krakowskiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, które jeszcze dycha dzięki łaskawemu patronatowi Wisławy Szymborskiej. Palącą przyczyną desperackiej fety był przyziemny powód, iż zabrakło pieniędzy na czynsz i centralne ogrzewanie. Tu stoły były skromne, nie było szumnych aukcji, lecz za to były największe z największych nazwiska, wysmakowana poezja i elektryzująca proza.

Ale, cóż to, kogo teraz obchodzi? Obecnie liczą się tylko efekciarski blichtr i szybko zgarnięta kasa.

Konkluzja blogu Pasierbiewicza, z którą trudno się nie zgodzić, jest następująca:

Pani prezes Gabriela Matuszek grzecznie apeluje, lecz ja się pytam po męsku, gdzie jest do cholery Prezydent Królewskiego Miasta??? Gdzie jest Minister Kultury??? Gdzie jest Premier??? Co na to mainstreamowe media, które hektolitrami wlewają krokodyle łzy, że w ubiegłym roku ponad połowa Polaków nie wzięła do ręki ani jednej książki??? Co na to Prezydent Rzeczypospolitej?

Czy sytuacja pisarzy uprawiających literaturę niekomercyjną i nie rozrywkową jest tak alarmująca, czy też glosy powyższe wynikają raczej z krakowskiej poetyki „Zielonego Balonika” i „Piwnicy Pod Baranami”, czyli z kabaretowej skłonności do przemieniania rzeczywistości w groteskę?

Niestety, to prawda, że pisarze z drugiego po warszawskim – największego w Polsce – oddziału SPP nie otrzymują znikąd dotacji na opłacenie coraz bardziej droższego lokalu przy Kanoniczej i jedynie Wisława Szymborska wspomaga Stowarzyszenie od paru lat z własnej kieszeni, co jest i tak tylko częścią potrzebnej sumy. Zresztą na lokal, telefon i sekretariat dotacji już od dawna nie ma, odkąd skończył się socjalizm i państwo poczuło się zwolnione z troski o kulturę. Żeby więc mieć na czynsz, trzeba kombinować albo żebrac, bo same składki nie wystarczą.

Józef Baran,

ur. 1947. Poeta, publicysta, autor ponad 30 książek (poezja, proza), tłumaczonych na wiele języków, ostatnio (w roku 2008) ukazał się obszerny wybór jego wierszy w Hiszpanii. Laureat m.in. Nagrody im. Kościelskich, wyróżnienia Pen West w Los Angeles (za polsko-angielski tom wierszy *W błysku. In a Flash*), Nagrody Stołecznego Królewskiego Miasta Krakowa. Wiersze Barana były publikowane w antologiach polskich i zagranicznych, trafiły do podręczników szkolnych. W 2008 roku ukazał się jego kolejny tom dzienników *Przystanek Marzenie*. Mieszka w Krakowie.

Ministerstwo dotuje projekty, ale ostatnie złożone do ministerstwa kultury przez krakowian nie zyskały akceptacji ze względu „na niską użyteczność społeczną”. Ta tak zwana „niska użyteczność społeczna zawodu pisarskiego” spycha literatów w oczach bezdusznych urzędników coraz mocniej na margines.

W sytuacji, gdy rynek księgarski zalewają książki zagraniczne, a liczba czytelników zastraszająco maleje – los polskiego autora niskonakładowej, ambitnej książki wydaje się być coraz bardziej opłakany. Niestety w Polsce nie myśli się o ochronie interesów polskich pisarzy, a tak jest przecież w innych mądrych, bo myślących dalekowzrocznie, krajach. Z tego co wiem, na przykład w Hiszpanii około tysiąca bibliotek zobligowanych jest do wykupienia pierwszych książek młodych pisarzy, więc duże wydawnictwa ryzykują niewiele przy kwalifikowaniu debiutów do druku. We Francji ministerstwo pomaga w ich zakupie, a potem dystrybucji. W krajach skandynawskich pisarze otrzymują tantiemy od każdej wypożyczonej z biblioteki książki ich autorstwa, ba, tantiemy wpływają na konto autorów nawet w wypadku kserowania stron (wierszy). W Niemczech ludzie pióra korzystają z dużych możliwości, jakie daje bogato rozwinięty system stypendialny, wysokie honoraria, konkursy ogłaszane przez władze miasta na tak zwanych „stadtschreiben”, czyli pisarzy, którzy dostają stypendia, mieszkanie (często w hotelach zamkowych), utrzymanie w zamian za to, że w przyszłości akcję swych utworów umiejscowią w okolicach landu czy miasta, które ich sponsoruje.

Posiłkując się innym przykładem – z branży muzycznej. W Portugalii, w krainie fado, w trosce o ochronę piosenki portugalskiej i stworzenie zapory dla amerykańskich wytworów popkulturowych, wydano przepisy, na mocy których tylko jedna czwarta piosenek „latających” w radio może być obcojęzyczna, pozostałe muszą być rodzime. Słyszałem, że u nas również wprowadza się w mediach dźwiękowych „szlaban”, mający na celu wspomaganie polskojęzycznych piosenek. Czy nie można by z tych przywołanych na chybił trafił wzorców skorzystać, mając na uwadze los polskiej literatury...

Najtrudniej mają dziś poeci. Przypominam sobie, że gdy w roku 1984 wydawałem po raz pierwszy *Wiersze wybrane*, ukazały się w nakładzie 5 tysięcy egzemplarzy i zostały rozprzedane w przeciągu roku. Dziś, po ćwierćwieczu mojego maratonu pisarskiego, nowe wydawane zbiory – w posiadającym skądinąd znakomitą dystrybucję wydawnictwie Zysk i S-ka – ukazują się w nakładach 2–3 tysięcy i rozchodzą w żółtym tempie, osiągając sprzedawalność od tysiąca do dwu... Nie trudno zgadnąć, że jestem zdany na życzliwość właściciela tej oficyny.

Cóż mówić o setkach mniej znanych czy nieznanych autorów?! Przede wszystkim nie wydaje się ich w prestiżowych wydawnictwach, lecz w niszowych oficynach bądź po prostu w drukarniach, tak że najczęściej wydrukowane zbiorki w ogóle nie trafiają do księgarń. Autor tomiku płaci sobie za wydanie (od 3 do 5 tysięcy zł za 500 egzemplarzy), a następnie rozsyła je znajomym. Słowem, żeby funkcjonować dziś w obiegu jako poeta, trzeba być w miarę zamożnym człowiekiem. A co mają czynić poeci niezamożni?

I tu dotykamy kolejnego paradoksu związanego z polityką kulturalną albo też z jej brakiem... Corocznie rozpisanych jest w Polsce kilkadziesiąt konkursów na zestawy wierszy. Laureaci otrzymują nagrody i wyróżnienia. Honoraria otrzymują też jurorzy. Okazuje się, że pieniądze na to się znajdują, choć z konkursów niewiele wynika ani dla poetów, ani dla szerszego odbiorcy, bo najczęściej w imprezach finałowych biorą udział tylko organizatorzy (którzy kwitują zaistnienie kolejnego konkursu), zwycięzcy i jurorzy. Żeby było śmieszniej, dodam, że wśród poetów wyodrębniła się grupka spryciarzy – zawodowców biorących udział w wielu konkursach. Znałem takiego, który obsyłał tymi samymi wierszami blisko sto konkursów rocznie i wielokrotnie wygrywał, zgarniając kasę. W regulaminach zastrzega się co prawda, że poeci nie mogą proponować wierszy już nagrodzonych, ale kto jest w stanie to skontrolować, skoro w jury zasiadają różni poeci i krytycy? Dodajmy, że jako autor zbiorów, ów notoryczny laureat nigdy nie wybił się ponad przeciętność, co jest zrozumiałe. Wiersze konkursowe są przecież często dobierane pod gusty jurorów bądź mają charakter twórczości „na okoliczność”.

Niestety, o ile o młodych poetach, biorących udział w konkursach, mecenas państwowy się troszczy, to poeci średniego i starszego pokolenia, którzy chcą wydać swoje kolejne zbiory, nikogo nie obchodzą; duże wydawnictwa ich nie chcą, koncentrując się na prozie, publiczność powoli odzwyczaja się od czytania tomików, których w księgarniach i bibliotekach na lekarstwo; poeta zaczyna obracać się więc w próżni doskonałej...

Dlaczego w trosce o los poezji polskiej, którą ceniło się dotąd bardzo wysoko w świecie, w odróżnieniu np. od gospodarki, nie próbować jej wspomóc? W jaki sposób? Uszczuplić budżet na konkursy na pojedyncze wiersze czy zestawy, a pieniądze oszczędzone z tego przeznaczyć na dotowanie najlepszych książek poetyckich zakwalifikowanych do druku w dużym, mającym dobrą dystrybucję, wydawnictwie. Skąd je znaleźć? Rozpisać konkurs na książki poetyckie. Stworzyć komisję złożoną z wybitnych poetów i krytyków różnych pokoleń i opcji (powtarzam: różnych, żeby nie było „kolesiostwa”), którzy spośród nadesłanych maszynopisów wyłonią kilkanaście czy kilkadziesiąt najciekawszych, kwalifikując je do druku. Duże wydawnictwo, które otrzyma ministerialną dotację na wydanie tych książek, powinno zadbać również o ich reklamę i rozprowadzanie.

Czy to co piszę, to tylko marzenie ściętej głowy? Dlaczego w kraju noblistów poetyckich, w kraju cenionych w świecie poetów i kilkadziesiąt salonów poetyckich Anny Dymnej rozsianych w Polsce i zagranicą (właśnie Dymna pokazała, ile jeden człowiek potrafi zrobić dla poezji, gdy tylko mu się „chce chcieć”) – żyjących autorów traktuje się na szczeblu rozpolitykowanych instytucji oraz wydawnictw i księgarń jak pariasów, a piękny nawyk czytania wierszy odsyła się bezmyślnie do lamusa?

Myszka Miki i „obrzęk samoświadomości”

Poprzedni swój felieton zakończyłem przywołaniem dziewczyny z czwartej strony okładki osiemnastego numeru „RityBaum”. Przypomnę, dziewczyna była naga, na głowie miała ogromnego pluszaka i seplenila. Co do tego ostatniego nie mam stuprocentowej pewności, w końcu ile można usłyszeć ze zdjęcia, na dodatek nie-najlepszej jakości, ale dochodzące spod nakrycia głowy seplenienie: „stuka, stuka, stuka”, wydaje mi się możliwe a nawet wysoce prawdopodobne. Przypominam tego okładkowego pluszaka, bo podczas niedawnego pobytu w Zakopanem, widziałem, jak do siedzącej na ławeczce na Krupówkach maskotki, a była to różowa Myszka Miki wielkości postawnego chłopca, dosiadł się pewien ogorzały mężczyzna, nazwijmy go Pan Menel, i strasznie zaczął ten jej mysz plusz skubać, a nawet szarpać, wykrzykując przy tym jakieś słowa w narzeczu meneli. Ze słów agresora niczego pojąć nie zdołałem, mój słuch rejestrował tylko nadreprezentatywność spółgłosek wybuchowych lub zwartowybuchowych, jak to /p/, /b/, /d/, /k/, /g/. Ciągi spółgłoskowe przerywane były długimi zawodzeniami samogłoskowymi, z których jasna /u/, dzięki specyficznej artykulacji nabierała niepokojącej głębi, zwłaszcza wtedy, kiedy następowała zaraz po głosce /k/, a przed głoską /r/, która zwykle rozwibrowana jak świder, tym razem brzmiała jakoś miękko i bezradnie, i bardziej /l/ niż /r/ przypominała. Ta oczywista paralalia powodowała, że po przedwieczornych Krupówkach niósł się przejmujący zaśpiew, brzmiący mniej więcej tak: „kuuulwa, kuuulwa, kuuulwaaa”. Jakież było moje zdumienie, kiedy w różowy plusz szarpana Myszka Miki, w jednej chwili zerwała pluszowy łeb, i zaczęła odpowiadać głosem nieco wyższym i bardziej jeszcze umęczonym: „kuuulwa, kuuulwa, kuuulwaaa”, bowiem jak się państwo domyślicie, nie była oryginalną Mickey Mouse, tylko zamaskowanym drugim Panem Menelem. I tak niósł się ten menelski zaśpiew na dwa głosy po górach, dolinach dopóty, dopóki przywabiona improwizowanym występem straż miejska nie położyła koncertowi kresu, bo widać takie jej zadanie, żeby kres kłaść wszędzie tam, gdzie to tylko możliwe.

Czy zakopiańska „kuuulwa” ma jakiś związek z prasową „stuką”? Możliwe. Możliwe, że chodzi o wadę. Możliwe, że jest to wada wymowy. W przypadku śpiewaków wada jawna i jednoznacznie gorsząca, w przypadku dziewczyny

z okładki wada ukryta, udająca zaletę. Ale kto by się na to nabrał! Z wadami należy walczyć. Panom śpiewakom można by zaproponować formację AA z jej filozofią dwunastu kroków. Paniom, które „sztuki” od „stuki” odróżnić nie potrafią, zaleca się szereg ćwiczeń, służących wzmacnianiu mięśni okężnych ust i języka, jak np. robienie ustami ryjka, próby dotykania nosa językiem, kłaskanie językiem (naśladowanie uderzeń kopyt końskich o bruk ulicy), zawody w dmuchanie piórka – kto dłużej utrzyma je w powietrzu i szereg innych, równie ekwilibrystycznych czynności. Wprawdzie trudno w wieku dojrzałym naprawić to, co powinno rozwinąć się w szóstym roku życia, ale spróbować nie zaszkodzi.



Senat Akademii Sztuk Pięknych w Gdańsku w kwietniu ub. r. podjął uchwałę o nadaniu tytułu doktora honoris causa Peterowi Greenawayowi za całokształt twórczości artystycznej i humanistyczną postawę życiową. Greenaway jest postacią powszechnie znaną, reżyserem, który poczynił od *Kontraktu Rysownika* z 1982 roku, cieszy się sławą artysty niekonwencjonalnego, oryginalnego i nieco szalonego, co potwierdziły takie obrazy jak: *Brzuch architekta*, *Wyliczanka*, *Burza*, *Zet i dwa zera*, *The Pillow Book* czy *Osiem i pół kobiety*. Szaleństwo sztuki? Jak najbardziej. Również realizowany obecnie projekt multimedialny *The Tul-se Luper Suiteases*, polegający na próbie spakowania całego świata w dziewięćdziesiąt dwie walizki zawiera w sobie ten rodzaj szaleństwa, które artyście pozwala mierzyć się z tym, co niemierzalne i robić syntezę tego, co zsyntetyzować się nie daje. Mnie zaintrygowała druga część uzasadnienia, owa „humanistyczna postawa życiowa”. W październiku 2010 roku, podczas pobytu w Gdańsku, Greenaway udzielił wielu wywiadów, stał się bohaterem kilku większych i mniejszych artykułów prasowych. Czytając je starałem się zrozumieć sentencję gdańskich plastyków. Jednak im bardziej się starałem, tym większej doświadczałem konfuzji, bowiem o wartości „humanistycznej postawy życiowej” nie przekonuje mnie wyznaczenie, typu: „Przekazałem już swój materiał genetyczny; jestem przykładem opowieści o darwinowskim sukcesie. Ale ja już wypełniłem swoją rolę, nie jestem więcej światu potrzebny. Bo po co w gruncie rzeczy tu jesteśmy? Według mnie tylko po to, by się pieprzyć.”, a dobra rada: „Uważam, że im szybciej wymażecie katolicyzm z waszej kultury, tym będziecie lepsi. Od czasów reformacji cały świat ucieka wam, Polakom, coraz szybciej, a wy tego nie zauważacie. Katolicyzm jest dla mnie śmiercią wie-

Krzysztof Kuczkowski,

ur. 1955. Poeta. Założyciel i redaktor „Toposu”. Autor kilkunastu zbiorów wierszy, ostatni z nich to *Wiersze masowe i inne*. Mieszka w Sopocie.

dzy, wyrządził niewyobrażalną krzywdę naszej cywilizacji.”, bardziej niż o „humanizmie” autora tych słów, świadczy o jego wielkiej intelektualnej smucie i myślowym ubóstwie. Podejrzeń, że tak właśnie jest, nabrałem już podczas wykładu inauguracyjnego Petera Greenawaya, kiedy to z charakterystyczną dla siebie skromnością, stwierdził: „Oczywiście bardzo dobrze znam chrześcijaństwo i zagadnienia kościoła rzymsko-katolickiego”. Cóż, obawiam się, że „bardzo dobrze znać”, nie znaczy „rozumieć”. Ani bardzo dobrze, ani ociupinę. Radykalnego zerwania z chrześcijaństwem dokonali już osiemnastowieczni jakobini, a porażkę ponieśli tylko dlatego, że – jak sądził Lenin – za mało gilotynowali. Ale może źle rozumiem samo pojęcie „humanizmu” i „humanistycznej postawy życiowej”? Może humanizm pozytywistyczny, humanizm marksistowski czy humanizm nietzscheański zasadniczo różni się od „humanizmu greenawayowskiego”? Nie twierdzę, że te „humanizmy” są tożsame z wulgarnie materialistycznym ateizmem, niemniej podstawą każdego z nich jest antyteizm, precyzyjniej – antychryścianizm. Przypadek Greenawaya polega – jak się wydaje – na odrzuceniu Boga, tak jak odrzuca się przeszkodę zagradzającą drogę do wolności. Banalne? Z pewnością. Zwłaszcza wtedy, gdy wolność kojarzy się z pieprzeniem (również bez ładu i składu).



Żeby nie kończyć na smutno, bo to prawie tak samo paskudne jak upijanie się na smutno, postanowiłem przypadek Greenawaya skomentować słowami innego artysty, Vaclava Havla, pisarza i dramaturga, prezydenta Czechosłowacji w latach 1989–1993, a Czech do 2003 r. „Pierwsza na świecie globalna, ateistyczna cywilizacja zmierza do katastrofy. Zachód utracił połączenie z wiecznością i nieskończonością. A przez to niekończący się kolektywizm konsumencki rodzi nowy typ samotności. (...) Dumą cywilizacji globalnej jest nie tylko globalnie rozprzestrzeniona krótkowzroczność, ale obrzęk samoświadomości, której charakterystycznymi cechami są wyniosłe idee, że już wszystko wiemy, a tego, czego jeszcze nie wiemy, wkrótce się dowiemy, bo wiemy jak się do tego zabrać.” Kto wie, to wie. Najwięcej wiedzą ci z „obrzękiem samoświadomości”. I swojej wiedzy nie wstydzą się ujawniać, choć wstydzić się powinni.



Pusto wszędzie, drogo wszędzie...

Opustoszałe miasto zawsze wygląda złowrogo. Korzystają z tego choćby amerykańscy filmowcy, ostatnio z dużym sukcesem w thrillerze science-fiction *Jestem legendą*, gdzie główny bohater (w tej roli Will Smith) stawia czoła samotności i przerażającym zombie, którym udało się przeżyć totalną zagładę. Pusta Warszawa nie prezentuje się jeszcze tak strasznie, może dlatego, że pustoszeje bez użycia broni masowego rażenia. Zaczyna się to zjawisko w piątek popołudniu, gdy na zasłużony odpoczynek zjeżdżają „na chatę” mieszkańcy podwarszawskich miasteczek, wsi i osiedli. Czasem szczególnie wyludniającym stolicę są święta, długie weekendy i, co okazało się na załączonym niżej obrazku, wizyty Nader Ważnego Gościa. Ja być może jakoś bym to zniósł, w końcu lepsze obleżone miasto niż żadne, ale narzeczona zdenerwowała się na całego. Zaczęło się od telefonu. Dzwoni do mnie i mówi: „Nie było mnie pięć dni i co? Świat zwariował. Nie dość, że jechałam do Warszawy z Malborka przez Toruń, to podróż trwała nie trzy i pół godziny, tylko pięć i pół! Ale co tam, radujmy się, że wokół wszystko się buduje. W pociągu śmierdziało tak, jakby służył do przewożenia nawozu, a nie ludzi, ale co tam, ważne, że siedziałam, nie? Dojeżdżam do stacji Warszawa Centralna. Uff... w końcu u siebie. Wsiadam i zaczynają się schody. Jak można tak namieszać, że człowiek po 12 latach pobytu w stolicy gubi się w podziemiach Dworca Centralnego?! Ale co tam, radujmy się, że wszystko się buduje...”. Próbowałam ją nieco uspokoić, bo w takim stanie łatwo o rozstrzęsienie dłoni, co z kolei powodować może upuszczenie telefonu, a to z kolei (przeklęta ta kolej) oznacza wydatek rzędu kilkuset złotych... Nie udało się. Mówi dalej. „Myślę – nic to. Jeszcze tylko wydość się na powierzchnię, przejść koło Marriotta, skrócić w lewo, potem w prawo i witaj domku! Zadanie na pozór banalne okazało się być biegiem z przeszkodami, bo nasz kochany kraj odwiedził prezydent Stanów Zjednoczonych – Barack Obama. Co ma wspólnego jedno z drugim?

Krzysztof Feusette,

ur. 1971. Poeta, stały felietonista „Rzeczpospolitej” i tygodnika „Uważam Rze”, redaktor prowadzący serwisu wsieci.rp.pl, uprawia publicystykę polityczną i kulturalną. Mieszka w Warszawie.

To, że nocował właśnie w Hotelu Marriott! A nasza władza pozamykała i zabarykadowała wszystkie ulice dochodzące do Marriotta. Skutek był taki, że nie mogłam się dostać do własnego domu, a na mieście poza barierkami, szwadronem policji, ochroną i mężczyznami w ciemnych okularach i w czarnych porozpinanych garniturach nie ma żywej duszy!”.

Faktycznie – tak było. W Irlandii dzikie tłumy i wiwaty, w Anglii zbiegowiska, flagi i kwiaty, a w Polsce – pusto wszędzie, głucho wszędzie, nic z tej fety dziś nie będzie... Tak straszili, tak przestrzegali, tak odradzali i uprzedzali, że nawet najbardziej ciekawskie warszawianki zrezygnowały z oglądania na żywo przejazdu prezydenta USA stołecznymi ulicami. Tak rozmyślając, wstawiłem wodę na kawę, żeby narzeczona mogła dojść do siebie po ciężkiej podróży przez Polskę i przez miasto, gdy nagle krzyk z sąsiedniego pokoju. No, tak, już weszła do Internetu. Teraz wpada do pokoju jak burza. „Chciałam sprawdzić – mówi – co się działo podczas mojej kilkudniowej nieobecności i natychmiast pożałowałam! Bo przepraszam, jak zareagować na taką podwyżkę cen biletów? Z dwóch złotych i osiemdziesięciu groszy na trzy sześćdziesiąt? Za jeden przejazd?! Rozbój w biały dzień. No, tak, pani Hania raczej z tramwajów nie korzysta, więc co ją to obchodzi. Może gdyby chociaż przez chwilę zastanowiła się, kto porusza się po mieście komunikacją miejską i jakie w niej panują warunki, obniżyłaby ceny zamiast je podnosić? A tak? Narzekacie na podwyżki biletów, proszę bardzo, woda i ścieki w górę o 30 procent!. Jeszcze wam mało, bardzo proszę, żłobki – 1200 złotych za dziecko. Może następnym razem zastanowisz się człowieku, zanim zdecydujesz się na potomstwo?”. I znowu się zdenerwowała.

Wieczorem – patrzę, pisze list. Zaglądam przez ramię, a tam leci tak: „Pani Haniu, może powinna pani razem z podwyżkami udzielać instrukcji, co do sposobu przyswajania sobie tak „dobrych” wiadomości, bo mnie osobiście krew zalewa. Tak, wiem, na szczęście podziwiać można już przepięknie wyszykowane fontanny na Podzamczu. Remont kosztował 11 mln zł, a rezultat powala! Nasze fontanny są największe w Europie! A co, nie stać nas?!”. Nie wysłała tego listu, bo i po co. Namówiłem ją na wycieczkę rowerową po mieście – śladami Baracka Obamy. Tłumy były dzikie, ale nie z naszego powodu. Po prostu zaczęły się wyprzedaże.

